

P. 9.786 Chr. Arch

ISSN 0023-5148

W 7/8 12

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 7/550-8/551 1993



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

B. CZAYKOWSKI: **PISARZE NIEDOCENIENI
— PISARZE PRZECENIENI**

A. MICEWSKI: **POLSKIE PRZEDSZKOLE
DEMOKRACJI**

A.W. KULIK: **ROZMOWY Z EGZARCHĄ
FILARETEM**

B. OSADCZUK: **Z WAŁĘSĄ NA UKRAINIE**

SPIS RZECZY

Konrad W. Tatarowski:	<i>Biedna Bośnia czyli o samotności ginących (dok.)</i>	3
Bogdan Czaykowski:	<i>Pisarze niedocenieni — pisarze przecenieni. ANKIETA „KULTURY”</i> .	14
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Gorący oddech pustyni</i>	48
NA WSCHÓD OD POLSKI		
Adam W. Kulik:	<i>Rozmowy z egzarchą Filaretem</i>	66
Leopold Unger:	<i>Widziane z Brukseli i Moskwy</i>	89
Bogdan Osadczyk:	<i>Z Wąleś na Ukrainie</i>	107
KRAJ		
Smecz:	<i>Z ukosa</i>	114
Stanisław Polaczek:	<i>Jak zdynamizować polską gospodarkę?</i>	122
<i>Czy są drogi wyjścia?:</i>		
Krzysztof Wolicki:	<i>Czy obroni się polski parlamentaryzm</i>	125
Andrzej Micewski:	<i>Polskie przedszkole demokracji</i>	130
Z HISTORII EMIGRACJI		
Andrzej Dobosz:	<i>Polscy dyplomaci</i>	137
Kajetan Dzierżykraj-Morawski:	<i>List</i>	147
SĄSIEDZI		
Andrzej Stach:	<i>Niemcy a Europa</i>	151
Adam Kruczek:	<i>Notatki rosyjskie</i>	159
Ewa Berberysz:	<i>Kartka ze skażonej strefy</i>	165
KRONIKA KULTURALNA		
Edward Możejko:	<i>Polacy, polonica i japońscy polonofili w Sapporo</i>	169
—	<i>Wystawa obrazów Zofii Dembowskiej Romer w Warszawie</i>	176
CI, CO ODESZLI		
Stefania Kossowska:	<i>Leopold Łabędź</i>	177
Leszek Szaruga:	<i>Jacek</i>	180
Ewa Berberysz:	<i>Mysząc o Andrzeju Kuśniewiczu</i>	182
KSIAŻKI		
Antoni Libera:	<i>O czym pisze Jerzy Pilch?</i>	185
M. Broński:	<i>Else Lasker-Schüler w przekładzie</i> ...	194
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	196

Dalszy ciąg spisu rzeczy na str. 224

Varsovie
W006

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Lipiec/Sierpień-Juillet/Août 1993

INSTYTUT



LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

C. P. Czuchwicy, Panorama, SA (Australia) po raz 21-szy ...	F.	200,00
Czesław Lebelt, Jouy-en-Josas (Francja) — po raz 3-ci	F.	300,00
Grażyna Majewska, Eury (Francja) — zamiast kwiatów na grób zmarłego tragicznie 26 maja 1993 r. w Paryżu Jacka Bierzina	F.	20,00
Kazimierz Mamak, Knutange (France) — po raz 7-my	F.	100,00
Jan Świtalski, Barrington, RI (USA) — pamięci prof. Jerzego Lerskiego — dol. 50,00	F.	270,00
(Bardzo przepraszamy za spóźnione ogłoszenie tego daru.)		
Tadeusz Wyrwa, Paryż — w 23-cią rocznicę śmierci śp. Ojca, Józefa Wyrwy — pseudonimy „Furgalski”, „Stary” — jednego z najbliższych współpracowników „Hubala”, później dowódcy samodzielnego oddziału partyzanckiego i następnie dowódcy 2-go batalionu 25 pp. A.K.	F.	300,00
Zamiast kwiatów na groby zmarłych przyjaciół-kolegów z 2 D.S.P. — Władysław Raczynski; Charente (France)	F.	1.500,00
Beziemniennie z USA — po raz 16-ty — dol. 17,00	F.	92,00
Beziemniennie z USA — po raz 4-ty — dol. 100,00	F.	540,00
Dla uczczenia pamięci Tadeusza Andrzejczaka w szóstą rocznicę Jego zgonu od M.A. (Australia):		
— na Fundusz Kultury — dol. aus. 200,00	F.	654,00
— na pomoc dla Polaków w Rosji — dol. aus. 200,00	F.	654,00
— na Szpital Dziecięcy w Bytomiu — dol. aus. 100,00	F.	327,00

Jan Zalewski, Chester (W. Brytania) na pomoc dla Polaków w Rosji — £ stg. 20,00 F. 180,00

DZIĘKUJEMY

Biedna Bośnia, czyli o samotności ginących (dok.)

XI. Sporo pisze się ostatnio w prasie zachodniej o powrocie chmury pesymizmu nad europejski horyzont: narasta recesja gospodarcza, rośnie bezrobocie, Zachód osiągnął taki próg rozwoju, że ciężka praca nie powiększa automatycznie dobrobytu, zaś dobrobyt nie zwiększa zapotrzebowania na pracę. Wyborcy w krajach zachodnich coraz częściej głosują nie tyle za określoną opcją polityczną, co przeciw aktualnej władzy. Idea zjednoczonej Europy wzbudza coraz mniej entuzjazmu i nadziei. Odżywają lokalne nacjonalizmy i szowinizmy. Czy jednak tylko w kłopotach gospodarczych szukać przyczyn owych zjawisk? Czy nie mamy do czynienia ze swoistą „chorobą duszy”, której źródła są moralne i metafizyczne? Czy można przyglądać się temu, co się dzieje w Bośni, bez poczucia winy? Pomoc humanitarna jedynie w małej części może uspokoić sumienia bogatej Europy, a zwłaszcza polityków i wojskowych, którzy dysponują ogromnym arsenałem gospodarczym i militarnym. To trochę tak, jakbyśmy ofiarom sadysty, który mieszka za ścianą, przynosili co wieczór kromkę chleba i szklankę wody, by dalej mogły znosić zadawane im tortury, jego zaś zapraszali na umoralniające sesje przy suto zastawionym stole. „Nasilenie walk w Bośni-Hercegowinie nie storpedowało rozmów...” — to fragment jednego z komunikatów z negocjacji genewskich — ze stycznia, lutego, marca... Czy nie brzmi to ponuro i groteskowo?

XII. Administracja George'a Busha aż do końca swoich rządów nie mieszała się do konfliktu na Bałkanach, pozostawiając inicjatywę sojusznikom europejskim. Może i słusznie — w końcu dzieje się to wszystko na kontynencie, którego



najsilniejsze państwa są w Sojuszu Atlantyckim NATO i zmierzają do przekształcenia Europy w silny i spójny organizm, który będzie w stanie przejąć współodpowiedzialność za los demokratycznego porządku na świecie. Należałoby więc zacząć od własnego podwórka. Pozostanie jednak smutnym faktem, że przywódcy europejscy nie uczynili niczego, by przerwać eksterminację ludności cywilnej w Bośni-Hercegowinie. Od czasu do czasu niektóre spektakularne wydarzenia, jak zastrzelenie francuskich żołnierzy — uczestników misji „niebieskich hełmów”, bądź zamordowanie wicepremiera rządu Bośni (zresztą w obecności żołnierzy i obserwatorów ONZ) wywoływały ostrzejsze głosy domagające się bardziej zdecydowanej akcji przeciwko Serbii. Na początku stycznia doszło nawet do tego, że ówczesny francuski minister spraw zagranicznych, Roland Dumas, zagroził francuską interwencją w celu przerwania blokady Sarajewa. Skończyło się jednak na zapowiedziach. Serbowie dalej „czyścili” i blokowali dostawy z pomocą humanitarną. Doszło nawet do tego — w połowie lutego — że muzułmański rząd Bośni i Hercegowiny odmówił przejmowania lotniczej pomocy dla Sarajewa: „Nie zgadzamy się, by utrzymywać przy życiu Sarajewo po to, aby zachodnia opinia publiczna miała czyste sumienie, podczas gdy innych Bośniaków (we wschodnich regionach — przyp. mój) pozostawia się umierających”. Do przełamania serbskiej taktyki, zmierzającej do zagłodzenia obrońców i mieszkańców wschodniej Bośni, przyczyniła się dopiero akcja zrzutów, zainicjowana przez prezydenta Clintona. Prawda, że ich bezpośrednia skuteczność okazała się wysoce problematyczna. Jej pierwszą konsekwencją było... zdobycie przez Serbów Czerskiej, miasta, które przez dziesięć miesięcy broniło się przed oblężeniem. W nocy, kiedy spadły tam pierwsze zrzuty, na początku marca, część obrońców opuściła swe pozycje, udając się na poszukiwanie kontenerów z żywnością i lekarstwami. W tym czasie Serbowie zajęli miasto. Około 20 tysięcy mieszkańców Czerskiej zostało zmuszonych do opuszczenia swych domostw. Działo się to w czasie, kiedy nie puściły jeszcze zimowe mrozy, w regionie górzystym. Wygnanym z domostw Bośniakom z reguły pozwalano zabrać tylko samych siebie, ciepłe odzienie i dobytek musieli pozostawić w domach. Około 8 tysiącom z nich udało się dotrzeć, w stanie skrajnego wyczerpania, do odległej o 50 km Tuzli, która znajdowała się pod kontrolą muzułmanów. Liczba śmiertelnych ofiar nie jest znana.

W tych samych dniach agencje donosiły o zaostreniu

serbskich ataków również w innych okolicach wschodniej Bośni. Humanitarną akcję zrzutów oddziały Karadźica wykrywały dla własnych, agresywnych celów. Mimo wszystko jednak akcja zrzutów samolotowych, wraz z towarzyszącą jej akcją propagandową, stała się wyraźnym sygnałem, że Ameryka nie pozostanie na uboczu wydarzeń w byłej Jugosławii. Przyczyniła się też, w bardziej praktycznym wymiarze, do rozluźnienia serbskiego pierścienia wobec konwojów lądowych. Za nią, 12 kwietnia, nastąpiła akcja patrolowania terytorium powietrznego Bośni przez samoloty NATO, z prawem do zestrzeliwania obiektów naruszających ONZ-owskie zakazy sprzed kilku miesięcy. Była to decyzja mocno spóźniona, bo wcześniej Serbowie naruszyli zalecenia ONZ około 500 razy. I tym razem jednak akcja ta stanowiła sygnał bardziej zdecydowanej postawy społeczności międzynarodowej wobec łamania elementarnych praw człowieka.

Towarzyszyła jej zapowiedź zaostrenia sankcji Rady Bezpieczeństwa ONZ wobec nowej Jugosławii. W końcu sankcje zaczęły obowiązywać w ostatnim tygodniu kwietnia. I na nich zapewne się nie skończy, aż do wymuszenia na Serbach zgody na podpisanie planu pokojowego. W każdym razie, jak widać z powyższej analizy, bez aktywniejszego włączenia się Stanów Zjednoczonych w przerwanie serbskiej agresji, przywódcy europejscy przyglądaliby się zapewne nadal dokonującym się w bliskim sąsiedztwie zbrodniom ludobójstwa. Uwaga ta dotyczy zresztą również przywódców z odzyskanej po komunizmie części Europy. Ogólnikowym deklaracjom solidarności z ofiarami serbskiej agresji nie towarzyszyły i z tej strony konkretne inicjatywy, na przykład na forum ONZ zmierzające do zaostrenia sankcji wobec agresorów. Znacznie częściej rozlegał się w tej sprawie głos Iranu, Turcji lub krajów Trzeciego Świata.

XIII. Serbowie mają w tej wojnie sojuszników. Jawnych i ukrytych, świadomych i nieświadomych. Nieświadomi to ci, którzy w bałkańskim konflikcie „równo i sprawiedliwie” rozkładają odpowiedzialność za popełniane zbrodnie. Którzy mówią o „zbiorowym oblędzie, który (nagle?) ogarnął *wszystkich* mieszkańców tej części Europy — Słowenów, Chorwatów, Muzułmanów, Serbów, Albańczyków, i kogo tam jeszcze. Jednym słowem ci, którzy nie odróżniają kata od ofiary, agresora od napadniętego. Takie podejście uniemożliwia jakąkolwiek ocenę, paraliżuje. Skoro wszyscy oszaleli — to kogo przed kim bronić?

Taką taktykę propagandową przyjęli też Serbowie. Nawet

ci krytyczni i opozycyjnie nastawieni do reżimu Miloszevicia. „Proszę pani, Serbowie nie mają monopolu na zabijanie! Złoczyńcy i maniacy istnieją wszędzie, a sprawozdania o masakrach, gwałtach i innych okrucieństwach, popełnianych przez Serbów, są — po części — *bardzo fachowo zorganizowaną propagandą* (podkr. moje), która niestety ukształtowała światową opinię publiczną” — to z wywiadu Milana Panicia, byłego premiera Jugosławii, kontrkandydata Miloszevicia w grudniowych wyborach prezydenckich (*Polityka* z 9.1.93 r.). Głoszeniu podobnych tez o „symetryczności” zbrodni wszystkich stron, a także o wyłącznie „samoobronnych działaniach strony serbskiej, towarzyszy propagandowe nagłaśnianie każdego wyimaginowanego, czy faktycznego przypadku chorwackiej, czy muzułmańskiej zbrodni dokonanej na Serbach. I jest to — czy była aż do tej pory, piszę ten fragment pod koniec kwietnia — taktyka bardzo skuteczna.

Serbia, jako inicjator działań wojennych na Bałkanach, ma wszakże również sojuszników jawnych i świadomych. Przede wszystkim — Rosję, która nagle odkryła w sobie... ducha prawosławia. Przez cały czas trwania akcji „czystki etnicznej” w Bośni-Hercegowinie Rosja sprzeciwiała się każdej inicjatywie, zmierzającej do zaostrzenia sankcji wobec nowej Jugosławii. Eloquentny minister spraw zagranicznych, Andriej Kozyrjew, na początku lutego kwestionował zdolności nowej administracji amerykańskiej i Zachodu do zrozumienia „skomplikowanych procesów zachodzących w byłej Jugosławii”. Proponował też mediację rosyjską w tym regionie, twierdząc, że Rosja łatwiej się dogada z walczącymi stronami. Propozycje Kozyriewa sformułowane zostały 9 lutego, dwa dni po ujawnieniu instrukcji prezydenta Clintona, skierowanej do Rady Bezpieczeństwa Narodowego, w sprawie zniesienia embarga na dostawę broni dla Bośni i patrolowania terytorium powietrznego tego kraju z prawem do zestrzelania obiektów naruszających ONZ-owskie zakazy. Instrukcja zalecała też rozpoczęcie przygotowań do ataków z powietrza na serbskie pozycje w Bośni-Hercegowinie. Oczywiście, z rosyjskiej mediacji nic nie wyszło, ale i pomysł prezydenta USA został skutecznie zablokowany. Zaś pod koniec tego samego miesiąca angielski dziennik *The Observer* informował o tajnych dostawach ogromnych ilości rosyjskiej broni dla Serbii. Kontrakt miał opiewać na sumę 360 milionów dolarów i obejmować między innymi dostawę czołgów T-55 i nowoczesnych rakiet o zasięgu 500 km, w tym rakiet przeciwlotniczych. Prezydent Jelcyn podobno nie był poinformowany

o tym kontrakcie, czego w końcu w rosyjskim bałaganie wykluczyć się nie da. Informacje te pojawiły się w przeddzień amerykańskiej akcji rzutów z powietrza kontenerów z żywnością i lekarstwami dla mieszkańców wschodniej Bośni. Tym razem humanitarnej akcji nie udało się storpedować. Ale widać wyraźnie na tym przykładzie, że rosyjska miłość do Serbii nie jest całkiem bezinteresowna. Ciekawy jest również dalszy ciąg tego „rosyjskiego wątku” w konflikcie bałkańskim. 12 kwietnia rozpoczęła się międzynarodowa akcja patrolowania terytorium powietrznego Bośni-Hercegowiny. Wraz z nią miały wejść w życie ostrzejsze sankcje wobec byłej Jugosławii. Wtedy do akcji wkroczył prezydent Jelcyn, wystosował list do prezydenta Clintona z prośbą o przesunięcie głosowania kwestii zaostrzenia sankcji o dwa tygodnie — na okres po zakończeniu ogłoszonego przez niego w Rosji na 24 kwietnia referendum. Uzasadniał swą prośbę argumentem, że sankcje wobec Serbii zostałyby źle przyjęte przez jego przeciwników w kraju. Rada Bezpieczeństwa ONZ dostosowała się do prośby Jelcyna. W następnych dniach grupa siedmiu najbardziej uprzemysłowionych państw świata ogłosiła — z inicjatywy Stanów Zjednoczonych — pomoc kredytową dla Rosji, sięgającą 43 miliardów dolarów. Referendum przyniosło rezultaty dla Jelcyna korzystne. Zaostrzone sankcje wobec nowej Jugosławii zaczęły obowiązywać 26 kwietnia. Prezydent Rosji zaś ogłosił, że jego kraj nie będzie dłużej przeciwstawiać się inicjatywom, zmierzającym do wywarcia większych nacisków na Serbię, by zmusić ją do zaakceptowania planu pokojowego dla Bośni-Hercegowiny. Z przytoczonej tu chronologii znowu morał wynika, że w polityce nie sentymenty się liczą, ale interesy i pieniądze. I nie zmienia tej oceny wcale fakt, że w dniu, kiedy Jelcyn ogłosił faktyczne wycofanie swego poparcia dla nowej Jugosławii, Izba Deputowanych Ludowych wydała rezolucję popierającą Serbię i przestrzegającą przed wywieraniem na nią dalszych nacisków. Po prostu przeciwnicy polityczni Jelcyna lokują swoje interesy gdzie indziej.

XIV. 19 kwietnia. Pięćdziesiąt lat temu grupa młodych ludzi, skazanych na zagładę, postanowiła czynnie i z bronią w ręku przeciwstawić się złu i przemocy. Nie mieli żadnych szans na zwycięstwo. Mieli 220 pistoletów i karabinów, 500 granatów, w większości zrobionych chałupniczym sposobem, butelki zapalające... przeciwko sobie mieli ogromną machinę wojenną III Rzeszy i bezsilność bądź obojętność świadków

— mieszkańców Warszawy. I całej Europy. Całego świata. Kilka dni temu spotkałem się w Łodzi z doktorem Markiem Edelmanem, jedynym żyjącym przywódcą Powstania, czy — jak sam to określa — obrony getta. Przeprowadziłem z nim wywiad dla RWE; pod koniec zadałem pytanie: „Panie Doktorze, minęło pół stulecia od tamtych wydarzeń — i świat się właściwie niewiele zmienił. Nie wiem, czy to nie będzie ryzykowna analogia, ale kiedy obserwuję w tej chwili rozwój sytuacji w Bośni, to nasuwają mi się porównania do sytuacji, w jakiej znaleźli się organizatorzy obrony getta w 1943 roku. Na pewno jest to zbyt daleko idące porównanie, ale czy Pan nie ma podobnych odczuć?”. Oto odpowiedź Marka Edelmana: „Proszę Pana, nie tylko, że to jest *identyczne*. To jest zwycięstwo Hitlera z za grobu, to co się dzieje dziś w byłej Jugosławii. Obchody 50-lecia powstania w getcie mają sens tylko wtedy, jeżeli przypomną światu, że morderstwo, zabijanie ludzi z powodu przekonań religijnych, czy narodowościowych, jest zbrodnią. I że ta zbrodnia musi być ukarana. Że kat, który to dzisiaj robi, będzie mieć świadomość, że jutro spotka go za to kara. Sens tych obchodów polega na przypomnieniu tej zasady. Nie sądzę, żeby one wpłynęły na zmianę polityki państw, które prowadzą dookoła Jugosławii te swoje przetargi dyplomatyczne i kierują się prawem międzynarodowym, że nie wolno ingerować w wewnętrzne sprawy innych państw, co jest klęską. Bo nie ingerowali w Kambodżę, gdzie zabito dwa miliony ludzi, nie ingerowali w Białą i nie ingerują tutaj. Ale są świadkami tego. Świadców milczących są tak samo winni jak mordercy. Z tego trzeba sobie zdawać sprawę. (...) Teraz jest trochę inaczej, bo środki masowego przekazu pokazują, co się dzieje w Bośni, ludzie wiedzą i jest pewien nacisk na polityków, więc zrzucają z góry pojemniki z jedzeniem. Ale z tego nic nie wynika, bo morderstwa trwają dalej i będą trwały. *Bo zasadą prawa międzynarodowego powinno być życie ludzkie*. Życie ludzkie ginie i będzie ginęło, dopóki się świat nie zmieni. Co robi Europa Zachodnia? Tworzy getto ludzi bogatych. (...) To jest polityka bardzo podobna do polityki Chamberlaina. Człowiek jest taki, mówi sobie, mnie to nie dotyczy, ja chcę mieć spokojne życie, zbuduję sobie mur dookoła bogatych. Różnica polega na tym, że Niemcy budowali dookoła biednych, a tu dookoła bogatych. Ale to jest ta sama psychologia”.

XV. W dniach, kiedy w Polsce i na całym świecie obchodzono 50-tą rocznicę powstania w getcie warszawskim,

padła Srebrenica, miasto we wschodniej Bośni, jeden z ostatnich punktów oporu w tym regionie. Przebywało tam kilkadziesiąt tysięcy osób, oprócz stałych mieszkańców również uciekinierzy z okolicznych miejscowości, zdobytych przez Serbów. By ich ratować od masowej rzezi, obserwatorzy ONZ i dowództwo oddziałów „niebieskich hełmów” podjęli mediacje z serbskimi przywódcami. Ci ostatni zgodzili się w końcu na wpuszczenie do zdobytego miasta oddziału wojskowego sił pokojowych ONZ. Warunkiem jednak było, między innymi... rozbrojenie obrońców Srebrenicy. Muzułmanie nie mieli wyjścia. Spróbujmy jednak wejść w położenie ludzi, którzy przez rok bronią się z determinacją przed znacznie lepiej uzbrojonym przeciwnikiem, by w konsekwencji oddać broń w ręce... potencjalnych sojuszników i patrzeć potem, jak do miasta wchodzi uzbrojone oddziały wroga. Rozpacz. Jak pisać o rozpaczach? I upokorzeniu, które jest konsekwencją bezradności? Oto cena, jaką zapłacili za zgodę Serbów na wywiezienie ze zdobytego miasta rannych, kobiet i dzieci. Oglądam przeładowane do granic możliwości ciężarówki, wywożące tych biednych, opuszczonych przez świat ludzi. Świat, który teraz ratuje ich od pewnej śmierci. Ale jaka przed nimi przyszłość? I co się stanie z mężczyznami, którzy pozostali w serbskich rękach? Czy ktoś o tym pomyślał? No a poza tym... patrząc na rzecz zimno i bez emocji. Z serbskiego punktu widzenia. Czy akcja międzynarodowych organizacji charytatywnych, masowego wywożenia muzułmanów z ich ojczyzny, nie wpisuje się w ideologię „czystki etnicznej”? Gdyby tych ludzi pozostawiono na miejscu, to Serbowie „musieliby” przecieć „coś” z nimi zrobić! Zamknąć do obozów koncentracyjnych, zastrzelić na miejscu... Nie ma właściwie powodu, dla którego Serbowie mieli się z taką akcją nie zgadzać. Patrząc na rzecz z tego punktu widzenia łatwiej też pojąć, dlaczego władze muzułmańskie w niektórych miejscowościach, wcześniej, nie chciały zezwalać na wywożenie swoich żon, matek i dzieci. W końcu zgadzali się... bo alternatywą przecieć było zbiorowe samobójstwo. Oto tragedia pisana przez życie na naszych oczach. Nie ujmują jej suche doniesienia dziennikarskie. Nie chwyta kamera filmowa. To jednak co chwyta jest i tak wystarczająco wymowne.

XVI. Nie kieruje mym piórem niechęć do narodu serbskiego. Wielu jego przedstawicieli na pewno nie zgadza się z głosicielami i realizatorami postulatów „czystki etnicznej”. Tak jak wielu Niemców nie zgadzało się z hitleryzmem i

wielu Rosjan ze stalinizmem. Jest jednak coś bardzo niepokojącego w fakcie, że Miloszević zdobył sobie mandat prezydencki w demokratycznych wyborach i że — w dobie otwartości informacji — nie słyhać wielu antywojennych głosów dochodzących z Belgradu. Wygląda na to, że przynajmniej większość liczących się środowisk politycznych i intelektualnych nowej Jugosławii jeżeli nie czynnie, to przynajmniej biernie, Miloszevicia popiera. Serbscy „narodowi komuniści” całkowicie opanowali oficjalne struktury polityczne, a także media i prasę oraz instytucje kulturalne. Środowiska nastawione opozycyjnie — młoda inteligencja, studenci — w tej trudnej sytuacji nie potrafili się odnaleźć. Jak pisze Svetlana Slapszak: „Dysydenci nie potrafili przyswoić sobie odmiennego sposobu życia, odmiennych wartości — modelu alternatywnego, który by ich całkowicie uniezależnił od autorytarnych instytucji oraz od polityki prowadzonej przez ludzi, którzy nigdy nie wyrzekli się komunistycznej władzy!”. I w innym miejscu: „Dysydenci są bezpośrednio odpowiedzialni za to, że nie stworzyli precyzyjnego i ostrego języka jawnej krytyki, który nie przepuściłby żadnej okazji, by zaatakować nacjonalistyczny bełkot”. Dopóki w samej Serbii nie pojawi się silny ruch antywojenny, skierowany przeciwko nazistowskim bredniom i proponujący demokratyczny i wolnościowy model życia — na Bałkanach nic się nie zmieni. Ale to jest zadanie dla Serbów i dla Chorwatów również. Bo i tam nacjonalizm święci tryumfy.

Przysłuchując się informacjom o serbskich podbojach kolejnych części Bośni-Hercegowiny, przeoczamy często wiadomości o chorwackich akcjach zmierzających do podporządkowania sobie przygranicznych terenów. Do tej pory opanowali oni około 20 % terytorium Bośni. Bezceremonialnie wykorzystują sytuację. Ot, choćby 18 kwietnia, w czasie, kiedy Serbowie kończyli atak na Srebrenicę, Chorwaci uderzyli na miasto Jablanica, położone kilkadziesiąt kilometrów na południe od Sarajewa.

Biedna Bośnia, przypomina się sytuacja Polski z września 1939 roku. Hitler od zachodu, Stalin od wschodu. Generalissimus osobiście raczył wówczas zaznaczyć linię demarkacyjną na Bugu. Wtedy między niemieckim i sowieckim wodzem panowała jeszcze niezakłócona niczym przyjaźń. Tutaj sytuacja jest odmienna o tyle, że rozdzierający ziemię Bośni-Hercegowiny najeżdźcy również między sobą są skłóceni. A

nową mapę tego kraju narysowali panowie Vance i Owen. Sankcjonuje ona lwią część serbskich i chorwackich zdobyczy, tyle że Serbom przyznaje mniej, niż faktycznie już zdobyli. „Czyszcza” więc dalej.

XVII. Wygląda na to — na przełomie kwietnia i maja, kiedy dopisuję ostatnie stronicie tego tekstu — że świat wreszcie przestanie ograniczać swe działania do wyciągania niedobitków z bałkańskiego piekła. Świadczą o tym ostre wypowiedzi prezydenta Clintona, a także wycofanie przez Jelcyna poparcia Rosji dla nowej Jugosławii. Obiektywny i chłodny sposób podawania informacji o wydarzeniach w Bośni, który obowiązywał w mediach do tej pory, zostaje zastąpiony językiem bardziej emocjonalnym (i, dodajmy, adekwatnym do sytuacji). W amerykańskiej stacji telewizyjnej CNN w wypowiedziach komentatorów i ekspertów pojawiło się ostatnio kilkakrotnie określenie „ludobójstwo” (*genocide*). Jednoznacznie wskazuje się też, kto jest ofiarą, a kto katem. Jeżeli jednak nawet dojdzie do jakiejś formy interwencji zbrojnej w Bośni, to powstaje pytanie — dlaczego dopiero teraz, kiedy cały piękny kraj zamieniony został w wielkie gruzowisko? Przecież o istnieniu obozów koncentracyjnych i o nazistowskiej doktrynie „czystki etnicznej” świat wiedział od dawna, przynajmniej od lata ubiegłego roku. Nie zdobyto się nawet na wysiłek wyswobodzenia obozów, o których istnieniu było wiadomo. Obozów śmierci, do których Serbowie nie dopuścili obserwatorów międzynarodowych i specjalnego wysłannika ONZ, Tadeusza Mazowieckiego. Przez długie miesiące, mimo że Rada Bezpieczeństwa ONZ zakazała lotów nad Bośnią-Hercegowiną, przyglądano się, jak strona serbska ten zakaz gwałci, bombardując miasta i zaopatrując w broń oddziały lądowe. Ogłoszony pod koniec kwietnia przez prezydenta USA plan zniesienia embarga na broń dla bośniackich muzułmanów oraz ataków z powietrza na strategiczne pozycje serbskie nawiązuje do jego koncepcji z początku lutego. Od tamtego czasu Serbowie zdobyli kilka większych miejscowości we wschodniej Bośni. Zaś w ostatnim tygodniu kwietnia, po wejściu w życie zaostrzonych sankcji wobec nowej Jugosławii — ich odpowiedzią była odmowa podpisania planu pokojowego i kolejna wielka ofensywa.

XVIII. I jeszcze garść pytań, które nasuwają się w związku z poruszonymi tu tematami. Do końca kwietnia w Bośni-Hercegowinie zginęło 39 żołnierzy ONZ-owskich, wię-

1. Patrz *Kultura* nr 6/1993, pierwsza część artykułu K.W. Tatarowskiego.

cej, niż w czasie wojny z Irakiem w 1991 roku. Czy nie jest czymś absurdalnym posyłanie między walczące strony wojska (świetnie uzbrojonego), które nie ma prawa używania broni?

Czy nie należałoby — nawiązując do przytoczonych wcześniej opinii Marka Edelmana — uczynić z reguły poszanowania podstawowych praw człowieka podstawy prawa międzynarodowego? A wraz z tym zrewidować zasadę o nieinterwencji w wewnętrzne sprawy suwerennego państwa? Kto miałby to robić? Międzynarodowe wojska ONZ, ale wyposażone w prawo do czynnego wdrażania demokratycznego ładu. Albo — takie rozwiązanie możliwe było w Bośni — oddziały Wspólnoty Europejskiej, od Portugalii po Rosję, albo przynajmniej od Portugalii po Niemcy. Muszę przyznać, że rozumieć amerykańskich krytyków decyzji prezydenta Clintona, by zwiększyć zaangażowanie USA w byłej Jugosławii. To zadanie powinni wykonać Europejczycy, oczywiście przy współpracy innych demokratycznych państw. Wydarzenia w Bośni raz jeszcze potwierdziły słowa ministra spraw zagranicznych Belgii, Marka Eyckensa, po wahaniach i sporach w łonie Wspólnoty Europejskiej w kwestii przyłączenia do koalicji antyirackiej w 1991 roku. Stwierdził on wówczas, że Europa zasługuje na miano „kolosa ekonomicznego, Pigmeja politycznego i larwy militarnej”. Sprawdziło się.

XIX. Jak to się właściwie dzieje, że w sercu sytego i pogodnego mimo wszystko organizmu europejskiego sadowi się nagle potwór, który znieprawia ludzkie umysły i wywołuje powszechną grozę? Jaka jest natura owego potwora? Złożona zapewne i niemożliwa do jednoznacznego zdefiniowania. Najtętsze umysły w dziejach ludzkości mierzyły się z pojęciem zła i każdy widział jego naturę trochę inaczej. Filozofowie głosili śmierć Boga i zastanawiali się, „czy diabeł może być zbawiony?”. Poeci prowadzili z nim flirty i targi, umiejscawiając go to w historii, to w ludzkim sercu. Księża przestrzegali przed nim i stawiali krzyże, zagradzając mu drogę. A on znajdował boczne ścieżki. Albo wkradał się w serca tych, którzy nieśli krzyże i w ich imię mordowali innowierców. Jakże bowiem pogodzić krzyż z duszą Inkwizytora?

Diabeł, o którym piszę w tym tekście, diabeł nacjonalizmu, należy do najgroźniejszych i najbardziej rozpowszechnionych diablów. Chcę zakończyć zapisem z mojego dziennika z początku tego roku. Prowadząc wtedy jeden z radiowych programów, wysłuchałem relacji o obozie pracy przymusowej w Jaworznie. Istniał on do 1954 roku i pano-

wał w nim rygor bliźniaczo podobny do łagrów sowieckich. W audycji tej, poprzez dokumenty w niej przytoczone, poruszono też bardziej uniwersalną sprawę, wiążącą się z ludzką naturą. Z okrucieństwem. I to nie „klawiszów”, którzy z „nadania władzy” niejako musieli przestrzegać drakońskich regulaminów. Z okrucieństwem ludzi z boku, z zewnątrz. Oto scena pędzenia do obozu osób pochodzenia niemieckiego. Jest 45 rok, tuż po wojnie. Scenę tę opisuje kobieta w zaawansowanej ciąży. Towarzyszy jej 4-letnia córka. Kobieta mdleje, dziecko błaga o łyk wody. Chłopi z okolicznych wsi odganiają ich od studni, jak niegdyś odganiało się trędowatych. W końcu jeden z żołnierzy, czy milicjantów, którzy prowadzą ich do obozu, wbrew protestom miejscowej ludności nabiera do naczynia wody i pozwala się napić kobiecie, jej dziecku i innym osobom z konwoju. Małeńka scenka — ale jakże wymowna. Potępiamy dziś Serbów i Chorwatów w byłej Jugosławii. A przecież kierują nimi te same, najprostsze i najniższe, „plemienno-wspólnotowe” odruchy. „Nie nasz” — to wróg, niech zdycha. W opisywanej scenie grzechem tych ludzi, polskich wieśniaków, była nieczułość na cierpienia *drugiego człowieka* (choćby i Niemca). Serbowie posunęli się jedynie pół kroku dalej, uznając, że wszystkich „nie-swoich”, to znaczy muzułmanów, trzeba wymordować. Ale podstawa myślowa jest tu taka sama: postawienie plemiennej wspólnoty nad naturalne czy boskie prawa, mówiące o konstytucji człowieka jako istoty odrębnej od innych ssaków, od płazów, gadów, ryb, ptaków... i czego tam jeszcze. Nie *człowiek* zatem w myśleniu nacjonalisty jest ważny, ale to, co ludzi *różni*: rasa, religia, język, miejsce urodzenia i wychowania, etc. Ten diabeł, diabeł nacjonalizmu, i inne szatańskie pokusy tkwią w każdym z nas. Jak pisał pewien mało znany poeta:

*W lesie natury błędząc z rozumu latarką
I z duszą na ramieniu w świątyni popiołów
Gasisz stosy gdzie kości zwęglonych aniołów*

*Szloch niesie się jak potop nad Przymierza Arką
I z jego studni czerpiąc ciągle w miłość zbroisz
Zło którego krawędzią chleb codzienny kroisz*

Monachium, 2.V.1993

Konrad W. TATAROWSKI

Pisarze niedocenieni — pisarze przecenieni

ANKIETA „KULTURY”

W numerze lipiec-sierpień 1992 *Kultury* opublikowane zostały w opracowaniu Włodzimierza Boleckiego odpowiedzi ponad dwudziestu pisarzy i krytyków w ramach ankiety poświęconej pisarzom współcześnie przecenianym lub niedocenianym. Ponieważ ankieta rozesłana została prawie wyłącznie pisarzom przebywającym w Polsce, redaktor Jerzy Giedroyc zwrócił się do mnie z sugestią przeprowadzenia podobnej ankiety wśród pisarzy i krytyków mieszkających poza Krajem. Biorąc pod uwagę zarówno charakter odpowiedzi jak i zainteresowanie, jakie ankieta wzbudziła w Polsce, propozycję przyjąłem i zwróciłem się z prośbą o wzięcie udziału w ankiecie uzupełniającej do trzydziestu paru pisarzy i krytyków z dawnej i nowszej emigracji. Z tej liczby trzynastu osób odpowiedziało na ankietę, trzy nadesłały uzasadnienia, dlaczego w ankiecie udziału nie wezmą, a cztery wyjaśnienia listowne (Adam Zagajewski, Józef Bujnowski, Anna Frajlich-Zajac i Waław Iwaniuk). Niektóre odpowiedzi przekroczyły znacznie sugerowaną objętość, ponieważ jednak kilka osób przysłało odpowiedzi krótsze niż sugerowany rozmiar, zamieszczam wszystkie odpowiedzi *in extenso*. Zamieszczam także odpowiedzi uzasadniające odmowę wzięcia udziału w ankiecie ze względu na to, że stanowią ciekawy komentarz do ankiety krajowej oraz wnoszą istotne elementy do tematu.

Pytanie, postawione przez Włodzimierza Boleckiego brzmiało:

Które z dzieł współczesnych literatury polskiej lub którzy pisarze są Pani/Pana zdaniem niedocenieni — i dlaczego, a którzy przecenieni — i z jakiego powodu?

Po dłuższej refleksji zdecydowałem się utrzymać pytanie w powyższym sformułowaniu dla celów porównawczych, mimo że narzucało ono zbyt może uproszczony schemat odpowiedzi. W liście skierowanym do ankietowanych pisałem: „Wydaje mi się, że istotniejsza od prostego burzenia hierarchii lub nadawania rang literackich jest potrzeba przewartościowania współczesnej literatury polskiej z perspektywy postkomunistycznej, skoro rangi ustalane po obu stronach granicy podziału miały niejednokrotnie charakter doraźnie polityczny lub w znacznej mierze ideologiczny”. Wyraziłem także nadzieję, że w ankiecie skierowanej do pisarzy i krytyków przebywających poza Polską ujawni się być może „inna perspektywa na współczesną literaturę polską, niż ta, jaka cechuje pisarzy i krytyków” w Kraju. Na sugestii redaktora Giedroycia do kategorii „pisarze niedocenieni — pisarze przecenieni” dodałem hasło „pisarze zapomniani”. Na koniec sugerowałem, by termin „literatura współczesna” rozumieć jako obejmujący „w najlepszym razie” utwory napisane po 1918 roku.

Mój komentarz do ankiety zamieszczam na końcu.

Bogdan CZAYKOWSKI

TADEUSZ CHABROWSKI (Brooklyn, Stany Zjednoczone)

Odnoszę wrażenie, że we współczesnej literaturze polskiej przeważał nurt poezji, któremu patronuje Miłosz, a do którego zaliczyć wypada twórczość Herberta i z pewnymi zastrzeżeniami Szymborskiej. Najogólniej można by powiedzieć, że jest to poezja klasycyzująca, niechętna eksperymentom językowym, raczej konserwatywna niż rewolucyjna — oczywiście w poetyckim sensie tych określeń.

Odczuwam natomiast brak we współczesnej poezji nurtu bliższego postawie awangardowej, w sposób najdoskonalszy reprezentowanej, moim zdaniem, przez Przybosa. Obecnie najbardziej interesującym zjawiskiem tego nurtu jest twórczość Tymoteusza Karpowicza, z zupełnie niezrozumiałych dla mnie przyczyn ukryta w głębokim cieniu. Ten niepokojący brak równowagi pogłębia fakt, że wielu poetów którzy dali się poznać w pierwszej fazie jako poeci lingwistyczni, ostatecznie przeszło do obozu przeciwnika (*casus* Barańczak i Zagajewski).

Wydaje mi się także, że znaczna większość poetów młodszej generacji czerpie wzorce z dokonań Miłosza i jego świty, wbrew naturze rzeczy, odbierając samym sobie możliwość młodszeńczego buntu i błogosławionego językowego bezprawia.

Zresztą sam przyłapałem się na tym, że mój przybownik poetycki w większości wypełniony jest przez utwory miłoszowe i miłoszopodobne. Wbrew mojej woli.

Tymczasem niedostatek językowych poszukiwań, awangardowych niemożliwości oraz nadmierne zaufanie do wartości wypracowanych przez przeszłość zagraża zdrowiu poezji i powstrzymuje jej rozwój. Tylko bocian prezentuje się dobrze na jednej nodze.

Chciałbym tu być dobrze zrozumianym. Nie neguję wartości i osiągnięć poetów „klasycyzujących”. Twórczość ta na pewno pozostawi trwale ślady w polskiej literaturze. Niemniej dobrze by było, aby równie trwale ślady pozostawili poeci, dla których język jest ziemią dziewiczą a nie przydomowym ogródkiem.

ADAM CZERNIAWSKI

(The British Centre for Literary Translation, Norwich)

W odpowiedzi na organizowaną przez Pana Profesora ankietę dla paryskiej *Kultury* komunikuję:

Pisarz przeceniony:

Adam Czerniawski.

Pisarze niedocenieni:

Witold Gombrowicz, Konstanty Jeleński, Czesław Miłosz.

MARIA DANILEWICZ ZIELIŃSKA (Portugalia)

Rok 1918, uznawany za ważną cezurę, jest nią tylko w sensie chronologicznym. W rzeczywistości, którą dobrze ze względu na mój wiek pamiętam, koniec wojny na Zachodzie oznaczał wprawdzie formalnie odzyskanie Niepodległości, działania wojenne trwały jednak nadal, a nawet się przybliżyły i urealniali. W literaturze na co dzień panowali Żeromski, Kasprówic (jako autor *Księgi ubogich*) i Leopold Staff. Cezurą była raczej seria pogrzebów znakomitych pisarzy: przeniesienie szczątków Sienkiewicza ze Szwajcarii, uważane za symboliczny koniec epoki pozytywizmu, choć wcześniej już ją oplakano na pogrzebach Prusa, Orzeszkowej i Konopnickiej. Odeszli na przestrzeni kilku

lat ale panowanie ich się nie skończyło a nowe wydania zapełniły witryny księgarń. Skamandryci wystąpili wprawdzie w r. 1920 — pamiętamy jednak że pod patronatem Żeromskiego — ale początkowe ich sukcesy przyjmowano z uśmiechem ze względu na ich aspekt kawiarniany, kabaretowy i w jedno się zlewały z trwającą nadal popularnością wierszy Józefa Mączki, Edwarda Słoińskiego i piosenek czasu wojny, a tu „paki białych róż” sąsiadowały z rosyjskimi „Chryzantemami” i „Madame Loulou”. *Wiosna i wino* Wierzyńskiego dobrze się mieści w tym schemacie — cezura się tu nie rysuje.

Pisarze przedwojenni, tj. sprzed 1914r., nie zeszli jednak jeszcze z piedestałów a w odrodzonej ojczyźnie poczuwali się do obowiązku czynnej służby. Najwyraźniej występuje to na przykładzie Żeromskiego, który w hierarchii mojej i moich rodziców był nr. 1 na scenie literackiej a świadectwem tego były z jednej strony sukcesy *Wiatru od morza* i *Przeziębienie*, a z drugiej spór polityczny wokół *Przedwiośnia*. Pamiętam, że dla większości inteligentów Nobel Reymonta uważany był za pomyłkę podyktowaną przez klikę z MSZu chęcią pokazania Polski w oprawie malowniczego folkloru. Nobel należał się Żeromskiemu. Do dziś tak myślę.

Osobistą cezurą jest dla mnie pogrzeb autora *Ludzi bezdomnych*, wielka narodowa żałoba (jak w 1935r. po zgonie Marszałka), orszak kroczący do Zamku wzdłuż osłoniętych krepą latarni, w rytm kroków młodych poetów Skamandra, przejmujących, jak się nam, studentom UW wydawało, prymat sceny literackiej.

Potem przyszły rozczarowania, jakże podobne do dzisiejszych. Miało być wspanialej, inaczej. A tu epigoństwo, szarzyzna. Nową cezurą stał się nie debiut jednostki ale przejście przewodnictwa przez *Wiadomości Literackie* pod redakcją M. Grydzewskiego, zbiorowe przedstawicielstwo literatury zainaugurowane wywiadem z Żeromskim. Miało większe znaczenie od powstałej później Polskiej Akademii Literatury, której domagał się Żeromski.

Wytyczne ankiety sugerują jednak wysuwanie nazwisk pisarzy. Czy nie lepiej by było potraktować podobnie czasopisma personifikując je na rzecz ankiety? A więc właśnie *Wiadomości* warszawskie, paryskie, angielskie? I czy nie jest raczej instytucją, niż pisarzem dla własnej chwały Tadeusz Boy-Żeleński? A za naszych dni czy nie jest także instytucją nawet Miłosz? Nie mówiąc o *Kulturze*?

Trzeba było kilkunastu lat niepodległości, by pojawiły się pierwsze ważniejsze bestsellery 20-lecia. Fakt że na pierwszy plan wysunęły się kobiety byłby dziś większym zaskoczeniem niż wtedy. *Noce i dnie* Dąbrowskiej i *Dom kobiet* Nałkowskiej były

ostatnimi chyba tytułami przyjętymi przez ogół jednogłośnie. Próbę lat wytrzymała *Cudzoziemka* Kuncewiczowej, *Cale życie* Sabiny Boguszewskiej, *Dziewczęta z Nowolipek* Gojawczyńskiej, wszystko to tytuły z miejsca docenione i dotąd wznawiane. Skamandryci zawiedli oczekiwania i albo pisali i co roku wydawali nowe tomiki, albo przerzucali się na prozę. Tak postąpili: Iwaszkiewicz, Wittlin a także Słonimski jako autor kronik w *Wiadomościach*. Także docenieni.

Z dystansu lat dziwi jak bardzo przeceniony był Kaden-Bandrowski i Andrzej Strug, a raczej niedoceniony Parandowski. Do pisarzy przecenionych należy Ferdynand Goetel, właściwie autor jednej książki — *Z dnia na dzień*. Nie doceniono dwu wybitnych pisarzy: Wacława Berenta i Bolesława Leśmiana. Irzykowski tępiony był umiejętnie przez Boya, choć sam się pod ciosy nadstawiał. Sukcesy Zofii Kossak mieściły się w ramach tradycyjnej powieści historycznej. Jeśli Berentowi przypadły sukcesy oficjalne, Kossak znalazła się na obrzeżach „wielkiej literatury”, poniżej *Czerwonych tarcz* Iwaszkiewicza.

Sukcesy awangardzystów, *Okolicy poetów*, *Czartaka*, *Żagłów* święcono li tylko w gronie wtajemniczonych. Tu mieszczą się nazwiska Peipera, Jastruna, nawet Czechowicza a także kawiarniane sukcesy *Ferdydurke* Gombrowicza i *Wspólnego pokoju* Uniłowskiego. „Czerwony” Łobodowski epatował snobów. W świadomości ogółu wysoką lokatę mieli Wańkowicz, Cat-Mackiewicz i Zygmunt Nowakowski z krakowskiego *I.K.C.*, niewątpliwie przeceniani.

Zauważmy: o reputacji zadziwiająco wielu pisarzy decydowały materiały prasowe wyprzedzające książki, w których je pośpiesznie przedrukowywano. Gronu najbardziej niedocenionych przewodzi skandalicznie niedostrzegany Leśmian. Gdyby stworzyć kategorię odkrywanych, na pierwszym miejscu byłby Norwid; jednotomowy wybór jego utworów spotkał się z przyjęciem, które ratuje honor Dwudziestolecia.

Po zamknięciu Lechonia prym wiodł Tuwim, a Wierzyński zszedł do roli królewskich angielskich laureatów, od których oczekuje się utworów okolicznościowych — za takie uważano *Laur olimpijski*, wiersze sławiące Marszałka a nawet Mickiewicza, jako że pisane były w stulecie *Pana Tadeusza* i przyпыwu kultu Mickiewicza. Do celów obecnej ankiety Wierzyńskiego z 20-lecia uważać należy za przecenionego a niedocenionego po r. 1945, gdy talent jego objawił się w pełni po reorganizacji warsztatu poetyckiego.

Po naszej stronie żelaznej kurtyny nie uległa osłabieniu, a raczej wzmocniła się po r. 1942 pozycja Dąbrowskiej i Zofii Kossak, a nawet pisarza tak elitarnego jak Wacław Berent. O tym, jak silny był wstręt do socrealizmu, a równocześnie jak

bardzo doskwierał głód książki świadczy coś, co jest bez precedensu w historii badań nad czytelnictwem: odżyli bowiem i przeżywali wielkie sukcesy Kraszewski, Prus, Sienkiewicz, Konopnicka i wielu pomniejszych a zapomnianych, że przywołam odkrytego przez Tuwima Sygurda Wiśniowskiego. „Czy jest jakaś nowa powieść Kraszewskiego?” — pytali czytelnicy Biblioteki Polskiej w Londynie, tak jakby chodziło o nowy tytuł Gołubiewa. O tym, jak względny jest aplauz współczesnych świadczy i zjawisko odwrotne: doszczętnie dziś zapomniani i nie wznawiani ani tu ani tam Teodor Trippin, niebezpieczny rywal Kraszewskiego. Wpływu pisarzy pozytywistów dopatrzyć się było można w żywej mowie mieszkańców hosteli w W. Brytanii.

Recepcja wydanych bezpośrednio po r. 1945 powieści Gołubiewa, Malewskiej, Dobraczyńskiego (*Listy Nikodemu*), wczesnego Brandysa była na emigracji równie entuzjastyczna jak w Kraju. Czy byli przecenieni? — na pewno nie! Znamiennym wyjątkiem jest *Pamiętka z Celulozy* Newerlego, przez jednych przeceniana, przez innych mieszana z błotem. Przeceniony był niewątpliwie *Zegar Słoneczny* Parandowskiego — pierwsza książka z podtekstem, mówiąca o bezimiennym mieście, w którym chodzi się po Walach Hetmańskich. Ale czy można przecenić Parandowskiego?

Uwaga moja skupia się na pisarzach krajowych, bo swoich, emigracyjnych, ustawiłam według przypisywanych im przeze mnie zasług w *Szkicach o literaturze emigracyjnej*. Dziś, gdy literatura emigracyjna znana jest w Kraju z licznych przedruków i opracowań, cieszy mnie, że poszłam właściwą drogą szeregując pisarzy według zasług a nie alfabetu czy kraju osiedlenia. Niedocenieni są jednak u mnie nadal Zygmunt Haupt, Czesław Straszewicz, Marian Pankowski, Janina Kowalska (pseud. Hanny Świdorskiej), Stefania Kossowska i kilku innych.

Zarówno w Kraju jak i na Emigracji przeceniany jest Kazimierz Brandys, a niedoceniany brat jego, Marian. W Kraju przeceniany jest nadal Wiesław Myśliwski, pseudoeplik z *Kamienia na kamieniu*. Niedoceniany w Kraju a nieznany na Emigracji jest Wilhelm Mach; przeceniany lub bagatelizowany jest Edward Stachura, który na Emigracji nie chwycił. To samo Białoszewski. Na Emigracji Bruno Schulz jest uznaną, ale nie dość znaną wielkością — jest więc niedoceniony. W ankiecie Boleckiego nie padają nazwiska autorów wielkich pamiętników z okresu okupacji: Stanisława Pigionia i Kazimierza Wyki — czyżby byli niedocenieni? Na pewno są nimi dwaj świetni pamiętnikarze: Adam Pragier i Wacław Lednicki — i tu i tam.

Problemy specjalne to Stanisław Baliński i Jarosław Iwaszkiewicz, obaj związani ze Skamandrem. Baliński, drugoplanowy

przed r. 1939, rozkwitł w czasie okupacji i ceniony był ponad miarę talentu, ale czy przeceniony na użytek ankiety? W roku zgonu dogoniła go druga fala uznania, nowe wydania w Kraju i na Emigracji, przecena na korzyść — i znów cisza. Drugi problem oddzielny — to Iwaszkiewicz. Bo to naraz i świetna proza i kształt opowiadań, rozwodnione wspomnienia i powieściółko *Sława i chwała*, śliczne *Lato w Nohant* — pewnik teatralny, wiersze różnej jakości — po *diminuendo* staffowskie i świetne wiersze ostatnie. Jak go określić? Mieszanina przeceniania z nijakością i wielostowiem? A przy tym „Międzynarodowa Nagroda Leninowska...” — i piękna karta bratniej pomocy pisarzom w czasie okupacji. W sumie: niedoceniony na Emigracji, w Kraju schodzący na drugi plan. Kto wie, czy się go na nowo nie odkryje?

Jeszcze inny problem specjalny: pisarze podziemia. Na Emigracji niedocenieni — w Kraju docenieni z wielkim opóźnieniem. Po długiej przerwie teraz się na nowo wskrzesza Baczyńskiego, Gajcego.

Jeszcze inny problem. „Odkrycia” — niemal specjalność literatury współczesnej, produkt nienormalnych stosunków wydawniczych i cenzury. Z „klasyków” dawnych i nowych: listy Krasińskiego, Norwid, dalej: Witkacy, Schulz, Aleksander Wat. Czeką na odkrycie znaczna część wierszy Mieczysława Jastruna i jakże ważnych wierszy Przybosia. Zapomniany Jerzy Liebert, w półmroku komplementów drzemie Pawlikowska i Iłakiewiczówna. Na Emigracji nie odkryto dotąd Wisławy Szymborskiej, choć nagrodziła ją Fundacja Kościelskich w Genewie. Tu jednak dochodzą do głosu moje własne upodobania. Dobrze, że Nicieja wyręczył mnie odkrywając Irenę Bączkowską.

W czasie przeszłym mówić można o niedocenieniu „młodych pisarzy londyńskich”, dziś delektujących się genialnością wnucząt (jak *nota bene* Tadeusz Nowakowski — także niedoceniony). Grupa *Kontynenty* to jednak *work in progress*, a nie zamknięty rozdział. Domagają się jednak już dziś zróżnicowania — niedoceniony jest i, niestety, ośmieszony przez sławetną Alicję Lisiecką „Książę poetów” Adam Czerniawski, a bardzo warto śledzić jego karierę prozatorską i pamiętnikarską (w języku angielskim). Bogdan Czaykowski przeżywa emocje drugiego debiutu, publikując po długiej przerwie tom znakomitych wierszy. Kto większy? — Czerniawski czy Czaykowski? — powtarzam postawione gdzie indziej pytanie. Bolesław Taborski — to „klasyk” i romantyk w jednej osobie, doskonały w wierszach na tematy muzyczne (tu rywalizuje z Czerniawskim). Wreszcie: Jan Darowski — *boîte à surprise* na razie, jak i cała grupa niedocenionych. A przecież nasuwają się wyraźne analogie z filomatami, żagarystami czy skamandrytami.

I jeszcze jeden problem: pisarze, którzy zaznali smaku uznania i zasłużonej popularności, ale rozchwytywani przez prasę i radio, nie mający czasu i możliwości doszlifowania i wydania swoich tekstów — Tymon Terlecki, Bronisław Przyłuski, Kazimierz Sowiński, Tadeusz Nowakowski. Na pewno niedocenieni, a jeśli nawet dziś wydawani, to dzieje się to z kilkudziesięcioletnim opóźnieniem, a więc jakby podwójnie niedocenieni.

Pytania ankiety mówią o przecenieniu i niedocenieniu. Gdzie w takim razie umieścić właściwie ocenionych, niewątpliwych, nie ulegających potrzebie potwierdzenia uznania — a więc Gombrowicza, Miłosza, Herlinga-Grudzińskiego, Zbigniewa Herberta, Jerzego Stempowskiego, Stanisława Vincenza, Andrzeja Bobkowskiego? Nic to, że mówi się o *éclipse* Gombrowicza po śmierci Konstantego Jeleńskiego albo kaprysi na wytrwale niezyczliwy stosunek Miłosza do Emigracji, choć Pan Bóg powołał już do nieba, piekła lub czyśćca prekursorów lustracji, dawnych jego nieprzyjaciół.

Drogę donikąd powitano jako objawienie wielkiego talentu. Sąd ten podtrzymuję. Odbiór dalszych powieści Józefa Mackiewicza osłabia widoczne niedopracowanie tekstów, oddawanie do druku nim wysechł atrament i otoczka nieprzemyślanych oskarżeń. Jak w recepcji *Przedwiośnia*. Raczej głośny, kontrowersyjny, niż przeceniony a dla niektórych — niedoceniony.

Czy Odojewski jest kontynuatorem romantycznej szkoły ukraińskiej, jak chce Maria Janion? Czy jest najlepszym z czynnych prozaików o poważnym i ciekawie tematycznie ząbującym się dorobku? Czy stworzył nową odmianę melodii prozy polskiej i gra na tej polszczyźnie jak na harmoniki kręgach? Czy już teraz można go zestawiać z Piotrem Szewcem, autorem *Zagłady* lub Krzysztofem Myszkowskim, autorem *Pasji według św. Jana*, dopiero pojawiających się na scenie? Czy schyłek stulecia przyniesie debiuty tak obiecujące jak Huellego, młodych krakowskich poetów z *brulionu*, *Arki* — i, jak im tam, młodym z Rzeszowa, Bydgoszczy, Piekar Śląskich, Opola, z publikowanych bohaterскими wysiłkami *Miniatur*, serii bez dalszego ciągu, kaset i listów? Dziś widzę tam liczne przykłady niedocenionych i kieruję na nich uwagę. Inny potencjalny rezerwuár niedocenionych to Kanada (Śmieja) a przede wszystkim senior poetów emigracyjnych Wacław Iwaniuk, który na wzór Staffa, Iwaszkiewicza, Wata pisze w jesieni życia swoje najlepsze wiersze. Czy doceniony jest trud obojga Tomaszewskich z Toronto? Albo Marka Baterowicza z Australii? Czy w niepokoju naszych czasów dobrze ogarniamy całość? Myślę, że oceny nasze uznać należy za cząstkowe i tymczasowe. Przyszłość inaczej to zobaczy.

JAN DAROWSKI (Londyn, Anglia)

To nie żadna ankieta, to czysta prowokacja, na którą nie dam się nabrać. Kto jest przeceniany? Kto niedoceniany? Może bym na to poleciał, gdybym miał jakieś osobiste porachunki do załatwienia (a załatwiali je niektórzy krajowcy w uprzedniej ankiecie), albo gdybym nie był zapalonym kibicem wyścigów samochodowych, sportu, w którym jest niemal tyle primadonn, co w świecie literackim. Alain Prost, czterdziestoczekrotny zwycięzca Grand Prix i trzykrotny mistrz świata, był zmuszony uciec z ekipy ferrari (teraz własność Fiata), bo jego życie stało się w niej niemożliwe. „Jeśli pochwalisz tam kogo — wyznał dziennikarzom — to dziesięciu innych zaraz przedadresuje to do siebie jako złośliwą, osobistą krytykę. Nabywając jednego przyjaciela, nabywasz też pięciu jego wrogów”.

Nie inaczej jest w naszej polskiej literackiej ekipie, w której obecnie mamy na noże i brzytwy wszystkich z wszystkimi o kierownicę do wozu bez kół i silnika, więc po co mnie to — w moim wieku? Fabryka, której dałem za to kilka z moich książek, płaci mi jaką taką emeryturę i dlatego nie potrzebuję teraz łowić piórem za korzyścią w niekorzyści innych. Ankieta zaś chce, żebym nie tylko wsadził bliźniemu nóż w brzuch albo w plecy, ale potem jeszcze rozwinął mój „aparatus krytyczny” i dokonał sekcji zwłok na ofierze. Nie, to nie dla mnie. Wszyscy mają prawo do naturalnego zgonu. Wszyscy do jakiegoś biesiadnego miejsca w papierowym panteonie — nawet oczywiste trupy. Niewiele one w końcu zjedzą.

Lecz gdyby tak zastąpić „kto?” pytaniem „co?” w ankiecie, to miałbym kilka uwag do zrobienia. Zacząłbym chyba od tego, że beletrystyczna proza polska — jeśli nie ma epickiego lub jakiegoś reportersko dreszczowego tematu i nadrabia ten brak „pięknym pisaniem” — jest śmiertelnie nudna, np. w porównaniu z angielską. Głównie chyba dlatego, że tak dużo materii językowej w polskich zdaniach idzie na morfemy czysto gramatyczne, prawie nic nam nie mówiące o prawdziwym, pozaleksykalnym świecie. Więc też mamy dużo długiego, „uroczystego” gadania właściwie o niczym. Takać już jest niestety natura naszego języka. Nie trzeba chyba przypominać, jakie zupełnie zero zrobił z prozy ideologiczny kaganiec, nałożony na już istniejący system składniowy.

W naszej poezji jest dużo lepiej. Zdążając do istoty rzeczy wielkimi skrótowymi susami, niemal wyłącznie w czasie teraźniejszym i nie musząc się legitymować — jak koniecznie musi dobra proza — z gramatycznego *rationale* każdego z jej kroków, jej materia językowa nie ładuje nam w mózgi tyle fleksyj-

nego, czysto narzędziowego bagażu, co nasza proza, nie redukuje tak świata, by się w nim zmieścić ze swoją werbalną nadwagą. W rezultacie, jeśli chcemy poważnie mówić o polskiej literaturze pięknej, to trzeba nam mówić o poezji. Beletrystyczna proza polska należy do drugiej albo trzeciej międzynarodowej ligi. Wybierajcie sobie w niej drużynę albo gracza.

Pewnie ktoś zapyta, dlaczego w takim razie powieść rosyjska, posługująca się podobnie nietreściowymi semantycznie zdaniem, ma takie zwycięstwo. Odpowiedź jest prosta. Nikt by na Zachodzie nie chciał czytać *Zmartwychwstania*, ani może nawet *Anny Kareniny*, gdyby nie epos *Wojny i Pokoju*. Dostojewski pisze wszędzie na granicy psychopatii i tego rodzaju eksploracje jeszcze biorą wynudzone łatwym życiem umysły zachodniej inteligencji. Sołżenicyn był noszony na rękach za *Archipelag Gulag* — *par excellence* artystyczny reportaż — ale gdy się w końcu wyczerpał ten temat Sołżenicyn pozostał sam na sam tylko ze swoją prozaiczną muzą, jego dalszą twórczość coraz częściej określa się na Zachodzie jako mętne *outpourings* rosyjskiej duszy, czy nawet zwykłe *ramblings*. Do tychże zaczyna się relegować większość prozy Pasternaka, ongiś tu bohatera rosyjskiej literatury. Skończyła się na razie ciekawość do Wielkiego Niedźwiedzia, z której to ciekawości poczęła się sto lat temu ciekawość do tej literatury. Bez sublimowanego strachu przed groźnym nieznanym, kryteria czysto literackie teraz w to wkraczają i te wylewne, nieproporcjonalnie długie do ich intelektualnej zawartości zdania, najbardziej dziś wszystkich męczą i irytują. Tj. wszystkich na zewnątrz tym samym tempem ducha żyjącego, słowiańskiego *Sprachraum*’u. A więc nasza poezja. Jaka ona jest?

Jesteśmy ponad miarę anegdotyczno-opisową literaturą, i dydaktyczną. We wszystkim musi być jakaś fajna bajka, dowcipna dyktetyka, jakiś morał służący publicznej sprawie. Nie ma co, wiek XX jest (był?) prawdziwym złotym wiekiem liryki polskiej i palców u rąk by nam nie starczyło na zliczenie tych poetów, których by się nie powstydziła niejedna poważna literatura zachodnia. Ale gdy się poprzekładało niektóre te cuda na obce języki, to dyskryminujący, a nagle jakiś niedosyt czujący w swej duszy zagranicznik zauważa: „O, pięknie i słusznie nam prawią, ale gdzie ten ich głos własny, ten wewnętrzny? Gdzie ten polski śpiew?” Za mało go mamy, a ten, który mamy, nie jest słuchany. Czy Polska boi się śpiewu? Wstydzi się własnego głosu?

Krytyka polska chwali Leśmiana i Pawlikowską, lecz woli poezję z kalendarzową sentencją, miesza retorykę z rapsodem i lansuje poezję „o międzynarodowej sławie”, tj. nietrudną do przetłumaczenia, oferującą polskim profesorom — zwykle ci sami ludzie — częste wyjazdy za granicę i dolarowe honoraria. „Czy ta poezja da się przetłumaczyć?” wydaje się głównym kry-

terium w ich literackiej ocenie i wiele z polskiej poezji po roku mniej więcej 1970 jest jakby intencjonalnie pisane pod tłumacza i prospekt takiej sławy. Ale jaka w końcu jest ta sława? Przeważnie nie sięga poza sale konferencyjne tutejszych Wydziałów Słowiańskich, a w kraju wszystko splyca, homogenizuje, powiększa gadulstwo.

I jeszcze jedno. W kraju słynącym z dewocji, uderzającym jest brak poezji religijnej. Mamy, owszem, sporo wierszowanego religianctwa, w którym Bóg, święci i symbole życia transcendentnego są zwykłym literackim sztafażem. Jedyną prawdziwie religijną poezję polską, jaką znam, pisze pewien agnostyk w Kanadzie. A w kraju zapowiada nam się jeden młody książdź. Ciekawe, czy wytrzyma.

JADWIGA JURKSZUS-TOMASZEWSKA (Toronto, Kanada)

Trudno jest mówić kto jest przeceniony czy niedoceniony, będąc z daleka od krajowego środowiska literackiego — opierać się trzeba na wypowiedziach krytyków w tych pismach, które do nas docierają; zagadnienie komplikuje się jeszcze, gdy chodzi o pisarzy, którzy tworzyli poza granicami kraju. Nie tylko oceny są sprzeczne — przy chaotycznym rynku wydawniczym nie zawsze jest jasne, którzy pisarze i jakie utwory są w Polsce ogólnie dostępne.

Przecenieni: Nałkowska za papierowe postacie powieściowe, za *Dzienniki*, których egocentryzm, a w okresie II Wojny Światowej kompletne wyobcowanie z rzeczywistości godne jest młodszej *Narcyzy*. Mackiewicz, który niestety pozwolił publicystyce zaważyć na wartościach artystycznych. Sergiusz Piasecki — sukces jego można tłumaczyć tylko głodem lekkiej lektury. Marek Rymkiewicz, gubiący się w meandrach akcji i refleksji. I Wojciech Karpiński — fajerwerki erudycji olśniewają na chwilę, pozostawiając uczucie niedosytu, jeśli nie pustki.

Niedocenieni: Andrzejewski — parabola *Ciemności kryją ziemię* i jednoznaczna *Apelacja*, mało chyba w kraju znana. Iwaszkiewicz, który wzbogacił literaturę polską świetną nowelistiką. Andrzej Kuśniewicz, epik czasu minionego. Plejada niedocenionych, bo praktycznie w kraju jeszcze nie znanych: Józef Wittlin o głębi refleksji i kultury pisarskiej *Orfeusza w piekle*, Zofia Romanowiczowa, łącząca wątek akcji z retrospekcją. Aleksander Janta, pisarz wszechstronny, autor wielu wspomnień — nie tylko o sobie, rozmów z pisarzami i politykami, nie tylko polskimi, sylwetek jakże dalekich od łatwizny nagrałego wywiadu, winietek z życia polskiego w Stanach, niezliczonych

przyczynków o zacięciu naukowym. Tadeusz Nowakowski, gawędziarz gdy pisze o ludziach z *Alei dobrych znajomych*, autor błyskotliwych opowiadań *Niestworzone rzeczy*. Janina Kowalska (Hanna Świdarska) — jej *Pogranicze* jest nietypową, zbeletryzowaną kroniką mikrokosmosu skondensowanej polskości w „beczkach śmiechu” na brytyjskiej ziemi; niedoceniona i tu, bo któż lubi się wpatrywać w krzywe zwierciadło.

Skoro w odpowiedziach pisarzy krajowych na podobną ankietę znalazło się miejsce na przeceniany tygodnik, wolno nam chyba upomnieć się o niedoceniony. *Wiadomości*, z których wciąż nie można zerwać etykietek minionego czasu — „niezłomni”, „wspominkarze”. A i u nas myli się chyba Herling-Grudziński, mówiąc o dwu kategoriach czytelników — *Kultury* i *Wiadomości*, odгородzić się od jednego z nich mógł chyba tylko *homo politicus* — reszta czytała oba, z różnych powodów. A dla kraju powinny być skarbnicą piśmiennictwa emigracyjnego, przeglądem pisarzy, często bez publikacji książkowych, co ujmę nie przyniosło, źródłem przyszłych antologii, wypisów, no i badań.

A zapomniani pisarze? Słowotwórczy Tuwim. Ucieczki w przeszłość Jasienicy, Gołubiewa, Kossak-Szczuckiej, Malewskiej. Twórczość międzywojenna Dąbrowskiej — saga rodu Niechciów nie ustępuje opowieściom o Buddenbrookach, Forsytach, czy *roman-fleuves* Duhamela i Martin du Gard.

A skoro w okresie konsumpcyjnego „wchodzenia do Europy” podcina się korzenie kulturowe, usuwając łącinę z programów szkolnych, warto by wrócić w rejon śródziemnomorski, przywracając zasłużoną rangę Paradowskiemu, Zielińskiemu, Witwickiemu.

JÓZEF GARLIŃSKI (Londyn, Anglia)

Bardzo niechętnie biorę udział w ankietach, bo zawsze wyrażają one subiektywne opinie, które mogą być krzywdzące, a tego chcę uniknąć. Wypowiadam się jednak, bo wiem, że podobnie myśli bardzo wielu ludzi z mego pokolenia, którzy do ankiety nie zostali zaproszeni.

Nie jestem krytykiem literackim, moje zainteresowania i moje pisarskie osiągnięcia są przede wszystkim związane z najnowszą historią. Prawie pół wieku po wojnie spędziłem na Zachodzie i wiedza tutejszych społeczeństw o naszym kraju i o kulturalnych osiągnięciach naszego narodu jest mi niezłe znana. Już przed wojną miałem pewne ambicje pisarskie, interesowałem się literaturą i wtedy patrzyłem na nią prawie wyłącznie z

punktu widzenia jej artystycznej wartości. Jednak moje wojenne doświadczenia (kampania wrześniowa, ZWZ-AK, Pawiak, Oświęcim) zmieniły mój stosunek do tych spraw. Dziś jestem zdania, że pisarz, który może mieć wielki wpływ na setki tysięcy czytelników, zwłaszcza w okresie tak ciężkim jak ostatnie pięćdziesiąt lat, musi o tym pamiętać. Tym bardziej, gdy jego twórczość dotyczy aktualnych, dziejących się wtedy wydarzeń. Podzielałam zdanie Alfreda Nobla, który w swym testamencie z roku 1895, ustanawiając nagrodę, napisał: „jedna część dla osoby, która zaprezentowała najwybitniejsze dzieło o tendencji idealistycznej na polu literatury”.

Dlatego jaskrawo przeceniony jest Jerzy Andrzejewski. *Popiół i diament* to jego wyznanie wiary w najczarniejszym okresie stalinizmu, gdy zaczynał się najgorszy okres w historii naszego narodu. W ciągu tysiąca lat nie było tak potwornego zakłamania i takiej demoralizacji. *Miazga* to wynik nowej koniunktury, do której Andrzejewski w niczym się nie przyczynił.

Tak samo i z tych samych powodów przeceniony jest Józef Mackiewicz. Nie chcę wiązać mojej wypowiedzi z zarzutami kolaboracji, ale trudno jest od tego się uwolnić, bo sam Mackiewicz do tego zmusza. Nienawiść do ludzi, którzy myśleli i działali inaczej, zrodziła *Lewą wolną*, paszkwil na rok 1920 i *Nie trzeba głośno mówić*, paszkwil na Armię Krajową. To były próby zohydzenia wysiłku całego narodu walczącego o prawo do życia. Są krytycy, którzy uważają, że Sienkiewicz byłby lepszym pisarzem, gdyby nie pisał swych książek „dla pokrzepienia serc”, ale Sienkiewicz wychował kilka pokoleń Polaków gotowych do ofiary życia dla swego kraju, a Mackiewicz? Antysowieckość była oczywistością, która stworzyła jego popularność.

Spędziwszy wiele lat na Zachodzie widzę, jak niewielu z nas wydostało się na światowe rynki i dlatego sądzę, że o tych pisarzach wie się i pisze za mało. A przecież dzięki nim obcy dowiadują się o naszych osiągnięciach kulturalnych. Miłosz nie otrzymałby nagrody Nobla, gdyby nie znalazł się na Zachodzie i gdyby nie zaczęto przekładać jego książek i poezji na obce języki. Ale Miłosz i Gombrowicz nie są jedynymi naszymi pisarzami na światowych rynkach.

EDWARD MOŻEJKO

(University of Alberta, Edmonton, Kanada)

To co zaskoczyło mnie w odpowiedziach na ankietę rozpi-

saną przez p. Włodzimierza Boleckiego, to przede wszystkim brak próby ustalenia kryteriów, na podstawie których formułowano sądy kto jest pisarzem przecenionym a kto niedocenionym. Unik ten jest dość symptomatyczny i świadczy chyba zarówno o chwiejności jak i względności naszych dzisiejszych upodobań estetycznych. Drugą przyczyną tej niefrasobliwości jest prawdopodobnie sam fakt odpowiadania na ankietę jako formę wypowiedzi. W takim wypadku czujemy się zwolnieni od potrzeby racjonalnego uzasadniania swoich ocen i po prostu dajemy upust własnym, bardzo subiektywnym upodobaniom. To bardzo pozytywne i pouczające ćwiczenie. Ale czy w ogóle takie kryteria dadzą się ustalić? Przypuszczam, że tylko na własny indywidualny użytek. Jeśli chodzi o mnie, to w odpowiedzi na pytanie postawione w ankiecie z pewnością znajdzie swe odzwierciedlenie fakt, że od blisko trzydziestu lat mieszkam poza krajem. Jest to perspektywa kogoś kto patrzy na literaturę polską z zewnątrz i w dodatku niekoniecznie w sposób systematyczny. Po drugie, interesuje mnie pytanie, jacy pisarze lub które utwory wytrzymały próbę współczesności pojętej nie jako odzwierciedlenie spraw wyłącznie polskich, ale jako nawiązanie do szerszych artystycznych tendencji europejskich czy amerykańskich. Wśród pisarzy nieżyjących znajdzie się tu z pewnością St. I. Witkiewicz i B. Schulz. Obaj mieszczą się doskonale w tym co krytyka anglojęzyczna określa jako modernizm. Witkacy był przed dłuższy czas pisarzem niedocenionym, ale jego „akcje” poszły wyraźnie w górę i nadal rosną; znajdzie się on z pewnością w panteonie największych pisarzy dwudziestego wieku. Podobnie ma się sprawa z Schulzem, choć może nie w tych samych rozmiarach. Pisarzem wyraźnie moim zdaniem niedocenionym jest T. Borowski, o którym sporo napisano na Zachodzie w związku z Holocaustem, ale jakoś tego nie zauważono. Któryż z polskich pisarzy ostatniego półwiecza postawił z tak brutalną szczerością pytanie o istotę człowieczeństwa w obliczu śmiertelnego zagrożenia? Chcemy czy nie chcemy, ale jego nihilizm pozostaje w zgodzie z postępującym niestety rozkładem tradycyjnych wartości humanistycznych. Nie należy tego mylić z opisem okrucieństwa — innej znamiennej cechy naszego wieku tak świetnie opisaną przez Gustawa Herlinga-Grudzińskiego.

Gdy chodzi o autorów żyjących, to pisarzem zdecydowanie niedocenionym pozostaje Stanisław Lem. Ani Miłosz, ani Gombrowicz nie dorównują mu popularnością. W czasie swej długiej praktyki pedagogicznej w Kanadzie nie spotkałem studenta, nawet na pierwszych latach studiów, który by nie czytał Lema. I nie chodzi tu wyłącznie o to, że mamy do czynienia z pisarzem uprawiającym fantastykę naukową. Lem reprezentuje znacznie więcej niż po prostu literaturę rozrywkową. Dlatego przy-

toczę tytuł artykułu napisanego przez J.J. Szczepańskiego i ogłoszonego na łamach *Tygodnika Powszechnego* „dla mnie jesteś noblistą”.

Bardziej skomplikowana wydaje się być sprawa stosunku między tzw. literaturą źle obecną a literaturą dawnego oficjalnego obiegu, a właściwie sprawa ich przewartościowania. Wydaje mi się, że w wielu wypadkach ustalone hierarchie będą musiały ulec odwróceniu, tzn. autorzy cenieni przedtem za odwagę zostaną „zdystansowani” przez twórców nie biorących bezpośredniego czy otwartego udziału w walce z reżymem peerelowskim. Przedtem wystarczała postawa opozycyjna, ale przy ocenie pisarzy kryterium to nie reprezentuje już dziś tej samej wagi co kiedyś. Wydaje się, że bardzo pouczającym przykładem jest tu pisarstwo T. Konwickiego, oscylujące niegdyś między pierwszym a drugim obiegiem. Jest on prozaikiem wyraźnie niedocenionym i to nie ze względu na jego utwory takie jak *Wschody i zachody księżycy* czy *Mala Apokalipsa*, w których występuje on z pozycji dysydenckich, lecz z uwagi na to, że pozostaje on jednym z najwybitniejszych przedstawicieli polskiego postmodernizmu. Przewiduję, że ten ostatni problem znajdzie się w najbliższym czasie w centrum zainteresowań polskiej krytyki literackiej. Szkoda tylko, że nastąpi to z takim opóźnieniem. W związku z tym zyska z pewnością na znaczeniu twórczość takich jego bezpośrednich prekursorów jak Wilhelm Mach (*Góry nad czarnym morzem*) czy Teodor Parnicki („najbardziej 'postmodernistyczny' pisarz we współczesnej literaturze” — Janusz Spławiński). Najbardziej niezrozumiałe pozostaje dla mnie niedocnienie twórczości Piotra Wojciechowskiego. To pisarz, którego chętnie „przyswoiłaby” sobie każda literatura. Trudno tutaj rozwozić się nad walorami jego prozy, ale łączy ona w sobie niezależność, a więc sprzeciw wobec głupoty i groźby totalitarnego dążenia do ujednolicenia z otwartą, powiedziałbym międzynarodową i jakże odświeżającą perspektywą artystycznego spojrzenia.

Chciałbym też upomnieć się o Stefana Kisielewskiego. Nawet gdy staniemy na stanowisku, że jest on prozaikiem miernego lotu, to przecież na przestrzeni ostatnich pięćdziesięciu lat jest on jedynym polskim pisarzem politycznym. A kogoż mamy mu, pozał się Boże, przeciwstawić — W. Machejka, J. Putramenta?!

Sądzę, że niesłusznie lekceważy się dorobek pisarzy tzw. kręgu *Twórczości*, czy też forowanych przez ten miesięcznik. Wydaje się, że wyrównali oni w dużym stopniu zapóźnienie polskiej prozy w stosunku do tendencji panujących na Zachodzie (postmodernizm). Nie wyobrażam sobie pełnego obrazu współczesnej beletrystyki polskiej bez charakterystyki takich pisarzy jak R. Schubert, J. Dżeżdżon, M. Słyk, K. Bielecki czy D. Bit-

ner lub G. Musiał.

Wśród poetów klasą dla siebie są Tadeusz Różewicz i Wisława Szymborska. Wspominam o tym dlatego, gdyż pisze się o nich stanowczo za mało.

Jak w tym wszystkim należy rozumieć miejsce krytyki literackiej czy teorii literatury? Czy należą do literatury i trzeba by je również rozpatrywać w kategoriach „przeceniona” i „niedoceniona”? Ciekawe, że nikt nie poruszył tego zagadnienia w ankiecie p. W. Boleckiego. Wkład R. Ingardena do światowej nauki o literaturze nie ulega żadnej wątpliwości. Wbrew temu co napisał (chyba w jednym z pierwszych numerów *Tekstów Drugich*) mój sąsiad zza miedzy, Bogdan Czaykowski, wciąż niedoceniony a w moim przekonaniu świetny poeta, polski strukturalizm czy polska nauka o literaturze w ogóle zyskały rangę międzynarodową dzięki pracom Janusza Sławińskiego, Michała Głowińskiego, Marii Renaty Mayenowej, Henryka Markiewicza, częściowo Edwarda Balcerzana. Świadczą o tym antologie ich prac w językach obcych, artykuły tłumaczone i drukowane w czasopismach o międzynarodowej renomie. Znam kolegów, którzy specjalnie uczyli się polskiego, aby móc przeczytać niektóre prace M. Głowińskiego czy J. Sławińskiego. Niestety zabrakło na emigracji mocnej i teoretycznie dostatecznie autorytatywnej osobowości, która by potrafiła ten dorobek popularyzować. Rosjanie z R. Jakobsonem lub Czesi z L. Matejką i L. Doleżalem znaleźli się tu w znacznie lepszej sytuacji.

Do kategorii przecenionych zaliczyłbym całą tzw. literaturę rozrachunkową drugiej połowy lat pięćdziesiątych, łącznie z pokoleniem „Współczesności”. Ich sprzeciw był połowiczny, natomiast debiutanci często toneli w naiwnym dążeniu do stworzenia iluzji autentyzmu. Przeceniony jest A. Wat, a także większość awangardy z wyjątkiem może J. Przybosia. Listę pisarzy przecenionych można by ciągnąć znacznie dłużej. Niestety w Polsce Ludowej utarł się zwyczaj dodawania przymiotnika „wybitny” do nazwisk, które na to zupełnie nie zasługiwały (np. W. Żukrowski lub J. Dobraczyński, świetnie scharakteryzowany przez Kisielewskiego: „staruszek bredzi pod siebie”).

Wydaje mi się, że literatura polska w ostatnim półwieczu spełniła swą trudną misję jaką wyznaczyła jej historia znacznie lepiej niż skłonna jest to przyznać krytyka literacka. Przeciwnie stawiała się naciskom totalitaryzmu, pokazała i atakowała jego nieludzki charakter, a jednocześnie nie karłowaciała w zaściankowatości, zdołała utrzymać swój trwały związek z tradycją kultury śródziemnomorskiej i sprostowała wymogom tendencji światowych, ale to już należy do innego tematu.

JERZY PIETRKIEWICZ (Londyn, Anglia)

Po sześćdziesięciu latach *Zazdrość i medycyna* Choromańskiego domaga się dalszej rewaluacji w górę. Jest to w moim przekonaniu jedna z najlepiej skonstruowanych polskich powieści (a to rzadkie). Sam tytuł, zaskakujący zestawieniem, wyznacza zakres przetwarzających się motywów; Choromański jest mistrzem transformacji psychologicznych, jego erotyzm odkrywa tajemnice ciała właśnie przez chirurgiczne obnażenie człowieka — nikt przed nim nie postawił takiej diagnozy seksualnej. Motywy narracji zamykają się w kole niemal kosmicznym (wicher — praoddech istnienia). I jakże oszczędna jest jego polszczyzna, do której doszedł poprzez rosyjski język. Tło rosyjskie *Białych braci* (1931) jest fascynujące.

Ocena w kontekście. *Trans-Atlantyk* Gombrowicza i *Turysci z bocianich gniazd* Czesława Straszewicza ukazały się w tym samym 1953 roku. Obaj autorzy znaleźli się podczas ostatniej wojny w Południowej Ameryce, co dało im inną, bardzo ironiczną, perspektywę wobec polskości. Obie książki są emigracyjne w samym założeniu ich stylu, który musi się posługiwać kpina i parodią, aby obrazoburstwo było do przyjęcia, kiedy ikony narodowe spadają ze ścian. Gombrowicz przedrzeźnia, robi miny, a parodia z natury swojej zwięża jednak możliwości stylu. Humor Straszewicza wydaje mi się bardziej otwarty, jego świeżość po tylu latach wynika pewnie z tolerancyjnej wizji świata, którą prawdziwy humor przekazuje.

Kto jest niesłusznie zapomniany? Władysław Orkan, autor *Listów ze wsi*, dokumentu równie odkrywczego jak pierwszy tom pamiętników Witosa.

Dalej nie dość docenieni: prozaik Marian Pilot, autor świetnych nowel (np. tom *Cizba*) i rozważań nad istotą „małej ojczyzny” w książce *Matecznik*. W natłoku wierszy obnażonych z wyobraźni, uderza samorodny talent Józefa Barana, który umie wydobyć z konkretnego wiejskiego magię o dużym uroku.

Z przedwojennych publikacji dalej upominam się o *Rok 1863* Juliana Wołoszynowskiego (wydana w 1931).

ZOFIA ROMANOWICZOWA (Paryż)

Bardzo dziękuję za wciągnięcie mnie do ankiety na temat „Które z dzieł” itd. Mam nadzieję, że moja odpowiedź zbytnio się nie spóźni...

Gdybym była zwykłym czytelnikiem, albo krytykiem lite-

rackim, albo polonistą, nie miałabym oporów. Krępuje mnie fakt, że — niestety — sama pisuję. Nie wypada mi więc wymienić kogokolwiek — z na ogół żyjących jeszcze kolegów — ani na plus ani na minus. Zresztą o przecenianiu czy niedocenianiu książek i pisarzy tylko na pozór decydują krytycy, poloniści albo koledzy po piórze. Nawet wydawcy. Decydują wyłącznie czytelnicy, z tych „dobrowolnych”, a więc kapryśni i zmienni. Nazwiska i tytuły, tłustym drukiem, na stronach pism literackich, świadczą jedynie o sukcesie „prestżowym”. Często w swoim kółku. Figurowanie w programach szkolnych też raczej szkodzi niż pomaga. Sama po sobie wiem, że trzeba było wojny, bym sięgnęła, już bez klasówkowego przymusu, do obrzydzonych mi przez panią polonistkę wieszczów.

Ukazywanie się w druku, częstsze lub rzadsze, jest zwodnicze. Zwłaszcza u nas, gdy tak za minionej epoki jak i teraz, względy polityczne odbijają się na programach domów wydawniczych. Obecnie różnica jest taka, że bierze się również pod uwagę „chodliwość” towaru, do której to kategorii książka na całym świecie coraz bardziej należy. A więc gust czytelnika w sensie rozrywkowym, co może pokrywać się ze względami literackimi. Ale nie musi.

To się w polityce nazywa demokracją. Zwykły czytelnik wybiera sobie pasującą mu akurat lekturę. Słusznie? Niesłusznie? Pochwalić go, że jest na poziomie? Zganić, że jest ciemną masą? I tak szczerście, że w ogóle czyta, zamiast oglądać telewizję. A jeśli pośród nich trafi się jeden, ale „dobry”, to już warto było się męczyć.

Która książka prze-, a która niedoceniona? Który pisarz? W tym konkursie jakoś mi niezręcznie głosować.

HANNA ŚWIDERSKA (Londyn, Anglia)

Zaskoczyła mnie Pana ankieta nt. pisarzy przecenionych, niedocenionych i zapomnianych, bo zmusiła mnie do zastanowienia się nad sprawą, która dotąd nie zaprzętała mojej uwagi. Literatura tzw. piękna mało mnie interesuje „jako taka” i przyznaję z zażenowaniem, że mam tu ogromne zaległości, szczególnie we współczesnej. Jest to tym dziwniejsze, że przepracowałam prawie trzydzieści lat w polskim dziale biblioteki British Museum (-Library) i ogromna masa polskich książek z tego okresu przeleciała mi przez ręce. Obwąchiwałam je powierzchownie w celach zawodowych, ale z interesującego nas tutaj gatunku bardzo niewiele zaciekało mnie na tyle, żeby książkę odłożyć dla bliższego zapoznania się. Moją główną lekturą jest

literatura faktu (historyczna), i częściej angielska niż polska, ze względu na jej o wiele szerszą tematykę.

Jeśli czasem czytam coś z literatury pięknej, to należy ona również do kategorii informujących o czasach i ludziach. Stąd mój podziw, np. dla książek Józefa Mackiewicza (który nie potrzebuje mojej obrony) i Kazimierza Orłosa. Jeśli wypada małe porównać z wielkim, to dla usprawiedliwienia chciałabym wyjaśnić, że swoje książeczki popełniłam nie jako „literaturę”, a *case studies* o przymierzaniu się emigracji wojennej do Anglii, co pozostawiło po sobie tak mało śladów drukowanych. Od tego samego gatunku zaliczam doskonałą i doszczętnie zapomnianą powieść (nagroda literacka *Kultury* za r. 1959!) Halszki Guilley-Chmielowskiej *Spotkania na galerii*, o którą tutaj chcę gromko się upomnieć. Ta jej jedyna książka jest na pewno więcej warta, niż worki tandetnie wydanych tomików-bliźniaków, nudnych i bezosobowych, ale za to silących się na „nowoczesność” i nie przysparzających kłopotów cenzurze, którymi przez kilka dziesiętków lat zasypywały mnie paczki z Polski. Nb.: do tej pory pamiętam przerażenie, które mnie ogarnęło, gdy gdzieś wyczytałam wiadomość, że członkostwo samego tylko warszawskiego oddziału Związku Literatów wyraża się liczbą czterocyfrową, i że na zlot poetów gdzieś w Polsce zważyło się ileś setek twórców. Oczywiście, zdarzały się w tej masie druków rodzynki, ale jakże skąpo! Śmiem twierdzić, że na tle tej powodzi książki emigracyjne *en masse* wypadały nadzwyczaj korzystnie, w każdym razie dopóki żyli starzy pisarze i zanim upowszechniło się wydawanie na koszt autora.

Jeśli chodzi o wartościowanie pisarzy (często nierozdzielne z autoreklamą), to nasuwa mi ono nie najlepsze skojarzenia. Tę lekcję zawdzięczam naszym różnym grafomanom, którzy z racji mej pracy przez wiele lat darzyli mnie swą uwagą, uroczyście wręczali swe plody z odręczną dedykacją dla reprezentowanej przeze mnie instytucji, a potem skrupulatnie badali katalog czy już tam są i czy należyście opisane (a nie jako „zbiór drobnych utworów”) i biada, jeśli narażałam się na dezaprobatę. Wtedy karcili mnie, żądali i pouczali, że „czytelnik czeka”. (Nb.: NIE CZEKAŁ, choć może kiedyś — kto wie? — dostarczą żeru autorom przenuzonych prac doktorskich i hordzie Zeszytów Naukowych). Szczególnie napastliwi byli dwaj poeci, ale najgłębsze wrażenie zrobił na mnie autor powielanej broszury o wspałości i starożytności swego (wątpliwego) rodu, który wziął mnie za Angielkę i zamaszyście wręczając dzieło oświadczył: *Zis yz maj buk, aj wrajt yt end want tu gif yt tu ze Brytysz Muzeum!* — po czym wdał się w wywód heraldyczno-genealogiczny. On zawsze staje mi przed oczyma, gdy wypływa kwestia autoreklamy bezpośredniej lub pośredniej, za pomocą

wymuszanej na znajomych „recenzji” w ramach usługi towarzyskiej.

Swemu fachowi zawdzięczam jeszcze jedną nadzwyczaj cenną naukę moralną. Otóż praca w wielkiej bibliotece, widok olbrzymich magazynów nabitych od podłogi po sufit starą i nową literaturą „piękną”, której 90 % (w świetle nadań czytelnictwa) nikt nie czyta i którą ludzkie ręce dotykają raz na kilka lat w ramach odkurzania, a także widok samochodów co dzień zajeżdżających na dziedziniec i wyładowujących skrzynie i paczki z nowymi książkami (kilka *mil* nowych półek napelnianych co roku) jest doskonałą lekcją skromności, którą polecam uwadze i dedykuję naszym Twórcom.

FLORIAN ŚMIEJA (London, Ontario, Kanada)

Jak by nie zdefiniować „niedocenień” i „przecenień” (chyba nie w sensie peerelowskiego „przecenionego” towaru), terminy te pozostaną bardzo umowne, bo w końcu, kto przecenia czy nie docenia? Czytelnik? Krytyk? Wydawca? Nie wiemy ponadto, czy te ustalenia są wynikiem jakiejś obiektywnej gry bez żadnych manipulacji, polityki, sprzyjających okoliczności, układów koleżeńskich. Bo jeśli ktoś „wpycha” autora na podium czy świecznik, to czy wszyscy potrafią bez pudła ocenić narzucaną im jakość? Z hałaśliwym samograjem trudno walczyć osamotnionemu głosowi na puszczy.

Ankieta mogłaby zatem być szansą *vox populi*, pod warunkiem, że się do niej zaprosi przedstawicieli tzw. szerokich rzesz konsumentów, a nie skieruje wyłącznie do ludzi jakoś stronniczych, jeśli nie wręcz powiązanych różnymi lojalnościami czy trawionych zawiściami. Daje to szansę zwrócić na siebie uwagę temu, kto odważy się najszeptniej nauragać idolom literackim.

Pisarze krajowi wymienili już większość prozaików, choć bodaj Mamoń w *Tygodniku Powszechnym* dorzuca nazwisko Malewskiej jako ważnej, zapomnianej pisarki. Równocześnie jednak ankietowani konstatują z zażenowaniem, że brak jest z bliżej niesprecyzowanych powodów wybitnych dzieł o współczesnej Polsce. Ucieczki Huellego czy Szczypiorskiego nie muszą, jak się sam przekonałem, porywać czytelnika. Ale to może moja wina. Spróbuję raz jeszcze. O innych nowych autorach, ci co żyją daleko od Polski czy wielkich ośrodków na Zachodzie, dowiadują się co najwyżej z czasopism i muszą uwierzyć na słowo (np. Błońskiego o Myszkowskim).

O literaturze emigracji wojennej odzywają się głosy trochę zniechęcone mitem. Nikt jeszcze nie rozumie niektórych niedo-

statków tej literatury, tylko rzadko tworzonej przez zawodowych pisarzy, większość pracowała przecież zarobkowo i tylko w wolnym czasie pisała. Ale to tylko mimochodem. Chcę przypomnieć jeszcze autorkę trylogii o Grindze, J. Wyczółkowską-Surynową, dowcipnych *Turystów z bocianich gniazd* Straszewicza i ambitną próbę Jennego *Muł Don Chucho*.

Do wymienianej, i słusznie, trójki wybitnych poetów, Herberta, Miłosza i Różewicza, doszłusował Wierzyński. Z innych emigrantów podsunął się ku nim Łobodowski, a ostatnio wzbudził zainteresowanie Iwaniuk dzięki swym najnowszym wierszom. O innych poetach trudniej postronnemu wyrokować, bo najchętniej piszą szyfrem pod krytyków, czytelnik się jakby nie liczył. Odpłaca on z nawiązką nie kupując tekstów, a wydawca przestał być altruistą. Można natomiast zasłynać przekładami poezji i tego dokonał Barańczak, tłumacz nie tylko znakomity ale także wszechstronny i płodny.

EWA M. THOMPSON (Rice University, Houston, Teksas)

Niedoceniani: pisarze dwujęzyczni, np. Janusz Ihnatowicz, który pisuje poezję w języku polskim i angielskim; J.A. Bocheński, pisujący nie tylko prace naukowe, ale i eseje w językach niemieckim i polskim; Aleksander Gella, który pisuje polskie i angielskie eseje (polecam zwłaszcza redagowany przez niego tom *Sprawy polskie w perspektywie światowej*, wydany przez Veritas w 1985 roku, którego jest współautorem).

Z pisarzy jednojęzycznych, Stefan Kisielewski i jego eseje, obfitujące w zdrowy rozsądek; przenikliwe gawędy o historii Mariana Dziedichowskiego (por. ładnie wydany tom *Widmo przyszłości: szkice historyczno-publicystyczne*, L'Age D'Homme, Lausanne, 1983); znakomity warszawski eseista Stanisław Michalikiewicz.

Przeceniani: większość polskich eseiistów, pisujących zarówno w „czołowych” czasopismach wydawanych poza krajem, jak i w lepiej i gorzej finansowanych i redagowanych periodykach w Polsce. W swojej prozie „politycznie poprawni” (a więc postępowi i demokratyczni) panowie (bo pań mało) mizdrzą się i krygują przed czytelnikiem, pisząc co ślina na język przyniesie, byle było dowcipnie i broń Boże nie kołtuńsko lub obskurancko. Wydaje mi się, że częściowo to wina braku konkurencji (*Kultura* lub krach — *tertium non datur*), częściowo skłonności Polaków do bicia pokłonów „politycznie słusznym” ideom (czy to będą idee socjalistyczne czy też, w obecnej koniunkturze, socjal-demokratyczne), częściowo prowincjonalizm i nieuctwo.

Wszystko to razem składa się na żalospny stan polskiej eseistyki. *Zapomniani*: Marta Żukowska, polska więźniarka w Sowietach, napisała nigdy nie wydany tom autobiograficznych opowiadań o tym co przeżyła w sowieckich łagrach. W archiwach Hoovera jest jedna z kopii jej maszynopisu (Kolekcja Władysława Andersa, teczką Nr 72, folder Nr 561). Opowiadanie „Ból” zostało opublikowane w angielskim tłumaczeniu w niewielkim kwartalniku akademickim *The Sarmatian Review* (t. IX, Nr 1, 1989), ale pozostałe opowiadania czekają na edytora i wydawcę.

ANDRZEJ VINCENZ (Heidelberg, Niemcy)

Nie jestem wprowadzie krytykiem literackim ani historykiem literatury, jestem jednak edytorem-wydawcą, a raczej (wspólnie z moją matką) współwydawcą dzieł Stanisława Vincenza. Moje uwagi będą się więc odnosiły tylko do tego pisarza. W latach 1980-83 ukazały się w Polsce cztery tomy *Na wysokiej połoninie* oraz trzy tomy szkiców i esejów wybranych (i pokiereszowanych przez cenzurę). Książki te zostały rozbity i do dziś, jak słyszę, prawie ich w antykwariatach nie ma.

Stanisław Vincenz pisarz zapomniany? Przed kilku laty spotkałem na kongresie *monstre* w Waszyngtonie nieżyjącego już dziś publicystę, Edmunda Osmańczyka. Gdy się przedstawiłem, powiedział: „Aa, syn Stanisława? Wielki pisarz!” Z tego rodzaju słowami uznania spotykam się częściej. A ostatnio ukazał się przecież we Wrocławiu gruby tom *Świat Vincenza* z tekstami blisko trzydziestu młodych krytyków. Więc może przesadzam? Ale ten gruby tom to pokłosie konferencji z roku 1989, jeszcze za komuny. A dosłownie tak napisała całkiem niedawno o Stanisławie Vincencie korespondentka *Życia Warszawy*: „pisarz zapomniany”. W pierwszej ankiecie *Kultury* też nazwisko pisarza nie padło. I od roku 1983 do dzisiaj, do czwartego roku niepodległości i w dwadzieścia dwa lata po śmierci pisarza nie udało się wydać w wolnej Polsce ani *Na wysokiej połoninie* ani szkiców i esejów (nieocenzurowanych).

Czy więc wiele się zmieniło od roku 1978, gdy to Irena Vincenzowa napisała w posłowie do *Barwinkowego wianka*: „Wszyscy na emigracji książkę (*Na wysokiej połoninie*) bardzo cenili, ogromnie chwalili, nie skąpili pochwał, ale wydawca się nie znalazł”? Dla czytelnika, który tego dzieła nigdy nie miał w ręce, dodam, że londyńskie wydanie *Na wysokiej połoninie* ukazało się w Oficynie Poetów i Malarzy dzięki subskrypcji, nakładem przyjaciół.

Prosi Pan o uzasadnienie krytyczne. Spróbuję sformułować

je w formie pytania: czy nie jest tak, że pisarz ten nie należał do żadnego *establishment*'u, ani „pro” ani „contra”, że nie hołdował żadnej, starszej czy nowszej modzie, że nie mieścił się i nie mieści w przyjętych schematach? Zaś wydawnictwa, z natury rzeczy, muszą się orientować według co najmniej jednego, jeśli nie wszystkich trzech wyżej wymienionych kryteriów.

ZAMIAST ODPOWIEDZI

STANISŁAW BARAŃCZAK (Harvard, Stany Zjednoczone)

Od udziału w ankiecie na temat „pisarzy przecenianych i niedocenianych” muszę się niestety uchylić — z przyczyn, które częściowo wyłożyłem w 41 numerze *Zeszytów Literackich*, gdzie na marginesie recenzji tomu Czesława Miłosza wypowiedziałem parę sądów na temat opublikowanych w *Kulturze* odpowiedzi uczestników pierwszej fazy ankiety. Przy tamtej okazji zarejestrowałem głównie swoje przygnębienie powierzchownością prawie wszystkich tych odpowiedzi; obecnie dodam, że sam pomysł tego rodzaju ankiety wydaje mi się niefortunny, ponieważ charakter zadanych w niej pytań oraz jej format zachęcają indagowanego do powierzchowności i zastępowania argumentacji tanimi retorycznymi efektami. Oczywiście, oczywiście, wiem: jest to tylko zabawa, której nie należy brać poważnie. Dzisiejszy katastrofalny stan krytyki literackiej w Polsce i na emigracji wynika jednak właśnie z tego, że ani literatury, ani własnych zawodowych obowiązków wobec niej większość czynnych obecnie krytyków od lat nie bierze poważnie. Pojęcie zabawy i niepowagi traci sens, gdy nie istnieje nic poza zabawą i niepowagą; w felietonową dezynwolturę, w przekreślanie jednym powiedzonkiem dorobku czyjegoś życia, w ustalanie hierarchii całej literatury na dwóch stroniczkach maszynopisu można się bawić, ale nie w sytuacji, gdy czytelnik na serio oczekujący od krytyki pomocy w rozumieniu i wartościowaniu literatury — nigdzie takiej pomocy nie znajdzie. Gdyby literaturze polskiej towarzyszyła na co dzień rzetelna krytyka literacka, gdyby wydawane książki były punktualnie i wnikliwie omawiane, gdyby polityka recenzyjna pism miała w sobie choć trochę regularności i konsekwencji, gdyby gołosłowność i powierzchowne efekciarstwo w dyskusjach i polemikach spotykało się z należyłą odprawą, gdyby prasa literacka nie pozostawała pod tak przemożnym wpływem „światopoglądu felietonowego” — wówczas jedna, dwie, czy dziesięć

podobnych ankiet byłoby rzeczywiście zabawą, której ani uczestnicy, ani czytelnicy nie traktowaliby serio. Ponieważ jednak brak nam krytyki, którą można traktować serio — ankiecie tego rodzaju grozi (jak to już pokazały reakcje po ogłoszeniu części pierwszej), że jej rzekomo niepoważne przewartościowania zostaną przez czytelników z całą powagą wzięte za dobrą monetę.

CZESŁAW MIŁOSZ (Berkeley, Stany Zjednoczone)

Ta towarzyska zabawa jest interesująca, ale niebezpieczna. Na paru stronach niemożliwa jest poważna dyskusja, dlatego rzecz sprowadza się do ujawnienia osobistych idiosynkrazji, albo wręcz nienawiści. Zważmy w dodatku, że odbywa się teraz na amerykańskich uniwersytetach wielki spór o ustalenie kanonu w literaturze. Kraje takie jak Polska (czy Brazylia, czy Grecja, czy Szwecja) stoją wobec zagadnienia dwóch kanonów: jeden, to perspektywa literatury światowej, drugi, literatury rodzimej. Dostojewski figuruje w dwóch kanonach, Bolesław Prus w jednym. Przy czym nie jest wcale tak, że tzw. wartości ogólnoludzkie przesadzają, bo często decydują chwilowe i koniunkturalne czynniki, względnie otwarcie się albo zamknięcie na pewne filozofie. Dotychczas nie rozumiem, dlaczego Gombrowicz zdaje się należeć we Francji do kanonu literatury dwudziestego wieku, podczas gdy w Ameryce pozostaje lokalnym wschodnioeuropejskim zjawiskiem. Kanon światowy oczywiście nie jest obowiązujący, bo rzecz się rozgrywa w obrębie jednego języka. Literatura jakiegos kraju rozwija się według swoich praw i nieobecność np. Żeromskiego czy Wyspiańskiego w skali międzynarodowej nie umniejsza ich wagi dla Polski. Tym niemniej, czyż, mieszkając na emigracji, nie byliśmy zapytywani o autorów polskich zasługujących na tłumaczenie? I czyż nie czuliśmy zażenowania, kiedy literatura polska, przynajmniej w prozie, jest sprowadzana do trzech nazwisk, St. I. Witkiewicza, Gombrowicza i Bruno Schulza? Coś tutaj nie w porządku. Należałoby zapytać o miejsca autorów bardziej tradycyjnych, jak Maria Dąbrowska czy Iwaszkiewicz-prozaik.

Nie jest jasne, kto powinien figurować w podręcznikach literatury polskiej dla liceów. Podobno walki zapaśnicze mają swoje kulisy, to znaczy zawodowcy ustalają swoje stopnie w hierarchii tajnie, a dla publiczności to już jest tylko teatr. Być może jest to podyktowane potrzebą uniknięcia zupełnej dzikości w walce. Zdaje się, że obecnie w polskiej literaturze nie istnieje żaden taki *consensus* i wszystko jest dozwolone, co ujawniła np.

ankieta *Kultury*. Zaczynać chyba należało od ustalenia jakichś kryteriów. „Przecenieni” i „niedocenieni” to nie są żadne kryteria. Przecenieni przez kogo? Niedocenieni w jakich kręgach czytelniczych? Szczerze mówiąc, boję się nieporozumień, niejasności, a przede wszystkim nie chcę być niesprawiedliwy i dlatego nie mogę wziąć w ankiecie udziału. Zresztą gdybym wziął, ile zostałoby miejsca, żeby uzasadnić moje twierdzenia?

BOLESŁAW TABORSKI (Londyn, Anglia)

Niestety nie czuję się kompetentny do udziału w ankiecie. Nie mogę bowiem powiedzieć, bym znał wszystkie dzieła wszystkich pisarzy polskich, ani też wszystkie opinie krytyków i tzw. środowisk o ich twórczości na tyle, aby orzec, którzy są przecenieni, którzy niedocenieni, czyli rozdawać laurki i przygany. Zdumiała mnie niefrasobliwość, z jaką osądy swe ferowali uczestnicy pierwszej wersji ankiety. Niemal wszyscy byli krytykami, literaturoznawcami, względnie publicystami kulturalnymi. Z pozorów można by sądzić, że to osoby właściwe do wykonania takiego zadania. Tak jednakże nie jest, bo bardziej niż ktokolwiek ulegają modom i uprzedzeniom zaciemniającym obiektywizm sądów, pragnąc dostosować rzeczywistość do lansowanych przez siebie teorii i wyznawanych poglądów. Nie wydaje mi się też, by właściwymi respondentami byli pisarze, sami na ogół sfrustrowani, nie wolni od kompleksów i zawiści — cech utrudniających obiektywne spojrzenie. Myślę, że stosunkowo najlepsze rezultaty mogłaby dać ankieta przeprowadzona wśród tzw. zwykłych czytelników, którzy nie mają określonych teorii ani fobii, czytają to, co im się podoba, a odrzucają to, czego nie trawia. Zdaję sobie sprawę z trudności przeprowadzenia wśród nich reprezentatywnych badań ankietowych. Może więc należy zostawić to potomnym. Za jakieś sto lat powinno być sprawą jasną, którzy z dzisiejszych pisarzy byli przez współczesnych przeceniani, czy niedoceniani. Proszę więc pozwolić, że pomimo ogromnego szacunku, jaki żywię dla *Kultury* i jej zasłużonego Redaktora, nie będę został nazwiskami i tytułami.

KOMENTARZ DO ANKIETY

— A tam Biblioteka.

Jakoż w pokoju obok, dużym, Kwadratowym, książek, skryptów kupy na podłodze, wszystko Wywalone, jak z taczek, aż pod sufit góry; tam zaś wśród tych gór, dopiroż przepaści, zręby, jary, usypiska, rozdoły, a tyż kurz, pył aż w nosie wierci. Na górach tych tedy chudzi bardzo Czytelnicy siedzieli, którzy to czytali!... Biblioteka — mówi Gonzalo — biblioteka, oj, co za kłopot z tym mam, skaranie boże, a bo najcenniejsze najbardziej szacowne to Dzieła geniuszów samych, najprzedniejszych ludzkości Duchów, ale cóż, panie, kiedy Gryzą się, Gryzą, a też i Tanieją od nadmiaru swego, a bo za Dużo, za Dużo...

Gombrowicz, *Trans-Atlantyk*

Byłoby niewłaściwe gdybym, jako redagujący ankietę, ocenił bezpośrednio sady jej uczestników, zgadzając się z jednymi, nie godząc na inne, hierarchizując kryteria (ujawnione i nieujawnione) czy komentując charakter odpowiedzi. Że są nader różne, nietrudno zauważyć. Że interesujące jest oglądać z zewnątrz krąg, jaki zataczają czyjeś oczy, to też jasne, szczególnie gdy nasz własny horyzont rozpięty jest, powiedzmy, między „praoddechem istnienia” z jednej strony, a postmodernizmem z drugiej. Takiego horyzontu chciałoby się zapewne życzyć wszystkim. Ale rzeczywistość społeczna i kulturalna składa się zapewne z wielu kręgów, mniejszych, większych i rzeczywiście szerokich (a przez krąg nie rozumiem tu obiegu, gdyż obieg najszerszy bywa tożsamy z kręgiem najwęższym). Te wszystkie kręgi, horyzonty, pola widzenia legitymują się zawsze jakimiś miernikami: od „to lubię”, „ta książka *mnie* się podoba”, „to się świetnie czyta”, po „bo to jest arcydzieło w skali światowej, a jest arcydziełem gdyż...” Uzasadnienie typu ostatniego niekoniecznie jest słuszne tylko dlatego, że wyrażone inaczej; wiele zależy od tego, kto „lubi”, „komu się świetnie czyta”, kto „sprawdza sobą”.

Niemniej chciałoby się szukać kryteriów w miarę obiektywnych i pewnych, tym bardziej, że perspektywa z wewnątrz takiej np. biblioteki jak biblioteka British Museum może przyprowadzić o zawrót głowy i swego rodzaju czczość (już nie mówiąc o skromności w wypadku samych pisarzy). Gombrowicz dał nam obraz gryzących się ze sobą książek, a on był rzeczywiście czuły na

liczbę i jakość. W odpowiedziach ankiety wymieniono nazwiska kilkudziesięciu pisarzy, w obu ankietach dużo więcej, a było ich przecież parę tysięcy. Jak porządkować taki ogrom? A porządkować napisali tysiące. Jak porządkować taki ogrom? A porządkować należy, bo to jest jeden z istotnych nie tylko wymogów, ale i procesów kultury, która się zresztą i tak sama porządkuje, często bez głębszej refleksji nad tym, jak i dlaczego, nawet jeśli demokratycznie. Niewątpliwie nie da się uniknąć ocen krzywdzących, nawet jeżeli sprawę traktuje się poważnie (bo nie zawsze im poważniej, tym sprawiedliwiej).

Wydaje się, że sposobów porządkowania musi być zawsze więcej niż jeden. Proponowanie jednego tylko sposobu porządkowania zakrawałoby na megalomanię, skoro nie da się porządkować ahierarchicznie. Można, oczywiście, narażać się na taki zarzut (narażał się nań z perwersyjną rozkoszą Gombrowicz) w celach prowokacji intelektualnej. Sam jednak charakter ankiet tego rodzaju powoduje, że prowokacja jest ich naturalnym skutkiem: wręcz tyle prowokacji (choć nie zawsze z rodzaju intelektualnych) ile odpowiedzi. I wręcz tyleż irytacji. Z tym, że w odpowiedziach ankiety uzupełniającej więcej jest refleksji nad potrzebą kryteriów, większy jest dystans do całej sprawy uznania lub jego braku, niż w odpowiedziach ankiety pierwszej. Być może przebywanie z dala od środowiskowych ciśnień i walki rynkowej pozwala na spokojniejszy ton. A przy tym jest w odpowiedziach ankiety uzupełniającej w większym stopniu niż w ankiecie „krajowej” świadomość istnienia perspektywy zewnętrznej, dwóch (jak to określił Czesław Miłosz) kanonów: literatury światowej i literatury rodzimej.

Chciałbym rozpatrzyć jako konkluzję do obu ankiet szereg kryteriów porządkujących, z tym, że nie pokuszę się o ustalenie z kolei zasady porządkującej te kryteria: wymagałoby to zupełnie innych ram gatunkowych.

W ankiecie emigracyjnej wyraziła się dużo wyraźniej nie tylko świadomość istnienia perspektywy zewnętrznej, ale również spojrzenie na literaturę polską z zewnątrz. Podział na widzenie od wewnątrz i widzenie (przynajmniej częściowo) z zewnątrz wydaje się rzeczywiście przydatny, i to na kilka sposobów. Jakiś utwór czy pisarz może być ważny z punktu widzenia rozwoju literatury narodowej, ale nie z punktu widzenia rozwoju literatury szerszego kręgu kulturowego. Zjawisko „Peiper” czy poezja lingwistyczna lat siedemdziesiątych są tu przykładami, które ilustrują o co mi chodzi, gdyż wątpię, żeby znaleźli się chętni do udowadniania, że wiersze Peipera, czy poetów lingwistycznych z okresu, powiedzmy, 1970–80, warto obecnie przekładać na język angielski lub francuski (natomiast można argumentować, że poezję lingwistyczną ciągle warto przekładać na chiński). Oczy-

wicie Peipera prawie nie przekładano, a poetów lingwistycznych tak, niemniej w tym drugim wypadku była to koniunktura przede wszystkim polityczno-ideologiczna, chociaż byłoby krzywdzące nie przypominać, że niektóre z wierszy tego nurtu były świetne (np. Barańczaka czy Zagajewskiego). Innym przykładem może być Żeromski. Wyobrażam sobie argument, że jest niedoceniony, gdyż bardzo by się współczesnym czytelnikom polskim przydał jako nośnik pewnego rodzaju idealizmu, obecnie chyba rzadkiego. Ale wyobrażam sobie także kontrargument, że twórczość Żeromskiego nie sprzyjałaby obecnej potrzebie rozwijania mentalności kapitalistycznej, nawet więc jeśli jest niedoceniona z jakichkolwiek względów, winna pozostawać nadal w cieniu. Perspektywa z zewnątrz musiałaby posłużyć się zupełnie innymi argumentami, gdyby doszło w niej do sporu o Żeromskiego: która z jego książek jest artystycznie znakomita lub niezwykła, myślowo ciekawa, fabularnie pasjonująca w kontekście literatury zachodniej?

Spójrzmy dalej. Jak się zarysuje charakter obu perspektyw na przykładzie *Zazdrości i medycyny* Choromańskiego? Powieść ta była swego czasu ciekawym eksperymentem literackim i niewątpliwie zrobiła duże wrażenie, ale głównie w Polsce. Jej tłumaczenie na angielski przeszło prawie bez echa. Dlaczego? Może przekład był niedobry, a może eksperyment był ciekawy tylko w ramach rozwoju polskiej powieści. W każdym razie mamy w tym wypadku do czynienia z kryteriami czysto artystycznymi, które inaczej mogą wyznaczać rangę jakiemuś utworowi wewnątrz jednej literatury, a inaczej w szerszym kontekście. Dodajmy, że kryteria z zewnątrz mogą okazać się węższe niż kryteria wewnętrzne. Niedawno ukazał się nowy przekład *Ogniem i mieczem* Sienkiewicza. Komu potrzebny? Według niektórych przede wszystkim Polonii amerykańskiej. Poczekajmy jeszcze z tak ostrym osądem, bo a nuż powieść stanie się *bestsellerem*.

Zwróćmy dalej uwagę, że poezja Herberta została doceniona na Zachodzie (z emigracją włącznie) a przede wszystkim w krajach języka angielskiego, dużo szerzej niż w Polsce. Podobnie było zresztą z Miłoszem, z tym że w wypadku Miłosza zasadniczą rolę w jego niedoceniu w Polsce lat gomułkowsko-gierkowskich odgrywał zakaz druku. W obu wypadkach jednak perspektywa zewnętrzna zaważyła w końcu na perspektywie rodzimej. Można by twierdzić, że z poetów jedynie Różewicz został doceniony w obu kontekstach prawie równocześnie, co było w pierwszej fazie w dużej mierze zasługą tłumaczy, Dedeciusa, Czerniawskiego, Miłosza.

Wskazmy na jeszcze jeden sposób, w jaki perspektywa z zewnątrz może oddziaływać na oceny literackie. W pierwszym

tegorocznym numerze *Tekstów Drugich* przyswajany jest polskiej krytyce termin „postmodernizm”. Włodzimierz Bolecki, autor głównego artykułu na ten temat, zastanawia się nad przydatnością tego pojęcia dla polskich studiów literackich, i chociaż odpowiedź nie jest zbyt pozytywna, jednym z rezultatów rozważań jest próba zidentyfikowania utworów postmodernistycznych w dwudziestowiecznej literaturze polskiej. Jeśli terminowi „postmodernizm” nadać znaczenie pozytywne (a niewątpliwie takie znaczenie ma on ciągle na Zachodzie) w polskiej krytyce zacznie funkcjonować nowe kryterium wartościowania, które musi wpłynąć na hierarchizację dzieł literackich. Miazga Andrzejewskiego może na tym skorzystać, *Dolina Issy* raczej odwrotnie. Przykład przewartościowania w kategoriach estetyki postmodernistycznej znajdujemy już zresztą w wypowiedzi Edwarda Możejki, który wymienia w tym kontekście utwory Macha, Konwickiego i Parnickiego. Pełniejsze przyswojenie punktu widzenia zachodniego feminizmu również będzie miało swój aspekt wartościujący. Jest interesujące, że coś w rodzaju perspektywy feministycznej wystąpiło w wypowiedzi Marii Danilewicz Zielińskiej, a więc krytyka i autorki przebywającej na Zachodzie.

Mówiąc o perspektywie zewnętrznej, mamy zwykle przede wszystkim na myśli kulturę i literaturę zachodnią, europejską, amerykańską, kanadyjską, australijską. A nie jest to przecież kontekst najszerszy. Istnieją dalsze możliwości definiowania kryteriów przez ich relatywizację. Porównajmy na przykład następującą charakterystykę estetycznej tradycji Indii, pióra Josepha Campbella:

W hinduskiej estetyce wyodrębnia się cztery rodzaje tematów odpowiednich dla sztuki. Są to: jakości abstrakcyjne, takie jak dobroć, prawda, piękno, i tym podobne; następnie czynności i nastroje (np. unicestwienie nieprzyjaciół lub potworów, pozyskanie miłości drugiej osoby, nastroje melancholii, błogostanu i tym podobne); po trzecie, typy ludzkie (bramini, żebracy, dobrzy lub źli władcy, kupcy, służący, kochankowie, ludzie wyrzuceni poza nawias społeczności, przestępcy, itp.); na koniec — bóstwa, z których wszystkie są abstrakcjami. Na Wschodzie bowiem występuje brak zainteresowania jednostką jako taką, czy też wyjątkowymi, bezprecedensowymi faktami lub wydarzeniami.

Wzrastający globalizm życia kulturalnego, rola przekładów, reprodukcji, wystaw, filmów, telewizji, podróże — wszystko to powoduje, że kulturalne wartości etnocentryczne tracą swój monopol w przyspieszonym tempie, a to z kolei zmusza do przewartościowań i nadwątlania się tradycyjnych kryteriów; w tej chwili prowadzi w rzeczy samej do zwiększającego się chaosu wartości.

W dawniejszej praktyce wartościowania ogromną rolę odgrywał fakt ostania się jakiegoś dzieła mimo upływu czasu. Dziełem klasycznym, a więc należącym do kanonu, było takie dzieło, które nie traciło uznania czytelników i krytyków mimo przemian w smaku czytającej publiczności, nowych mód i kierunków, oraz doświadczeń kolektywnych, pokoleniowych. Stosowanie tego kryterium wobec literatury współczesnej nie wydaje się możliwe z tej prostej przyczyny, że w grę wchodzi wpływ co najwyżej kilkudziesięciu lat, a więc okres niewystarczający, żeby mówić o powstaniu trwałego kanonu. Niemniej, biorąc pod uwagę szybkość i charakter przemian współczesnego świata, łącznie z szybszą wymianą pokoleń, niesamowitość doświadczeń, mobilność formacji społecznych oraz zmiany kryteriów, zarówno moralnych jak i estetycznych (czy zwanych estetycznymi), można uznać okres półwieczny za dostatecznie długi, by brać pod uwagę trwałość popularności dzieł literackich jako czynnik dostatecznie znaczący. W wypadku literatury polskiej sytuacja jest o tyle jeszcze bardziej skomplikowana, że część tego okresu wykluczała naturalne formowanie się opinii (zarówno krytycznej jak i czytelnicznej) o poszczególnych dziełach, skoro tyle z nich nie było dostępnych czytelnikom i nie mogło być poddane analizie i krytyce przez tak zwanych znawców. W dodatku system zakazów działał jako wskaźnik wartości przeciw ocenom oficjalnie aprobowanym. (Stąd zresztą wartość takich ankiet jak obecna). Chyba można skonstatować, że w kontekście czysto rodzimym przetrwała lub utwierdziła się pozycja Witkacego, Leśmiana, Schulza i Gombrowicza, raczej nie chwieje się pozycja Miłosza (mimo zastrzeżeń postawangardzystów), dobrze opiera się jak na razie krytyce dorobek Borowskiego, Herberta, Różewicza, Białoszewskiego i Szymborskiej, ale względny *consensus* rozwiewa się już w wypadku pisarzy tak okresowo dominujących w świadomości czytelników i krytyków jak Żeromski, Dąbrowska, Iwaszkiewicz, Staff, Przyboś, Czechowicz, Andrzejewski, Brandys, czy Mrożek. Niezbyt jasno rysuje się ranga dorobku Parnickiego, Lema (przede wszystkim ze względu na uprawianą gatunek pisarstwa), Choromańskiego, Szaniawskiego, Ważyka, Brzękowskiego, Nałkowskiej, Kuncewiczowej, Filipowicza, Krzysztonia, Kijowskiego, Buczkowskiego, Baczyńskiego, Karpowicza, Nowaka, Nowakowskiego, Woroszyńskiego, Wirpszy, Hłaski i wielu innych prozaików, dramaturgów i poetów, chociaż można chyba przyjąć, że raczej wątpliwy jest renesans pisarzy *Współczesności*, a na pewno zapadnie w zasłużoną niepamięć prawie całe pokłosie socrealizmu, większość tzw. literatury rozrachunkowej, a także z okresu stanu wojennego. Postępujące powoli zapoznawanie się zarówno czytelników jak i krytyków krajowych z dorobkiem pisarzy emigracyjnych do niedawna słabo istnieją-

cych w obiegu krajowym wprowadziło w poczet dotychczasowych znakomitości krajowych Wata, Stempowskiego, Herlinga-Grudzińskiego, Haupta, Józefa Mackiewicza, Odojewskiego, Tadeusza Nowakowskiego, Iwaniuka i innych, ale jak ustala się ich reputację gdy minie faza odkrywania, trudno przewidzieć. Podobnie trudno przewidzieć, czy zostanie wreszcie odpowiednio oceniony Czerniawski, obecnie rzekomo przeceniony, lub Darowski, czy zostanie udostępnione szerszym kręgom czytelników dzieło Vincenza, czy ostatecznie się *Piotruś* Lipskiego albo *Smągła swoboda* Pankowskiego, jaką rangę uzyska dorobek Bobkowskiego, itd.

Nacisk w obu ankietach położony został na pisarzy (doceniony, niedoceniony, zapomniany) raczej niż na utwory. A równocześnie przynajmniej niektórzy respondenci upominają się właśnie o poszczególne utwory. Rozróżnienie może się wydać mało przydatne. W końcu wiadomo, że o randze pisarza decydują dzieła: nie ma pisarza bez dzieł (choć w Związku Literatów Polskich, jak i w Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie bardzo różnie bywało, a złośliwcy awangardowi twierdzili, że Skamandrytom, rozprawiającym o talencie, rzeczywiście brakowało nie tyle talentu, co wybitnych dzieł). Rozróżnienie warto jednak podtrzymać. Można by argumentować, że Choromański słusznie jest niedoceniony, jeśli chodzi o całość jego dorobku, natomiast niesłusznie została zapomniana jego powieść *Zazdrość i medycyna*. Powieść Halszki Guilley-Chmielowskiej *Spotkania na galerii* warta jest niewątpliwie przypomnienia, między innymi z uwagi na jej kobiecą perspektywę, ale o pisarce nie da się powiedzieć dużo więcej niż o jej, jedynej bodajże, powieści. Bardziej jeszcze uwypuklimy wartość rozróżnienia, jeśli zestawimy ze sobą kilku autorów o sporym dorobku pisarskim. Na przykład Dobrowolskiego, Buczkowskiego (Leopolda), Brandysów, Iwaszkiewicza, Konwickiego, Putramenta, Romanowiczową, Wata i Miłosza. Otóż nietrudno będzie się chyba zgodzić, że hierarchizując ich dorobek, weźmiemy pod uwagę nie tylko ogólny artystyczny poziom ich twórczości (co pozwoli nam wyeliminować Dobrowolskiego i Putramenta), ale i intelektualne wizje i treści, jakie reprezentują całym swym dorobkiem, a to kryterium niewątpliwie wysunie na czoło pisarstwo Miłosza, natomiast obniży rangę Iwaszkiewicza, który myślicielem raczej nie był, i każe zastanowić się nad wartościami myślowymi Kazimierza Brandysa, Buczkowskiego czy Konwickiego. Jeśli natomiast zechcemy spojrzeć na wymienionych pisarzy z punktu widzenia rozwoju form, to zainteresowanie nasze skupi się przede wszystkim na Buczkowskim, Romanowiczowej i Konwickim. Kryterium stylistyczne uszereguje nam wymienionych pisarzy jeszcze inaczej: zainteresuje nas poetyka Wata, przede wszyst-

kim różnorodność rejestrów językowych, oddamy sprawiedliwość subtelnie modulowanemu klasycyzmowi Iwaszkiewicza, ale podziwiać będziemy walory składni, głos poetycki, konsekwentnie wysoki poziom poszczególnych utworów i urodę języka Miłosza, łatwość i inteligencję prozy Kazimierza Brandysa, czytelność prozy Mariana, podczas gdy Buczkowski i Romanowiczowa stanowiąc będą, na różne sposoby, ciekawy problem krytyczny i czytelniczy. Jeśli natomiast zapytamy o walory wyobraźni, to przypuszczalnie zechcemy listę poszerzyć, na przykład o Leśmiana, aby uzyskać skalę porównawczą pozwalającą na określenie najwyższego stopnia tego miernika w kontekście polskim.

Z podanych przykładów wynika, że wszelkie próby ustalania hierarchii zawierają w sobie, ujawnione lub ukryte, podejście porównawcze. W polskiej krytyce literackiej czy, szerzej, w polskim literaturoznawstwie (irydujący to zresztą germański termin) studia porównawcze są rzadsze niż na Zachodzie. A przecież jest to doskonały sposób na maksymalnie obiektywne sprawdzanie jakości, a w każdym razie na możliwość rzeczowej niezgody. Jerzy Pietrkiewicz nazwał ten proceder „oceną w kontekście”. Zestawił ze sobą dwie powieści o podobnej tematyce (*Trans-Atlantyk* Gombrowicza i *Turyści z bocianich gniazd* Straszewicza) i skrótowo określwszy ich cechy, ocenił powieść Straszewicza wyżej niż powieść Gombrowicza.

Wspólny mianownik tematyczny nie tylko umożliwia grupowanie wielu utworów, ale pozwala na konstatowanie różnic, które mogą stać się podstawą ocen. Spójrzmy, jaki efekt na proces wartościowania będzie miało porównawcze potraktowanie większej grupy utworów o podobnej tematyce: a więc zestawienie ze sobą nie tylko powieści Gombrowicza i Straszewicza, ale *Monizy Clavier* i *Emigrantów* Mrożka, *Pogranicza* Świdorskiej, napisanej po angielsku powieści Pietrkiewicza *Future to Let*, a nawet niektórych wierszy Miłosza, Herberta, Darowskiego, Ichnatowicza, Iwaniuka, Buszy, czy opowiadań Czerniawskiego (a można by wymieniać dalsze nazwiska i utwory). Wydaje się, że rzetelnie porównawcze omówienie tych i podobnych utworów dałoby szansę na wyłonienie ocen z wewnątrz omawianego materiału. Wspólne mianowniki nie muszą być zresztą tylko tematyczne. Mogą być okresowe (dwudziestolecie, okres stanu wojennego), pokoleniowe (pokolenie 1956 roku), grupowe (Skamandryci, „Żagary”, grupa „Kontynentów”), gatunkowe (powieść, liryka), filozoficzne, itd. Można pytać o oryginalność, wyobraźnię, lub rozpatrywać powieść polityczną, poezję awangardową lub lingwistyczną, czy nurt eksperymentalny. Można starać się zidentyfikować najwybitniejszy polski utwór soc-realistyczny lub pol-realistyczny, najlepsze wiersze religijne, krajobrazowe lub miłosne, najwybitniejszy utwór o tematyce chłopskiej, najlepsze

utwory jednego pisarza lub najlepsze powieści napisane na emigracji; a tu, przy okazji, prowokacja wobec krytyków krajowych: czy potrafią wymienić w tym samym, czy w jakimkolwiek innym okresie literatury krajowej tak znakomite powieści jak *Trans-Atlantyk*, *Turyści z bocianich gniazd*, *Dolina Issy* i *Koniec „Zgody Narodów”*, wszystkie wydane przez Instytut Literacki w odstępie zaledwie kilku lat 1953–1955)?

W ostatecznej analizie liczą się i zostają poszczególne utwory. Poeci osiągają dłuższą nieśmiertelność w szczupłych wyborach, antologiach i wypisach szkolnych, dramaturdzy w repertuariach teatrów, autorzy opowiadań w antologiach lub wyborach, powieściopisarze dzięki jednej lub w najlepszym razie dzięki paru powieściom. Reszta staje się domeną historii literatury i literaturoznawstwa. Proces porządkowania i przesiewania w wypadku literatury współczesnej daleki jest od ukończenia. Krytycy i literaturoznawcy mają tu jeszcze wiele do zrobienia, a o gustach przyszłego czytelnika nic się rzeczowego powiedzieć nie da. Ankieta krajowa i emigracyjna są być może zabawą, ale nie jest to zabawa naprawdę niebezpieczna. Niebezpieczny, w rzeczy samej śmiertelnie niebezpieczny, jest tylko i wyłącznie czas.

Bogdan CZAYKOWSKI

POSTSCRIPTUM*

Polityka rozpisała ankietę dla wykrycia „Kanonu literatury polskiej XX wieku”. Dokonałem niskofrekwencyjnej analizy odpowiedzi Największych Mędrców Polonistyczno-Krytycznych, zamieszczonych w rzeczonym tygodniku, i oto zintegrowane wyniki, czyli destylat, powiadamiający, co należy pisać i jakim należy być, ażeby w obrębie kanonu się znaleźć.

Należy być NIEBOSZCZYKIEM, NIECZYTANYM, NIE-PRZETŁUMACZALNYM na żadne języki obce, NIEZNANYM, NIEAKTUALNYM, ewentualnie NIESAMOWITYM, NIEWYDAWANYM, oczywiście z wyjątkami.

* Przedrukujemy za *Polityką* z 12.06.br. (Nr 24) POSTSCRIPTUM napisane 2 kwietnia 1993 przez Stanisława Lema, który opublikował je w *Odrze* (Nr 5 — maj 1993). Postscriptum to tak pasuje do naszej Ankiety, że nie możemy oprzeć się pokusie jego wykorzystania (Redakcja).

W bibliotece lwowskiej mojego ojca znajdował się m.in. „Xiądz Faust” Micińskiego i usiłowałem zmóc tę lekturę od lat dwunastu, lecz nigdy mi się nie udało. Dlaczego Bolesława Prusa przeciwko nieznośnej żeromszczynie wszyscy Mędracy pominęli, domyślam się jeno: ponieważ „Lalkę” i „Faraona” jako doskonale czytelną i znakomicie ogniem żywym prześwieconą literaturę czyta się zachłannie, natomiast Żeromski się okropnie zestarzał. Co do nieczytelności: „Pałuba” nie jest jej wierzchołkiem, ale do niego aspiruje. Vincenz wspaniałym człowiekiem był, ale kwiatków jego i „Poloniny” nikt, z wyjątkiem, pp. Polonistów, do ostatniej strony doczytać nie jest w stanie. Zamiast Odojewskiego radziłbym Faulknera, boć lepiej pić ze źródła, niż w dolnym biegu strumyka. Jeszcze mi nikt nie wyłożył, o czym Parnicki z Buczkowskim (późnym) pisali. Tytuły zaiste znakomite („I wśród możliwych dziwny”, „Kąpiele w Lucca”, „Oficer na niesporach”, „Kamień w pieluszkach” itp.) — ale trochę jak na prozę za mało.

„Legenda Młodej Polski” ma zapewne na celu definitywne odstraszenie wszelkich aspirujących do tłumaczenia. Rzecz w tym, jak miemam, ażeby ta polska literatura wyłączną i tajną własnością Polaków na wieki została — ażeby Broń Boże żaden Niepolak słowa przełożonego z piśmiennictwa sarmatycznego nawet nie ujrzał! Jakoż nie ujrzy, odstraszonego należycie. Trzeba w samej rzeczy wystrzegać się Europy, Ameryki, Niemców, Francuzów, a jak już musi być Gombrowicz znany tam, to podsunąć im „Trans-Atlantyk”, *primo* nieprzetłumaczalny, *secundo* niezrozumiały poza naszą granicą. Dbałość o sterylizację przeciwko kosmopolityzmowi widać weszła Polonistom w krew. *Extra Poloniam non es vita, si est vita, non est ita*. Pisarz Wojtyła, znamenity jako Papież, ma wejść też do Kanonu, ale czy aby nie przez lizusostwo odpowiadającej osoby? „Hrabia Orgaz” Jaworskiego *casus mirabilis*, ale i wołami przyciągnięci nie przeczytają, więc co za bajdurzenie oszołomskie o kształtowaniu „Postaw Polskiej Inteligencji”? Finalny wniosek: nie tylko nam polityczna klasa oszalała, polonistykę też pochłonęło oszołomstwo...

Stanisław LEM

Gorący oddech pustyni

I

W kilka dni po zawale, w skrzydle kardiologicznym szpitala San Paolo, zacząłem się interesować współtowarzyszami choroby w pokoju liczącym około tuzina łóżek. Po mojej prawej stronie leżał ksiądz, którego reakcją na zawał był niestanny sen: spał dniem i nocą, budził się tylko by sięgnąć po szklankę wody na nocnym stoliku i w porze porannego posiłku (po śniadaniu robiono mu jak wszystkim kardiogram), siostra szpitalna nie niepokoila go w godzinach obiadu i kolacji, przepisane pastylki wtykała mu sama do ust, bez przerywania snu czy głębokiej drzemki. Podczas południowego obchodu chorych lekarz przeskakiwał jego łóżko, zaglądając tylko szybko do kardiogramu i wykresu ciśnienia. Zoczyło to zapewne, że sen był jego głównym lekarstwem; tak zmęczonej, obrzękłej ze zmęczenia twarzy nie widywało się często, chyba jedynie wśród kloszardów (po włosku barbonów); i wyglądem przypominał świątobliwego barbona, z metalowym krzyżem zacisniętym w splecionych dłoniach. Zawał dosięgnął go podobno w konfesjonale; alarm podniosła stara kobieta, zaniepokojona milczeniem za siatką i cichymi odgłosami jakby jęku.

Naprzeciw mnie, w rzędzie łóżek pod przeciwległą ścianą, przykuwał uwagę młody, może dwudziestopięcioletni chory, nieruchomy, do pasa oparty na wzniesionym wezgłowie, ze wzrokiem utkwionym w suficie. Czasem opuszczał oczy i wtedy krzyżowały się na chwilę nasze spojrzenia. Jakie było smutne jego spojrzenie, jak pełne lęku i (chciałoby się powiedzieć) zaskoczenia! Odgadłem dzięki srebrnemu pucharowi na stoliku, że był sportowcem, któremu zawał podciął

naraz skrzydła w locie. Godzina wizyt wyznaczona była o zmroku, przed wczesną kolacją. Przychodziła do niego codziennie śliczna dziewczyna; nie zważając na pozostałych chorych, kładła się niemal obok niego na łóżku i obcałowywała jego twarz, szyję, ręce. Po wizycie, za szklanymi drzwiami obrotowymi sali, przystawała na krótko, żeby się wypląkać w chusteczkę. Czego nie mógł widzieć jej ukochany, ale dobrze widziałem ja.

Czemu to opisuję, skoro w mojej opowieści istotną rolę odgrywa ktoś inny, mój sąsiad z lewej strony? Dlatego, podejrzewam, że od początku chciałbym stworzyć atmosferę choroby. Wszystko co dalej nastąpi, będzie w znacznej jeśli nie przeważającej mierze poruszaniem się w tej sferze ludzkiego życia, którą chorzy odczuwają resztkami swego instynktu (albo przeżywają bezwiednie) jako nagłe, gwałtowne zaciemnienie przed powolnym bądź szybkim schodzeniem w dół. Choroba, ciężka choroba oczywiście, ma różne oblicza, ale zawsze błąka się na nich grymas zwiastujący odejście.

Mój sąsiad z lewej strony nie był ani milczący, ani szczególnie rozmowny. Kiedy jednak nawiązywała się między nami krótka choćby rozmowa, mogłem podziwiać dar błyskawicznej inteligencji południowców; umiejętność odpowiadania na pytania, które jeszcze nie zostały postawione, lecz wiszą już w powietrzu; jak gdyby cały czas ich umysł koncentrował się na „prawdziwej” podszewce poruszanych kwestii. Nazwę go Ludovico. Był przez wiele lat sędzią śledczym w Vallo della Lucania, stolicy rejonu Cilento, jego jurysdykcja obejmowała także Paestum i pobliskie Agropoli. Owodniały dość dawno, miał jedyne syna, architekta w Neapolu. U schyłku życia ojca syn, zdaje się że przysięgły stary kawaler, sprowadził go do Neapolu, do swego mieszkania na Santa Lucia. Od paru już lat sędziego przeniesiono w stan spoczynku, a samotne życie w Vallo della Lucania nie należy do przyjemności. Syn był bardzo wziętym architektem, tak wiecznie zajęтым, że rzadko korzystał z godziny wizyt w szpitalu; codziennie za to przysyłał jednego ze swoich kreślarzy z torbą owoców. Sędzia Ludovico był po drugim zawale, pierwszy, stosunkowo łagodny, poraził go w trakcie ostatniej rozprawy sądowej w Vallo, do której przygotowywał materiały śledcze i protokoły przesłuchań. Drugi, neapolitański zawał określono (tak samo jak mój) *acuto*, na szczęście syn był akurat w domu i zawiózł go „na syrenie” do San Paolo, gdzie miał przyjaciela kardiologa.

Przyszedł nareszcie dzień pełnego i trwałego przebudze-

nia księdza. Nie przestając ścisnąć krzyża w zaciśniętych dłoniach, poruszał wciąż wargami w szeptanej modlitwie. Nie próbowałem nawet zagadać do niego, tak był pogrążony w modlitwie i tak z przymkniętymi powiekami przypominał ledwie żywego topielca, wyciągniętego właśnie na brzeg. Podczas południowego obchodu odpowiadał krótko niedosłyszalnym prawie głosem na pytania lekarza. Ale przynajmniej jego szarą, obrzękłą twarz rozjaśniał dobry uśmiech.

Dość tłumne sale szpitalne sprzyjały komitywom opartym na sąsiedztwie. Kiedy więc pozwolono nam na półgodzinne spacerowanie po korytarzu, bez uprzedniego porozumienia stworzyliśmy trójkę: sędzia śledczy Ludovico, ksiądz (nazwę go Zeno) i ja. Chodziliśmy wolno, niosąc ostrożnie nasze serca jak kule z kruchej szklanej, od dyżurki lekarza do dużego okna, które po przeciwnej stronie zamykało korytarz widokiem brudnego i zachwaszczonego pola oraz chłopców grających w piłkę nożną. Ksiądz Zeno dotrzymywał nam kroku, stawał gdy i my stawaliśmy dla odetchnięcia, ale bez słowa przysłuchiwał się naszej rozmowie. Nie byłem nawet pewien, czy słyszy co mówimy, czy też zajęty jest całkowicie własnymi myślami. Słyszał, wbrew pozorom. Kiedy pewnego popołudnia zastanawialiśmy się z sędzią, jakie są najcięższe choroby starości — oczywiście chorobie serca towarzyszył rak, — ksiądz Zeno szepnął nagle cicho: *amnezja*; i jeszcze ciszej dorzucił: *gorący oddech pustyni, un respiro caldo del deserto*. Sędzia spojrzał na niego z nieukrywanym zdumieniem.

II

Nocą po jednym z tych spacerów, który wydawał się zadatkami wypisania ze szpitala, około drugiej (nie mogłem owej nocy zasnąć po ostatniej porcji pastylek) usłyszałem po prawej stronie rżenie. Bardzo ciche, tłumione, jakby ksiądz Zeno, mimo zapewne bólu, starał się nie budzić śpiących. W słabym świetle nocnej żarówki widać jednak było, że jest to więcej niż (jak w pierwszej chwili sądziłem) przelotny ból. Jego twarz była pokryta potem, duże krople spływały z czoła do oczu i niżej. I ból musiał być straszny, skoro zauważyłem, że ksiądz Zeno wypuścił z rąk swój krzyż i zacisnął je kurczowo na żelaznej ramie łóżka. Nie miałem wątpliwości, tak wyglądał mój zawal. Nacisnąłem guzik dzwonka. Zaspany pielęgniarz ocknął się natychmiast, gdy rzucił okiem na chorego. W dwie minuty później cała ekipa otoczyła łóżko księ-

dza i odgrodziła je parawanem od reszty sali. Słyszałem cichą rozmowę, włączono kroplówkę, jedynym dobiegającym do moich uszu słowem było *tardi*. Raz głos lekarki podniósł się dramatycznie, powiedziała wyraźnie i prawie głośno *troppo tardi*, za późno. Leżałem bez ruchu z otwartymi oczami, pozostali pacjenci spali. O trzeciej opustoszało za parawanem. Odsunąłem go lekko ręką wyciągniętą na całą długość, wychyliwszy się z łóżka. Ale udało mi się odsunąć parawan nieznacznie, na tyle jedynie by zobaczyć nakrytą prześcieradłem głowę umarłego. Najwidoczniej w obawie przed nocnym zamieszaniem nie tknięto zwłok. Ich wywiezienie odłożono do świtu.

Tuż przed świtem zasnąłem mocno. Nie śniłem żadnych scen czy obrazów, śniłem słowo. Tym słowem była „amnezja”. Rozlegało się z taką siłą, jak gdyby powtarzał je rozkołysany dzwon. Kiedy obudziła mnie pielęgniarzka na śniadanie poprzedzone pierwszymi lekarstwami, z prawej strony ujrzałem zasłane czysto łóżko. Mój sąsiad z lewej powiedział: „Chore serce jest podobne do nocnego złodzieja. Śmierć skrada się na palcach”.

Nasza lekarka była siostrą mojego neapolitańskiego znajomego, toteż mogłem uchodzić za „rekomendowanego” (we Włoszech żelazny glejt). Niekiedy, przeważnie po południu, siadała na moim łóżku na pogaduszki. Od niej dowiedziałem się, że ksiądz Zeno był proboszczem w biednej, proletariackiej ze znaczną domieszką przestępców i prostytutek, parafii na peryferiach miasta. Porównała go do zdartego doszczętnie buta i dodała: „Cud, że dotrwał do swoich siedemdziesięciu lat”. Tym większy cud, że od kilku lat co jakiś czas przepadał gdzieś na długo, odwoziła go do domu policja nie tylko zabłąkanego, lecz zagubionego, ledwie pamiętającego jak się nazywa i jaką pełni funkcję, rozpoznającego z trudem swoich parafian. Powinni go byli odesłać do przytułku dla starych i chorych duchownych, ale kto zgodziłby się przyjść na jego miejsce w tej przeklętej dzielnicy nadmorskiej, czarnej aż od dymu z pobliskiej stalowni? Niewykluczone, że czwarty zawal (który zazwyczaj zapala czerwone światło alarmowe) dosięgnął go w konfesjonale zapłatanego w swoich słabych, coraz słabszych, przebłyskach pamięci. Nie, nie było dla niego ratunku, szpital mógł tylko przedłużyć trochę okres przedpiętym, fatalnym zawalem. Pozwolono mu na spacer po korytarzu, żeby przed śmiercią miał chociaż złudzenie stanięcia na nogach. Nie wiadomo zresztą, czy tego pragnął, możliwe że pociągał go jedynie długi, przedśmiertny sen, zakończony usnięciem na zawsze.

Wywód lekarki był dość mętny, robił chwilami wrażenie, że usiłowała się z czegoś wytłumaczyć. Ale prawdziwie brzmiały jego realia. Przypominałem sobie wygląd bezgranicznie zmęczonego księdza na sąsiednim łóżku.

Wypisano mnie ze szpitala na krótko przed Bożym Narodzeniem. Sędzia Ludovico nie ukrywał, że mi zazdrości. Na pożegnanie dał mi swój adres na Santa Lucia.

III

Sądzi się na ogół, że szpital, wojsko, więzienie wiążą ludzi, wytwarzając wspólnotę która trwa długo jeszcze „na zewnątrz”, po wyjściu z przymusowej izolacji. Utarty sąd, może w wielu wypadkach uzasadniony, w moim wypadku błędny. Nie lubię spotykać byłych towarzyszy broni i więźniów, a świeża choroba przekonała mnie, że również towarzyszy z sali szpitalnej. Rzecz jest przypuszczalnie fobią (może swoistą klaustrofobią) czysto osobistą, związaną z jedną z postaci wybujałego, przesadnego indywidualizmu. Znamienne, że mam skłonność do szybkiego zapominania nazwisk ludzi, z którymi los połączył mnie na długo w miejscach bytowania stadnego.

Nie skorzystałem więc z adresu podanego mi przez sędziego Ludovico. Gdybym był skorzystał i zatelefonował do mieszkania na Santa Lucia, dowiedziałbym się, że po nagłym trzecim zawale w szpitalu Ludovico został wywieziony do domu wypoczynkowego w Szwajcarii. Spędził tam okrągły rok. Spotkaliśmy się nieoczekiwanie w pogodny dzień na bulwarze nadmorskim na wysokości Piazza Vittoria. Ja od tego punktu rozpoczynałem zlecony mi przez kardiologa spacer zdrowotny na płaskiej trasie aż do portu rybackiego Mergellina, on wybrał tę samą trasę, posłuszny takim samym wskazaniom lekarza, schodząc na Plac Zwycięstwa z położonej obok Świętej Łucji.

Stanowiliśmy dość osobliwą parę. Koło nas śmigali na rowerach (na chodniku przeznaczonym niby dla pieszych) młodzi chłopcy, na murku odgradzającym chodnik od ogromnych głazów falochronu przesiadywali zakochani wyłączeni całkowicie ze świata pocałunkami i pieszczotami, w zalewach czy wyrwach między głazami podskakiwały splawiki opartych o murek wędkarzy, a my szliśmy powoli, zatrzymując się co jakiś czas z ustalonych jakby z góry i raz na zawsze powodów; żeby ogarnąć wzrokiem zatokę; żeby w słoneczny dzień o

czystym powietrzu wpatrzeć się chwilę w Capri na horyzoncie; żeby powitać przybrzeżne wysepki okryte białymi koldrami mew; żeby w połowie trasy nacieszyć się widokiem ryb i osmiornic wystawionych w waniach w trotuarowym targu; żeby blisko już celu zabawić się na przystaniach w „kontrolę” ślizgowców i jachtów.

Nie ma co ukrywać, były to spacery nudne i monotonne, chociaż w opisie mogą robić wrażenie bardzo atrakcyjnych. Nudnawy też i monotonne, jakkolwiek miłe, inteligentny i zacny, był mój towarzysz. Zdawało się, że długa rekonwalescencja w Szwajcarii przytępiła jakby bystrość jego umysłu. Cieszył się życiem, spacer (jak mi wyznał) był jedyną formą tej radości, w domu wiódł żywot emeryta omotanego swoimi drobnymi przyzwyczajeniami, układał pasjansa i czasem (rzadko) bywał czwartym do brydża, stracił zupełnie dawny smak lektury książek, czytał jedynie od deski do deski lokalną gazetę, wieczorami drzemał przed telewizorem. Przy pewnych drobnych podobieństwach byłem jednak w lepszym od niego położeniu, dla mnie spacer poranny nad morzem był tylko przepisany mi przez mojego doktora lekarstwem. Ale po dwóch miesiącach zżyłem się z Ludovico. Gdy zdarzało się że nie przyszedł na spotkanie, maszerowałem w kierunku Mergelliny szybkim krokiem, nigdzie po drodze nie przystając, z uczuciem dotkliwego braku. Przypuszczam, że i on czuł to samo w dniach mojej przymusowej nieobecności.

IV

Któregoś dnia posunęliśmy się dalej, aż na molo za portem rybackim. Po drodze przeszliśmy obok oszklonej kaplicy, którą rybacy wystawili na cześć swego świętego patrona. O ile wiem, nie odbywały się tam nigdy żadne nabożeństwa czy modlitwy, składano co najwyżej przed małym ołtarzem wiązki kwiatów. Ale teraz przykuł nasz wzrok przyklejony do szklanej tafli, od strony bulwaru, arkusz papieru z niezgrabnym, ręcznym napisem: „Padre Zeno, ksiądz Zeno, opiekun ubogich, w pierwszą rocznicę śmierci, od wdzięcznych rybaków z Mergelliny”. Dotarł tutaj w swojej służbie kapłańskiej, z odległego czarnego Bagnoli do skąpanej w zielonkawo-błękitnym morzu przystani? W jaki sposób? Dlaczego? Stary rybak, który po tamtej stronie murku, na piaskzystej łasze, cerował sieć, był szczodry w informacjach: tak, przyjeżdżał tu, lub przychodził pieszo, raz na miesiąc, co

wywołało nawet niechęć proboszcza z miejscowych kościołów Matki Boskiej Śnieżnej i Matki Boskiej Położnej. Przychodził do pewnego czasu, mówiono potem że zachorował, że Bóg pomieszał mu w głowie. Dopóki jednak przychodził, nie było lepszego od niego człowieka, tak gotowego zawsze do pomocy. Trudno powiedzieć dlaczego przychodził, skoro Mergellina ma swojego własnego księdza, a z Bagnoli taki kawał drogi. Miał dobre serce, ale wiedzieliśmy że chce się tu odświeżyć, często w pogodę schodził do morza, mył długo twarz i ręce po zakasaniu rękawów. Dostawał też od nas trochę ryb i muli. Podobno oddawał je innym zaraz po powrocie do Bagnoli.

Spojrzelśmy po sobie w milczeniu. Pewnie stanęła nam przed oczami sala szpitalna w San Paolo, puste łóżko na którym spał zachłannie ksiądz Zeno, zanim zabił go piąty zawał. „Czy pan pamięta naszą przechadzkę w trójkę na korytarzu?” — zapytał Ludovico. „Pamiętam. Pamiętam też, jak zdumiała pana uwaga księdza Zeno o amnezji”. „Nie bez powodu. Moja ostatnia, przed chorobą, sprawa w Vallo della Lucania dotyczyła wypadku ciężkiej amnezji”.

Odtąd nasze wspólne spacerowanie nabrały innego charakteru. Sędzia opowiadał, ja słuchałem, rzadko przerywając pytaniami. Wyrażnie sprawiała mu ulgę, albo może nawet ukrywaną przyjemność, okazja do zrzucenia z siebie „ciężaru” (sam to raz określił w ten sposób). Moje zainteresowanie rosło z dnia na dzień, byłem podwójnie rozdrażniony, ilekroć musiałem pozostać w domu w złą pogodę. Z radością śledziłem powrót sędziego Ludovico do dawnej formy: był bystry, przenikliwy, cieszył się odzyskaną sprawnością umysłową.

Zastanawiam się jak przekazać jego opowieść w odcinkach (zajęła nam dwa tygodnie czasu). Jakkolwiek po każdym spacerze robiłem dość dokładne notatki, które leżą teraz na moim stole, zrezygnowałem w końcu z odtwarzania opowieści w pierwszej osobie i posiekanej na rozdziały, odpowiadające naszym spacerom. Postanowiłem wprowadzić do niej własny porządek, skondensować ją maksymalnie, kazać narratorowi wystąpić w trzeciej osobie, rozdziały wyodrębniając na zasadzie logiki i chronologii wypadków.

V

Pół roku dzieliło sędziego Ludovico od emerytury, gdy wybuchła w Agropoli sprawa małżeństwa Porter. Powierzono

mu ją natychmiast, chciał nią zamknąć swoją karierę.

Derek i Violet (nazywana przez włoskich przyjaciół Violetta) Porter byli z wykształcenia archeologami. W latach dwudziestych, wkrótce po ukończeniu studiów w Oxfordzie, przyjechali do Paestum jako ochotnicy w pracach wykopaliskowych. Pracowali ochotniczo, bez wynagrodzenia, mogli sobie na to pozwolić, pochodząc z zamożnych rodzin. Kupili i odnowili domek w Agropoli, blisko ruin sławnego Zamku, na niskim obrywie nad morzem. Mieli wtedy dokładnie tyle lat co dwudziesty wiek, stanowili parę o której często mówiono „coraz rzadziej spotyka się tak zakochanych”. Przyjechali do Włoch z dobrą znajomością włoskiego, wyuczonego na studiach, toteż w Agropoli uznano ich szybko za „swoich”. Nawet anty-angielskie skłonności faszyzmu nie wpłynęły na zmianę tego stosunku, a władze lokalne w Agropoli i okręgowe w Vallo della Lucania nie zakłócały ich spokoju.

Nie układała się natomiast ich praca archeologiczna w Paestum, grupa wykopaliskowa odnosiła się do nich z niechęcią. Po kilku miesiącach dano im do zrozumienia, że włoska grupa woli nie zatrudniać, choćby bezpłatnie, cudzoziemców. Porterowie znieśli ten afront z dobrą miną, tym więcej że byli w trakcie rozstawiania się z archeologią. Violet zaczęła malować, a Derek rzeźbić. Z wielką pasją (wyjaśnił sędzia Ludovico), wystarczy powiedzieć, że przyłgnęli kurczowo do Agropoli i jego okolic, bardzo rzadko wyjeżdżając tam, gdzie mogli nasycić oczy arcydziełami sztuki włoskiej. „To wszystko zostało sprawdzone podczas śledztwa”, dodał sędzia Ludovico nie bez odcienia dumy. „Po co? — wyrwało mi się. — Miało jakiś związek ze sprawą?”. „Nie, ale postanowiliśmy odtworzyć dokładnie cały długi pobyt Porterów we Włoszech. Często dochodzenie sądowe podobne jest do setek prześwietleń rentgenowskich. Z nadzieją, że odsłoni się nagle jakaś ukryta plamka. Niech pan pamięta, że chodziło o trudne do zrozumienia, niepojęte zabójstwo. Przynajmniej w pierwszych stadiach śledztwa”.

Malując i rzeźbiąc, Porterowie nie aspirowali do wystaw. Sprzedawali za grosze (nie dla zarobku, nie potrzebowali go) swoje obrazki i miniatury rzeźby w dzień targowy na rynku Vallo della Lucania. Sędzia Ludovico widział ich nie jeden raz (przed tragedią), otoczonych przez bogatych chłopów z rejonu Cilento, na tym cotygodniowym targu, zatręśnięciu wszelkiego dobra od artykułów spożywczych do odzieży i mebli, jak ze śmiechem, rozbawieni, wyklócali się

dla zachowania pozorów o ceny swoich „arcydzieł” (tak je sami nazywali: *i nostri capolavori*). Chłopi-nabywcy lubili ich i nie żalowali pieniędzy, a czasem płacili w naturze, osetką masła, jajkami, kurą, królikami. Ludovico widywał więc, przechodząc między straganami do swojego urzędu, ich „arcydzieła”. Violet wyspecjalizowała się w pejzażach, stopniowo nadawała im charakter ilustracji do bajek. Derek rzeźbił lub lepił z gliny drobne, dziwaczne figurki mężczyzn, kobiet i dzieci, wyraźnie wzorowane na eksponatach z gablot muzealnych w Paestum.

Tak płynęły lata, Porterowie stali się częścią krajobrazu Agropoli i Vallo. Mieszkańcy obu miasteczek przywiązali się do pary „sympatycznych Anglików”, z rozręwnieniem i aprobatą przyglądali się ich ciągłym czułościom w miejscach publicznych, mieli im za złe jedną tylko rzecz: brak dzieci. Na południu Włoch dziecko jest koronnym dowodem Bożego błogosławieństwa i wzajemnej miłości rodziców. Małżeństwa bezdzietne budzą tzw. „mieszane uczucia”. Ale nawet to nie wpłynęło na zmianę stosunku do „naszych Porterów”, *i nostri Porter* (tak ich w końcu zaczęto nazywać).

W maju 1939, gdy nad Europą zawisły ciemne i groźne chmury, Porterowie wyjechali do Anglii. W Londynie spędzili całą wojnę, on jako urzędnik biura wojskowego (był słabego zdrowia, fizycznie kruchy), ona jako sanitariuszka w szpitalu wojskowym.

VI

Nazajutrz po wojnie dwukrotnie pisali do sąsiadów w Agropoli: że wkrótce wrócą. „Pisali” jest określeniem nieścisłym. Autorem obu listów był w całości Derek, podpis Violet zdawał się dziwnie niezgrabny, chwiejny, jakby nabazgrany kurzem pazurem. W jednym zdaniu Derek napomknął, że „doświadczenia wojenne nadważyły siłę ducha mojej żony”.

To zdanie, po staroświecku zatroskane, sędzia Ludovico przytoczył dosłownie, uważał je bowiem za pierwszy zapis „chorobowych zaburzeń” Violet.

Zapowiedź rychłego powrotu do Agropoli okazała się przedwczesna. Wrócili dopiero w połowie lat pięćdziesiątych. W pierwszej chwili mieszkańców Agropoli uderzył tylko wygląd Violet. Była blada, wychudzona (niektórym nasunęło się określenie „wycieńczona”), prawie przezroczysta. Na pierwszej powitalnej przechadzce co kilka kroków szukała oparcia,

lub miejsca na którym można było boczkiem choćby przysiąść. Pozdrawiała po drodze wszystkich napotkanych, ale w sposób tak bezbarwny, konwencjonalny, że mieli prawo wątpić czy ich sobie naprawdę przypomina. Derek szedł za nią, rozdając na lewo i na prawo uśmiechy i uprzejmości, nikt jednak kto bystry nie mógł nie dojrzeć ciemnych odbłasków w jego oczach.

W dalszych zeznaniach i świadectwach, zebranych przez sędziego Ludovico, za wyglądem Violet poszło jej zachowanie. Z każdym dniem jaśniejsze, nawet jaskrawsze, było że rozpoznawała za mglistą zasłoną wieloletnich przecież znajomych. Aptekarz z Agropoli tak to ujął: *E assente, immersa nel suo sogno di cui non riesce a svegliarsi*, jest nieobecna, pogrążona w swoim śnie z którego nie potrafi się obudzić. Ale to było jeszcze do zniesienia, zachowanie Violet przypisywano jej „rojeniom artystycznym”. Gdyż po dawnymu codziennie rano, w pogodne dni, malowała. I w jej pejzażach nic nie przypominało tego, na co patrzyła; poruszała się rzeczywiście wśród zagadkowych rojeń czy widzeń, gdzie morze i niebo stawały się stopem rozległej, żółtawo-czerwonawej przestrzeni pustynnej. Któregoś dnia nie wyszła w ogóle z domu. Sędzia Ludovico pamiętał dobrze tę datę, 14 września 1958: oznaczała całkowite wycofanie się Violet z życia w Agropoli i początek jej „choroby”, jak to zamknięcie się w domu nazwał Derek.

Jego twarz była odtąd, dla mieszkańców Agropoli, odbiciem jej stanu. Jeśli wolno mówić o stopniowym, niepowstrzymanym wzroście wyrazu troski, z rosnącymi również odcieniami popłochu a może nawet paniki, to tak właśnie ukazywał się Derek Porter mieszkańcom Agropoli. Coraz częściej wyprawiał się do Vallo i do Neapolu, zamykając na klucz drzwi domku obok Zamku. Coraz częściej przyjeżdżali do Agropoli „goście z dużych miast” (włoskich i zagranicznych). I coraz wyraźniej, coraz szerzej rozpinąла swoje czarne skrzydła Nadaremność. Zadawano sobie pytania, dlaczego Derek Porter nie nakłania żony do leżakowania na ganku, dlaczego nie wyprowadza jej od czasu do czasu na spacer. Nie znajdowano na nie odpowiedzi (on sam unikał w rozmowach tematu Violet), bo nie wiedziano na czym jej „choroba” polega. A czy wiedział Derek, który wymawiał słowo „choroba”, akcentując w głosie cudzysłów? Czy wiedzieli „goście z dużych miast”, w których domyślano się lekarzy?

Zbliżyliśmy się do kapliczki rybaków na Mergellinie. Do

jej ściany, grubej tafli szkła, wciąż przylepiony był arkusz papieru z wypłowiałym od słońca napisem o rocznicy śmierci księdza Zeno. Sędzia Ludovico stał przed nim zamyślony.

VII

Jak wynikało z późniejszych zeznań Portera w śledztwie, „choroba” Violet stała się dla niego w końcu chorobą. Nie można się było dłużej łudzić: amnezja w ostrej, piorunującej formie, tak szybko postępująca jakby z każdym dniem choroby pożerała lub niszczyła doszczętnie kolejny płat pamięci. Lekarze nie mieli już wątpliwości co do diagnozy, lecz bezradnie rozkładali ręce, gdy chodziło o próby powstrzymania procesu. „Właściwie rzecz jest nieuleczalna, wolno wierzyć (ale tylko wierzyć), że czułość, wrażliwość i inteligencja otoczenia mogą rozniecić — na dłużej, czy krócej — niektóre gasnące iskry pamięci. Naprawdę jednak pozostaje tylko opieka i ciągły nadzór, osoby dotknięte amnezją nie zdają sobie sprawy z tego co robią. Nie są znane przyczyny choroby, ani okoliczności w jakich się narodziła”.

Porter usiłował przecież wytropić przyczyny i okoliczności. Podczas wojny Violet była energiczna, sprawna i zawsze uśmiechnięta jako sanitariuszka w szpitalu wojskowym koło Guildford. Lubiano ją i ceniono. On, pracując w jednym z londyńskich urzędów wojskowych, mógł mieszkać w ich dawnym mieszkaniu na Chelsea. Widywali się co tydzień, albo co dziesięć dni. Nie, nie, nic początkowo nie wskazywało na to, że sprawcą były „doświadczenia wojenne”, jak pisał w pierwszym liście do Agropoli. Dopiero w rok po wojnie pierwsze objawy skłoniły go do odłożenia powrotu do Włoch. Objawy niewinne jeszcze, które brał za roztargnienie. Gdyby natężył był dostatecznie wzrok, dostrzegłby pewnie że staje się inna: w życiu domowym, przed sztalugami, w rozmowach, w miłości. A przede wszystkim w lekturach. Pochłaniała z dziwnym nienasyceniem literaturę o okrucieństwach wojennych, o które nie otarła się prawie w szpitalu na prowincji, które znała głównie z bombowych nalotów na Londyn. Nie chciała o tym mówić, czytanie stało się jakby jej czysto prywatnym, ekskluzywnym obrzędem. Zamykała co wieczór książkę z twarzą, zdawało się, osmaloną płomieniem. W łóżku była sztywna, napięta, nie pozwalała się zbliżyć do siebie. Zrezygnował z wyjazdów do Oxfordu, gdzie zachęcano go do podjęcia studiów archeologicznych. Bał się po prostu

zostawić ją samą w mieszkaniu, jednym ze znaków zachodzącej w niej zmiany był lęk przed wychodzeniem z domu. W sumie jednak, choć niepokojąca, zmiana nie zapowiadała głębszych zaburzeń. Na krótko przed powrotem do Agropoli, w którym podświadomie pokładał wielkie nadzieje, nastąpiło pogorszenie. Rano przesiadywała godzinami przed płótnem na sztalugach, dotykając go pędzlem w drżących rękach, paliła papierosa za papierosem, co jakiś czas odkładała pędzle i paletę, nakręcała lok na brudny palec i trwała tak długo w zupełnym odrętwieniu somnambulicznym. Nie miał odwagi wytrącić jej z tego odrętwienia, pamiętał z dzieciństwa przekonanie, że somnambulik przebudzony dotknięciem ręki spada lub upada jak ciężka kłoda i może się dotkliwie poranić. Więc siedział przy biurku bez ruchu, lepił z plasteliny swoje figurki i nie odrywał od niej wzroku. Zaczął też wtedy pisać coś w rodzaju dziennika, ale dziennika bardziej transformacji Violet i swojego czuwania nad nią, niż własnych przeżyć i myśli.

Przyjęła obojętnie projekt powrotu do Agropoli, ona która podczas wojny śniła często o ścieżce wiodącej do domku na zamkowym wzgórzu, o morzu kołyszącym przytroczone do brzegu łodzie rybaków. Ale nie stawiała oporu, miała nawet chwile skupienia i zaradności w trakcie pakowania walizek i kufrów. Mimo to Porter nie mógł się otrząsnąć z wrażenia, że wiezie do Włoch bezwolny przedmiot, a nie żywą istotę.

VIII

Dwa dni niepogody zablokowały mnie w domu. Jak często bywa w Neapolu, natura wzięła odwet za długi okres słoneczny: lało bez przerwy, niebo przygniotło miasto ołowianymi chmurami, autobusy i samochody poruszały się wolno w potokach wody. Przez chwilę błysnęła mi w głowie myśl zatelefonowania do sędziego, ostatecznie opowiadać można i przez telefon. Błysnęła i natychmiast zgasła; Ludovico-narrator zrósł się dla mnie ze spacerami na bulwarze nadmorskim.

Pauzę postanowiłem wykorzystać dla przetrawienia historii Porterów, odgadując już mgliście, dzięki rozsianym tu i ówdzie tropom sędziego, ku czemu zmierza. Porzuciłem szybko ten zamiar. Do moich myśli wtargnął niespodzianie i niepodzielnie ksiądz Zeno. Co oznaczały słowa naszej lekarki,

że co jakiś czas przepadał gdzieś na długo, że przywoziła go do Bagnoli policja „zagubionego”, zaatakowanego przez nagły przypływ amnezji, którą nazwał krótko przed śmiercią, na korytarzu szpitala, „gorącym oddechem pustyni”? Skąd do niego to określenie? Ile w nim prawdziwego wyrazu własnych uczuć, a ile retoryki zasłyszanej lub świadomie zapożyczanej u nauczycieli sztuki kaznodziejskiej?

Urzekło mnie to określenie, ale urzekło instynktownie, jak zdarza się nie raz z poetyckim zwrotem, który przemożną sugestywnością obrazu wyprzedza wnikięcie w jego sens. Nie wiedziałem jeszcze, jak bliski rzeczywistości był ów sens. Tymczasem wszystko jak gdyby się pomieszało. Wspomnienie ostatniego, śmiertelnego zawału księdza Zeno i podsunięta mi przez wyobraźnię wizja jego kołowania na bezdrzewnej równinie, na spalonym świeżo polu: szedł przed siebie, wracał, stawał i dłońmi zasłaniał czerwoną twarz, znów szedł naprzód krokiem pijanego i znów wracał zataczając się, człowiek jedyny, człowiek odepchnięty przez świat, człowiek nieświadomy swego istnienia.

IX

Na podstawie zeznań Portera sędzia Ludovico ustalił w chorobie Violet punkt krytyczny, od którego zaczął się zjazd w dół po równi pochyłej, bez żadnych już widoków na opóźniające działanie hamulców. Było to letnią nocą, gdy Violet obudziła się nagle z przejmującym okrzykiem: „Gdzie jestem?”. Porter wziął ją w ramiona, drżała jak mały ptak ze zwichniętym skrzydełkiem w złożonych łukowato dłoniach. Był wstrząśnięty. Powtarzał machinalnie i bezradnie „Derek, Agropoli”, obsypywał pocałunkami jej rozgrzaną twarz. Nie reagowała na te czułości, chociaż przytuliła się do niego. Po czym zerwała się z łóżka, usiadła w kącie pod sztalugami i powtarzała cicho „gdzie jestem?”, nie zważając na jego obecność, błagalnym tonem modlitwy. O świecie usnęła na siedząco, przeniósł ją ostrożnie do łóżka.

Ludovico zatrzymał się i oparł o murek, był wyraźnie zmęczony, a może i przejęty. Bez słowa patrzyliśmy na zalew w wyrwie między głazami falochronu, gdzie w słońcu bawiło się stado mew; ocierały się zwinnie brzuskami o powierzchnię morza i wypryskiwały w powietrze jak białe pociski.

„Tak — powiedział odetchnąwszy sędzia, — tak, trudno w tym nie widzieć punktu krytycznego. Nie wiedzieć gdzie

się jest! Jakaż tortura! Ale czy odczuwała ją w jakiś sposób Violet? Moim zdaniem nie. Przechodziła już na tamtą stronę. Derek Porter był innego zdania”.

Wierzył, że istnieje jeszcze szansa powstrzymania Violet, chwycenia jej za rękę, zmuszenia jej do ocknięcia się, jak się to kiedyś robiło z somnambulikami. Sędzia uważał tę wiarę czy nadzieję za dowód, że mimo wszystkich wywodów i diagnoz lekarskich, mimo własnych obserwacji postępów choroby, Porter nie chciał albo nie był w stanie poddać się oczywistości. Ostatecznie czym jest nadzieja? Bezsilnym buntem przeciw rozpacz. Kto twierdzi że nie można żyć bez nadziei, twierdzi po prostu że nie można żyć bez nieustannego buntu.

Łatwo powiedzieć: bunt, sprzeciw. Codzienne fakty powiązane łańcuchem stałego i wciąż szybszego pogorszenia, wznosiły między Porterem i żoną gładką, matową ścianę, nie do zburzenia, nie do przebicia nawet. Kiedy na niego patrzyła, miała to nieruchome oczy ślepej, to pytające spojrzenie: kim jesteś? Rozbierał ją i ubierał, mył ją w wannie, rozczesywał jej włosy, karmił ją, wciskając jej do ust małe kęsy — zgadzała się na wszystko bez oporu, ale gdyby tego nie robił, nie miałaby żadnego odruchu własnej woli, poza jednym: wiecznym, nienasyconym pragnieniem. Potrafiła wypijać litry wody i soków, jak wyprażona na nasłonecznionym piasku. Nie wpływało to jednak (przykro o tym mówić) na samodzielną potrzebę używania łazienki; jeśli na czas nie interweniował, brudziła się przy zupełnym zaniku zmysłu powonienia. Próbował wytrącić ją z odrętwienia wspomnieniami, każdy epizod z przeszłości poprzedzał sakramentalnym „pamiętasz?”. Nie, nie pamiętała, i nie było nawet pewne, czy go w ogóle słuchała, zamknięta (zdawało się) pod szklanym kloszem. Czasem wpadał na pomysł posadzenia jej przed białym płótnem na sztalugach i wetknięcia jej w ręce pędzla i palety z farbami. Długo siedziała nieporuszona, potem w pośpiechu, gwałtownie, z zacieklnością jakby, pokrywała płótno kreskami, plamami, bohomazami jakie widuje się u małych dzieci, zachęcanych przez rodziców do malowania.

Płynął czas, w Agropoli przywykano stopniowo do widoku tylko Portera, gdy zamknąwszy dom na klucz (po schowaniu zapalek i zagwożdżeniu kurka od butli z gazem), wychodził do lokalnych sklepów lub wyjeżdżał do Vallo na zakupy.

Ze dotknęła dna i pogrążyła się nieodwracalnie w amnezji, zrozumiał z jej pytania kim jest i jak się nazywa. Nie

umiałaby sama odpowiedzieć na podobne pytanie, zwrócone do niej. „Zatrzymali się oboje w czasie — szepnął sędzia Ludovico, — ona z łagodnością dotkniętej paraliżem, on usiłując coraz słabiej, z coraz większą rezygnacją, wyszarpać domek w Agropoli z martwej, bezczasowej mielizny”.

X

Nadszedł dzień, którego Derek Porter nie oczekiwał. Był już po jakimś pogodzony z nieuleczalnością choroby, podał się, czuł że z płomienia buntu ocalały tylko tłące się węgielki, wiedział że jedyne co może jeszcze dla Violet zrobić to opiekować się nią z nieustającą czułością aż do jej śmierci. Wierzył i liczył na to, modląc się w duchu by tak się stało, że przeżyje ją i nie zostawi jej samej. Myśl o tym, że mógłby umrzeć wcześniej, gdy ona w samotności żyłaby dalej nie wiedząc kim jest i gdzie się znajduje, ta myśl była źródłem jego męki.

Natomiast najczarniejsze jego myśli nie brały w rachubę zjawiska zupełnie niespodzianego, więcej — niewyobrażalnego. Czy mógł być przewidywać, że amnezja jest zaraźliwa? W tym strasznym dniu, na początku jesieni, w dniu przesłoniętym zakopconą szybą między nim i brzegiem morza, w dniu upartej depresji, siedział na leżaku obok okna, od czasu do czasu zerkając do kąta, gdzie w łóżku leżała śpiąca jeszcze Violet. Naraz uświadomił sobie, że materia jego pamięci staje się podobna do postrzępionego i zetłatego sukna, które wkrótce zacznie rozłazić się całkowicie. „Zdawał sobie dobrze sprawę — pospieszył wyjaśnić sędzia Ludovico, — że w nim ten proces ma inny charakter, jest nie odbiciem lecz skutkiem choroby żony”. Byli ze sobą tak głęboko związani od chwili spotkania na studiach, tak stronili zawsze od otoczenia, tak się we dwójkę odizolowali od świata (w pewien sposób nawet podczas wojny, nie mówiąc już o pobycie we Włoszech), że przeszłość Portera przeglądała się w przeszłości żony i na odwrót. Choroba Violet uczyniła bezużytecznym dla niej lustro Dereka. Ale dla niego stłukła, rozbiła na drobne odpryski lustro Violet. Został skazany na utratę pamięci, gdyż utracił uczestnika i świadka swej przeszłości. Dziwnie brzmi „zaraził się amnezją”. A jednak w śledztwie, w zeznaniach Portera, to wyrażenie powtarzało się nie jeden raz. Od owego jesienno dnia coraz częściej uprzątnął sobie, że jego przeszłość skurczyła się do okresu choroby Violet. Ludzie

rażeni amnezją tracą świadomość zaniku pamięci, życie usycha dla nich do drobnych materialnych faktów, które zaszły przed chwilą i też szybko usychają. Porter nie utracił tej świadomości, wiedział że ekskluzywność jego związku z Violet skazała go na towarzyszenie jej w chorobie. „Niech pan posłucha (przystanął nagle sędzia Ludovico), jaką posługiwał się metaforą. Mówił: jeżeli postępującą amnezję wolno porównać do wycinania kolejnych płatów pamięci, to operacja Violet odbywała się ze znieczuleniem, w uśpieniu, a moja na żywo, na jawie”.

Dość wyraźnym, choć powolnym, zmianom ulegał jego stosunek do Violet. Nie zapominał nigdy o swoich obowiązkach opiekuna i pielęgniarza, z dawną pilnością zajmował się doglądaniem żony, ale ze wszystkich jego czynności wyciekła kropla po kropli czułość. Dostrzegał zmianę a mimo to, ku własnemu zaskoczeniu, nie odczuwał wyrzutów sumienia.

Upłynęła jesień, nastała zima. W tych stronach nie tyle chłodna, co przesiąknięta wilgocią. Dużą część dnia zajmowało mu rąbanie drzewa i ogrzewanie domu. Gdy na południu Włoch przychodzi „dobra” albo „czysta” wiosna, przyroda wybucha z niepohamowaną gwałtownością i szczodrością, następuje jakby wyścig między zielenią roślinności, błękitem nieba, i wesołymi, zielonkawo-niebieskimi refleksami morza. Porter, żeby przerwać monotonię swego życia, wychodził wcześniej rano na ryby. Siadał na skale w małej zatoczce, mógł stamtąd obejmować wzrokiem domek, w którym spała jeszcze Violet.

XI

Sędzia Ludovico: „Był w zeznaniach łatwy (nie stawiał oporów), wnikliwy, prawdomówny i prostolinijny. Aż do głównego węzła, do którego przecież śledztwo miało krok po kroku prowadzić. Spiał się wtedy w sobie, naprężył, jeśli nie oniemiał zupełnie, to niewiele do tego brakowało. Nie, nie próbował zaprzeczać czy kłamać, ale z trudem, z bólem w oczach, wyrывał z gardła słowa okaleczone lub monosylaby. Zabrała mi dużo czasu i wysiłku rekonstrukcja ostatniego przesłuchania. Podpisał je bez czytania”.

W nocy z 22 na 23 kwietnia obudził się na krótko przed świtem z uczuciem lęku, jakie wywołuje koszmar senny. Nie pamiętał co mu się śniło. Usiadł w fotelu z bijącym sercem, wpatrywał się w Violet. Spała spokojnie, równo-

miernie oddychała. Było zapewne z jego strony urojeniem, przywidzeniem, że na jej ustach pojawił się uśmiech. Może sprawił to skurcz wymizerowanej twarzy, ostatnio przestała niemal jeść. Pamiętał, że ten prawdziwy czy rzekomy uśmiech rozniecił w nim coś w rodzaju gniewu, jakby był absurdalnym dowodem że Violet umyślnie go zaraziła. Wstał w transie, wziął z łóżka swoją poduszkę, położył ją na twarzy śpiącej i nacisnął z całej siły. Nie potrzeba było tej siły, Violet nie drgnęła nawet, posiniały jej tylko obnażone ręce. Po pewnym czasie odchylił poduszkę. Violet była martwa. Usiadł znowu w fotelu, błysnęła mu w głowie szalona myśl, że tak mógłby z nią długo jeszcze żyć, że mógłby kochać umarłą Violet. Wyszedł z domu, przykrywając przedtem poduszką jej twarz. Wciąż w transie szedł wolno po skalnych stopniach do morza, spojrzał na zaróżowiony horyzont i uzmysłowił sobie, że świeża już na dobre. Nie rozbierając się, wszedł do morza, nie poczuł zimna, przeciwnie — był ostro smagany gorącym wiatrem, zanurzał się głębiej i głębiej, uciekło mu pod nogami kamieniste dno, woda zalała mu oczy i usta, do dziś wspominał serce przepełnione radością tonięcia.

Uratowali go rybacy, wracający z nocnego połowu. Jak się później okazało, w milczeniu, nie wiedząc co zamierza zrobić (ekstrawagancje cudzoziemców!), śledzili go zza skalnego występu.

XII

Rozprawa sądowa w Vallo della Lucania trwała jeden dzień. Porter potwierdził na wstępie wszystkie swoje zeznania, odpowiedział cichym głosem *colpevole*, winny, na pytanie przewodniczącego trybunału, zdawał się nie interesować biegiem przewodu sądowego, siedział na ławie oskarżonych z opuszczoną głową. Wzruszał ramionami i milczał, ilekroć nachylał się do jego ucha obrońca z urzędu, podniósł głowę i z wyrazem aprobaty na twarzy słuchał mowy oskarżycielskiej. Przysięgli orzekli „winny”, przewodniczący trybunału odczytał wyrok: cztery lata zaliczeniem półrocznego więzienia śledczego. „Zasłużyłem na dożywocie, wymierzę je sobie sam”, powiedział Porter donośnym głosem. Tegoż dnia wieczorem sędzia Ludovico odwiedził go w celi więziennej. Za tę rozmowę, o której „wolał zamilczeć”, zapłacił w nocy pierwszym zawalem.

Porter odsiedział tylko rok w Ascoli Piceno, resztę darowano mu za dobre sprawowanie i odstawiono go do Anglii. Podobno zaszył się w jakimś małym miasteczku prowincjonalnym w Szkocji. Żył jeszcze? Odsiadywał swoje dożywocie? Domek w Agropoli podarował po powrocie do Anglii londyńskiemu Towarzystwu Archeologicznemu. Przyjeżdżali tam niekiedy profesorowie i studenci z Londynu. Ostatni taki pobyt skończył się tragicznie, nocą po wyjeździe grupy do Anglii domek w Agropoli spłonął doszczętnie w pożarze, spowodowanym prawdopodobnie niedbałością odjeżdżających. Teren, zaklepane czarne zgłiszczu, skrawek czarnej pustyni, pozostał własnością Towarzystwa Archeologicznego.

Po raz pierwszy w czasie naszych spacerów wziąłem sędziego Ludovico pod rękę, widząc że sięgnął do kieszeni po pastylkę nitrogliceryny i wsunął ją szybko pod język.

Przypiekało słońce, poszliśmy na sam koniec mola z latarnią morską, gdzie można było u jej stóp usiąść na szerokim schodku i spokojnie odetchnąć ciepłym powietrzem zatoki.

Luty 1993

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Na wschód od Polski

Rozmowy z egzarchą Filaretem

Do Filareta, metropolity Mińska i Białorusi, udaje się delegacja Ekumenicznego Forum Europejskich Katolików (Ewa Roman-Żukowicz — prezydent, dr Karl Derksen — wiceprowincał holenderskich dominikanów, Pim Ligtvost i Hubertus Guske), chętnie przyjmują propozycję przyłączenia się: nawet w Polsce niewiele osób wie, co dzieje się za Bugiem. Bezpieczniej w grupie. Tuż przed wyjazdem okazuje się, że nie mam w paszporcie stempla „AB” — sformułowanie „ważny na wszystkie kraje świata” nie wszędzie znaczy to samo. Przed przejściem granicznym w Terespolu porucznik Straży Granicznej z uśmiechem wyjaśnia:

— Pomyliły się panu kierunki. W Terespolu pociąg stoi osiem minut — w tym czasie musi pan kupić *voucher* w dworcowej kasie. Za przybicie stempla po tamtej stronie zapłaci pan 40 a może i 150 dolarów, ale najprawdopodobniej cofną pana z granicy.

Zdążyłem. *Voucher* kosztował 10 tysięcy, niecałego dolara. Posiadał cztery pieczątki i sformułowanie: turysta będzie na własnym utrzymaniu. Na czym byłbym bez tego świstka?

W Brześciu kilkugodzinny postój na zmianę podwozi: carska kolej musiała mieć szerszy rozstaw szyn niż reszta świata. Tak zostało.

W dwuosobowym przedziale jadę z Białorusinką z Baranowicz, chętnie porozmawia ale bez podania nazwiska:

— Baranowicze zamieszkują w połowie Polacy. W Grodzieńszczyźnie, w ogóle w zachodniej Białorusi jest ich sporo. Rodzice za Polski kończyli siedmioklasowe szkoły — kultura narodowa stała wyżej, żyło się lepiej. Teraz białoruscy Polacy na ogół nie mówią po polsku — gdzie mieliby tego języka

używać? Są w urzędach, nawet w rządzie, podobno prezydent republiki, Stanisław Szuszkiewicz, ma korzenie polskie, a na pewno jest katolikiem. Mówią najczęściej po białorusku lub rosyjsku, ale poczucie przynależności pozostało.

Problem języka, kultury nie jest teraz najważniejszy: ludzie mogą mówić po jakiemu chcą, byle mieli co jeść. Rozbity został system ekonomiczny, bankowy — nie ma niczego w zamian. Rodzicom brakuje pieniędzy na sok, owoce dla dzieci. Moja mama otrzymuje 5.000 rubli miesięcznie renty a kilogram pomidorów kosztuje 1.000. Jak można wyżyć za 5 kilogramów pomidorów? Inni różnie zarabiają, w zależności od zakładu: 8–15 tysięcy, są i tacy co mają po 40–80 tysięcy miesięcznie. Tysiąc rubli równa się jednemu dolarowi, łatwo przełożyć na relacje zachodnie.

Przyjechałem pierwszy raz na bazar w Polsce i chciało mi się płakać — nasze dzieci nigdy nie będą tego widziały! Jeżdżę do Polski przynajmniej raz w miesiącu...

Białorusini to pracowity, spokojny naród. Tu się nie strzela, nie rozbija jak w Gruzji. U nas wszyscy są równi, nikt nikogo nie prześladowa za pochodzenie, wyznanie. Sporo Żydów mieszka w Mińsku, Homlu, Bobrujsku, Mozyrze. Nie lubi się tylko rdzennych Rosjan. Za co? Za to samo co w Nadbałtyce — dopóki nie zawojowali naszych ziem, żyło się lepiej. Ale prości ludzie są za federacją: samemu wyżyć się nie da. W Litwie, w Łotwie, Estonii wszystko drogie, że się oddzielili to jeszcze nie wszystko. W Polsce też ostatnio gorzej: strajkują nauczyciele, lekarze. Z Litwą Białoruś żyje nijak — każda republika ciągnie do siebie.

Więcej niż połowa mówi po rosyjsku, w tym języku uczono w szkołach, białoruski był dodatkowy. Dopiero teraz w pełni wprowadza się język narodowy. Zdania są podzielone: Białoruski Narodowy Front jest za wyłącznością nauczania po białorusku, inni widzieliby dwa języki państwowe. Na ostatnim zjeździe deputatów radzili i też nie podjęli ostatecznej decyzji.

Pewnie z połowa kraju to katolicy. Prawosławie chyba nie jest zagrożone — prasa, telewizja nie porusza tego tematu. Na Ukrainie cerkiew wojuje z katolicyzmem, tutaj tego nie ma.

W Polsce do handlujących Białorusinów ludzie odnoszą się różnie: starsze pokolenie bardzo życzliwie — pokażą, wytłumaczą. Młodzi są agresywni, niegrzeczni. Pytam o numer autobusu na dworzec: — Już poszedł — mówi. I jeszcze rzuci za mną: — Ruska kurwa!

Osobny problem to skażenie po Czarnobylu; na sześć obwodów (województw) trzy są skażone: mohylewski, homelski, brzeski i część mińskiego. Niczego tam się nie robi, ludzie umierają po cichutku...

Białorusi należy życzyć na pierwszym miejscu by była mocna ekonomicznie, dopiero potem niepodległa...

O świcie czeka na nas w Mińsku diakon Leonid Bożko. Już wkrótce zaczniemy mówić do niego ciepło *fater* Leonid. Wspaniały, niezwykle uczynny, pogodny człowiek. Do hotelu i spać. Za trzy godziny śniadanie u metropolity.

Egzarcha Filaret wita nas w swojej rezydencji całując wschodnim zwyczajem w policzki. Nastrój niepewności, oczekiwania ulatnia się po kilku zdaniach: jest niezwykle dowcipnym, pełnym humoru człowiekiem. Zanim wejdziemy na drugie piętro do jadalni, czujemy jakbyśmy znali się od lat. Ten postawny, pięćdziesięciokilkuletni mężczyzna, zawsze w stalowoszarej sutannie, z rozmowy na rozmowę ujmował mnie coraz bardziej. Takich rubasznych, uwodzicielskich Rosjan wywołujących wielkie wrażenie na Polakach (przez konotacje historyczne ma to dodatkowe znaczenie), znałem dotychczas tylko z literatury.

Wiedziałem, że tacy ludzie potrafią z żelazną konsekwencją realizować swoje plany. Ja swoje miałem również. Po śniadaniu metropolita wybiera się do parlamentu (jest deputowanym), gdzie czytany jest projekt nowej konstytucji, my jedziemy zwiedzać cerkwie.

Szerokim prospektem docieramy do św. Marii Magdaleny — przed wojną było to centrum miasta. Niewiele z niego zostało, stary Mińsk starła wojna. Ściany świątyni lśnią z daleka świeżą bielą — jest czynna od dwóch lat. Oprowadza nas prawosławny, młody ksiądz w liturgicznych szatach. W bocznej nawie drugi poświęca chleb, cukierki, inne produkty. Przystajemy zaciekawieni.

— To stary obyczaj. Dawniej każdy mógł podejść do stołu i wziąć czego potrzebował.

Wiodą nas do baptysterium wybudowanego obok, z chrzcielnią w centrum.

— Tygodniowo chrzczymy około setki ludzi.

— To dużo.

— W soborze w tym samym czasie chrzci się tysiąc. Dorosli, dzieci..

W cerkwi pod wezwaniem Aleksandra Newskiego, stojącej w samym środku dużego, dawniej wojskowego cmentarza czeka na nas ojciec Wiktor Bikarewicz. Właśnie skończyło się nabożeństwo, ludzie jeszcze zostają, modlą się, rozmawiają, nikomu się nie śpieszy. Chram ufundowały rodziny zabitych na wojnie turecko-rosyjskiej żołnierzy. Zamknięto go tylko na dwa lata (1937–38), poza tym stale był czynny.

Jesteśmy ciekawi wszystkiego i o wszystko pytamy. Wielka życzliwość, szczerść w słowach, postawie ojca Wiktora — po kilku minutach oprowadza nas jak starych przyjaciół.

— Przychodzi bardzo wielu ludzi do cerkwi, na nabożeństwa i chrzci się. Tygodniowo chrzczymy około 300 osób. Ostatnio starsza pani, pracownik naukowy — tłumaczy się, że wcześniej nie mogła. Nie pytamy o nic: przyszła, znaczą chciła. Przyszła do Boga, nie do mnie. W cerkwi św. Marii Magdaleny oprowadzał was taki młody ksiądz? Był lotnikiem. Zostawił wszystko i przyszedł do Cerkwi. Wielu, często po latach pracy odnajduje powołanie — lekarz, oficer, kandydat nauk.

— Każdy może zostać księdzem?

— Każdy, jeśli ma powołanie. Przez 10 lat kształciliśmy ośmiu księży. Najpierw przychodzi, uczestniczy w mszach, studiuje Pismo, uzupełnia wiedzę, wdraża się. Jeżeli nadaje się, metropolita go wyświęca i daje parafię. Jeszcze musi ukończyć zaocznie czteroletnie seminarium.

Staruszek prowadzi nas żwawo do baptysterium, dumy parafii.

— Przed trzema laty wybudowaliśmy za 60 tysięcy rubli. Teraz 10 milionów by nie starczyło.

Kaplica jest okazała, piętrowa. Na dole chrzcielnica, na górze konferencyjny stół, eleganckie krzesła. Wszędzie marmur, polichromie.

— Mój ojciec też był duchownym — mówi ksiądz Wiktor. Posadzili go za Stalina na 25 lat, siedział z trzema prawosławnymi i dwoma katolickimi księżmi. Pisz do mnie: przy-

wieź komunię, bo księża chcą ją przyjąć. Jadę ze strachem a on na cały głos: — Przywiozłeś? Nie bój się, wszyscy wiedzą z czym przyjechałeś.

Wypuścili go za Chruszczowa, po sześciu latach.

Pytam o unię.

— Z klerem łacińskim nie mamy żadnych problemów, unia chce być świętsza od papieża. To nie jest problem wiary lecz polityki. Unitów jest mało, w Mińsku kilkadziesiąt osób: przede wszystkim artyści, pisarze.

W cerkiewnym sklepieniu dostrzegam tkaninę z nadrukiem — może akurat stosowna na pamiątkę?

— To jest *pokrywało* — tłumaczy — całun do przykrycia nieboszczyka. Do trumny daje się jeszcze krzyż w ręce a na głowę wieńczyk — opaskę z papieru z wypisaną modlitwą. Na pamiątkę nie nadaje się...

Rozstajemy się wśród krzyży w jasnym, przyjemnym słońcu. Ojciec Wiktor z pogodną nostalgią wspomina podróż do Rzymu, Warszawy razem z żoną.

— Jestem najszczęśliwszym człowiekiem na Ziemi — kończy radośnie obdarowując nas krzyżykami.

Jest nim na pewno.

Spieszymy się do katedralnego soboru troickiego — tam czeka na nas fater Leonid. Przyjmuje nas serdecznie. Z przyjemnością go słucham.

— Katedrę wybudowano pod wezwaniem św. Ducha w XVII wieku, nie zachowało się nic z pierwotnego wyposażenia ale ikony, które tu mamy, pochodzą sprzed rewolucji.

Interesuje nas podwyższenie na środku nawy przykryte dywanem z okrągłą, grubo haftowaną tkaniną o średnicy pół metra w centrum.

— To miejsce, gdzie staje metropolita. Nazywamy je *kafiedrą*, dlatego sobór nosi nazwę katedralnego.

Duże ikony wiszą w bogato rzeźbionych, szafkowych ramach za szkłem. Te z ikonostasu malowane pod Rublowa.

— Współczesna robota — wyjaśnia.

Ikonostas, świeżo odnowiony, złożony, przechodzi w rodzaj bocznych ołtarzy z kolumnami. Po prawej, zgodnie z tradycją, ikona św. Ducha (świątynia jest pod tym wezwaniem).

Natomiast po lewej, w tym samym rzędzie, Chrystus wstępujący w niebo. Za nim, już w bocznej nawie „cudowny obraz miasta Mińska — Matka Boska z Dzieciątkiem”.

— Od XV wieku jest z nami, chroni miasto.

W tej samej nawie, po lewej, sarkofag z ciałem Sofii Alejko.

— Przyśniło się mnichom po jej śmierci, żeby ją wzięli do cerkwi. Przedstawili rzecz soborowi w Moskwie, odkryto ciało — było nie zetłale. Uznano to za wskazanie opatrności i zabrano do chramu. Zdarzyło się to w roku 1523, w Słucku, dlatego nazywamy ją Sofią Słucką. Po drugiej wojnie zrobiono ekspertyzę i nie stwierdzono obecności środków balsamujących — uznano to za ingerencję siły Bożej.

Pozwolono nam wejść przez drzwi diakońskie do sanktuarium.

— Na *prestole* płonie ogień święty z Jerozolimy. Przeniesiono go przez Bułgarię.

Upewniam się, czy i tutaj przy jednym ołtarzu można odprawić tylko jedną mszę dziennie.

— Tak. Ale mamy w soborze jeszcze kaplicę Matki Boskiej Kazańskiej i baptysterium w podziemiu, z *prestołem*. Tak więc trzy msze można odprawiać. Istnieje jeszcze jedna możliwość obejścia przepisu: służba Boża nad relikwią świętego.

Spieszymy się do rezydencji na oficjalne spotkanie z metropolitą. W gabinecie egzarcha Filaret demonstracyjnie bierze z biurka stojącego na środku kilka opasłych tomów i z łoskotem opuszcza je na blat sąsiedniego. Gest ociepla atmosferę o wiele szybciej niż seria frazesów.

— Dzięki Bogu żyjemy w nowym czasie — mówi — wolności, ale nie bez problemów. Te idą wciąż za nami. Cerkiew jest w pełni słów samodzielna (*samostojatelną*). Łotwa potrzebowała oddzielenia od Moskwy, Estonia, Ukraina — tam do tej pory trudno zorientować się o co chodzi. Synod ruskiej Cerkwi prawosławnej idzie na rękę naszym zamierzeniom: już w 1989 roku dał samodzielność Białoruskiej Cerkwi. Nie jest to jeszcze autokefalia, ale na terytorium republiki powstał egzarchat, metropolita miński jest patriarchą egzarchialnym. Historia zna podobne przykłady: bizantyjska Cerkiew też była podzielona na egzarchaty.

W 1975 roku byłem jedynym biskupem (episkopem) na 360 parafii, teraz mamy 800 parafii i dziesięciu biskupów. Połock jest najstarszym biskupstwem, najmłodszym Turow. W 1992 roku minęło tysiąclecie istnienia Cerkwi na tych ziemiach. Tak więc mamy synod Prawosławnej Białoruskiej Cerkwi.

— Ilu jest prawosławnych w stosunku do ogółu ludności?

— Na 10 milionów prawosławni stanowią 70 %, katolicy 20 %, 10 % — pozostali. Ateistów jest niewielu. Mamy tu baptystów, zielonoświątkowców, świadków Jehowy, Żydów, nawet wyznawców Hare Krysny.

— Gdzie kształcą się prawosławni księża?

— Seminarium w grodzieńskim obwodzie zamknięto w 1962 roku. W 1989 otwarto ponownie w tym samym miejscu — w Żyrowicach. Chcemy stworzyć w Mińsku Białoruską Duchowną Akademię. Klasztorów mamy osiem: sześć żeńskich — w Grodnie, Połosku, Homlu, Mohylewie, Ohojnikach i Pińsku, i dwa męskie — w Żyrowicach, który był czynny przez cały czas oraz w Orszy.

W Mińsku otworzyliśmy przed rokiem szkołę duchowną z przyspieszonym trybem nauczania — właśnie dziś zdają egzamin piętro wyżej. Potrzeby są ogromne: miasto liczy półtora miliona mieszkańców, mamy w Mińsku siedem parafii w tym cztery bardzo duże, i tylko 20 księży, którzy pracują od rana do wieczora. Odprawiają po dwie liturgie dziennie (każda trwa ok. 3 godzin — przyp. A.W.K.), poświęcają mieszkania, spotykają się z chorymi, prowadzą naukę katechizmu w szkołach podstawowych. W każdej parafii można bez przeszkód zorganizować niedzielną szkołę, w której prowadzi się naukę katechizmu. W szkołach podstawowych religii uczymy przez dwa lata. Chcieliśmy ją ograniczyć do roku, ale ludzie prosili przynajmniej jeszcze o rok.

— Nie jest to zbyt krótki okres?

— Na razie takie są możliwości. Zewsząd proszą metropolitę o przybycie na spotkania, informacje o życiu, problemach Cerkwi. Ostatnio takie prośby wpłynęły od prokuratury, z uniwersytetów, od inteligencji. W niektórych szkołach państwowych wykładamy przedmiot o nazwie zakon

Boży. Organizujemy kursy historii Cerkwi, pewna liczba księży prowadzi zajęcia w wyższych uczelniach, na kursach nauki języków — z religii, etyki. Niestety, nie każdy może nauczać w wyższych uczelniach, nie przygotowywaliśmy do tego księży.

Brakuje kadry, dlatego w szkołach powszechnych katechizmu uczą ludzie po kursach.

— Czy Cerkiew ma dostęp do środków masowego przekazu?

— Systematycznych audycji w telewizji, radiu nie ma. Z zalem mówię — i w nas jest wina. Brakuje sił. Ale regularnie księża występują w TV przed ważnymi świętami. Z dostępem problemu nie ma, jest on w organizacji naszej pracy. Posiadamy miesięcznik „Mińskie Parafialne Wiadomości”, kwartalnik „Wiernik Białoruskiego Egzarchatu” — nie zawsze ukazują się regularnie. Wydajemy książki, ostatnio ukazały się *Ewangelia św. Mateusza w czterech językach* — greckim, starocerkiewnym, rosyjskim i białoruskim, *Białoruś w historycznym, państwowym i cerkiewnym życiu* pióra arcybiskupa Afanasija i Martosa. Jest to *reprint*.

— Jak układa się współżycie Cerkwi z innymi wyznaniami?

— Mamy tu ponad 20 organizacji religijnych, generalnie problemów nie ma. Ale wolę mówić o swoich kłopotach. Niewątpliwie problemem numer jeden są kadry. Za rok będziemy mieli pierwszych absolwentów wyższego — nie średniego jak w Rosji — pięcioletniego seminarium duchownego. Trzydziestu ludzi studiuje na czwartym roku, kończą dyplomem. Oczywiście nie wszyscy — część pracuje już na parafiach, ci fizycznie nie będą mogli zakończyć nauki, nie dadzą rady. Nie wszyscy będą rekomendowani na piąty rok — niektórych trzeba zastopować.

Drugi ważny problem: ekonomiczny. Żyjemy z dobrowolnych datków 800 parafii. Teraz mamy dziesięć diecezji, wszyscy budują, remontują świątynie, co dotychczas szło do Mińska jest dzielone na wszystkie biskupstwa. Nowy aspekt; nie ma subsydiów jak dawniej, pojawiły się prywatne przedsiębiorstwa z prywatną kiesą. Czasem buduje cerkiew ten sam kołchoz, który ją wcześniej zburzył, ale i przedsiębiorstwa mają kłopoty.

I trzeci, mój problem: zorganizować 70 osób obsługi egzarchatu, wszystkim trzeba zapłacić — należy znaleźć sponsorów. Niektórzy trochę pomagają. Powstanie Akademia Teologiczna...

— Nie można jej zorganizować na uniwersytecie?

— Nie chcę fakultetu na uniwersytecie. Obawiam się odnowienia starych animozji. Od jesieni tego roku uruchamiamy Europejski Humanitarny Fakultet z wydziałami teologii, filozofii, psychologii, sztuki, filologii. Idea bardzo dobra, ale trzeba by zrobić płatne studia — mówię to z żalem.

— Teologia będzie ograniczona tylko do jednego wyznania?

— Też jeszcze nie omówiliśmy do końca.

Przed obiadem zdążyłem władcy powiedzieć kilka słów na temat *Kultury* i *Zeszytów Historycznych*, których nie znał. Umawiając się na godzinę swobodnej rozmowy — na co życzliwie zgodził się — wręczam setny numer *Zeszytów...* i swoją ostatnią książkę.

Przy obiedzie, podczas którego raczymy się do woli „klasztornym szampanem” — jak metropolita określił żartobliwie znakomity kwas chlebowy ze znakomitego razowca, nadarza się okazja do porozmawiania o wewnętrznych rozłamach w Cerkwi. Notuję.

Metropolita Filaret:

— Kiedy człowiek, wreszcie wolny, może kształtować dzieje, ulega egoistycznym ambicjom, zaprzepaszcza możliwości. To tragiczne, ale pojawiają się rozłamy: zagraniczna, raska Cerkiew prawosławna nie pomaga nam, ale zaczyna tu, u nas, zakładać swoje diecezje (*jeparchii*). Tłumaczą, że w ten sposób służą ekumenizmowi. Oni nie wiedzą co to ekumenizm i nie chcą wiedzieć. Pozbawieni argumentów politycznych grają ekumenicznymi, które jeszcze pozostały w ich ręku. Pojawiają się kalendarze z wybitym, rzucającym się w oczy napisem: „ekumenizm to współczesna herezja”. Idzie to w ludzi i powoduje wstrząs, w szerokich masach rozprzestrzenienia się antyekumeniczne nastawienie. W tej sytuacji musimy utrzymać pozycję raskiej Cerkwi. Jedynej Cerkwi.

— Czy to znaczy, że Białoruska Cerkiew nie stara się o autokefalię?

— Na razie nie ma takiej potrzeby. Jesteśmy wolni we wszystkich decyzjach, samostanowiacy — to wystarcza.

— Na Ukrainie Cerkiew jest wewnętrznie podzielona, czy podobna sytuacja występuje na Białorusi?

— Tam jest Ukraińska Prawosławna Cerkiew moskiewskiego patriarchatu, Ukraińska Prawosławna Autokefaliczna Cerkiew z patriarchą Mstysławem, ponadto jeszcze Filaret, były metropolita. U nich nie ma spokoju, Mstysław nie uznaje Filareta — jest rozłam. Obok niezależnego (*samostijnego*) patriarchatu znajduje się Cerkiew byłego metropolity mająca takie... nieokreślone położenie. No i Cerkiew unicka.

— Na zachodniej Ukrainie.

— Tak. Na Białorusi jest prawosławna Cerkiew, Kościół łaciński i małe grupy unitów. Ze swej strony spokojnie odnoszę się do tej sytuacji i Bogu dziękuję, że nie ma tu podziałów. To bardzo niepokoi Ukraińców, bardzo niepokoi Watykan i bardzo niepokoi innych. Że w Białorusi dotychczas spokojnie: dlaczego nie ma swarów, podziałów? Niepokoi również Kościół w Polsce, który przygotowuje unitów do ekspansji na Białoruś. Po co by tworzone dla nich biskupstwo, seminarium?

— Jak wyglądają stosunki pomiędzy prawosławną Cerkwią a Kościołem łacińskim w Litwie?

— Nie ma problemów. To niezależna republika, w której istnieje Kościół prawosławny.

— Na Łotwie również?

— Również — z arcybiskupem (*archiepiskopem*) Chryzostomem.

— Oni mają autokefalię?

— Nie. To jest arcybiskupstwo. Łotwa, Estonia wchodzi w moskiewski patriarchat ale na prawach samostanowiczej

organizacji. Cóż by dała pełna autokefalia łotewskiej Cerkwi?

— Mała republika?

— Właśnie. Bardzo słaba Cerkiew, jeśli ona egzystuje, to dlatego, że podtrzymuje ją moskiewski patriarchat. Nikt nigdy od nich niczego nie chciał, na odwrót: tylko pomagał.

Bezpośrednio po obiedzie schodzimy na pierwsze piętro do sali konferencyjnej. Jak w jadalni, na ścianie duży portret Aleksija II, patriarchy Moskwy i Rusi. Rozpoczyna się oficjalne spotkanie delegacji katolików z metropolitą, na którym niezła znajomość rosyjskiego zakwalifikowała mnie prawie na oficjalnego tłumacza — siedzę obok egzarchy, po drugiej stronie stołu. Bieda w tym, że po metropolitalnym obiedzie cały wysiłek koncentruję na utrzymaniu powiek w górze — śpię z otwartymi oczami.

Podczas ożywionej rozmowy budzi mnie telefon. Po kilku zdawkowych grzecznościach władcyka popatruje na mnie:

— Jest, oczywiście. Dojechał.

Dzwoniła ambasada białoruska z Warszawy — wiadomość o kłopotach ze stemplem w paszporcie dotarła i tam.

Konferencja kończy się postanowieniem zorganizowania spotkania delegacji z ministrem do spraw religii rządu Białorusi — Aleksiejem Iwanowiczem Żylskim. Być może zaowocuje ono bliższą współpracą w przyszłości.

Po krótkim odpoczynku niezastąpiony fater Leonid zabiera nas do soboru na wieczorne nabożeństwo, które celebrowuje sam Filaret. Dopiero tutaj identyfikuję pieśń, która zelektryzowała mnie kilka lat temu w jableczeńskim monastyrze nad Bugiem: to śpiewany Ojcie nasz... Przed homilią metropolita wita nas oficjalnie, przyjaźnie, ludzie przyjmują ciepło, z zainteresowaniem. Podziwiam delikatność tubylców: wprowadzono nas na czas, który pozwolił zauroczyć się wschodnią liturgią. Wychodziliśmy nim zdążyła nas znużyć długość trwania.

Kolacja nie ustępuje obiadowi: dwie kromeczki ciemnego chleba, pięć gatunków najlepszych wędlin, kawior, łosoś, obfitość „klasztornego, schłodzonego szampana”, jeśli dobrze rozpoznałem — szczupak z puszki? To tylko przystawki pod roladę z kurczaka i jajka. Nie silę się na opisanie jej smaku, nic to nie da. Podziwialiśmy nieklamany kulinarny kunszt

siostry Amfissy. Dwa kieliszki czystej pozwoliły wszystkim odnaleźć się w ciepłej, niemal poufnej atmosferze. Dla mnie była to jednak atmosfera pracy. Z urwanych wypowiedzi, gestów prawosławnych księży wywnioskowałem, że najwięcej kontrowersji w Białoruskiej Cerkwi budzi nie Kościół łaciński lecz unicki. Zdziwiony tą niechęcią — grekokatolików przecież tylko garstka — usiłowałem dociec przyczyn. Metropolita był całkowicie szczery:

— Unici mają tylko czterech księży, w tym dwóch takich... nie bardzo — przeszli oni z naszej, prawosławnej Cerkwi w sposób daleki od normalnego. Jeden z nich rzucił parafię, rodzinę i wyjechał. Ma teraz drugą kobietę. Parę razy dochodziły mnie słuchy, że skłania się w stronę unitów i przedkłada im swoje usługi.

— Gdzie on teraz jest?

— Nie wiem. Nazywa się Piotr Kuzmiczow. Zawiesiłem go w prawach wykonywania posługi kapłańskiej, ponieważ samowolnie opuścił parafię. I tego zakazu z niego nie zdejmuję — powinien być wykluczony ze stanu kapłańskiego. Z drugiego księdza, który postąpił podobnie, zdjąłem uprawnienia kapłańskie ale później je przywróciłem. Tak więc dwóch księży unickich na czterech jest ludźmi, jak by to powiedzieć...

Ale bardziej interesujące jest zagadnienie unicko-katolików w Polsce. Dlaczego w Polsce, ultrakatolickim kraju, istnieją unicy? Ja rozumiem: ich przygotowują dla Rosji, dla Białorusi!

— Chyba nie, eminencjo...

— Tak! To fakt. Oczywiście! A co innego mieliby tam robić? Przygotowuje się ich do roboty wśród prawosławnych w Polsce i dla Białorusi, Ukrainy... To zrozumiałe.

— Eminencja potwierdza konkluzję do jakiej doszedłem podczas mojej rozmowy z lubelskim prawosławnym biskupem Ablem — mówię do pani Ewy, która tłumaczy na niemiecki rozmowę pozostałym członkom delegacji.

— Kiedy byliśmy u papieża, w Rzymie — powiada metropolita Filaret — dwa lata temu, objaśnialiśmy, ja osobi-

cie mówiłem, że uniactwo odżyło. To nie jest metoda, droga pojednania. Uniactwo jeszcze pogłębia rozłam. Znane są przykłady z historii, że unia nie pracowała na porozumienie, jedność Kościoła. W imię czego Watykan to podtrzymuje? Bo Watykan to wspomaga, błogosławi. Matusiewicz otrzymał błogosławieństwo papieża, pierścień od niego.

— Biskupi?

— Nie. Na znak potwierdzenia działań, które realizuje. Przynajmniej mówi, że ma ten pierścień.

— Gdzie Matusiewicz urzęduje?

— Tutaj, w Mińsku. Mają miejsce gdzie mogą sprawować służbę Bożą.

— Jest łacinnikiem? Unitą?

— Trudno powiedzieć na ile jest prawosławny, na ile katolik, a na ile unita.

— Był księdzem prawosławnym?

— Tak. Przyjeliśmy go do prawosławnej Cerkwi. To swoista droga, rozumiem jego psychologię — nigdy nie mógłby otrzymać tutaj, w Białorusi święceń rzymskiego kapłana. Dlatego pojechał do Smoleńska, tam przyjął święcenia od prawosławnego biskupa, potem wrócił do Mińska, gdzie się urodził i żył, zaczął posługę w Cerkwi prawosławnej a ostatni przeszedł... Dużo by mówić.

— On jeździł do Rzymu? — pyta pani Ewa.

— Owszem. Był w Rzymie, przyjeżdżają tutaj do niego ludzie nawet z Londynu.

— Ale czy jest podporządkowany papieżowi? — pani prezydent chce rozjaśnić wątpliwości pozostałej części delegacji.

— Jako unita na pewno. To przecież ten sam Kościół, chociaż mają odrębną administrację. Kiedy mówię biskupowi rzymskiego Kościoła, mojemu koledze, proszę posłuchać, to

trochę nie tak, on odpowiada: nie mam prawa nic im nakazać. Nie podlegają mi.

— Mogą podlegać bezpośrednio Rzymowi?

— Nie sędzę. W Polsce pojawił się unicki biskup...

— W Przemyślu.

— Tak, przemyski.

— Biskup Iwan Martyniak.

Doktor Karl Derksen pyta o politykę kardynała Lubaczewskiego.

— To pytanie do niego — odpowiada władza z uśmiechem — nie znam go. Oni myślą, że i Białoruś ogarną.

— Ci ze Lwowa?

— Tak sędzę.

— Eminencjo, kto tego wszystkiego namieszał — pytam — Watykan, Lwów, Warszawa? Unitów przecież jest garstka?

— Nie. Mamy tutaj taki BNF, opozycyjną partię — Białoruski Narodowy Front. Oni wszystko chcieliby na gwałt przestroić: szkoły, uniwersytety — tylko z białoruskim językiem wykładowym. Kościół — najlepiej unicki, narodowy, białoruski.

— Ale — eminencjo — jeżeli nie będzie języka białoruskiego w szkołach, czy będzie jeszcze naród białoruski?

— A dlaczego ma nie być języka? Będzie! Ale oddalenie z praktyki języka rosyjskiego rozumiem jako coś w rodzaju braku szacunku dla Rosjan żyjących. Wkład rosyjskiej społeczności Białorusi — jak by to powiedzieć — w organizację Białoruskiej Republiki, budowę jej bazy ekonomicznej, naukowej, kulturalnej jest ogromny. Tak nagle, ni stąd ni zowąd przeweksłować?

— Jaki wariant byłby najlepszy? Utrzymanie dwóch języków pełnoprawnych?

— Byłoby sprawiedliwe, gdyby oba języki uznano za państwowe.

— Równoprawne?

— Tak. Nie widzę tu problemu. Od 70-ciu lat istniał tu sztuczny, określony system polityczny przeciw woli narodu, jego oczekiwaniom, w rezultacie doszliśmy do tego, że przestał istnieć. Poza tym, tutaj silne tendencje prokomunistyczne. Białoruski Front początkowo miał znaczenie ogromne, teraz — według mnie — znaczenie spada. Dlatego, że snuje rozważania, teorie dalekie od życia.

— Jak eminencja widzi miejsce kraju pomiędzy katolickim Kościołem a prawosławną Cerkwią?

— Białoruś znalazłaby swoje miejsce, gdyby z obu stron nie było chęci do mieszania się. Społeczeństwo żyłoby spokojnie, katolicy modlili się w kościołach, prawosławni w cerkwiach — i w samej rzeczy tak jest na prowincji. Wzajemne stosunki księży łacińskich i prawosławnych były dobre, odnoszono się do siebie z szacunkiem, ale ostatnio przyjechali księża z Polski i zaczęło się. Nie ma tego duchownego braterstwa.

W Nieświeżu żył ksiądz Grzegorz — ze 40 lat był proboszczem. I nasz ksiądz — Dymitr. Ojciec Grzegorz zmarł, przyjechał z Polski młody i zaczął jątrzyć przeciw prawosławiu. Przecież nie naukę Chrystusa głosi ale swoje credo. Narodowe. Oto nasze problemy...

Albo inny przykład — nie chciał ksiądz Pożarski pochować człowieka. Katolika. Za rzadko chodził do kościoła — mówi. Matka prosiła prawosławnego i ten spełnił swoją powinność. Ksiądz katolicki zarządził blokadę domu zmarłego — młodzież otoczyła budynek i urządziła kocią muzykę. Czy to się godzi?

— Gdzie to się zdarzyło?

— We wsi Postawy, w orszańskim powiecie (*rajonie*).

— Eminencjo, jak podtrzymać, rozwinąć tożsamość naro-

dową Białorusinów przy dwóch równoprawnych językach państwowych?

— Podtrzymujemy ją. Cerkiew podtrzymuje świadomość narodową, zajmujemy się przekładami Pisma św. na białoruski — jutro подарuję panu Ewangelię św. Mateusza, którą wydał. Dzieło będzie kontynuowane. Powoli będziemy przechodzić na białoruski w liturgii. Odciać się teraz od rosyjskiego znaczy odizolować się od reszty świata. Przecież nie ma przekładów na białoruski we wszystkich dziedzinach nauk, to samo odnosi się do sztuki, każdej dziedziny życia.

— Na wszystko trzeba czasu?

— Nie wolno tego robić jutro czy pojutrze — nie chcemy ludziom łamać psychiki. Jeśli będziemy działać pośpiesznie, zdestabilizujemy Cerkiew. Po co to robić? Należy pracę rozłożyć na dziesięciolecia. Może za dziesięć lat? Przecież nikt w swoim życiu nie może zrealizować wszystkiego.

— Dziesięć lat w życiu narodu to czas bardzo krótki.

— Ważne, by proces wdroyć w życie, by rozszerzał się, pogłębiał w świadomości ludzi.

Ostatnie słowa nagrywam już w windzie. Władka odprowadza nas do drzwi — jest zmęczony, ciężko oddycha.

Następnego dnia krążę po rezydencji. Mozaika Matki Boskiej wisząca nad drzwiami wejściowymi jest skomponowana tak precyzyjnie, że bardziej przypomina obraz. Podobnie z wizerunkiem głowy Chrystusa, mandylionem określonym Chrystos Acheirepeietos (nieludzką ręką uczyniony), który zawieszono na ścianie wewnętrznego dziedzińca. Świeżo wybudowana rezydencja uderza dbałością o wykonanie każdego detalu. Kształtem przypomina zakonne nakrycie głowy, tzw. kłobuk, z dziedzińcem wewnątrz i czymś w rodzaju patio na drugim piętrze. Zewnętrzne ściany wyłożono marmurem w kolorze piasku, korytarze parteru i drugiego piętra chyba szlachetnym (z Armenii?) piaskowcem, w którym odciski muszli pełnią rolę ozdobnych reliefów. Kaplica na pierwszym piętrze, do której metropolita powiódł nas zaraz po przybyciu, lśni bielą i złoceniami ikonostasu. Ikony współczesne — kopie lub w stylu Rublowa.

Fater Leonid zabiera nas do „czerwonego kościoła”, niedaw-

no przejętego przez katolików. Do niedawna mieścił kino. Z zewnątrz dosyć starannie utrzymany, okazały, wewnątrz rumowisko: składy desek, paczek, rur i grzejników zakładanego centralnego ogrzewania, ślady po wyburzonych stropach, które zainstalowała świetlana przeszłość. W samym środku zaimprovizowany ołtarz z rur, które wylażą spod obrazu. Remont idzie z rozmachem. Energiczny ksiądz, Władysław Zawalniuk, zabiera nas na pół godziny do byłych pomieszczeń biurowych.

— W ostatnich dwóch — trzech miesiącach przyjechało z Polski 50 księży oficjalnie i ze 40 na zaproszenia — oni też zostali. Wracają zakonnicy, których zakony miały tu siedziby — dominikanie, kapucyni. Wśród przybyłych jest około 60–70 zakonników, utrudnia to pracę — mają swoich prowincjałów, nie zawsze udaje się skorygować działania. Białoruś czeka na księży z Włoch, z innych państw — taka była prośba rządu, ponieważ Polacy polonizują.

Od trzech lat pracuje seminarium w Grodnie. Studiuje około 80 kleryków, wielu czeka na wpisy. Rektorem jest biskup Aleksander Kaszkiewicz. Dwa lata temu ustanowiono mińsko-mohylską metropolię i 4 diecezje: w Mińsku, Grodnie (biskup Kaszkiewicz), Mohylewie i Pińsku, w którym urządza metropolita Kazimierz Świątek. W Mińsku nie ma nawet kościoła dla biskupa, pałac biskupi zajmuje spółdzielnia i pięć rodzin. Podobnie w Mohylewie nie ma rezydencji biskupa. Ale metropolita być może jeszcze w tym roku osiadzie w stolicy, są nadzieje.

W samym Mińsku, na 1 milion 800 tysięcy mieszkańców, jest około 500 tysięcy prawosławnych, ze 200 tysięcy katolików i ponad milion ateistów. Jedenastomilionowa Białoruś liczy mniej więcej 7 milionów prawosławnych, 2,5 miliona katolików. Wszystko to są dane orientacyjne.

Stosunki z metropolitą Filaretem są dobre, przed dwoma tygodniami gościł nuncjusza papieskiego, któremu przekazał życzenia dla papieża. Kiedy procesja na Boże Ciało przechodziła przez miasto, kazał uderzyć w dzwony metropolitalnego soboru.

Białorusini są bardzo religijni, chrzest przyjmuje wiele osób, często całe rodziny. Brakuje ludzi do prowadzenia katechezy. Kościół zwrócił się z prośbą o udostępnienie 45 minut tygodniowo w radiu i telewizji na katechezę, transmisję mszy, ale godzina kosztuje 200 tysięcy rubli (200 dolarów). Z tego powodu zrezygnował z massmediów metropo-

lita Filaret. Ksiądz Zawalniuk ma nadzieję, że znajdzie sponsora — dwa razy jeździł do Niemiec „z czapką”.

Unici w Białorusi zorganizowali się w samej stolicy, Mołodecznie, Połocku. Chcą mieć biskupa, stworzyć hierarchię, ale potrzeba co najmniej 10 księży by ustanowiono biskupa. Na razie jest ich czterech, w tym jeden o nie najlepszej opinii. Strach prawosławnych przed unią wynika z przewidywań: nie wiadomo jak rząd rozegra sprawę grekokatolików. Jeśli nie poprze, powstanie problem. W Ukrainie początkowo unitów nie chciano, teraz Krawczuk mówi: wyłącznie unici. Nie chcą być pod wpływem Moskwy czy Warszawy.

Wkrótce pojawi się trójjęzyczny (białoruski, rosyjski, polski) miesięcznik *Wiara i Życie* — już jest zarejestrowany. Kościół posiada licencję wydawniczą na książki, kalendarze.

Proboszcz śpieszy się — na korytarzu czeka kilkunastu interesantów. W Mińsku jest od pięciu lat, w tym roku obchodzi 19-lecie kapłaństwa.

Kiedy przechodzimy obok sterty paczek, ojciec Leonid dotyka jednej z nich:

— Zza granicy. Dary.

— Chcemy kupić pamiątki. Obaj Holendrzy przepłacają w sklepie, fater kręci głową — w soborze te same miniaturki ikon kilka razy tańsze. Jedziemy. Rzeczywiście. Teraz oni kręcą głowami, ale kupują po kilka egzemplarzy Matki Boskiej po 100 rubli (10 centów). Schodzimy do baptysterium — akurat przyjmuje chrzest chłopak kończący średnią szkołę. Fater Leonid łapie modlitewnik i włącza się do śpiewów podszeptując księdzu obszerniejsze warianty obrzędu specjalnie dla nas — gości. Podziwiam u tego człowieka zdolność do natychmiastowego włączenia się w każdą sytuację — jakby na nią długo czekał, by się wreszcie spełnić.

Obiad z ministrem Aleksiejem Żylskim. Siedzę obok i postanawiam ten fakt zdyskontować na swoją korzyść — nie bardzo wiem jak „wyegzekwować” obiecaną godzinę od władzy: po obiedzie oficjalne spotkanie z ministrem, potem interesanci i msza w soborze — metropolita jest człowiekiem niesłuchanie zapracowanym. Po kolacji? Czy wypada?

Próbuję wciągnąć pana Żylskiego w rozmowę nt. kultury, powiązań kulturalnych z Polską, ale on woli trzymać się swego. Jestem usatysfakcjonowany — sprawy religii interesują mnie w nie mniejszym stopniu.

Wysłuchuję kolejnego wariantu statystycznego, chyba najbardziej wiarygodnego — w swojej dziedzinie minister jest

najlepiej poinformowanym urzędnikiem państwowym.

— Kościół łaciński w Białorusi przeżywa bujny rozkwit: liczba świątyń wzrosła ze 103 do 301! Rząd zaproponował przejście katedry, ale hierarchowie zrezygnowali — za duży koszt. Wskazali na kościół czerwony, który otrzymali. Wtedy okazało się, że za mało — chcą kościół p.w. św. Rocha, który ministerstwo kultury gruntownie odremontowało z przeznaczeniem na kameralną salę muzyczną. W końcu osiągnięto kompromis: świątynia jest użytkowana przez filharmonię i na cele religijne. Katolików jest w Mińsku dużo — hierarchia poprosiła o kościół na Kalwarii — oddano go. Pozostaje jeszcze piąty naprzeciw soboru prawosławnego, gdzie budynki klasztorne łączą się z kościołem. Ten też chcieliby.

— Ile świątyń użytkują katolicy w Mińsku?

— Kościół czerwony, na Kalwarii, św. Rocha, jedną salę w katedrze. Aktualnie waży się sprawa oddania całej katedry — przyznano ją w 1948 roku sportowym organizacjom „Profsojuza”, które teraz gotowe są go oddać w zamian za równorzędny budynek. A takiego nie ma.

Na pytanie o unitów słyszę jasną odpowiedź:

— Nie jest normalne, co Warszawa poczynia, dlatego, że w Białorusi katolików Białorusinów jest więcej niż Polaków tego wyznania. Mamy swoją strukturę Kościoła, hierarchię, jest nuncjusz papieski wyznaczony dla Białorusi — rozumiemy, że Kościół katolicki w Białorusi jest tak samo niezależny jak w Polsce. Rząd daje zgodę na przyjazd 50 księży a nikt nie wie, ilu przyjeżdża naprawdę. Za nimi zakonnice — też nikt nie zna liczby. Przyjeżdżają na prywatne zaproszenia i zostają.

Parafii unickich jest dziewięć, obsługują je czterej księża. Grekokatolicy dotąd nie mają swoich świątyń. W większości wyznanie grupuje młodzież i inteligencję. Unia nie jest problemem religijnym ale politycznym — który to raz słyszę?

Niektórzy działacze rozumują, że państwowe, kulturalne interesy, inne też, niezależnego państwa mogą osnuć tylko na unijnej Cerkwi. Ma to być Cerkiew narodowa. Czytałem list unitów do prezydenta Szuszkiewicza, piszą tam: prawosławna Cerkiew jest ruska, Kościół rzymsko-katolicki — polski, naszego narodowego wyznania nie ma. Trzeba wzmocnić unię,

to kwintesencja białoruskiej duchowości. Działacze Białoruskiego Narodowego Frontu zapisali w swoim programie: wprowadzić narodową Cerkiew.

— Grekokatolicyzm nie miał tutaj żadnej tradycji?

— Na przełomie XVIII i XIX wieku unickie parafie liczyły 70 % wszystkich w Białorusi. Ich likwidacja rozpoczęła się od Soboru w Połocku, w roku 1839. Część przeszła wówczas na prawosławie.

— Kto wydał takie rozporządzenie?

— Samo duchowieństwo pod naciskiem cara. Przyjmo- wałem tysiące ludzi rejestrujących swoje wyznanie, ale ani jednego unity. Dlatego jestem zdania, że to wyznanie w Białorusi nie przetrwało ale jest budowane od nowa. W zachodniej Ukrainie tak, mimo decyzji lwowskiego soboru w roku 1946. Tutaj mamy przerwę 150-letnią.

— Ile wyznań zarejestrowało się w kraju?

— 1537 ugrupowań religijnych.

Nie chcemy uwierzyć. Minister Żylski wyjaśnia:

— Dziesięć osób o ukończonych 18 latach może przyjąć i zgłosić religię, którą chce wyznawać. Takich grup mamy 1537.

— Czy muzułmanie, potomkowie Tatarów, przetrwali?

— Owszem. Mają nawet zamiar budować meczet.

Osobny problem to wykorzystywanie religii przez partie, ugrupowania polityczne. Robią zjazd i zapraszają duchownych — że są z nimi, popierają ich politykę. Chcą wspomoczenia ze strony Cerkwi. To nie jest zdrowe. Kościół nie powinien zajmować się polityką, trzeba rozumnie pojmować wolność, którą mamy. Ona nie znaczy, że wolno wszystko. Gdyby wszystkie Kościoły ze sobą współpracowały, mniej pozostawałoby miejsca dla wątpliwych proroków.

W kuluarach rozmowy ożywiają się.

— Macie w Polsce wyznawców Hare Kryszny?

— Mamy. To bardzo aktywni, ekspansjonistycznie nastawieni ludzie.

— Mogą bez przeszkód działać?

— Tak. Mają nawet kilka swoich świątyń.

— U nas dyskutowaliśmy w parlamencie: dać zezwolenie czy nie? Mają bardzo zły wpływ zwłaszcza na młodzież — stosują coś w rodzaju prania mózgów.

— W Polsce nikt się nimi nie przejmuje, część ludzi nie bierze ich nawet serio.

Niezastąpiony fater Leonid wiezie nas do cerkwi pod pałatkę. Duży, wojskowy namiot przy dwupasmowej jezdni, za nim kilka beczynnie stojących ciężarówek, dalej wykop pod świątynią. Dookoła dwudziesto-trzydziestotysięczne osiedla nowego Mińska, wymarzone miejsce pod chram.

W namiocie, przy zaimprovizowanym ikonostasie kończy się msza — chłopak na inwalidzkim wózku przyjmuje komunię. Zanim fater doprowadzi nas przed ikonostas (honorowi goście), miniemy olbrzymią lodówkę, urządzenia kuchenne, kotły. Powstanie w tym miejscu kompleks zabudowań: świątynia, ośrodek dla sierot i ludzi upośledzonych (psychicznie i ruchowo, jak objaśni ksiądz po odprawieniu mszy), szkoła, dom dla bezdomnych na wzór wioski Bethel koło Bielefeld. Ta miejscowość wspiera ich finansowo — Mińsk i Bielefeld współpracują w partnerskim związku.

Proboszcz pokazuje kartoflisko za namiotem:

— Przysłali sadzeniaki — posadziliśmy. Będzie dla biednych.

Ze wzruszeniem oglądam wątłą roślę jabłunki wkopanej w dnu czarnobylskiej katastrofy...

Jesteśmy blisko osiedla, w którym mieszka ojciec Bożko. Wpadniemy na chwilę. W mieszkaniu sterylnie czysto, dwie ściany zawałone książkami. Polonistyczny nawyk — do pólek, na nich wszystko co chcesz, od Erazma z Rotterdamu po najlepszą poezję rosyjską (Jesienin, Błok). W urzędzeniu widać pewną zamożność, która mnie zaskakuje — nie takie domy przywykłem oglądać po tej stronie Bugu.

— Trzydzieści siedem lat jestem diakonem — mówi fater.

Wyczuwam w tych słowach dramat. Ale ponieważ sam nic nie dodaje, nikt go nie pyta.

— Pojadę z wami na dworzec i chyba zostanę u metropolity na noc. Jutro z samego rana msza.

Dziwimy się. W łacińskim kościele kardynałowie pokazują się przy ołtarzu rzadko.

— Władyka wczoraj do drugiej w nocy przeglądał dokumenty.

— Nie ma sekretarza?

— Jeszcze za wcześnie, żeby komukolwiek powierzać sprawy.

Byli u mnie kiedyś czterej księży z Polski — tutaj, w domu. Trochę zabalowaliśmy i rano oni nie przyszli na nabożeństwo. Dlaczego, pyta metropolita. Dostali rozstroju żołądka — mówię. Już ja znam te tłumaczenia — do czwartej śpiewaliście nie to co trzeba. Miał rację. Śpiewaliśmy *Jeszcze Polska nie zginęła, Wśród nocnej ciszy i Na prawo most, na lewo most*.

Przed kolacją usiłuję przekonać metropolitę by nie lekceważył możliwości oddziaływania przez prasę — chodzą mi po głowie pytania, których nie chciałbym zadawać w obecności innych.

— Kiedyś radzili sobie i bez tego — odpowiada.

Po posiłku wychodzą ostatni. Jesteśmy we trzech: władka, młody ksiądz stale obecny przy Filarecie i ja.

— Eminencjo, w XIX stuleciu dwory w Białorusi w większości były polskie, do 39 roku zachodnia część kraju należała do Rzeczypospolitej — jakie znaczenie ma to dzisiaj dla Białorusinów?

— To problem dla historyka, ja nim nie jestem.

— A jak Białoruś widzi swoje miejsce pomiędzy Polską a Rosją?

— Rozdrobnienie i podzielenie ZSSR leżało w interesie Zachodu. Są ludzie, którzy nie mogą strawić, że w Białorusi panuje spokój — chcą ją odizolować od Rosji a polski Kościół już sobie z nią poradzi.

— Autokefaliczna Cerkiew Białoruska, niezależny, białoruski Kościół nie leży w interesie Białorusi?

— Jaki niezależny? Na 150 księży tylko 26 to Białorusini. Polska jest opanowana przez Watykan. Za Jagiełły nie było inaczej, w XVIII wieku też.

— Nie wiem, czy eminencja ma rację.

— Jest książka arcybiskupa Martosa ujmująca szeroko zagadnienia historyczne, państwowe, religijne Białorusi — odbiera od sekretarza tom i podaje mi — tam można znaleźć wszystko...

— A prawosławie w Polsce?

— Niezbyt liczne, według mnie liczące z 500 tysięcy, ale prężne, dobrze zorganizowane w konfrontacji z Kościołem.

I to wszystko. Obejmuje moją głowę i przytula do obfitej brody:

— Do widzenia żurnalisto.

Pół godziny przed północą fater Leonid odprowadza nas na dworzec. Po drodze pozwala sobie na szczerość: nie lubi dziennikarzy, taki napisze, że jestem Żyd albo alkoholik, i co mu zrobisz? Na peronie porywa panią Ewę do tańca — mimo pożegnalne smuteczki i nostalgiczne śmiejemy się.

— On tak zawsze — powiada kierowca — mimo swoich 63 lat...

— Krótkie spotkania są zwykle owocne — słyszymy na pożegnanie.

Adam W. KULIK

Widziane z Brukseli i Moskwy

OBRAZKI Z WYSTAWY

Okręg wyborczy

W referendum rosyjskim 25 kwietnia tylko jeden okręg wyborczy głosował naprawdę w sposób logiczny, zwarty i gotowy. Prawie jednogłośnie wyborcy odpowiedzieli tam „nie” na pierwsze i drugie pytanie i „tak” na trzecie i czwarte. Inaczej mówiąc, odmówili zaufania Jelcynowi i odmówili poparcia jego reformom, a wypowiedzieli się za przeprowadzeniem przedterminowych wyborów prezydenckich i parlamentarnych. Wniosek ogólny jest ewidentny: wszystko jest do kitu, nie ufamy nikomu, wszystkich przepędzić, spróbować od początku i na nowo. Okręg wyborczy nazywa się Butyrki. Jest to jedno z więzień w Moskwie.

Dom wariatów

„To jest groteskowy koszmar (albo koszmarna groteska...)”, tak określił sytuację w przeddzień kwietniowego referendum Jefim Szyfrin, popularny humorysta moskiewski. Jego skecz dzieje się w klinice psychiatrycznej gdzieś w Rosji. W stosunku do najbardziej opornych pacjentów lekarze stosują tam ostateczny argument: „Jak się nie uspokoisz, to cię za karę pošemy na zjazd deputowanych ludowych...”

Historia została mi opowiedziana w biurze PAP w Moskwie i wykracza poza ramy skeczu. Ma podwójny sens. Pierwszy jest zdecydowanie optymistyczny: bardzo dużo musiało się zmienić w Rosji, żeby ludzie zaczęli i mogli już śmiać się z „psychuszek”, do niedawna przecież jeszcze synonimu wszystkiego co było najgorsze w Sowietach.

Drugi sens jest raczej pesymistyczny, a co najmniej sceptycznie refleksyjny: oddaje mianowicie dość wiernie postawę społeczeństwa wobec zjazdu deputowanych i parlamentu, instytucji, które teoretycznie powinny uosabiać wszystkie cnoty demokracji, chronić podstawowe wartości republiki, a które, z własnej winy, z powodu zachowania się posłów,

utraciły w Rosji resztkę (jeżeli jeszcze miały) autorytetu i powagi (nie tylko zresztą w Rosji, jak wiadomo).

Kampania przed referendum kosztowała ok. 30 milionów dolarów (nie podaję w rublach, bo to dziś nic nie znaczy). Spora część tej sumy przeszła do kasy „Satchi and Satchi”, słynnego brytyjskiego biura *public relations* i reklamy. „Satchi” twierdził, że nie zajmował się kampanią jakiegoś określonego polityka, a pracował na zlecenie rosyjskich przedsiębiorców prywatnych z zadaniem „zwiększenia zainteresowania społecznego dla referendum”.

Szkoda, że „Satchi” nie pracował dla kampanii poszczególnych polityków. Udałoby się było może uniknąć gaf czy nawet skandali. Jelcyn nie zaniedbał niczego. Po tym jak był na dwóch mszach wielkanocnych w ciągu 24 godzin, w Moskwie i we Włodzimierzu, Jelcyn otrzymał przydomek „Borys Pobożny”. Jaki przydomek dostał po wizycie w sklepie spożywczym w Moskwie, nie wiem, ale dialog był następujący. Klientka w czerwonym palcie deszczowym: „Nasza sytuacja stale się pogarsza”. Jelcyn: „Nie zgadzam się. Widzę jak pani jest ubrana. W czasie mojego niedawnego pobytu w Vancouver w Kanadzie zauważyłem, że ludzie wcale nie byli tam lepiej ubrani”. Albo inna scena w Kuzbasie u górników. Żony górników: „Jelcyn, nie zrobiłeś dla nas niczego. Nie będziemy na ciebie głosować”. Jelcyn; „Nie głosujcie, to wasze prawo”.

Mówili mi Rosjanie, żeby się nie przejmować, że Jelcyn jest znacznie lepszy w poważnych dyskusjach. Na spotkaniu z przedsiębiorcami plótł jednak takie brednie ekonomiczne, że po prostu wywołał wesołość sali. Na spotkaniu z intelektualistami sala też się śmiała, i też na smutno. Jelcyn wystąpił tam w szatach rosyjskiego patrioty i nacjonalisty, zapowiedział gromko, że Rosja nie wycofa się z krajów bałtyckich dopóki Rosjanie będą tam ofiarami prześladowań (choć niewielu chce wracać do ojczyzny), zagrzmiał, że „na każdy pocisk wystrzelony w naszym kierunku na Kaukazie, odpowiemy dwoma”, a przede wszystkim zbeształ... Amerykanów, naród bez przeszłości. „Rosja — powiedział Jelcyn — ma kilka tysięcy lat historii, a Stany Zjednoczone tylko 200 lat”.

Jelcyn miał i ciągle ma wielu doradców. Złych. „Satchi” nigdy bowiem nie podpowiedziałby Jelcynowi takich replik i rewelacji historycznych. Rzecz cała działa się w sali Bolszoja (o którym będzie jeszcze mowa), ale tu nie chodziło o sztukę, a chodziło o życie.

Życie polityczne

A o co chodziło na wiecach zamykających kampanię wyborczą po obu stronach placu Czerwonego? Pierwszy zgromadził 50.000 młodych, przeważnie brodatych lub dawno niegolonych ludzi, ubranych w bardzo spóźnie i niedobre imitacje zachodnich „gniewnych” z roku 1968 i aktualnych „skinów”. Byli oni, w ogromnej większości, nieczuli na referendalne hasła rzucane przez starszych też brodatych lub niegolonych agitatorów Jelcyna. Wśród tłumy wyróżniała się... brudem i czarnymi postrzępionymi flagami, grupka dumnie piętrzących torsy samozwańczych „anarchistów”. Wszystko to razem robiło żałosne wrażenie *déjà vu* gdzie indziej i bardzo dawno. W sumie było smutno i sympatycznie, ale stanowczo za głośno. Choć formalnie chodziło o wiec przedwyborczy, w istocie był to koncert rocka.

Z drugiej strony placu skrzyknęła się prawica. Średnia wieku, to jasne, dwa-trzy razy wyższa niż obok, na rocku. Kilkanaście tysięcy osób, z wyjątkiem pierwszych rzędów, właściwie spokojnych, jakby zrezygnowanych. Najbardziej agresywne i krzykliwe są starsze kobiety, przeważnie bardzo zabiedzone i zniszczone, choć były i eleganckie „damy z (byłego) towarzystwa”, na ogół, jak mi powiedziano, emerytki lub wdowy z nomenklatury partyjnej i wojskowej, pozbawione dawnych przywilejów i żyjące chyba po prostu, tak to wyglądało, w biedzie.

Trzy znaki pozwalały się od razu odnaleźć. Najpierw mówcy, wśród których najbardziej krzykliwi byli puczyści z sierpnia 1991. Wszyscy byli na wolności, proces był ciągle odraczany (już chyba faktycznie na zawsze), z czego zamachowcy korzystali pełną garścią. Ale naturalnie tylko nieliczni biorą ich jeszcze na poważnie. Ludzie, którzy mieli taką, właściwie nieograniczoną władzę i tak okropnie sfuszerowali pucz, nie mogą ponownie pretendować do przewodzenia i organizowania czegokolwiek.

Najgłośniej krzyczał Anatoli Łukianow, były przewodniczący parlamentu. Ostatnio pisze anty-jelcynowskie poematy, gdzie jest mowa o „prezydencie w obcych szatach, który sprzedał nasze Zwycięstwo i zajęty jest liczeniem srebrników...” Ale, powiada poeta, „naród się obudzi” i zrzuci „fałszywego Dymitra (niby Jelcyna-samozwańca) z kamiennych schodów Kremla”. Brakuje tylko aluzji do faktu, iż samozwańców narzucali w XVII wieku Polacy. Zamiast Polaków

dziś w poematach figurują Żydzi i masoni. Poematy drukuje dziennik *Prawda*, utrzymywany przy życiu dzięki subwencjom z kasy jakiegoś podejrzanego businessmana... z Grecji.

Po drugie — hasła i portrety. Były banalne. Antyjelcynowskie naturalnie i antysemityczne. Też już znane. Dwa były nieco oryginalne i warte przytoczenia. Pierwsze wołało: „Odebrać odznaczenia rabinom...” i brzmiało raczej wesoło. Drugie było nie mniej zabawne, ale, na tle trójkąta złożonego z domu towarowego GUM, katedry św. Błażeja i mauzoleum Lenina, chyba mało realistyczne. Transparent krzyczał mianowicie: „Nie damy zamienić Placu Czerwonego na synagogę”. Spotkałem paru moskiewskich Żydów: obawiają się raczej, też chyba niesłusznie, czegoś wprost przeciwnego.

Jeżeli chodzi o twarze na kijach (i portret na pierwszej stronie *Prawdy*), to dominował Stalin. Pewnie, do starych, stęsknionych za świetlaną przeszłością, to oblicze jakoś jeszcze przemawia, ale nie można dziś w Rosji wynaleźć czegoś mniej skutecznego w kampanii antyjelcynowskiej niż portret Józefa-językoznawcy. To najlepszy dowód na tezę (fałszywą zresztą) właśnie samego Jelcyna, że stalinizm i komunistyczna dyktatura stanowią jedyną alternatywę reżymu, jaką on Rosji proponuje. W każdym razie, nikt z — żeby ich tak określić — poważniejszych konkurentów Jelcyna, od wiceprezydenta Ruckoja po przewodniczącego parlamentu Chasbulatowa poprzez prezesa Trybunału Konstytucyjnego Zorkina i szefa *lobby* przemysłowego Wolskiego, na takich wiecach się nie pokazuje. Zjawy są dobre na filmach ale w życiu mało przydatne. Stalin dziś w Rosji to dla większości już nawet nie zjawia, a zmora.

Publikacje — i to jest po trzecie — kolportowane na tych wiecach skrajnej prawicy też nie świadczą dobrze o jakości i wyobraźni tego towarzystwa. Rozchodzi się naturalnie tygodnik *Dień*, parszywa i trująca, bo dość szeroko kupowana szmata, gdzie można przeczytać, że „Żydzi są ontologicznie zdrajcami”... a „synagogi są świątyniami szatana”. Można kupić *Russkoje Slovo* — podobnego autoramentu. Ale *best-seller*em były dwie wersje „Mein Kampf” Hitlera. Jedna, skrócona, fatalny papier i druk, wydawca nieznany, za głupie 150 rubli, co wtedy równało się 20 centom (0,20 dolara) USA. I pełna wersja za 4.500 do 8.000 rubli, 5-9 dolarów. Wydawnictwo jest już podane, nazywa się „Wodnik” z siedzibą w... Aszchabadzie, stolicy Turkiestanu. Zainteresowanych informuję, że najlepiej zaopatrzone we wszystkie wersje biblii Hitlera jest stoisko uliczne tuż za Łubianką,

wieżeniem i siedzibą KGB. Tam też zapewne poszukał inspiracji dziennikarz z *Prawdy*, który oskarżył Żydów z ortodoksyjnej sekty Lubawiczów o zamordowanie trzech popów. Ponieważ „Lubawiczowie” są obecnie w Rosji, gdzie domagają się zwrotu zagrabionych im przez sowiety ich świętych archiwów, i ponieważ, rzeczywiście, gdzieś tam zamordowano popów, to dla *Prawdy* związek jest oczywisty...

Margines

Nie przejmuj się, to wszystko margines, powiadają moi rozmówcy. Tak samo, dodają, jak żalosne widowisko pod muzeum Lenina, dwa kroki od Kremla, gdzie codziennie zbiera się, przeważnie ta sama, grupka starszych, smutnych ludzi, emerytów, którzy nie wiedzą (ja też bym nie wiedział), jak żyć za 5.000 rubli (8 dolarów) miesięcznie. Należy im współczuć, ale, tłumaczą mi, nie należy tego traktować jako zjawiska politycznie poważnego. Czy potrzebny jest bardziej wymowny symbol, pytają, niż fakt, że ostatnie dwa piętra Muzeum Lenina już są wynajęte jakieś firmie handlowej?

No a Szafarewicz, pytam, to też margines? Nie wiem, co się stało z Igorem Szafarewiczem, w obronie którego ja także napisałem przed laty kilka co najmniej artykułów. Wybitny matematyk, przyjaciel Sołżenicyna, nieustraszony przeciwnik psychiatrii w służbie KGB, członek-założyciel Komitetu Praw Człowieka w ZSSR, współpracownik Sacharowa, Szafarewicz jest dziś jednym z inspiratorów i przywódców antydemokratycznego, antyzachodniego i antysemitycznego ruchu w Rosji.

Jego zasadnicze credo, „Russofobia”, uzupełnione o tekst „Listu do oszczerców Rosji” podpisanego przez 74 pisarzy rosyjskich o tych samych co Szafarewicz poglądach, wyszło niedawno we Francji i w Belgii. To zadziwiające i zatrważające świadectwo obłędu nie miało, trudno się dziwić, na Zachodzie dobrej prasy. Zostało raczej zignorowane. Ale w Rosji traktowane jest poważnie. To są nazwiska! Otóż ich poglądy zbliżone są do pseudo-ideologicznego bełkotu Żyrynowskiego, raczej dementa, jednego z szefów i kandydata frontu brunatno-czerwonego, sojuszu skrajnej prawicy z sierotami po komunizmie. Żyrynowski zebrał 8% głosów w wyborach prezydenckich w czerwcu 1991, kiedy Jelcyn był u szczytu popularności. Ile miałby dzisiaj? Czy byłby to jeszcze ciągle margines?

Korona republiki kałmuckiej

Nad Morze Kaspijskie Kałmucy przywędrowali w XVII wieku, potem pomagali rzezać Stience Razinowi, potem poznali carów, którym wiernie służyli, potem Denikina, potem władzę sowiecką, potem mieli okrąg autonomiczny, potem republikę autonomiczną, potem Stalin ją zlikwidował, a Kałmuków deportował na Syberię i wymordował, potem znowu była republika, ale nigdy jeszcze Kałmucy na własne oczy nie widzieli prawdziwego „Lincolna”. Zobaczyli dopiero w kwietniu roku 1993, kiedy w toku kampanii przed referendum, na bezdrożach (normalnych dróg tam niewiele) Kałmukii pojawił się 9-metrowy „Lincoln” z Kirsanem Iliumzinowem za kierownicą.

Kirsan Iliumzinow, lat 31, był jednak nie szoferem, a właścicielem samochodu. I dzięki „Lincolnowi” został też prezydentem Republiki. Nie Stanów Zjednoczonych, a Kałmukii. „Kałmucy widzieli Lincolna tylko na telewizyjnych serialach amerykańskich — powiada nowy prezydent. — Ja postanowiłem przekonać Kałmuków, że Lincoln można nie tylko oglądać na ekranie, ale można go mieć, tutaj, na miejscu”.

No i przekonał. Po drodze Iliumzinow, zwany dalej w skrócie Kirsanem, wyeliminował swojego konkurenta, generała lotnictwa Oczyrewa, bohatera z Afganistanu, mimo iż generał prowadził swoją kampanię nie z samochodu, a z helikoptera. Sowieckiego.

Kirsan się nie krępował. Obiecał, naturalnie, to drobiazg, podnieść poziom życia ludności. Nie do swojego poziomu, na to trzeba jeszcze poczekać, ale zawsze... I jako gwarancję promiennej przyszłości zakupił kilka Mercedesów dla... policji, wybudował meczet, kilka cerkwi, zapowiedział — na wszelki wypadek — utworzenie międzynarodowego ośrodka buddyjskiego. Dla młodych wyborców kałmuckich sprowadził z Moskwy zespoły rockowe, znane tylko z telewizji; starym zapewnił subwencje na utrzymanie niskiej ceny chleba i mleka. Teraz Kałmucy czekają jeszcze na spełnienie innego proroctwa Kirsana. Prezydent, jeszcze wtedy kandydat, powiedział mianowicie dwuznacznie, ale sugestystycznie, że jest tak bogaty, iż może obdzielić każdego Kałmuka 100-dolarowym banknotem. Okazało się to być bardzo poważną i skuteczną aluzją wyborczą.

Prezydent Iliumzinow pochodzi z dobrej rodziny. Poto-

mek sowieckiego komisarza, sam Kirsan zdążył też być członkiem partii, dał się wybrać do Rady Najwyższej w Moskwie, co nie przeszkodziło mu w bardzo szybkim przekształceniu się w prawdziwego kapitalistę i magnata. Ubrany jak z zachodniej igły, bywalec stolic świata, właściciel kont i sejfów bankowych w Zurychu i Londynie (w jednym z nich spoczywa korona ze złota i diamentów, kupiona od Kasparowa, który ją otrzymał za swoje pierwsze mistrzostwa świata w szachach). Kirsan, jak się można domyśleć, jest młodym człowiekiem bez kompleksów. Kałmukia, powiada, nie będzie żadną republiką, a będzie przedsiębiorstwem. Jako prezydent Kirsan zaczął od rozwiązywania miejscowego parlamentu, likwidacji połowy ministerstw i głębokiej czystki w KGB.

Można mu zaufać, wie co mówi i robi. Kirsan to człowiek bardzo bogaty, a Kałmukia to bardzo biedny kraj. Doskonale się więc uzupełniają z tym tylko, że jeżeli źródła biedy Kałmuków są doskonale znane, to źródła bogactwa Kirsana wymykają się spod działania „głosności”.

Kirsan skromnie milczy i nie odpowiada na pytanie, jak zarobił swój pierwszy milion. Nie rubli, a dolarów, naturalnie. Pierwsze przedsiębiorstwo Kirsan zakłada w 1990 roku. Trzy lata później stoi na czele ogromnego konglomeratu, 50 przedsiębiorstw, tyle ich ma, że, jak sam mówi, już się nie może doliczyć. Zajmuje się wszystkim, od tekstyliów do drukarni, poprzez elektroniczne i inne *joint-ventures* z Japonczykami. Kirsan opowiada, że KGB kontrolowało go ponad 30 razy, to samo organa podatkowe, ale niczego nie znalazły. Kirsan nie opowiada jednak o swoich koneksjach w Moskwie, gdzie właśnie negocjuje przekształcenia Kałmukii w wielką strefę bezcłową, zdolną przyciągnąć inwestycje zagraniczne, na przykład w kawior kaspijski, który mógłby, przy odpowiedniej eksploatacji, zadowolić nie tylko upodobania zachodnich burżuazów, ale pomóc tworzyć także burżuazję kałmucką.

Kirsan dodaje, iż jest przekonany, że Kałmukia leży na ogromnych rezerwach nafty i że, gdyby mu nie przeszkadzano, to mógłby ten kraj zamienić w drugi Kuwejt, a potem — skąd my to znamy — w drugą Japonię... Na razie otwiera w Kałmukii kasyna, a nowonarodzeni synowie otrzymują na imię Kirsan.

A w ogóle, dodaje Kirsan, moje ambicje nie kończą się na Kałmukii. Co też ten młody człowiek może mieć jeszcze na myśli? Korona — powiadają jego bliscy — spoczywa gdzieś w Szwajcarii, ale w każdej chwili można ją sprowadzić do Moskwy. Na Kremlu też jest skarbiec...

Rasputin

„To jest zbiorowy Rasputin!...” Ten wykrzyknik należał — jak się łatwo domyśleć — do najłagodniejszych epitetów jakie sobie, w tym wypadku zresztą nawzajem, posyłały wysokie zaangażowane strony w toku kampanii przed referendum. Jest on jednak o tyle charakterystyczny, że aluzja do szalonego, pijanego i złowrogiego mnicha syberyjskiego trafnie ilustruje powszechny, modny obecnie w Moskwie powrót do słownictwa, symboli i wyobraźni z carskich czasów. Przy byle okazji, w nazwach restauracji i tytułach gazet, mowa jest więc o bojarach i trojkach, kawiorze i carach, oczach czarnych, dońskich kozakach i niezmierzonej duszy rosyjskiej... I przepastnych dziurach w moskiewskich brukach, które z całą pewnością też pamiętają czasy co najmniej Mikołaja II.

Z całej kampanii właściwie tylko te aspekty, a nie wymiana obelg poszczególnych Rasputinów, interesowały wyborców. Zaskakująco duża frekwencja wyborcza nie powinna prowadzić do mylnych wniosków. Udział i wynik referendum wydał się ważny sporej liczbie Rosjan, ale kampania wyborcza nie obchodziła właściwie nikogo. Pseudo-uczone spory o konstytucję i sposoby obliczenia głosów toczyły się na marginesie prawdziwych problemów ludności. Kiedy Jelcyń zjawił się przed studentami i zachwalał swój projekt konstytucji, ktoś z sali przerwał: „Czy pan prezydent myśli, że życie w warunkach w jakich żyjemy jest zgodne z konstytucją?!”

Moskwa się zmieniła. Fizycznie i psychologicznie. Wrócił prawdziwy rosyjski fatalizm. Znowu, po bardzo krótkiej przerwie, o władzy mówi się „oni”. O referendum: „Oni” się kłócą o podział łupów. O ustroju: „Oni” się nie wyrzekają niczego, właśnie (to prawda) podwoili sobie pensje. Kiedy nieśmiało zwracam uwagę, że nawet podwojona pensja Jelcyna to jakieś 150 dolarów miesięcznie, co na prezydenta dużego kraju nie jest zawrotną sumą, odpowiedź jest natychmiastowa: „Oni” nie potrzebują gotówki, „Oni” mają wszystko za darmo od państwa.

Nie wiem, czy i co „Oni” mają za darmo od państwa. Obywatele jednak za darmo nie mają niczego. Co prawda, człowiek nie wierzy własnym oczom, Moskwa jest bowiem właściwie bez zewnętrznych, długich, tradycyjnie obstawionych przez emerytów, kolejek. Jedyne, jakie widziałem, to

krótkie i krótkotrwałe przed wejściem do „Galeries Lafayette”, w Gumie, zamienionym na pałac zachodnich „butików”. Krajobraz jak przed trzema laty w Warszawie: mała prywatyzacja, „ławoczki”, kioski z byle zachodnim albo fałszywie zachodnim „barachłem” („rak na ciele miasta” — powiadają puryści) oblepiły ogromne arterie i place. W kioskach, sklepach i na bazarach można kupić właściwie wszystko. Jeżeli się ma pieniądze, naturalnie. Nie wszyscy mają...

Ci, co mają, stoją jednak w kolejce. Nawet w trzech. W pierwszej, aby sprawdzić czy towar jest i ile kosztuje. W drugiej, do kasy, aby zapłacić. W trzeciej, z karteczką z kasy, aby odebrać towary, „zostać obsłużonym”, co w miejscowych warunkach stanowi ciągle jeszcze po prostu eufemizm. Zresztą, nie jest to zawsze procedura bezkonfliktowa. Scena prawie zawsze ta sama: w kolejce do kasy, klienci, z pieniędzmi w ręku, czekają aż kasjerka — to w Moskwie specjalny gatunek terrorysty — dokładnie obliczy plik banknotów szczęśliwego nabywcy np. kilograma kielbasy za 1.200 rubli.

Ruble, to jedyna rosyjska produkcja w stałym wzroście. W chwili kiedy notowałem, w obiegu było 12 gatunków rubla, od banknotu jednorublowego, właściwie bez rynkowej wartości, po 10.000, co równało się 2/3 średniej pensji miesięcznej. Proszę sprawdzić, jak długo trwa liczenie 1.200 rubli wpłaconych w banknotach 5-, 10- czy nawet 50-rublowych?

Za większe zakupy lepiej więc nie płacić rublami, a od razu w twardej walucie. Na przykład za używany samochód, o którym przeczytałem takie zachęcające ogłoszenie: „Używana Łada do sprzedania. Kupiona w Belgii, nigdy nie jeździła po rosyjskich drogach”.

Brama do raj

Lotnisko międzynarodowe Szeremietiewo 2 w Moskwie. Główna brama do Rosji. Prawdziwy karawanseraj. Czas od wylądowania samolotu do wyjazdu na szosę do miasta równa się czasowi lotu Warszawa-Moskwa. I jest bardziej męczący nawet niż siedzenia w klasie ekonomicznej Tupolewa 134, co jest referencją poważną, jako że dla osób wyższych niż półtora metra stanowi groźbę paraliżu kończyn dolnych.

Golgota zaczyna się od ogonka do pogranicznika, który dokładnie sprawdza zgodność fotografii z obliczem, sądząc z

grymasu oficera, wyraźnie podejrzanego delikwenta. Procedura ciągle ta sama, choć tak zwane władze Federacji Rosyjskiej są już w posiadaniu, jak obliczyłem, ok. 30 moich absolutnie identycznych fotografii. Ledwo zwolniony z wjazdu pod lustrem miejscowego WOP, należy natychmiast wdać się w wysięg po wózek do bagażu.

To nie takie proste. Najpierw trzeba stanąć w kolejce przed młodą, smutną kobietą, która niechętnie, mimo że za dolary, wydaje kwitki po wózek. Ale wózka nie ma. A gdzie są, pytam jak idiota. „Jak to gdzie? Ukradzione!”, odpowiada zdziwiona osoba. Oczekiwanie się przedłuża, w końcu pracownik odpowiedzialny za wydział i przydział wózków zjawia się w polu widzenia dolarowego ogonka, pchając, wyraźnie znudzony... jeden wózek. Wybraniec losu oddaje kwitek, łapie wózek i leci do transportera z bagażami.

Ma szczęście. Bagaże (jeżeli już albo jeszcze) są, szeroki uśmiech rozświetla twarz podróżnika. Oczyma duszy już się widzi u Papowców w biurze z pierwszym drinkiem w rękę, błyskawicznie wypełnia „deklarację dewizową” stwierdzając, że wwozi do Rosji — w moim przypadku — 800 dolarów USA, że nie wiezie kokainy, broni palnej, dynamitu, artykułów żrących i zapalnych, ani żadnych podobnych artykułów i wartko posuwa się ku wyjściu z napisem *Green line*: dla osób nie mających niczego do oclenia. O święta naiwności! Teraz dopiero zaczyna się drugi etap. Bardzo długi. *Green line* nie ma niczego wspólnego z cleniem. Jest tylko dla żebraków. Kto ma więcej niż 500 dolarów, jest surowo ukarany i stać musi w *red line*, w kilkusetosobowym ogonku zachodnich frajerów, którzy chcieli wydać w Rosji więcej niż 500 dolarów. Tłum faluje, klnie we wszystkich językach świata, mówi w tych samych językach co myśli o państwie, które karze za wwożenie dewiz, o które się tak usilnie na całym świecie stara. Klnie, dopóki nie staje przed obliczem, żeby je tak nazwać, ponurego faceta, który mechanicznie pieczętuje i zamasyżuje podpisuje feralną „deklarację dewizową”, nie spojrzawszy nawet co na niej pisze.

Wycieńczony podróżnik wkracza wtedy w etap trzeci, najkrótszy: przejście przez parking międzynarodowego lotniska Szeremietiewo 2. Kiedy samochód nań wjeżdża, specjalny urzędnik patrzy na zegarek i ręcznie wypisuje kwitek z godziną wjazdu. Kiedy nasza „Łada” opuszcza parking, inny urzędnik patrzy na zegarek, przelicza w pamięci czas przez cenę godziny parkowania, odbiera pieniądze i ręcznie podnosi łańcuch.

Wreszcie, droga do domu. To etap ostatni, najbardziej wyczerpujący, nerwowo i fizycznie. Przejazd szosą z lotniska do miasta, ok. 40 km, jest bardziej niebezpieczny niż przelot nawet Tupolewem. Droga z lotniska to gigantyczny tor dziur-pułapek, które ominąć można tylko pod dwoma warunkami. Pierwszy, to bardzo dokładna znajomość miasta. Ktoś powinien wydać — jest zresztą taki projekt — mapę najważniejszych dziur w Moskwie, tych które grożą życiu nie tylko samochodowi, ale i pasażerów. Dla informacji podaję, że dziury (niektóre pochodzą z carskich czasów) głębsze niż pół metra bywają, choć nie zawsze, oznaczone wystającą z nich skrzynką po owocach lub pomidorach. Ale lepiej na to nie liczyć. Trzeba po prostu patrzeć przed siebie.

To jednak nie takie proste. Drugi warunek bowiem, to wysoka technika jazdy i patrzenie nie tylko przed siebie, ale na wszystkie boki. Kodeks drogowy, na przykład światła na skrzyżowaniach, priorytet prawej strony itp., nie weszły jeszcze do codziennej praktyki. Można i należy się więc spodziewać uderzenia z prawa, lewa czy nawet z przodu. Wymijać dziury w bruku można także jeżdżąc slalomem. Nie radzę. Inni bowiem też tego próbują, a dwaj szoferzy w slalomie to już konkurencja sportowa. Marek Car, szef PAP-u, twierdzi, że patrzeć trzeba nawet w górę. Liczy zapewne na Kościuszkę...

„Cicho, cicho...”

Do Bolszoja nie było żadnej kolejki i nie potrzeba było rubli. Przed teatrem można kupić dwa rodzaje biletów. Bilety loterii do „drapania”, nowej pasji rosyjskiej, takie, na których wynik można od razu wskrobać i odczytać i które dokładnie zaśmiejają centralne trotuary Moskwy. Oraz drugi rodzaj biletów, mianowicie bilety banku federalnego USA, to znaczy dolary. Dwa stare wycofane z ruchu autobusy stoją naprzeciw fasady Bolszoja i pod dobrą strażą prowadzą najzupełniej oficjalnie, po uczciwym kursie dnia, kantor wymiany dewiz.

Tylko biletów do Bolszoja nie można kupić pod Bolszojem. To znaczy, nie można normalnie, w kasie. Kasy są zamknięte, a bilety, te lepsze, są u mafijnych, jak powiadają, „koników”, za dolary, do nabycia na schodach teatru.

W południe bilety na parter były po 30 dolarów sztuka, wieczorem, im bliżej spektaklu, cena maleje. 10 minut przed kupilem dwa świetne miejsca po 10 dolarów. To znacznie

taniej niż w Brukseli, gdzie zresztą także nigdy biletów w kasie nie ma, ale gdzie cena nawet najdroższych dwóch biletów do opery nie równa się średniemu miesięcznemu uposażeniu urzędnika państwowego.

Widziałem zupełnie dobrze śpiewane i wystawione przedstawienie „Cyrylika Sewilskiego”. Operę Rossiniego śpiewano po rosyjsku. Słynna aria „Piano, piano” Don Basilia brzmiała po rosyjsku nie gorzej niż po włosku: „Cicho, cicho, pocichońko...”. Wychodząc nasuwało się pytanie, jak długo jeszcze Rosjanie będą się zachowywać „cicho, cicho, pocichońko”? Ich życie niczym nie przypomina opery. Zwłaszcza komicznej...

Człowiek i kosmos

„Lasciate ogni speranza, voi ch'entrate...” Pisząc o piekle, Dante nie miał na myśli moskiewskich telefonów, ale bardzo dokładnie oddaje sytuację straceńca, który chciałby się ze stolicy byłego imperium połączyć z zagranicą. Oczekiwanie na połączenie lub czynność wykręcenia numeru zajmuje kilka do kilkunastu godzin, bez żadnej gwarancji powodzenia. Zresztą nie każdy abonent jest do tego uprawniony, ogromna ich większość nie jest w ogóle podłączona do centrali międzynarodowej. Stan połączeń telefonicznych, wewnętrznych i międzynarodowych, jest jednym z zasadniczych czynników opóźniających reformę systemu zarządzania. „Wielka telefoniczna niemowa” uniemożliwia wszelki prawdziwy postęp.

Do niedawna Rosja miała tylko 1.100 linii międzynarodowych, połowę stanu posiadania Związku Sowieckiego. Na kilka dni przed kwietniowym referendum pomnożyła je ponad 10 razy. Ma ich już 15.000, dzięki nowej sieci prowadzącej kable przez Danię. 1.200 km kabla idzie dnem Bałtyku. Przedsięwzięcia europejskie, m.in. duńskie właśnie, japońskie i amerykańskie, współpracowały w realizacji tej inwestycji. Koszt: 125 milionów dolarów i 500 milionów rubli (po kursie z 1991 roku). Na razie tylko mieszkańcy Moskwy i Petersburga mają dostęp do nowej sieci. Teoretycznie, bo to wcale nie znaczy, że mogą łatwiej dodzwonić się na Zachód.

Z okazji inauguracji nowej centrali prezydent Clinton przesłał gratulacje dla prezydenta Jelcyna. Clinton połączył to z okolicznościowym kazaniem. Jelcyn z lekcją historii. „Wolna i otwarta łączność, napisał Clinton, stanowi zasadni-

czy składnik demokracji i podstawowy warunek rozwoju gospodarki i handlu międzynarodowego...”. Jelcyn zaś ujawnił, że już 300 lat temu Piotr Wielki podpisał traktat o przyjaźni z Danią i otworzył w ten sposób „pierwsze wielkie okno na Europę”. Dziś, powiedział Jelcyn, „otwieramy drugie okno na światową społeczność”.

Aby o tym zawiadomić tę społeczność, ciągle jeszcze trzeba czekać kilka godzin. Przy oknie otwartym lub zamkniętym. Telefon jest ciągle głuchy. A co do technologicznej współpracy amerykańsko-rosyjskiej w ogóle, to złośliwa Moskwa już znalazła komentarz. Na wiadomość o wspólnych projektach budowy i obsługi stacji kosmicznych, gdzie amerykański kosztorys samego tylko klozetu sięga 30 milionów dolarów, ktoś zapytał: „Po co to wszystko? Wydamy 30 milionów dolarów na klozet, a zabraknie papieru toaletowego!”.

Czwarte zwycięstwo

W niedzielę 25 kwietnia 1993, Borys Jelcyn odniósł trzy zwycięstwa. Pierwsze, od razu rano. Nad klimatem. Dzień referendum wstał ciepły, słoneczny, prawdziwie wiosenny, ok. 15 stopni o 9 rano. Dla mieszkańców wielkich miast, stanowiących główny elektorat Jelcyna, było za wcześnie aby wyjść na dach, ale w sam raz aby pójść na spacer lub wyjść na działki, a wracając, zatrzymać się nad urną.

Drugie zwycięstwo Jelcyn odniósł w niedzielę wieczorem. Nad przeszłością i tradycją, swoją własną i swego kraju. W tę niedzielę demokracja rosyjska funkcjonowała. Zanotowano, naturalnie, kilka nieprawidłowości czy nieporozumień, było kilka protestów, ale nawet najbardziej wścibscy obserwatorzy zagraniczni (było ich ponad stu, niedużo, ale zawsze) nie dopatrzyli się poważniejszych uchybień ani gwałtownych incydentów. Padła tylko jedna ofiara referendum. Był nią członek jednej z komisji wyborczych w Irkucku, który zapisał się na śmierć. Ponieważ zgąśł z overdozy zanim ogłoszono wyniki referendum, nie można stwierdzić, czy upił się z radości czy ze zmartwienia. Na męczennika demokracji w każdym razie się nie nadaje.

Trzecie i najważniejsze zwycięstwo Jelcyn odniósł późno w nocy, kiedy stało się jasne, że większość wyborców głosowała nie tylko za zaufaniem dla prezydenta, ale także, co było niespodzianką dla samego Jelcyna, poparła jego reformy

gospodarcze wraz z ich korowodem bolesnych skutków inflacyjnych i w ogóle.

Z całym szacunkiem dla pierwszych trzech zwycięstw, trzeba powiedzieć, że najtrudniejsze do odniesienia będzie zwycięstwo czwarte, to znaczy przekształcenie wyników referendum w bazę skutecznej i stabilizacyjnej polityki rządu. Referendum bowiem niosło z sobą potrójne (co najmniej) ryzyko. Wszystkie, bardzo szybko, zamieniły się w pewność.

Pierwsze polegało na możliwości bardzo różnego interpretowania wyników. I tak się stało. Dla Jelcyna, zwycięstwo jego osobiste i jego polityki, nie ulegało kwestii. Jego zdaniem, referendum odnowiło mandat prezydencki i stanowi podstawę do zmiany konstytucji, a nawet nowych wyborów parlamentarnych. Dla jego przeciwników wprost przeciwnie. Chasbułatow i Ruckoj mają swoją arytmetykę. Liczą nie ilu Rosjan głosowało za, ale liczą ilu razem głosowało na nie albo nie głosowało wcale. Według nich, referendum nie może mieć żadnych skutków prawnych ani ustrojowych, stanowiło tylko skromne badanie opinii publicznej o negatywnym przy tym dla Jelcyna wyniku, albowiem z ponad 100 milionów Rosjan, tylko nieco ponad 30 milionów prezydenta poparło. Demokracja, jak widać, nie dla wszystkich na tym samym polega.

Drugie ryzyko też się sprawdziło. Referendum nie położyło kresu walce politycznej, absurdalnej rosyjskiej odmianie „wojny na górze”. Wprost przeciwnie, zaogniło ją. Rosyjska wojna na górze toczy się, jak czasem w Polsce, na najniższym możliwie poziomie szantażu, kalumnii i obelg. Z jednej strony, Chasbułatow woła, że idzie dyktatura gorsza od Pinocheta, a Ruckoj dodaje, że korupcja władzy jest gorsza niż w Bizancjum, na co ma dowody w „jedenastu walizach pełnych dokumentów”. Z drugiej strony, Jelcyn, a zwłaszcza ludzie prezydenta, ostrzegają przed „czerwono-brunatnym frontem” i wołają pod adresem parlamentu, że „fasyzm nie przejdzie”.

Jedni kontestują niewątpliwe wyniki wyborów. Inni stosują śmiesznie małostkowe (francuskie słowo *mesquin* pasuje tu lepiej) środki nacisku, pozbawiają Ruckoją kolejno Mercedes, lekarza, goryli, sekretarek, no i wszelkich funkcji, z przyjmowaniem obcych ambasadorów włącznie. A chodzi tu, wyjaśniam, o człowieka, wybranego na jednym „tickecie” z Jelcynem, który w razie niezdolności prezydenta, ma go zastąpić we wszelkich rolach głowy państwa.

Świat już widział rozchodzących się przyjaciół politycznych. Świat zna rozmaitego typu „kohabitacje”, gdzie dwa bardzo bliskie i związane stanowiska państwowe zajmowane

są przez politycznych przeciwników. Ale świat nie widział jeszcze dwóch ludzi na takich stanowiskach nie rozmawiających ze sobą inaczej, jak tylko za pośrednictwem inwektyw i to pośrednio, przez prasę, także zagraniczną. Nie ma w historii — może poza Polską właśnie — odpowiednika tak drogiej i niebezpiecznej zabawy na koszt podatnika i kosztem interesu państwa. Obie strony jeszcze nie doszły do fazy „czarnych teczek”, bo na razie współpraca z KGB należy ciągle do reguły i nie przeszkadza, wprost przeciwnie, w dostępie do stanowisk i w sprawowaniu władzy, nie stanowi czynnika moralnie dyskryminacyjnego, ale niedługo coś zastępczego, jakieś teczki w innym kolorze, na pewno się znajdą. Na pierwszy rzut oka można by sądzić, że chodzić tu może tylko o monstualną farsę albo tylko o głęboki kryzys. W Rosji występuje razem jedno i drugie.

W chwili kiedy piszę te słowa, kraj niewątpliwie przechodzi „dziecięcą chorobę” neo-bolszewickiej niemożności zawierania i respektowania kompromisów. Otóż jest to diagnoza tym bardziej niebezpieczna, że już niedługo (a może już) kompromisy będą lub są nieuniknione. Cała (chciałoby się powiedzieć banda, ale nie wypada) klasa polityczna obecnej Rosji nie ma wyboru, musi się dogadać, choćby dlatego, że inaczej się wszystko, z nimi wszystkimi razem, rozleci. Już zresztą widać, że ta grupa ludzi, urodzonych, wychowanych w kraju sowieckim, naznaczonych na zawsze przez komunizm, która obecnie, na Kremlu lub w opozycji, uczestniczy w sprawowaniu władzy, że ci ludzie Rosji do demokracji doprowadzić nie potrafią. Nowe pokolenie tego dokona. Chodzi dziś o to, aby to obecne temu następne nie za bardzo przeszkadzało.

Wreszcie trzecie ryzyko (jest ich naturalnie więcej, ale trzeba wybierać) tkwi w stanowisku Zachodu. Jego poparcie dla Jelcyna wyprzedziło nawet referendum, wystarczy przypomnieć szczyt w Vancouver i miliardy z G-7 w Tokio. A co się działo po referendum?! Pierwszy zdążył Clinton, żeby powiedzieć przez telefon (na szczęście działał), że „jest to cudowny dzień nie tylko dla narodu rosyjskiego, ale także amerykańskiego i w ogóle świata”. Tymczasem, jeżeli stosunek sił się niewątpliwie po referendum zmienił na korzyść Jelcyna, to walka miała się dopiero zacząć. W tej walce Zachód powinien wiedzieć, komu i jak pomagać, powinien pamiętać o kilku (wszystkich nie da się wyliczyć) ostrzeżeniach.

„Caeterum censeo...”

Pierwsze jest natury psychologicznej. Zachód powinien być świadom, że sukcesy zagraniczne przywódców Rosji nie robią wrażenia na obywatelach tego kraju. Bywa wprost przeciwnie. Uwielbiany ciągle na Zachodzie Gorbaczow stał się najbardziej niepopularny w Rosji po otrzymaniu nagrody Nobla. Nie pomógł komunikat, że nagroda poszła w całości na cele filantropijne. Przede wszystkim nikt nie uwierzył, bo władza w Rosji nigdy *credible* nie była. Ale pustki, a dziś ceny, w sklepach są bardziej przekonujące. Dziś najważniejsza jest świadomość, że pomoc zachodnia może mieć tylko bardzo ograniczony wpływ na postępowanie, także wyborcze, Rosjan. To nie zachodnie zastrzyki przechyliły w referendum szalę na korzyść Jelcyna. Rosja, zapewne, nie poradzi sobie bez technologii zachodniej czy umorzenia lub rozłożenia spłaty długów, ale miliardy dolarów wstrzykiwane (*if any...*) w Rosję nie mogą mieć, nawet na dłuższą metę, wpływu na poprawę zaopatrzenia i poziom życia ludności, nie potrafią zatrzymać ani inflacji (2.600 procent rocznie) ani spadku produkcji przemysłowej.

Zresztą nawet gdyby odpowiednie (jakie?!) sumy się znalazły, to państwo rosyjskie jest w takim rozkładzie, że nie potrafiłoby zrobić z nich właściwego użytku. Jelcyn to rozumiał i nic dziwnego, że był „w tym temacie” bardzo dyskretny. Zresztą, brak widocznego związku między zachodnią pomocą a stanem rynku był wykorzystywany przez przeciwników Jelcyna, sieroty po imperium, którzy szarpali patriotyczną strunę, biadając o super-potężnej Rosji sprowadzonej do roli żebraka. „Kiedys, wołali, Rosja była szanowana, bano się nas, dziś się nad nami litują...”. Hasła brały, albowiem kryzys moralny i ideowy jest tak głęboki, że nawet najbardziej idiotyczne slogany mogą liczyć na powodzenie.

Drugie ostrzeżenie jest natury praktycznej. Szeroko pojęte przekupstwo jest dziś jedynym ludzkim uczuciem naprawdę powszechnym w Rosji. Otóż nie jest tajemnicą, że to właśnie na „zasadzie” zachodniej pomocy zwłaszcza, ale nie tylko, humanitarnej, powstały dziś w Rosji prawdziwe fortuny, i że spora część tej pomocy trafia do prywatnych kiosków czy sklepów za sprawą wszechobecnej mafii i jej egzekutorów, karmiąc po drodze całe zastępy małych i dużych pośredników, rodząc nową klasę milionerów, aroganckich, ostentacyjnych i bezkarnych.

Nie mam wielkiego zaufania do szlachetności intencji wiceprezydenta Ruckocja. On, tak jak niektórzy jego odpowiednicy w Polsce, ma za wielki własny interes w wykańczaniu aktualnego prezydenta, aby jego akcja nie była podejmowana. Tak jak niektórzy politycy w Polsce, Ruckoj też posługuje się tajemniczymi teczkami, których nikt jeszcze nie widział, aby denuncjować byłych sojuszników i obecnych konkurentów. Ale nawet jeżeli tylko mała część jego rewelacji — o tym np. że 45 % dochodu narodowego przechwytywane jest przez podziemie i przekupstwo — jest prawdziwa, to, gdyby zastosować „syndrom Beregovoya”, to znaczy samobójstwo w obronie honoru, ziemia rosyjska zasłana byłaby nieboszczykami. Strumień pomocy zachodniej musi więc wejść w jakiś kanał skutecznej kontroli ofiarodawców. Albo nie trzeba zwracać sobie głowy.

No i trzecie ostrzeżenie. Jest ono natury sentymentalnej. Sprawa jest wyjątkowo delikatna, chodzi bowiem o stosunek Zachodu do Borysa Jelcyna osobiście. W wystarczająco ostry sposób krytykowałem, także w *Kulturze*, głupi i krótkowzroczny sposób, w jaki Zachód kiedyś (w parlamencie europejskim w Strasburgu np.) potraktował Jelcyna, aby móc dziś powiedzieć, że znowu się przesadza i że stosunek do Jelcyna przypomina dziś błędy popełnione w czasach euforycznej postawy wobec Gorbaczowa.

Nie ma — powiadają mądrzy ludzie w Moskwie — sprzężenia wyłączności między osobą Jelcyna a demokracją i reformą w Rosji. Tak więc, u Jelcyna, a zwłaszcza w jego ekipie, widać ostre tendencje autorytarne. W nowej konstytucji np. rola parlamentu sprowadzona jest właściwie do zera, a w toku kampanii opozycja została właściwie, zupełnie w stylu epoki minionej, wyeliminowana z telewizji. Znana jest też mściwość Jelcyna, a jego „doradcy” nie kryją niecierpliwej żądzy porachowania się z opozycją. To zabrzmi może brutalnie, ale nie jest tak, aby po jednej stronie, Jelcyna, byli sami porządni i inteligentni działacze państwowi, a po drugiej stronie, opozycji, sami durnie i złodzieje. Inaczej mówiąc, reformy i demokracja są i będą także możliwe bez Borysa Jelcyna.

Na razie pozostanie Jelcyna na Kremlu leży w naszym interesie. Nie jest idealny, ale inni są gorsi. Zachód powinien więc pomagać Rosji, to znaczy dziś Jelcynowi. I z wyrachowania, bo to także w jakiś sposób służy naszym interesom, i na dłuższą metę i na ogromną skalę. I z ostrożności, jest to bowiem także w pewnym sensie inwestycja w nasze bezpieczeństwo, wystarczy wspomnieć o arsenałach nuklearnym,

konwersji przemysłu zbrojeniowego no i nieimperialnej w zasadzie polityce zagranicznej. Pomagamy także ze strachu: jaki polityk zachodni zaryzykuje, że kiedyś ktoś mu zarzuci, że przez skąpstwo i krótkowzroczność pozwolił umrzeć rosyjskiej demokracji?

To wszystko prawda, ale Zachód musi być świadom, że pomagać powinien demokracji i reformom, a nie jakiemuś konkretnemu politykowi, że poprze każdego, Jelcyna lub innego polityka, który stanie na czele procesu demokratyzacji, prywatyzacji, konwersji i urynkwienia Rosji.

Rada

W okresie referendum bawił (jeżeli można to tak nazwać) w Rosji Wasyl Leontieff, amerykański ekonomista rosyjskiego pochodzenia, laureat Nobla. Na zakończenie pobytu Leontieff bardzo krytycznie wyraził się w telewizji moskiewskiej na temat stanu gospodarki rosyjskiej. Na końcowe i tradycyjne pytanie dziennikarza: „Co robić?”, Leontieff odpowiedział: „Wziąć się do roboty!”

Rada dobra, ale najtrudniejsza do zastosowania. Nie tylko w Rosji.

Pisane w maju 1993

Leopold UNGER

Z Wałęsą na Ukrainie

„A pan jest zaszczepiony przeciwko dyfterytowi” — zapytała mnie w telefonie sekretarka w Belwederze — „bo na Ukrainie panuje epidemia tej choroby. Bez zaszczepienia nie można jechać”. Próbowałam wytłumaczyć, że to jakaś plotka, że niedawno tam byłem i o żadnej epidemii dyfterytu nikt nie wspominał a w gazetach nie było nawet wzmianki. Na próżno. Ultimatum sekretariatu brzmiało stanowczo i nie pozostało nic innego jak użyć fortelu, to znaczy zaopatrzyć się w fałszywe świadectwo szczepienia od lekarza, w danym wypadku własnej żony.

I tak z fałszywym zaświadczeniem w kieszeni znalazłem się w poniedziałek rano 24 maja na płycie lotniska wojskowego w Warszawie. Niedaleko od małego pawiloniku-poczekalni stał samolot Prezydenta z napisem „Rzeczpospolita Polska”. Sowieckiej produkcji: duży TU-154. Podobno jest szybszy niż przeciętny amerykański Boeing ale zużywa dwa razy tyle benzyny. Podróż na Ukrainę tym pojazdem o tyle bezpieczna, że tam znajdują się zakłady naprawcze. Przy wsiadaniu i potem nikt nie sprawdza szczepień. Ci którzy się dali złapać na wędkę pogłoski i komicznych rozporządzeń kancelarii prezydenckiej, skarżą się na skutki zabiegu.

Samolot ma trzy saloniki z przodu dla delegacji i „osób towarzyszących” w sumie około pięćdziesięciu ze świty prezydenta, jego doradców i kilku ministrów. Z tyłu normalne siedzenia głównie dla dziennikarzy. Wśród najważniejszych osób z ekipy prezydenckiej znaleźli się szef Biura Bezpieczeństwa i przewodniczący Komitetu Konsultacyjnego obu prezydentów, zupełnie nowej instytucji w politycznych układach naszego regionu, sekretarze stanu Janusz Ziółkowski, Andrzej Zakrzewski, Mieczysław Wachowski, Andrzej Drzycimski i Eligiusz Włodarczyk czyli czołówka polityczna Belwederu. Tuż obok szefowie kilku resortów, głównie spraw zagranicznych Krzysztof Skubiszewski i wewnętrznych — Andrzej Milczanowski, i bardzo ważny podczas całej podróży wiceminister kultury Michał Jagiełło. Dla okraszy kilku przyjaciół i aktywistów współpracy polsko-ukraińskiej jak historyk Władysław Serczyk, poseł Aleksander Małachowski czy nowy wojewoda przemyski Adam Pęziół, zarazem przewodniczący Euroregionu „Karpaty”. W Kijowie dołączy potem pani Bogumiła Berdychowska, tejże orientacji, i mimo młodego wieku, niesłychanie zasłużona na tym niewdzięcznym gruncie zbliżenia pomiędzy dwoma narodami. Są też Ukraińcy: Włodzimierz Mokry, przewodniczący fundacji kulturalno-naukowej im. Św. Włodzimierza w Krakowie, pierwszy i na razie ostatni poseł ukraiński w Sejmie Trzeciej Rzeczypospolitej, prezes Związku Ukraińców w Polsce Jerzy Reit. Brakuje mi w tym gronie Myrosława Czecha.

Wśród polityków i dziennikarzy krąży aktualne wydanie stołecznego dziennika *Rzeczpospolita* z moim otwartym listem do Lecha Wałęsy i wywiadem Zbigniewa Brzezińskiego dla prasy ukraińskiej. Ta warszawska gazeta zajmuje obecnie chyba czołową pozycję w codziennej prasie polskiej w dziele zbliżenia. Wtórują jej przeważnie tygodniki: *Tygodnik Powszechny*, *Polityka*, *Wprost*. Stąd moje sympatie dla tej gazety

i akcje w postaci listu. A ponieważ czytelnicy *Kultury* prawdopodobnie raczej rzadko czytują *Rzeczpospolitą* pozwalam sobie przytoczyć ten niedługi tekst dosłownie:

„Panie Prezydencie,

Udaje się Pan na Ukrainę, jako drugi z kolei zwierzchnik państwa polskiego. Pańskim poprzednikiem był naczelnik Józef Piłsudski. Tak więc niejako symbolem będzie Pana wyjazd do Winnicy, gdzie wówczas w ramach sojuszu polsko-ukraińskiego doszło do spotkania Piłsudskiego z Petlurą. Wtedy obydwu nowo powstałe państwa walczyły orężem o zachowanie upragnionej wolności. Polska tę wolność zachowała, Ukraina uległa nowej przemocy. Dla Polski ten okres samodzielności, choć tylko przejściowy, stał się w skutkach zbawienny. Ukrainie go zabrakło i ta dysproporcja mści się po dziś dzień na naszych stosunkach.

Wyrokiem historii narody nasze po raz drugi, prawie w tym samym czasie odzyskały niepodległość. Tym razem bez daniny krwi. Jako gorący zwolennik przyjaźni i współpracy polsko-ukraińskiej widzę w Pańskiej misji wydarzenie historyczne. Ma już ono solidne podłoże w postaci traktatu z 18 maja 1992 r. i późniejszych umów oraz postanowień wynikających z tego układu. Ale to nie wystarcza. Nasze państwa i społeczeństwa potrzebują nowych impulsów i treści, które winny nadać wspólnym stosunkom większy rozpęd i szerszą perspektywę dziejową. Inaczej ugrzęźniemy w atmosferze rutyniarstwa i beznadziejności, podobnie jak się to stało z ideą zjednoczenia Europy na Zachodzie.

Na szlaku ku lepszej przyszłości, którą lepiej budować razem niż w samotności, leży wiele gruzów, które trzeba usunąć, także uprzedzeń i przeciwności starej proveniencji i nowego typu. Komuna nie tylko nie zażegnała starych konfliktów, ale na skutek swego zakłamania i nienawiści do otwartej dyskusji jeszcze je pogłębiła. Ciągłe jeszcze nie oczyszciliśmy się z tego wiana, a czas nigdy nie stoi w miejscu i mści się okrutnie za zmarnowane szanse i nie wypełnione zadania.

Jedzie Pan na Ukrainę, gdzie obecnie trwa przesilenie rządowe i gdzie szerzy się arogancja oraz nieodpowiedzialność parlamentu wobec zagrożeń interesów Ojczyzny. Dla Pana to nie nowina i w tym cała pociecha ze względu na nieprzewidziane uprzednio komplikacje. Z drugiej strony ma Pan na Ukrainie ogromny zapas politycznego i moralnego kapitału.

Jest Pan żywą legendą bezkrwawego i skutecznego oporu przeciwko komunistycznemu totalitaryzmowi. To „Solidarność” zmieniła gruntownie i radykalnie stosunek Ukraińców do Polski i do Polaków. Jej poprzednikiem była paryska *Kultura*, ale w innym, bardziej elitarnym wymiarze.

Lech Wałęsa wciąż jeszcze, obok Jacka Kuronia, jest najbardziej znanym i lubianym Polakiem w moim kraju. Ma Pan więc, Panie Prezydencie, olbrzymie możliwości i na Panu spoczywa ogromna odpowiedzialność. Byłoby wielką stratą, gdyby Pan tę szansę i tę odpowiedzialność zmarnował. Niech Pan wyjdzie z założenia, że współczesna Ukraina pragnie współpracy z Polską, że dzisiejsza Ukraina nie ma żadnych pretensji terytorialnych, że obecna Ukraina gotowa jest do bardzo ścisłych powiązań politycznych, ekonomicznych i kulturalnych. Dzisiejsza Ukraina nie jest ani prorosyjska, ani proniemiecka. Chce żyć w zgodzie z Rosją i Niemcami, pragnie z nimi współpracować jak równy z równym. Z Polską chce iść razem”.

Otoczenie Lecha Wałęsy przyjęło mój apel bez entuzjazmu. A Lech Wałęsa sam zauważył podczas dekoracji Mychajła Horynia i Dmytra Pawłyuczki za zasługi na polu krzewienia przyjaźni polsko-ukraińskiej w ambasadzie polskiej, mrugając figlarnie, że chciał mi podziękować już w samolocie, ale nie miał śmiałości. „Bo wie Pan — te dwa poziomy, profesor i robotnik. Ale jak Pan widzi, wykonuję dokładnie Pański program”.

List listem a dziennikarzom szło o to czy odpowiadają prawdzie plotki kursujące w przeddzień podróży prezydenta do Kijowa na temat presji USA i podobnych perswazji polskiego MSZ-u, aby Wałęsa odżegnał się od swoich dawnych planów tworzenia NATO-bis na Wschodzie i Broń Boże nie poparł tzw. planu Krawczuka tworzenia nieformalnej wspólnoty bezpieczeństwa regionalnego w ramach śródziemnomorza czyli od Bałtyku do Morza Czarnego. Posądzono Krawczuka, zresztą niesłusznie, że usiłuje budować nowy „kordon sanitarny” przeciwko Rosji. Zaś *Gazeta Wyborcza* Michnika ogłosiła podczas rozmów kijowskich prorosyjskie oświadczenie ministra spraw zagranicznych Niemiec, Klausa Kinkel. Nie było tam mowy o regionalnych planach bezpieczeństwa, ale to jednostronne podkreślenie roli Rosji na Wschodzie było niewątpliwie dodatkowym ostrzeżeniem przed zbyt szczerym brataniem się z Ukrainą. Wiadomo też, że kierownictwo polskiego MSZ-tu trwa przy koncepcji *status quo* i uważa,

że istniejące układy i sojusze zupełnie wystarczają, należy je tylko ulepszyć i rozbudować. Więcej zrozumienia w sprawie zacieśniania stosunków z Ukrainą i wciągania jej w orbitę środkowoeuropejską można stwierdzić u premiera, Hanny Suchockiej i jej najbliższych współpracowników, zwłaszcza u kierownika Urzędu Rady Ministrów, Rokity. A w obozie belwederskim? Istnieją szczere chęci, ale brak tam jasnej koncepcji jak te intencje przekształcić w konkretny program współpracy, określenia priorytetów i ustalenia politycznej strategii.

Wałęsa, który ma instynkt i węch polityczny, odczuwa lepiej i jaśniej niż całe otoczenie, że na wschodzie Europy na ruinach imperium sowieckiego i komunizmu powstało niebezpieczne *vacuum*, które pewnego dnia może doprowadzić do kataklizmów a co najmniej do długotrwałego chaosu. Widzi też całą degrengoladę Zachodu, brak w tamtejszych elitach jakiegokolwiek myśli programowej, usiłującej pomóc w tworzeniu koniecznych systemów regionalnych bezpieczeństwa przy pomocy których można by jakoś choćby tylko prowizorycznie zatkać tę ziejącą pustkę i groźbę anarchii, dziurę geopolityczną. Niestety ani on ani jego współpracownicy nie są w stanie przeciwstawić się całej plejadzie polskich „okcydentalistów” omamionych rzekomą potęgą Zachodu lub narodowych „izolacionistów”, którym wystarcza życie pod białą-czerwoną sztandarami i pod opieką własnego polskiego kościoła. Kijów jest w jeszcze gorszej sytuacji i szuka na gwałt pomocy i poparcia z Zachodu a zwłaszcza z Polski, przeceniając często zarówno polskie tendencje i możliwości kooperacyjne, zarówno w dziedzinie kreatywnej myśli politycznej jak też w praktycznym działaniu.

Mimo to wizyta Lecha Wałęsy na Ukrainie była potrzebna i pożyteczna. Wydaje mi się, że pogłębiła u prezydenta RP świadomość wagi i konieczności wzajemnej współpracy, pozwoliła mu — chociaż pobieżnie, ale szerzej i głębiej, aniżeli dotąd — zorientować się kto i jak dąży do porozumienia Ukrainy z Polską w politycznej elicie w Kijowie i we Lwowie, i w ogóle jak ta Ukraina wygląda, jak się prezentuje przybyłym z najbliższego Zachodu. Niezwykle ważny był element ożywienia atmosferycznego, gdyż klimat wzajemnych stosunków, nie karmiony i nie pielęgnowany należycie, ulega szybko procesom uwiędnięcia i zubożenia. Szkoda, że po komunistycznej inflacji odstąpiono zupełnie od urządzania spotkań z ludnością. Wałęsa byłby zdziałał wiele na tym polu. I źle było, że nie znaleziono czasu na spotka-

nie prezydenta RP z całą elitą polityczną Ukrainy, to znaczy nie tylko z przedstawicielami władzy ale i opozycji, słowem z przywódcami partii politycznych, czołowych intelektualistów, związkowców, przedstawicielami kościołów i wszystkich mniejszości narodowych a nie tylko polskiej. We Lwowie wyglądało to trochę lepiej, ale tamtejsze spotkania odbywały się w tak błyskawicznym tempie, że nie przypuszczam, aby z nich pozostał trwały ślad w świadomości uczestników. Zresztą te zbitki programów, ów pęd byle więcej i byle szybciej, przeniesiony z dzikiego Zachodu Ameryki na dziki Wschód Europy prowadzi do zaniku ostatnich naszych tradycji w kulturze politycznej. I kiedyśmy tak spoceni, zdyszani gnali od jednej do drugiej imprezy, często w międzyczasie bezmyślnie i bez odpowiednich urządzeń cywilizacyjnych czekając na pojawienie się Wysokich Osób, myślałem jak by na miejscu tych współczesnych postaci zgiełku i spędu, reagowali Hostowiec-Stempowski czy Mieroszewski, Jeleński, Herling-Grudziński. O Giedroyciu, który tego dogłębnie nie znosi, nie waży się nawet pomyśleć.

Ale dość utyskiwać i czarnowidztwa. W całej kawalkadzie — niczym pokojowej wyprawie współczesnej polskiej zmotoryzowanej husarii — były piękne, wzruszające obrazy, godne pióra przedniego poety i pędzla wielkiego malarza. Oto przyjazd do biało-seledynowego pałacu Mariańskiego, cacka barokowo-rokokowego mistrza Bartolomeo Rastelli. Białoczerwone i sino-żółte chorągwie, i wyprężone szeregi nowego wojska ukraińskiego. A potem defilada pod dźwięki starego kawaleryjskiego, kozackiego marsza z malinowymi sztandarami. Albo scena dekoracji kijowskich przyjaciół Polski i Polaków Horynia i Pawłyczki Krzyżem Komandorskim RP, przemówienie obydwu jubilatów — godne zapisu w księdze naszej wspólnej historii. A to wszystko razem w najstarszym pejzażu Kijowa, o krok od Złotej Bramy, na historycznych Wałach Jagiellońskich gdzie mieści się ambasada polska. A potem Winnica, chóry dziewcząt z Żytomierza z zespołu „Wiklina” i męski „Sokołów Polesia” śpiewające piosenki legionowe — lubianą w Polsce melodię „Na zielonej Ukrainie”, głosy, których w Polsce nie usłyszysz nigdzie. W Winnicy nie było żadnej sztuczności, i patrząc, przysłuchując się rozmowom, zmieniającym się stale między ukraińskim i polskim podolskim narzeczem, wydawało się, że tutaj zachowała się nasza stara przyjaźń tak, jak ją pamiętał i przekazywał Jerzy Stempowski.

Ale i poranna scena w na pół odremontowanym kościele

Św. Aleksandra w Kijowie przy ulicy Kościelnej, przecznicy wspinającej się na wzgórze Św. Włodzimierza, ulicy Św. Trójcy, potem Ofiar Rewolucji, a jeszcze później Bohaterów Rewolucji. Mało ludzi wie, że freski wydobywane spod tynku malował sam Szewczenko. Dobre kazanie kapelana Wałęsy, księdza Cybuli — nazwisko jakby kozackie — i znowu zaczynające się od „Boże coś Polskę” a kończące religijnym hymnem Ukrainy „Boże Welykyj, Jedyny”. I proste ale bardzo ekumeniczne słowa proboszcza tej parafii.

I w końcu Lwów. Miny w świecie prezydenta trochę zatroskane i niepewne. Jak się wkrótce okaże, zupełnie bezpodstawnie. Nie ma odgrodzeń i ściśle strzeżonych tras przejazdowych jak w Kijowie. Wszędzie przyjemny bałagan galicyjski. Na ulicach tłumy, większość ciekawskich, ale też dużo przyjaznych, uśmiechniętych twarzy. Program strasznie ściśnięty ale mądrze i po partnersku ułożony. Wizyta w katedrze polskiej, ale również odwiedziny greckokatolickiej katedry Św. Jura. Chwila skupienia w dawnym getcie żydowskim i hołd na grobach Orląt i mogiłach Siczowych Strzelców, przystanki nad miejscami wiecznego spoczynku pisarzy: Marii Konopnickiej i Iwana Franki, rozmowa z przedstawicielami lwowskiej ludności polskiej i wymiana słów z ukraińską elitą Lwowa. Przy głównym wejściu na Cmentarz Łyczakowski kilka grupek manifestantów z transparentami „Żądamy rehabilitacji ofiar akcji 'Wisła'”, „Najwyższy czas na oddanie zrabowanych świątyń”, „Skończyć z dyskryminacją w Przemysłu”. Dziennikarze polscy skrzętnie notują i fotografują. Nagle podchodzi Wałęsa, wywiązuje się krótki dialog. Prezydent jest w swoim sosie. Nie robi uników. „Trzeba o wszystkich krzywdach mówić i trzeba je po obu stronach wyrównać”. Nie pozwoli, aby krzywdzono Ukraińców, ani w Przemysłu, ani gdzie indziej. Obiecuje nawet uniwersytet ukraiński. A wojewoda przemyski Pęziół aż się obliżuje. Jemu już dawno chodzi po głowie idea, aby w Przemysłu na wzór uczelni niemiecko-polskiej we Frankfurcie nad Odrą otworzyć uniwersytet polsko-ukraiński. Manifestanci są zadowoleni, a prezydent Wałęsa też. A gdyby był ich zbagatelizował, udał, że nie widzi!?. Wynikłyby nowe urazy i uprzedzenia.

Podsumowując te trzy dni Wałęsy na Ukrainie trzeba stwierdzić, że były dobre i miejmy nadzieję, że będą owocne. Przybysz z Belwederu ani razu nie popełnił gafy — a u prezydentów to zazwyczaj rzadkość — poznał, choć bardzo na chybcika, kraj i ludzi, i je chyba polubił. Znalazł wspólny

język z Krawczukiem i przypadli sobie do gustu. Wypowiedział kilka słusznych i dalekowzrocznych myśli jak np.: szukanie nowych horyzontów, utwierdzenie wspólnej polityki bez mieszania się trzecich państw, dążenie do takiego stanu, aby Polacy i Ukraińcy spotykając się w roku 2000 nie wiedzieli, gdzie dawniej przebiegała granica, i tu wszedł nieomal w ślady Piłsudskiego. Niestety w Winnicy — wbrew zapewnieniom wobec mnie — zapomniał powiedzieć o historycznym spotkaniu Petlury i Piłsudskiego.

Możliwe, że gdyby nie interwencje bojaźliwych superrealistów, nie obawy tych ekspertów, co to zawsze powtarzają jak pacierz, a co na to powiedzą w Waszyngtonie i Moskwie, politycznie bilans wyglądałby lepiej. Trudno. Jest jak jest. A zresztą mogło być gorzej. Jakby nie było powołano do życia Komitet Konsultacyjny Prezydentów. Na razie jest to zadatek na przyszłość. Jeśli z tego wyłoni się kuźnia idei i programów — to będzie pożytek dla naszych narodów i państw. Jeżeli się tak nie stanie, to będzie kolejna fikcja.

Bohdan OSADCZUK

Z ukosa

W czasach studenckich miałem znajomego, który zbierał spinacze, pocztowe metalowe spinki do papieru. Interesował się spinaczami znalezionymi, tylko i wyłącznie. Spacer w jego towarzystwie był męczący, gdyż szedł chwiejnie omiatając wzrokiem sfery dolne. Co chwila podskakiwał z okrzykiem, po czym z wielkim entuzjazmem podnosił spinacz z ziemi, z chodnika na ulicy, z dywanu w urzędzie i błyszczał nim w zęby zarówno lub słońcu. Gdyby nie on, nigdy bym nie wiedział, że świat jest tak gęsto zasłany spinaczami. Wkrótce zaraziłem się tym nałogiem i moje życie stało się koszmarem. Nieustannie potykałem się o spinacze, bolały mnie oczy od wypatrywania, a krzyż od schylania się. Spinacze nie mieściły się w domu. Znajdowałem je w najbardziej zdumiewających miejscach, w toalecie na plebanii, na dachu wieżowca na Manhattanie, w samolocie na trasie Warszawa-Paryż, w ciemnym i smrodliwym „dołku” na komisariacie MO, a nawet w sierści psa, którego pogłaskałem na ulicy. Piszę o tym, chociaż chyba nie powinienem. Kto wie, czy teraz jakiś procent czytelników *Kultury* nie padnie ofiarą tej choroby. Wyleczył mnie ze spinaczy biały Polonez, mam na myśli niestety nie taniec, ale samochód *made in PRL*. Do tego białego Poloneza wsadzili mnie kiedyś ubrani na czarno funkcjonariusze, zapinając uprzednio ręce spinaczem kajdanek. Gdy po jakimś czasie dane mi było znowu poruszać się swobodnie po świecie, odkryłem, że nieustannie i wszędzie widzę białe Polonezy. Nie wiem jak jest teraz, ale przed kilku jeszcze laty ich liczba była w Polsce nie do zniesienia.

Nie sędę, że jestem większym maniakiem niż inni. Po prostu każdy jest zagrożony przez zwracanie szczególnej uwa-

gi na to czy na owo, z tego czy z owego powodu. Niektórzy padają ofiarą ładnych kobiecych nóg, inni kolekcjonują wady jakiejś nacji. Po prostu niemal wszystkiego jest w świecie pod wielkim dostatkiem, a jak się człek na coś uczuli, wtedy głównie widzi to, czego szuka.

I tak pewnie jest teraz z moim, z naszym! widzeniem Polski, bo przecież mój pesymizm nakłada się na pesymizm i czarnowidztwo ogółu polskiego społeczeństwa.

Paradoksalnie socjalizm nie tylko karmił rozmaite nasze wady narodowe, ale uczulił nas też na zło. Produkując tak wiele tego zła samemu, zarazem uczuła, bo on się przecież wziął z wrażliwości na społeczną niesprawiedliwość. I chociaż zdradził tę ideę do kości, ona przechowała się jakoś perfidnie w najgłębszym ukryciu i zatrzymała system zasadniczą wewnętrzną sprzecznością, szykując mu przyszłą klęskę. Teraz mamy w sobie wszystkie wady wychowanków socjalizmu, a zarazem do pasji doprowadza nas własny drapieżny kapitalizm. A przecież to jest nasze dziecko, ojciec ma na imię wolność, poród odbywa się bez cesarskiego cięcia i bez znieczulenia. Kto by się jednak spodziewał, że to będzie aż tak boleć, a macierzyńskie uczucia nie zechcą się ujawnić.

Niektóre nominacje ministrów z ostatnich trzech lat to horror. Zdawało się, że jest to choroba naszej ząbkującej demokracji, ale teraz — chociaż nasza demokracja ma już trzonowe zęby, a czasami nawet kły — to nadal nie ma takiego osobliwego osobnika, co nie może zostać dygnitarzem nowego czasu. Minister X., egzaminowany przed nominacją przez parlament, dawał odpowiedzi w najwyższym stopniu humorystyczne, wykazując się całkowitą nieznanomością przyszłej pracy. Gorzej, że niczego nie nauczył się potem. Podczas swego urzędowania wyrządził istotne szkody krajowi. X. został ministrem, bo potrzebowała go koalicja, która jak wiadomo cudem powstała. Ceny za cuda są z reguły wysokie. X. kompletnie zdemontował swoje ministerstwo, zamiast uczyć się, ganiał po budynku tropiąc starą nomenklaturę, do której zaliczył niemal wszystkie nominacje sprzed jego własnej kadencji.

To jest jeden biegun naszego nowego politycznego Olimpu — kretyński. Drugi jest intelektualny. Jako że całe pokolenie lat 40-tych i 50-tych nie zrealizowało się w życiu i w pracy, to niemal każdy, jak żonę, zdradza swoje powołanie na rzecz Urzędu. Dlaczego się nie zrealizowaliśmy? Bo komu-

nizm, bo czas wielkich zmian cywilizacyjnych wykraczających poza nasz kraj. „Dzisiaj” oddala się od „wczoraj” jak pospieszny pociąg, a peron zdumiewająco szybko zarasta ostrą jak igła szczecinią trawy. To czas upadku znaczenia i wagi, słowa i myśli, wszystko jest rozmiennie na drobne przez setki kanałów satelitarnej telewizji, a nadmiar nie wzbogaca lecz znieczula. U nas na dodatek następuje zasadnicza zamiana funkcjonowania świata. Nastąpił więc jakiś fatalny splot i — jak to mawiał mój sąsiad alkoholik, gdy zamknięto wszystkie ślepy, a babcia z meliny zachorowała — „spragniony człek jest w zupełnej dupie”. Intelktualiści zostali złapani w pułapkę pracy, która nie daje pieniędzy, nie ma perspektyw i schudła, jakby ją drążyła anoreksja. Za to otwarły się nagle wrota Wielkich Urzędów, które na gwałt potrzebują niewinnej czystej krwi, bo zakażone są starą gangreną. Problem, że stara krew zaraża szybko nową. Oto zdolny eseista nagle skacze z niskiej trampoliny umierającego wydziału uniwersytetu i zostaje wysokim urzędnikiem, tak samo skaczą z półeczek zdychających zakładów naukowych, z redakcji miesięczników. Ci ludzie skaczą z książkami pod pachą, a wypływają w źle przylegających garniturach, z płaczącymi krawatami, ale już bez książek — jak przeczytają jedną rocznicę to będzie sukces. Na ich twarzach maluje się cierpienie ludzi, którzy mieli nałóg kombinacji intelektualnej, a teraz muszą kombinować, jak istnieć w świecie zdychających urzędów, w wielkim bałaganie koślawego przekształcania świata. Nie ma w tej pracy żadnej radości, są beczki ze smołą, są niemożności, które najpierw stają się wyzwaniem, potem tylko codziennym bólem głowy. Zaś ci, którzy zostali w intelektualnych enklawach, mówią i myślą głównie jak zrobić jakiś interes, jeśli nie samemu, to niech choćby żona.

Nowa sytuacja miazdzy uczucie zwane patriotyzmem. Na zmarnowanym patriotyzmie, jak na żyznym nawozie, rośnie czasami nacjonalizm, zdarzają się jakieś zdumiewające religijno-narodowe nawrócenia. Ale większość ma ochotę po prostu gdzieś uciec. M., który jest jednym z lepiej myślących Polaków i reprezentuje polskość dobrze skomponowaną, chociaż jest to formacja trudna do spotkania gdziekolwiek indziej — liberalizm jakoś ułożony na ściółce naszego katolicyzmu — nawet on ma już dosyć swojej ojczyzny, którą przemierzył kiedyś intelektualnie wzdłuż i wszerz. Nigdy, w najgorszych czasach, nie rozważał swojej emigracji, a teraz mówi: „obrzydliwość naszej polityki, drapieżność życia codziennego coraz częściej każą mi myśleć, czy nie warto by

jednak wyjechać i osiąść na jakimś amerykańskim uniwersytecie”. Po chwili refleksji dochodzi jednak do wniosku, że by tam usechł z nudów. Nasi intelektualiści, jeśli chcą utrzymać standard życia z czasów PRL, muszą sprzedać swoje dusze komercji i złym duchom finansowej dżungli. Paradoksalnie, kiedyś, by dobrze żyć, mogli być nawet w opozycji do reżimu, a ta opozycyjność, zdarzało się, nawet przynosiła pewne dochody. Bajanie naszej propagandy o okrucieństwie zachodniej komercji, a nawet przestrogi i zawrodożenia intelektualistów zachodnich, przyjmowaliśmy z ironicznym uśmiechem. Teraz mnożyć się będą ucieczki z Polski, nie przed politycznym a ekonomicznym totalitaryzmem. Co się dzieje to już jest gorączka złota, która zaraża nawet umysły wydawało się w pełni pogrążone w myśli starożytnej Grecji, w literaturze pięknej i filozofii Hegla. To walka nie tylko o to, by nie mieć mniej niż kiedyś, ale by mieć nie mniej niż te chamy wokół. Więc teraz widuję intelektualistów tak zaszczutych przez pogoń za środkami do życia, że nasza policja polityczna z lat 70-tych wydaje się przy tych upiorach dobrotliwa. Z reguły ci intelektualni poszukiwacze złota padają ofiarą różnych hochsztaplerów oraz interesów ze sfery *science fiction*. Aby robić w Polsce interesy, trzeba mieć skórę hipopotama, nóżki baletnicy, a do tego odpowiedni notes z telefonami. My mamy tylko notes. Trochę za mało, chociaż dostęp do Olimpu jest potencjalnie wielkim kapitałem.

Coraz częściej widuję artystów, którzy jeszcze wczoraj wierzyli, że ujdą cało z paszczyki naszego kapitalizmu, a teraz leżą na plecach obnażając nagie brzuchy: „pomóżcie, czy nie widzicie jacy zdolni, a jak biedni teraz jesteśmy?” Przy okazji dogorywa mit Zachodu, ten mit raz chłodził i koił, kiedy indziej jak żar słoneczny palił głowę. Polacy są częściowo ukształtowani przez poczucie niższości wobec Zachodu i aspirację by mu dorównać, i przez rekompensowanie tego poczucia niższości, przez wywyższanie swego cierpienia lub pewnych swych atrybutów duchowych.

A co do dygnitarzy nowego czasu — przyjdzie czas, że będzie można na ten temat napisać więcej, z nazwiskami i szczegółami. Kretyństwo i palantostwo możemy darować zwykłemu zjadaczowi chleba, ale nie tym, którym powierzono stery naszego statku, co ledwie zipie lawirując w sztormie wśród skał. I pomyśleć, że kiedyś dałbym się zabić za to, że to wszystko było przypisane jedynie komunistycznym rządóm, że te nowe i wolne będą wolne od arogancji i niekompetencji. One są rzeczywiście, bywają wolne, ale w

swojej niekompetencji i arogancji. A wydawało się, że pewna postać choroby władzy nie będzie się imać mojego środowiska — tak, była w nas pycha poczucia lepszności oraz inności od zatęchłej komunistycznej władzy, od śmierdzącej nomenklatury, jak inności oraz poczucia lepszności wobec komformizmu biednego społeczeństwa. Biedne bo słabe i nie uzbrojone w wystarczającą moralność. Teraz oto sami mamy władzę, to dopiero początek, a już takie duże kły nam wyrosły. Jak za dawnych czasów, nie ma u nowej naszej władzy żadnej racjonalności. Kiepsko z koordynacją wysiłków, jakby różne agendy działały w różnych państwach. Oszczędza się na biednych i na głupstwach, a trzecią ręką wyrzuca się wielkie pieniądze. Bo tajne biuletyny, przenośne aparaty telefoniczne, to wszystko są oznaki ważności i godności. Obratanie w godności rośnie niezwykle szybko. Jak tak dalej pójdzie, to komuniści będą nam się wydawać skromni. Ale to nie pójdzie zbyt daleko, bo jest jednak wolność, i nasza demokracja, chociaż pokraczna, dostanie skurczu. Co wtedy zostanie z tych wszystkich łupów, niezliczonych obiadów w najlepszych restauracjach, załatwiania i kombinowania? Uderzający jest w tym wszystkim brak wyraźnych reguł gry i czasami wydaje się, że jest to celowe — bo dzięki bałaganowi nie ma granic i ograniczeń. Pierwszy z brzegu przykład. Polityka zagraniczna jest kreowana praktycznie przez cztery ośrodki — MSZ, premiera i okolice, prezydenta i okolice Belwederu i — jakby tego nie wystarczyło — jeszcze przez nasz parlament. Bałagan w polityce zagranicznej to bardzo niezwykle i kłopotliwy produkt eksportowy.

Mnożą się różne tajne okólniki, puchną i mnożą się biuletyny do wewnętrznego użytku, sztaby pracują, by Prezydent miał o 8 rano montaż zagranicznych programów satelitarnych. (Nikt by na to nie żałował pieniędzy, gdyby można było mieć nadzieję, że Prezydent z tego rzeczywiście skorzysta).

Nowi przejęli od starych poczucie, że nie ma takiej sprawy prywatnej, której nie można załatwić korzystając z publicznych narzędzi. Nadal jest wielka centralizacja decyzji, od przydziału lokalu na biuro na 6 piętrze do rozdziału mieszkań. Ale to jeszcze ciągle nie pieniądze są rozdrapywane, a godności, sfery wpływów, umocnić się, zabezpieczyć, zawrzeć sojusze. Nowa władza to niezliczona ilość prywatnych folwarków, rzadko połączonych wspólnym interesem, w tym właśnie problem, że te interesy bywają zwykle rozbieżne. Zburzenie granic między tym co prywatne a publiczne jest

dziełem komunizmu, a my ten brak ścian odziedziczyliśmy i nagle okazało się, że tak właśnie jest naturalnie i wygodnie. Nie inaczej ta koteryjność wygląda w wychudłym świecie kultury, są nasi, o nich się pisze, są tamci, o nich się milczy lub ich się krytykuje.

A upartyjnienie polityki jest tak wielkie, że minister Y, który nie jest w żadnej partii, opowiada mi, że jest prawie sparaliżowany. Bo nie ma swoich popleczników, a przecież nikt już nie patrzy jaka jest sprawa, czy ważna dla kraju, czy sensowna, a tylko kto za tym stoi, czyje to i komu się przyda.

Jest wielkie upartyjnienie, ale same partie są bledziutkie. Prawie wszystkie mają takie braki kadrowe, że doprawdy są w kłopotcie, kogo wysuwać i proponować na świecznik. ZChN, ludowcy, KPN itd... wszyscy tacy chudzi, że jak trzy pierwsze osoby są zajęte, to drugi i trzeci garnitur przypomina raczej sprany podkoszulek. Więc coś dziwnego, że czasami wypływają na publiczną powierzchnię ludzie, że aż człowiek się musi szczypać, czy nie śni. Ale trzeba bidaków zrozumieć, jak nie dadzą swego, to konkurenci wepchną swój ładunek. Na tym tle szef Rady Ministrów Rokita — to prawda — że niebywały i już słynny arogant, ale to jest intelektualny geniusz. Pani premier szczęśliwie czyni kompetentne wrażenie, a nawet mówi po angielsku. Są funkcje, gdzie dobre wrażenie to już wiele. Niestety rząd Suchockiej jest kolejnym rządem arogancji i niechętności w rozmowie ze społeczeństwem. W takim jednak społeczeństwie jak nasze, tak nadwrażliwym na punkcie własnej godności, wysoka jest cena za pańskość. O tak, jest w tym wszystkim bez wątpienia jakiś element szaleństwa.

Polacy coraz głośniejsze, coraz bardziej natarczywie kłócą się o Polskę. „Solidarność” mówi o obecnym rządzie, o Prezydencie podobnymi słowami jak kiedyś mówiła o komunistach. Polacy nie potrafią ze sobą rozmawiać. Partie polityczne jak chorzy w szpitalu pokazują na siebie nawzajem i krzyczą — wariaci. I coś w tym jest, przecież tę samą rzeczywistość jakże krzykliwie inaczej widzi KPN, która nawet już przystąpiła do tworzenia list osób do zapudłowania gdy tylko obejmą władzę. Inaczej miota się ze swą świętą Prezydent w klatce Belwederu. Inny jest świat UD, do którego zupełnie nie przylega widzenie chłopów. A zwykli ludzie spoglądają do góry i też pukają się w czoło.

Jak ładnie ubrała kiedyś swoją myśl o władzy Barbara Tuchman: „Rządzenie pozostaje głównym obszarem szaleń-

stwa, gdyż tylko tu ludzie osiągają władzę nad innymi po to jedynie, by utracić ją nad sobą samym”.

Jako, że od dziecka przyszło mi poznawać wielkich ludzi, wtedy jeszcze z małego kraju, zepchniętego do przedpokoju Europy, pewnie dlatego nieubłagany okiem dziecka, które nie przeoczy szczegółu, choć łatwo zgubi szeroki horyzont, nauczyłem się dostrzegać u wielkich liczne małości. Teraz już wiem, że każdy Wielki ma w sobie nieuchronnie małość, uwypukloną właśnie przez wielkość, podczas gdy wielki małym zdarza się mieć niejedną wielkość.

Dane mi było niedawno rozmawiać z naszym Wielkim, w słońcu nagle rozkwitłej wiosny. Mimo poważnego wieku żaden ze zmysłów nie zdawał się być w nim uśpiony, stąd ta wiosna była też dla niego świętem. Rozmawialiśmy o naszej polskiej współczesnej literaturze, ja z małym, on z Wielkim zdziwieniem, jak bardzo nie potrafi ona chwycić za rogi krowy naszej rzeczywistości, jej bawołu i jej diabła. Nawet księdza w małym miasteczku nikt nie potrafi zaczepić piórem i nieco mu uchylić sukienki. Polska jest dzisiaj jakimś zdumiewającym kotłem pełnym bigosu i zupy jarzynowej zaprawionej francuskim koniakiem. I jest impotencja naszej sztuki, filmu to też dotyczy i to w stopniu krzykzącym, bo ów gatunek jest przecież przy literaturze krzykiem. I ten obywatelski brak radości z odzyskanej wolności.

Potem jego Wielkie moje małe zdziwienie, które ośmielałem się wielokrotnie w tych tekstach powielać, nad polską cechą — uproszczeniem byłoby ją nazwać tylko przywarą — którą nazwaliśmy „pańskością”. Tu łatwo można by udowodnić szlachecki rodowód polskiej pańskości, a bez tego klucza nie da się pojąć sposobu, w jaki tańczy obok swego klienta polski kelner, zdobniąc wszystkie potrawy, mięsko, zupkę, deserek, a na samym końcu serwując czule rachuneczek. I tak osławiając swój z klientem intymny stosunek. Nie da się też pojąć rozgadanej gęby polskiego taksówkarza, który z pańska złorzeczy na naszą rzeczywistość, na tego wieprzka Wałęsę, na zapaskudzony obcym elementem rząd. Czy tak bardzo inny jest nasz chłop, właśnie niszczonej przez kanadyjskie kurze udka, które zalały kraj, dusząc perfidnie polskie drobiarstwo? Ten chłop w nieszczelnym naczyniu odstawiony do spiżarki dworu też nasiąkł pańskością. Dzisiaj cztery chłopskie partie są ze sobą tak skłócone, jakby ci ludzie nie mieli wielkiego wspólnego gniewu na miasto i miastowych panów, a mają. Ale oni są chłopskie pany, bardzo ważne i

każdy ze swoim zupełnie osobnym rozumem, ten rozum jak bojowa kosa jest nie w poziomie, a na sztorc. I ta wszechpotężna forma „Pan”, „Pani”, jakże pańska, i przepaść która się otwiera, gdy się jej zaniecha bez powodu.

Najbardziej popularny ostatnio dowcip w kręgach inteligentnych, ale lud go też rozumie i ryczy ze śmiechu. „Ojciec krzyczy na dzieci: 'Jeśli nie będziecie grzeczne, to przyjdzie Prezydent i powie cokolwiek'. Mnie to nie śmieszy, a nasi ludzie pękają ze śmiechu. To jest śmiech panów.

Wielki mruży swoje kocie oczy, przycupnięte czujnie pod krzakami brwi, i mówi: „Ja tę pańskość świetnie rozumiem, ona jest też we mnie”.

I jakże od razu zbladły wszystkie jego małości, nawet małość jego pańskości zniknęła i był Wielki bez małości.

Póki co jedyną szczerze entuzjastyczną recenzją z mojej książki, w której zawarł się trzyletni prawie plon mojego do *Kultury* pisania, wydrukował — strach mówić — Jerzy Urban, strach przyznać — w „Nie”. Po krótkim i nieszczerym wahaniu, czy nie przestać pisać, postanowiłem kontynuować swój brzydki nałóg, a nawet gwałtownie i na własne życzenie zmienić punkt widzenia i znowu się zbliżyć do opisywanego obiektu na odległość, która co prawda grozi utratą szerokiego horyzontu, ale za to „mięsa” będzie znowu pod dostatkiem. Przez ostatnie trzy lata byłem nie w swojej skórze, czego nie żałuję, bo nie była to skóra kogoś zupełnie obcego. Polska z daleka widzi mi się mniejsza niż jest, bardziej szalona niż jest, mniej ważna niż jest rano, za to ważniejsza niż jest wieczorem. Polska z tak daleka bardzo mnie boli o świcie, a ekscytuje nocą, kiedy przypomina zarys wielkiego oceanicznego statku, który płynie nie wiadomo dokąd w poruszającym milczeniu. A kiedy ląduję na jej betonowej płycie, bądź dobijam do jej zaśmieconego brzegu, czuję jak żołądek zmienia mi się w serce, a serce jest tylko kropką pod znakiem zapytania.

SMECZ

Jak zdynamizować polską gospodarkę?

Na to istotne pytanie próbował znaleźć odpowiedź zespół członków Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego pod kierunkiem prof. Zdzisława Sadowskiego, Prezesa Towarzystwa. Odpowiedź tę zawierają przygotowane przez zespół w maju br. „Tezy w sprawie polityki gospodarczej”. W ten sposób zainicjowane zostały prace nad obszerniejszą ekspertyzą w tej samej sprawie, która to ekspertyza ma być przedmiotem obrad projektowanego na listopad br. Kongresu Ekonomistów w Warszawie.

Obecne tezy z natury rzeczy mają dość ogólny charakter i nie zawsze dają precyzyjny obraz intencji autorów. Nawet jednak w tej postaci ujawniają one szereg istotnych różnic, które występują między proponowanymi przez autorów założeniami polityki gospodarczej i tymi założeniami, które leżą u podstaw działań obecnego rządu.

— Tak więc autorzy tez podważają pogląd, że istnieje konieczność utrzymywania deficytu budżetowego na nieprzekraczalnym poziomie 5% produktu krajowego brutto i twierdzą, że wzrost deficytu nie musi zawsze powodować przyspieszenia inflacji.

— W miejsce dotychczasowej polityki nieingerowania w procesy inwestycyjne, proponują tworzenie silnych zachęt do inwestowania produkcyjnego.

— Uznając konieczność aktywnego działania na rzecz zmniejszenia bezrobocia, podkreślają potrzebę tworzenia miejsc pracy we wszystkich sektorach gospodarki, a także uruchamiania w szerokim zakresie robót publicznych.

— Wykazując wyraźny brak wiary w skuteczność działania „niewidzialnej ręki rynku”, autorzy też widzą konieczność opracowania założeń polityki przemysłowej, konkretyzujących m.in. kierunki restrukturyzacji gospodarki i środki promocji eksportu.

— Przecistawiając się dotychczasowym, pozbawionym konsekwencji, działaniom w dziedzinie współpracy gospodarczej z zagranicą, domagają się stopniowej i racjonalnej liberalizacji handlu zagranicznego, m.in. w drodze „niesymetrycznego otwierania gospodarki” w obrotach ze Wspólnotą Europejską.

— Doceniając doniosłą rolę prywatyzacji, autorzy uważają, że odbywające się procesy prywatyzacyjne budzą wiele zastrzeżeń i powinny być podporządkowane długookresowej koncepcji polityki przemysłowej.

W siedzibie P.T.E. w Warszawie 25 maja br. odbyła się dyskusja nad obecną wersją tez. Sama idea opracowania tez oraz na ich podstawie szerszej ekspertyzy spotkała się z akceptacją uczestników zebrania. Świadomość ubóstwa dostępnych materiałów na temat aktualnych problemów rozwoju gospodarki, zarówno tych o charakterze programowym, jak też o charakterze diagnostycznym, czy sprawozdawczym, jest chyba dość powszechna. Stąd wszelkie opracowania mogące służyć poszerzeniu wiedzy w tym zakresie powinny budzić duże zainteresowanie.

W dyskusji zwracano uwagę na celowość przekonstruowania tez w kierunku scalenia ich, gdy dotyczą pokrewnych problemów, ale w tekście występują w różnych miejscach. W zasadzie nie zgłaszano zastrzeżeń w odniesieniu do szczegółowych tez z jednym wyjątkiem. Przedmiotem dłuższej i ożywionej polemiki stał się mianowicie problem wpływu deficytu budżetowego na tempo inflacji.

Andrzej Topiński (b. wiceprezes Narodowego Banku Polskiego) twierdził, że w obecnych warunkach zwiększanie deficytu musi zwiększyć inflację. Autorzy tez (w szczególności Zdzisław Sadowski, Mieczysław Nasiłowski i Wojciech Pruss) z całą mocą bronili pozycji zajętej w tezach. Jest charakterystyczne, że obie strony, dla poparcia swojego stanowiska, odwoływały się do zjawisk, które miały miejsce w dziedzinie budżetu, kredytu i cen w 1992 r., nadając im jednak kraciowo różne interpretacje. Była to próbka interesującej, ale nie rozstrzygniętej na tym etapie dyskusji. Sprawa wymaga obszerniejszej debaty, gdyż w określonych warunkach może być tak, że ani ograniczenie deficytu budżetowego nie zapewnia spadku inflacji, ani też zwiększenie deficytu nie musi prowadzić do wzrostu inflacji.

Wydaje się, że w tezach całkowicie pominięto jeden bardzo istotny problem — skuteczności stosowanych metod zarządzania, albo ściślej — ram instytucjonalnych, w których realizują się procesy zarządzania. Chodzi w istocie o dwie całkowicie odrębne sfery zarządzania — na szczeblu państwa i na szczeblu przedsiębiorstwa.

Na obu poziomach obserwuje się bardzo niską sprawność zarządzania, której głównym źródłem są defekty układów instytucjonalnych, w ramach których odbywają się pro-

cesy zarządzania, czy to w państwie, czy w przedsiębiorstwie. W obu przypadkach stare układy utraciły swoją przydatność, nowe — jeszcze się nie ukształtowały. W rezultacie często występuje niejasny podział kompetencji między poszczególnymi ogniwami decyzyjnymi, dublowanie się, względnie krzyżowanie się kompetencji. To z kolei prowadzić musi do paraliżu decyzji i rozmywania się odpowiedzialności. Ze zjawiskami tego rodzaju spotkać się można na każdym kroku, więc tylko dla ilustracji ich natury przytoczę dwa przykłady. Na szczeblu zarządzania państwem brak jest organu, który byłby odpowiedzialny za całość polityki gospodarczej, a w szczególności za formułowanie i realizowanie programów rozwoju gospodarczego. Jest wprowadzić Centralny Urząd Planowania, ale działa on tak, jakby wstydził się swojej nazwy, że niby „nie z tej epoki”. Ale tu przecież nie chodzi o nazwę, lecz o zapewnienie sprawnego funkcjonowania gospodarki. Na szczeblu zarządzania przedsiębiorstwem wciąż trwa ów słynny „trójkąt bermudzki”, w którym dyrekcje, rady pracownicze i związki zawodowe aspirują do roli decydenta, utrudniając sobie wzajemnie właściwe wywiązywanie się ze swoich autentycznych obowiązków.

Bez rozwiązania tych problemów nie da się zdynamizować gospodarki. Paradoksalnie — zrozumienie tego faktu wydaje się być lepsze w Waszyngtonie, niż w Warszawie. To tam bowiem na seminarium Międzynarodowego Funduszu Walutowego (8 kwietnia 1993) na temat: „Determinanty spadku produkcji w Polsce i związane z nim problemy” jeden z referentów, Jonathan Ostry, stwierdził, że: „...ulepszenie zarządzania w przedsiębiorstwach państwowych (podkreślenie moje S.P.) i szybkie przechodzenie do komercjalizacji i prywatyzacji tych przedsiębiorstw nadałoby właściwe sygnały dla szefów przedsiębiorstw i umożliwiło im reagowanie na duże zmiany w cenach i rentowności”. Niezależnie od zbyt optymistycznej wzmianki o szybkiej prywatyzacji, akcent dotyczący zarządzania w przedsiębiorstwie państwowym zasługuje na uwagę, zwłaszcza wobec dużej dozy obojętności z jaką problem traktowany jest w Polsce.

Stanisław POLACZEK

W dniu 4 listopada 1993 r. odbędzie się w Warszawie Kongres Ekonomistów, na którym będzie rozważany problem „Jak ożywić polską gospodarkę”.

Obrady będą się toczyły na podstawie ekspertyzy i tez na ten

1. IMF SURVEY, May 3, 1993, vol. 22 nr 9, s. 141-144.

temat opracowanych przez działający przy Towarzystwie zespół analiz i ocen pod kierownictwem prof. Zdzisława Sadowskiego.

Uczestnikami Kongresu (ponad 400 osób) będą wybitni przedstawiciele nauki, stowarzyszeń i ugrupowań zawodowych, wybranych przedsiębiorstw, banków, rządu, parlamentu i Oddziałów Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego.

P.T.E. zwraca się do nich z prośbą o przygotowanie zwięzłych stanowisk na temat zagadnień poruszonych w tezach. Zbiór tez i tych stanowisk będzie wydany w publikacji książkowej.

Czy są drogi wyjścia?

I

CZY OBRONI SIĘ POLSKI PARLAMENTARYZM

1. Zaledwie dwadzieścia głosów zebrał 28 maja Ryszard Bugaj, kiedy w imieniu Unii Pracy zgłosił propozycję, by głosowanie nad wnioskiem o votum nieufności dla rządu odroczyć o tydzień; stronom dać czas na jeszcze jedną rundę targów, parlamentowi zaś na dokończenie najpilniejszych spraw. Opozycja i koalicja zgodnie głosowały przeciw. Zaraz potem uchwalono votum nieufności. Rząd podał się do dymisji. Nazajutrz prezydent dymisję odrzucił i rozwiązał parlament. Zwołano pospiesznie Sejm i Senat (na wtorek 1 czerwca) w rachubie, że pani premier nie podpisze zbyt pospiesznie do druku *Dziennika Ustaw* z decyzją prezydenta. Liczono na dokończenie w obu Izbach procesów legislacyjnych w sprawach już uprzednio uzgodnionych; dokończenie bądź to w formie upoważnień dla rządu, na co zdawali się rachować doradcy p. Suchockiej, bądź też w trybie przyspieszonym przez sam Sejm i Senat. A chodziło tam o kilka spraw niebagatelnych i niespornych jak: obsadzenie pięciu miejsc w komisji selekcyjnej przedsiębiorstw do powszechnej prywatyzacji (na 14 — 4 obsadza Sejm, 1 — Senat); ustawę emerytalną dla żołnierzy WP; przedłużenie do końca 1994 sześcioprocentowego podatku importowego; prawo autorskie, od którego zależy skuteczna walka z piractwem elektronicznym... Olszewicy dołożyli projekt zlustrowania prezydenta,

co — zdaniem niektórych — sprawiło, że Wałęsa zmusił Suchocką do natychmiastowego druku *Dziennika Ustaw*. Inni byli zdania, że to sam rząd, zorientowawszy się, iż na upoważnienia liczyć nie może, zdecydował się nie zwlekać. Tak czy inaczej poświęcono trochę interesów kraju. Np. podatek importowy, to ok. 6 bilionów złotych w budżecie mniej do końca br., manipulacje celne tego nie zrównoważą. Brak nowego prawa autorskiego grozi represjami ze strony USA, które są najbardziej poszkodowane przez piractwo elektroniczne w Polsce. Minister Onyszkiewicz pisze teraz do marszałków Sejmu i Senatu namawiając ich, żeby ustawę o emeryturach bezprawnie przedłożyli prezydentowi do podpisu, choć Senat jej jeszcze nie uchwalił. (Prezidia obu Izb funkcjonują nadal, choć Izb nie ma, jak Uśmiechy Kota bez Kota). Eks-wybrańcom narodu wymierzono przy okazji rozgłosny policzek: zwołani na wtorek zjeżdżali do stolicy po niespokojnym weekendzie, aby się dowiedzieć w pociągach, że nie są już parlamentarzystami i że diety im nie przysługują.

Najzabawniejsze, że w tym całym zamieszaniu było tak wielu zaskoczonych.

Zaskoczona, przede wszystkim, uchwaleniem votum nieufności była, jak się zdaje, większość polityków z koalicji i nie-mała część opozycji, od klubu NSZZ Solidarność poczynając. W grze poprzedzającej głosowanie obie strony wiedziały, że skrócenie kadencji jest przesądzone, że układ obecny wyczerpał swe możliwości działania: tworzenia skutecznego rządu i skutecznego funkcjonowania rządu. Ale każda ze stron sądziła o drugiej, że ta woli termin wiosenny 1994: rząd dlatego, że wówczas mógłby liczyć na efekt wyborczy tylekroć proklamowanego ożywienia, opozycja dlatego, że dopiero wtedy byłaby lepiej przygotowana do rozgrywki, zwłaszcza opozycja prawicowa, ciągle jeszcze podzielona i nieposkładana. Nadto, obie strony wiedziały o sobie wzajem, że nikt, ani koalicja Suchockiej, ani żadna z opozycji ze znaczącym wyjątkiem KPN, nie kwapi się wzmacniać pozycji prezydenta. W rezultacie każdy oczekiwał od partnera gotowości do ustępstw, co oczywiście zaowocowało utrudnieniem i ostatecznie fiaskiem rokowań. Ale ten naturalny niejako efekt zbyt sztywnych strategii nie wyczerpuje prawdy o votum nieufności na Wiejskiej. Już w toku wydarzeń nastąpiła, jak się zdaje, weryfikacja pierwotnych założeń rozgrywki przez niektórych ważnych jej uczestników. Dotyczy to zwłaszcza pani Suchockiej i jej głównych współpracowników. Wyjaśniło się przede wszystkim, że rachuby na efekty wyborcze ożywienia na wiosnę 1994 są wysoce zawodne. Głęboka recesja na Zachodzie (słabość koniunktury w USA, depresja w RFN i Francji) i stałe pogar-

szanie się wyników eksportowych dodają do płytkości ożywienia krajowego, które, nawet jeśli będzie trwać, nie przyniesie żadnych namacalnych rezultatów w najważniejszych politycznie wskaźnikach płacy realnej i bezrobocia: niepodobna powtarzać optymizmu Balcerowicza z 1989, że za 6-9 miesięcy będzie lepiej. Im szybciej więc nastąpi rozgrywka, tym więcej szans. Otóż, i to była druga zmiana założeń, Belweder zawiadomił, że rozgrywka nastąpi szybko: prezydent dymisji nie przyjmie, parlament zostanie rozwiązany. Wałęsa rezygnował więc z zawarowanej dla niego w małej konstytucji możliwości utrzymywania przez dziewięć miesięcy (sześć za kadencji parlamentu plus ewentualnie trzy po jego rozwiązaniu) jakiegoś rządu z nominacji prezydenta. Ale to właśnie można było przewidzieć już wcześniej: ta konstytucyjna prerogatywa może być wykorzystana z korzyścią tylko wówczas, gdy prezydent ma po swojej stronie w Izbach bardzo znaczną mniejszość, prawie-większość. W przeciwnym razie wrogi Sejm sparaliżuje i nominatów z rządu i samego prezydenta, nastąpi blokada państwa. Wałęsa podjął więc jedyną słuszną decyzję i, aby móc się włączyć do gry, uprzedził o niej panią premier.

A dalej to już było jak u poety: Nie czas żałować róż... Nie mogę, prawdę rzekłszy, wykrzesać z siebie zrozumienia dla parlamentarzystów, którzy dziwią się dziś i utyskują, że zlekceważono interes kraju i ich samych drukując tak spieszenie *Dziennik Ustaw* i nie pozwalając im popracować jeszcze z tydzień. A nie tak dawno, na jesieni, zmienili w małej konstytucji dawny przepis, który nie dopuszczał żadnej nieciągłości w pracy legislatury: stary parlament funkcjonował aż do zebrania się nowego. No, ale to był i tak kompromis, ponieważ w debatach nad małą konstytucją proponowano również ograniczenie funkcjonowania parlamentu do dwóch sesji w roku. W imię, rzecz jasna, wzmocnienia władzy wykonawczej.

2. W ten sposób dochodzimy do sprawy, która w kampanii wyborczej będzie raczej przesłonięta przez inne spory, ale która odegra w istocie kluczową dla przyszłości kraju rolę: kryzysu polskiego parlamentaryzmu i prób zepchnięcia parlamentu na boczną uliczkę. Niektórzy mawiają wprawdzie chętnie, że miałby to być parlament prawdziwie monteskiuszowski, stanowiący prawa, ale jednocześnie domagający się przecież rozległych uprawnień do rządzenia dekrétami. Oznacza to, że prawami pozostawionymi do ustanawiania przez parlament byłyby tylko wszelakiego rodzaju kodeksy i że w szczególności w kształtowaniu budżetu udział Izb ograniczałby się do ostatecznego głosowania „tak” lub „nie”. Ale wiadomo przecież z doświadczenia nie tylko polskiego, jak trudno jest w tej sytuacji głosować

„nie”. Zwolennicy „wzmocnienia władzy wykonawczej” przez odsunięcie parlamentu od pozytywnego udziału w kształtowaniu polityki państwa, dzielą się na ogół na zwolenników mocnej prezydentury i mocnego gabinetu. W tej kontrowersji czynnik incydentalny, osoba i osobowość Lecha Wałęsy, dominuje do tego stopnia, że nikt niemal nie rozważa tak naprawdę funkcji prezydenta, lecz tylko funkcję prezydenta Wałęsy. Bodajże jedynie KPN jest przekonana do zasady wodzowskiej czy też jednoosobowego kierownictwa w państwie i tak pewna, że prezydentem będzie w końcu Leszek Moczulski (lub może tak konsekwentnie afiszuje to przekonanie i pewność), iż osoba Lecha Wałęsy jest w jej myśleniu konstytucyjnym *quantité négligeable*. Jeśli jednak odłożyć do innej okazji dywagacje o psychice, charakterze i właściwościach obecnego prezydenta, trzeba przyznać, że wzmocnianie władzy wykonawczej okazuje się w Polsce, tak czy inaczej, wzmocnianiem administracji. Wyraża się rozbudową centralnego aparatu i kancelarii prezydenta i urzędu rady ministrów, i głównych resortów, przy czym ten awans całej formacji administracyjnej nie polega jedynie na uprzywilejowaniu placowym i mnożeniu etatów kierowniczych, lecz zwłaszcza na obrastaniu administracyjnych trzonów w niezliczone zespoły radcze i doradcze. Nie mniejszą wagę w rozwoju tych tendencji mają teraz prace nad ponowną powiatyzacją Polski. Już dotychczasowe doświadczenia samorządów gminnych wykazały, że odrywają się one błyskawicznie od swojego podłoża społecznego: „życie” samorządów sprowadza się do stopniowego umacniania wójtów, burmistrzów i zarządów kosztem rad, całkiem jak w Warszawie z parlamentem. To prawda, że lokalne społeczności są często słabe, obywatelsko nie rozbudzone, ale prawdą jest również, że nic nie zrobiono, aby ożywić samorządność lokalną, wiejską czy osiedlową. Wprowadzenie powiatów będzie, w najlepszym razie, usprawnieniem administracji za cenę jeszcze większego oddalenia „dołów” od władzy. Przy czym owo poszukiwane usprawnienie może się łączyć do ułatwienia życia administratorom i rozmycia odpowiedzialności. Dodam wreszcie, że w zupełne zapomnienie poszły, zdaje się, wśród reformatorów, idee Rzeczypospolitej samorządnej, w której parlament był zwieńczeniem konstrukcji samorządowej: o przyszłą władzę i kontrolę nad samorządami głuchą walkę toczy urząd rady ministrów z urzędem prezydenta (por. wystąpienie Lecha Wałęsy na naradzie samorządowców w Warszawie, 8 czerwca)...

Jestem bardzo daleki od twierdzenia, że w dzisiejszej Polsce starania o mocną władzę wykonawczą i sprawną administrację są czymś zbędnym lub zdrożnym. Nigdy jednak nie trzeba rezygnować z pytania, po co właściwie władza ma być mocna, a

administracja sprawna. Wprowadza nas ono na powrót w niemodny dziś świat wizji. Colbert miał na pewno wizję wielkiej Francji, ale majorowi Pyciowi z Kadena Bandrowskiego zwidywało się tylko tyle, żeby rządzącym było wygodniej.

3. Nie jest bardzo poręcznym bronić parlamentaryzmu w sytuacji, w której szacowne Izby dorobiły się złej oceny u ponad trzech czwartych obywateli.

Paradoksalnie, parlament zbytnio się afiszował wobec opinii. W polskich mediach inne władze centralne w porównaniu z parlamentem niemal nie istniały, dopiero w ostatnich miesiącach, w oczekiwaniu na przedterminowe wybory, pojawiać się zaczęły częściej inne postaci niż posłowie i senatorowie. Nadto obecny był w mediach głównie parlament gadający, wzniośle lub głupio lub wzniośle i głupio zarazem, nie zaś parlament myślący, borykający się z problemami, ciężko pracujący. Wytworzyło się, po czterech latach, przekonanie, że parlament może dużo, może wszystko, tylko nie chce i nie umie. Co wszakże najistotniejsze, opinia nie orientuje się w dostatecznej mierze, że parlament jest tylko formą życia politycznego, lepiej czy gorzej dostosowaną do wymagań czasu, sprawniejszą lub mniej sprawną, ale zawsze zależną w ostateczności od treści, które to życie wnosi w mury na Wiejskiej. Nastąpiła, jak sędzę, dość daleko posunięta fetyszyzacja parlamentarnej formy. Uwieńczeniem tej fetyszyzacji stała się nowa ordynacja wyborcza. Jej podstawowym celem jest powstrzymanie ewolucji życia politycznego w kraju na rzecz stabilizacji aktualnego układu sił i proporcji. Znamienne przy tym, że nawet bez troski o spójność wykorzystano wszystkie następczące się chwytły. Mamy więc wysokie progi (5% dla jednej partii, 8% dla koalicji) co miałoby ograniczyć liczbę rywali, i głosowanie krzyżykami (przy nazwisku preferowanego posła z wybranej listy), co zniechęca do układów koalicyjnych, ponieważ wyborcy swymi preferencjami mogą wywracać kolejność kandydatów na wspólnej liście wynegocjowanej przez koalicjantów. Mamy system d'Hondta liczenia reszt, co zwłaszcza w okręgach małomandatowych (3-5) będzie dodatkowo preferować najsilniejsze ugrupowanie. Zachowano listę krajową jako dodatkową gwarancję dla tych prominentów, którym się nie powiedzie „w terenie”, a dostęp do mandatów z niej (69, tj. 15%) ograniczono dodatkowo 7-procentowym a nie tylko 5-procentowym progiem, do grona najbardziej prominentnych czyli przywódców największych partii. Zabiegu szczególnie rażącego dokonano przepisem o zbieraniu podpisów na listach kandydatów: dotyczy on tylko formacji nowopowstałych. (Szwindel, jak to nazwano w Sejmie, przeprowadzono tak pośpiesznie, że pozostawiono w ustawie sprzeczności, które przed Trybunałem Konstytucyjnym

chę wykorzystać RdP Jana Olszewskiego i Konwencja Polska chadeków „miękkich”, nie istniejące po poprzednich wyborach, ale ostatnio dysponujące już niezbędnymi 15 mandatowymi klubami w rozwiązanym Sejmie). Całą tę ordynacyjną łamigłówkę ułożono w zgodnym trudzie wszystkich dużych formacji z dotychczasowej Izby: SLD, PSL, UD, PPL, PC, KPN, ZChN — a więc zmanifestowano rzadką w tym Sejmie umiejętność „wzniesienia się ponad podziały polityczne”. Wzniesienia — po co? Odpowiedź brzmiała, oczywiście: po to, by parlament był mniej rozproszony, by łatwiej mu było wytworzyć trwały rząd.

Jest to, niestety, propagandowa fikcja. Nowy parlament będzie najpewniej nieco mniej rozproszony, ale to — jak w swoim czasie udowodnił nie bardziej rozproszony parlament IV republiki francuskiej, czy potem parlament włoski — nie gwarantuje bynajmniej trwałości gabinetów. Na układ 3 lub 4-partyjny, jak w Wielkiej Brytanii czy w RFN, gdzie taki efekt stabilizacyjny jest rzeczywisty, niepodobna i tak liczyć. Natomiast to, co rzeczywiście zdaje się zapewniać nowa ordynacja, to pewne dodatkowe zamrożenie aktualnego układu sił na parlamentarnej scenie. Można zasadnie wątpić, czy będzie to efekt dość silny, by zamrożenie na poziomie parlamentarnym powstrzymało ewolucję polityczną w kraju, jak na to liczą zwłaszcza reformatorzy z dotychczasowych koalicji. To jednak może oznaczać, że nowy parlament będzie wkrótce jeszcze bardziej oddalony od kraju niż poprzedni. Znajdziemy się na linii wyjścia, trochę poniżej. Parlamentaryzmowi będzie się jeszcze trudniej bronić.

Krytykując innych za grzech fetyszyzacji form, unikajmy tego samego błędu. Żadna ordynacja wyborcza nie może powstrzymać woli wyborców wyrażonej dostatecznie dobitnie. Rzeczpospolita Polska jest demokratycznym krajem, wszystko jest w rękach obywateli.

Paryż, 13 czerwca 1993

Krzysztof WOLICKI

II

POLSKIE PRZEDSZKOLE DEMOKRACJI

Wybrany 27 października 1991 roku, w pierwszych od kilkudziesięciu lat prawdziwie demokratycznych wyborach Sejm RP nie doczekał swego dwulecia. Lech Wałęsa rozwiązał go 29 maja 1993 roku, po dziewiętnastu miesiącach urzędowania. Pre-

tekstem rozwiązania było nieuchwalenie tzw. konstruktywnego wotum nieufności wobec rządu. Sejm odwołał rząd pani Suchockiej, nie troszcząc się o jej następcę. Prezydent miał więc do wyboru, albo rozwiązać Sejm i powierzyć administrowanie kraju do następnych wyborów ustępującemu gabinetowi, albo samemu wysunąć kandydata na premiera. Tej drugiej ewentualności Lech Wałęsa wołał uniknąć, gdyż ze względu na jego malejące poparcie w społeczeństwie, także kandydat przez niego wysunięty mógł nie uzyskać w Sejmie poparcia. W ogóle nie wiadomo było, czy prezydent miał zamiar postawić na nieco rozszerzoną koalicję, popierającą rząd Suchockiej, czy też proponować rząd prezydencki, teoretycznie apartyjny, którego poparcie w Sejmie było jeszcze bardziej wątpliwe niż rządu obalonej właśnie koalicji. Rząd został obalony z powodu spóźnienia jednego posła, a więc jednym głosem przewagi jego przeciwników. Była to ostatnia, lecz nie pierwsza kompromitacja właśnie rozwiązanego Sejmu. Powołał dwa rządy — Olszewskiego i Suchockiej — o wątpliwą większość, zdawały się górować w nim interesy partyjne nad państwowymi, uchwalił nieprzemyślaną ustawę lustracyjną i w ogóle przyczynił się do pewnego chaosu prawnego, nie wspominając już o aferach finansowych i miłosnych, podważających opinię poszczególnych posłów. Duża część Sejmu była w otwartej opozycji wobec prezydenta i teraz rozeszła się plotka, że jedną z przyczyn rozwiązania parlamentu była obawa przed uchwaleniem lustracji urzędu prezydenckiego. W każdym razie pośpiech w rozwiązaniu Sejmu rzucał się w oczy. Gdyby Sejm miał jeszcze tydzień, czy dwa tygodnie czasu, mógłby uchwalić kilka pilnych ustaw. Specjalnych pełnomocnictw dla obalonego rządu jednak by nie uchwalił, i jak sądzę, to był argument przesądający o decyzji Lecha Wałęsy.

Ogólnie przygnębiający obraz polskiego parlamentu jest prostym wynikiem stanu naszych partii politycznych. Stanowią raczej kluby przyjacielskie niż poważne formacje polityczne. Ilościowo najsilniejsze jest PSL, które ma około 200 tysięcy członków płacących składki. Dużo słabsza liczebnie jest już Socjaldemokracja RP, obciążona do tego opinią partii postkomunistycznej. Ale partie obozu solidarnościowego nie mogą pod względem liczebności w ogóle porównywać się z partiami lewicowymi. Liczą od kilkuset do kilku, a w najlepszym wypadku do kilkunastu tysięcy członków. Partie nie mają pieniędzy i prasy, brak im też wyszkolonego aparatu, ich elity są zaś w wielu wypadkach skłócone. Nie piszę tego, by złośliwie przedstawiać stan obozu solidarnościowego. Wydaje mi się, że nie mogło być inaczej. „Solidarność” była zwarta jako ruch antykomunistyczny i odegrała epokową rolę w historii Polski. Programu pozytywnego jednak nie miała i jako ruch wielomilionowy

nie mogła mieć jednego programu. Ujawniło się to w iluzorycznej koncepcji „Rzeczypospolitej samorządnej”, którą inteligentny Leszek Balcerowicz umiejętnie porzucił i zaczął realizować gospodarkę rynkową, niestety nie typu europejskiego, lecz raczej amerykańskiego, raczej liberalną niż społeczną.

Potem przyszedł czas kolejnych „wojen na górze”, najpierw Wałęsy i braci Kaczyńskich przeciw Komitetowi Obywatelskiemu, a potem Kaczyńskich i Olszewskiego przeciw Wałęsie. Różnice i walki w polityce są zasadniczo czynnikiem normalnym i nieuniknionym. Poziom tych walk był jednak u nas moralnie i politycznie zawstydzający. Jeśli dodamy do tego fakt, że skrajnie monetarystyczna polityka gospodarcza spowodowała załamanie dawnego przemysłu państwowego, niezdolnego już do finansowania budżetowej sfery socjalnej i kulturalnej, oraz postępujące zubożenie społeczeństwa, to stanie się jasne, że niegdyś prawdziwy *ethos* solidarnościowy musiał się załamać. Polska odzyskała niepodległość, lecz znajdujemy się w swoistym przedszkolu prawdziwej demokracji. W części naszych elit trwają skutki zarażenia mentalnością totalizmu poprzedniej epoki, stąd przejawy nienawiści i brutalności w polityce. Stąd postrzeganie w inaczej myślącym wroga, a nie przeciwnika. Stąd dążenie do eliminowania z życia publicznego przeciwników i obrzucanie ich błotem. Nie jesteśmy wśród dawnych krajów postkomunistycznych gorszym wyjątkiem. Przejawy nienawiści wśród narodów dawnej Jugosławii, czy w niektórych republikach dawnego ZSSR są jeszcze silniejsze. Poważnymi obawami napawa także to, co dzieje się w samej Rosji, gdzie naród popada w skrajną nędzę, a przywódcy skaczą sobie do gardeł. Naturalnie nie wszystko można zapisać na konto dawnego totalizmu, ale z niego wyrasta pojęcie wroga i zasada jego zniszczenia. Trwająca restrukturyzacja gospodarcza wywołuje także nieuchronne napięcia. Obiektywnie nieuniknione napięcia zwielokrotniają jednak psychologiczne skutki czasów pogardy człowieka i monumentalizacji wroga.

Doszliśmy do tego, że Polska demokratyczna ma chwilowo tylko niepopularnego prezydenta i odwołany przez Sejm rząd, chcący reformować gospodarkę, co jednak implikuje wielkie koszty ubożenia społeczeństwa. Jak więc można ocenić stan geografii politycznej kraju, w którym doszło do takiej koncentracji władzy na okres czterech miesięcy od wyborów? Rząd pani Suchockiej i Wałęsa, który chwilowo zdaje się do niego przyłączać, mówi, że reprezentuje obóz reformatorski. Uważa, że obalenie tego rządu nastąpiło przez siły antyreformatorskie. Zważywszy jednak, że rząd obalono większością jednego głosu, układ sił zdaje się być dość wyrównany. I z wszelką pewnością układu tego nie wyczerpuje propagandowe ujęcie podziału na

reformatorów i przeciwników reform.

Obecny rząd i prezydent nie zaliczają do obozu reformatorów dużej części centroprawicy, reprezentowanej przez małe ugrupowania Olszewskiego, Parysa, Macierewicza, oraz kilka jeszcze mniejszych grup. Środowiska te stworzą koalicję i, moim zdaniem, uda im się przekroczyć ośmioprocentowy próg głosów zebranych w całym kraju, a tym samym wejść do przyszłego parlamentu. Zaryzykowałbym nawet przypuszczenie, że ta część centroprawicy zbierze około, lub nieco ponad dziesięć procent głosów i będzie liczącym się w parlamencie i jego najbardziej „krzykliwym” odłamek. Zbierze głosy tych ludzi, którzy najlepiej pamiętają krzywdy zaznane za czasów komunistycznych i osób skłonnych do rozliczeń w samym obozie solidarnościowym. Będą to ludzie wierzący, że lista rzekomych konfidentów SB i UB ogłoszona w czerwcowym numerze *Gazety Polskiej* Piotra Wierzbickiego jest prawdziwa i ludzi tych należy rozliczyć. Osobiście sądzę, że tylko część osób zamieszczonych na tej liście była rzeczywiście powiązana z tajnymi służbami, a niektórym ludziom zrobiono ogromną krzywdę moralną, zamieszczając ich nazwiska i hańbiąc uczciwych. O jednym z drastycznych przypadków krzywdy moralnej, w stosunku do profesora Witolda Trzeciakowskiego, pisałem już na łamach *Rzeczypospolitej*, bo znam sprawę osobiście. Nie wątpię, że na ogłoszonej liście jest wielu czystych ludzi. Ale komuniści wyrządzili dużej części społeczeństwa wielkie krzywdy i pamięć o nich trwa. Dlatego akcja dekomunizacyjna i lustracyjna znajdzie swoich zwolenników także w nowym Sejmie. W całej tej sprawie idzie jednak o wyrównanie krzywd przeszłości, a nie o program aktualnych reform gospodarczych i prywatyzacji. Niestety dramatyczna przeszłość nie tylko podzieliła obóz „Solidarności”, ale wpłynie także obecnie na rozbięcie polityczne obozu reformatorskiego w Polsce.

Centroprawica, o której tu piszę nie jest bardzo wpływowa, zyska ludzi żywiących silne resentymenty, lecz ma ona także swoje porachunki z Lechem Wałęsą i dlatego będzie wносиła do polskiego parlamentu wiele emocji i niepokoju. To także jest i będzie jeszcze przez pewien czas spadkiem po okresie totalizmu i państwa policyjnego. Do formacji tej może przyłączyć się słabnące politycznie Porozumienie Centrum J. Kaczyńskiego.

Drugim o wiele silniejszym odłamek politycznym w przyszłym parlamencie będą partie lewicy, częściowo o rodowodzie komunistycznym. Partie te zyskają jeszcze więcej głosów niż w poprzednich wyborach. Ludzie zastanawiają się, czy najsilniejszą formacją w Sejmie będzie partia chłopska — PSL, czy też Socjaldemokracja RP Aleksandra Kwaśniewskiego. Ta ostatnia partia zbierze nie tylko głosy dawnego elektoratu PZPR, ale

także tych odłamów społeczeństwa, które doznały największych krzywd w wyniku polityki monetarystycznej i przeprowadzanej restrukturyzacji gospodarczej. Nawet jednak, gdyby siły partii lewicowych wzrosły o połowę, lub nawet więcej, nie uzyskają one większości w nowym parlamencie. Nie powstanie więc w Polsce kopia rozwiązania litewskiego. Nie wykluczam natomiast sytuacji, w której osłabiona Unia Demokratyczna i liberałowie, jeśli doznają porażki wyborczej, mogą zwrócić się do jednej z partii lewicowych, najprawdopodobniej do PSL, z propozycją stworzenia wspólnej koalicji. W takim wypadku jednak zwolennicy prywatyzacji i liberalnych reform gospodarczych musieliby je skorygować w kierunku zaspokojenia postulatów rolników, a także mniej pospiesznej, a bardziej przemyślanej linii prywatyzacji.

Z wielu różnych przyczyn, przede wszystkim ze względu na ciągłe powoływanie się na Kościół, poważne straty może ponieść Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe prof. Chrzanowskiego. W takim wypadku tzw. obóz reformatorski nie miałby innego wyjścia niż poszukiwanie aliansu z PSL, lub nawet z Socjaldemokracją RP. Wtedy trzeba by uznać epokę *ethosu* solidarnościowego za skończoną i otworzyłyby się nowy okres polityczny w dziejach Polski postkomunistycznej.

We wszystkich tych przewidywaniach nie należy tracić z pola widzenia koalicji mniejszych grup politycznych, jak ludowcy G. Janowskiego, różne odłamy chadecji i konserwatystów, które będą dążyły do wspólnego wejścia do parlamentu, by stać się w nim języczkiem u wagi między dużymi blokami politycznymi. Nie jestem też do końca pewny z kim pójdzie Porozumienie Centrum, bo jego alians z koalicją Jana Olszewskiego skończy się dalszą marginalizacją znaczenia tej partii, mającej kiedyś wielkie ambicje rządzenia Polską.

Najtrudniej jest ocenić szanse wyborcze i późniejszą taktykę Konfederacji Polski Niepodległej Leszka Moczulskiego. Jest to bowiem partia słaba programowo, zapatrzona w przeszłość, a nie patrząca w przyszłość, lecz dobrze zorganizowana, sięgająca nawet do niektórych zakładów pracy i próbująca organizować formacje paramilitarne. Ze względu na maksymalne ambicje jej przywódcy jest ona trudnym partnerem dla każdej koalicji. Jej wypowiedzi programowe zdają się iść w kierunku skrajnie przeciwnym w stosunku do liberalnej i monetarystycznej orientacji obozu reformatorskiego. Moczulski musi sobie jednak w końcu zdać sprawę z tego, że nie ma żadnych szans stać się główną siłą polityczną w przyszłym parlamencie i jedynym wybrańcem narodu. Powinien więc zarówno ograniczyć własne żądania i ambicje, jak też próbować szukać wspólnego mianownika między własnym programem, a linią polityki gospodarczej obozu reformatorskiego. W przeciwnym wypadku KPN może

być nawet dość silnym ugrupowaniem w parlamencie, ale jednocześnie pozostawać w politycznej izolacji.

Pewną niewiadomą jest w całym tym, tylko szkicowo zarysowanym, obrazie geografii politycznej w Polsce sam prezydent Wałęsa. Niedawno jeszcze mówił często o stworzeniu partii prezydenckiej. Teraz w „Orędziu” po rozwiązaniu parlamentu oświadczył, że w razie potrzeby jest gotów zostać nawet „liderem” obozu reformatorskiego. Obóz ten dba naturalnie o dobre stosunki z prezydentem i to spowodowało, że Wałęsa wybrał nie dotychczasowy Sejm, lecz rząd pani Suchockiej. Ale obóz reformatorski, jeśli uznać za taki poza Unią Demokratyczną i liberałami także ZChN i Chrześcijańskich Demokratów, nie bardzo widzi w osobie Lecha Wałęsy swego lidera politycznego. Rozważa on więc różne inne warianty, bo koniecznie chce być jeśli nie liderem, to przynajmniej protektorem sił rządzących Polską. Dlatego powiedział na ostatniej konferencji prasowej w ogrodzie belwederskim, że jeśli zwyciężą byli komuniści, to on jako demokratą także ich poprze. Słowa w polityce z pewnością niewiele znaczą. A Wałęsa lubi dużo mówić. Nie wiem, czy ostrożne było jego oświadczenie, że po wyborach mianuje premierem jednego z trzech kandydatów partii, która uzyska najwięcej mandatów. Osobiście optowałbym raczej za premierem jednej z partii, które po wyborach zdołają utworzyć szerszą politycznie koalicję niż ta, na której mogła się opierać Hanna Suchocka.

Spekulacje prezydenta na temat przyszłości powyborczej są naturalnie przedwczesne. Sygnalizują tylko ponownie jego wolę stania się wiodącą osobą w polskiej polityce i dążenie do zastąpienia systemu parlamentarnego systemem prezydenckim. Wałęsa ma akurat małe szanse przekonania partii politycznych do takiego rozwiązania konstytucyjnego, skrojonego pod jego osobę.

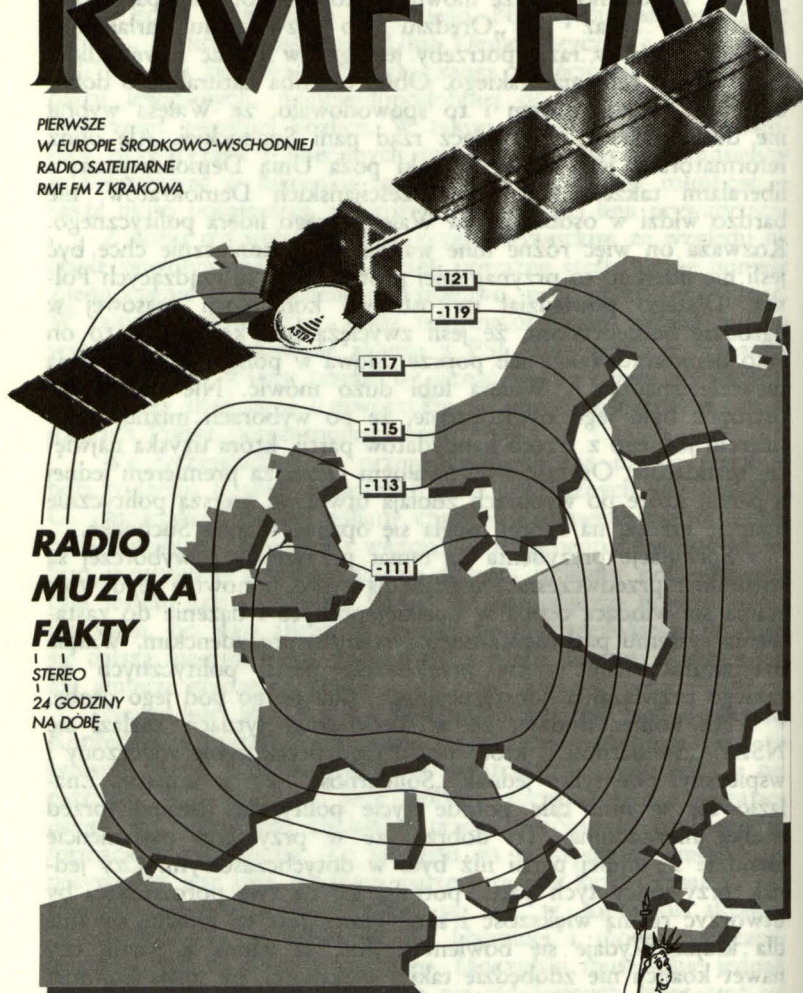
Na koniec dodam, że w specyficznej sytuacji znalazł się NSZZ „Solidarność”, który obalił rząd przez siebie stworzony i wspierany. Nie tylko jednak „Solidarność” jest w impasie. Znalazło się w nim całe polskie życie polityczne. Stoimy przed wielką niewiadomą. To dobrze, że w przyszłym parlamencie znajdzie się mniej partii niż było w dotychczasowym. Czy jednak przywódcy tych partii potrafią się na tyle porozumieć, by utworzyć realną większość i silny rząd? Jest to główne pytanie dla kraju. Wydaje się bowiem pewne, że żadna z partii, czy nawet koalicji nie zdobędzie takiej większości, by miała komfort samodzielnego rządzenia. A polityka jest między innymi sztuką zawierania kompromisów. Jest to powiedzenie banalne, ale jakże aktualne w naszej obecnej sytuacji i w czasach wybujałych ambicji osobistych i partyjnych.

Andrzej MICEWSKI

RADIO SATELITARNE ASTRA 1A - kanał 15
audio 7,74 & 7,92 MHz

RMF FM

PIERWSZE
W EUROPIE ŚRODKOWO-WSCHODNIEJ
RADIO SATELITARNE
RMF FM Z KRAKOWA



**RADIO
MUZYKA
FAKTY**

STEREO
24 GODZINY
NA DOBĘ

ustaw odbiornik satelitarny na program
MTV Europe (Astra 1A, kanał 15)
i dostrój częstotliwości audio:
7,74 MHz dla kanału lewego
7,92 MHz dla kanału prawego

RMF FM

DZWOŃ DO NAS 48/12/670020

Z historii emigracji

Polscy dyplomaci

„Temu parę dni zgłosił się do mnie telefonicznie były rosyjski Ambasador w Paryżu, Maklakoff, prosząc o wyznaczenie dnia i godziny w której mógłby mnie odwiedzić — pisał z początkiem kwietnia 1952 Kajetan Morawski. — Wobec poważnego wieku Maklakoffa — liczy on lat 82 — odpowiedziałem że sam się do niego wybiorę, co uczyniłem w dniu wczorajszym.

Maklakoff jest prawie głuchy, tak że słyszy za pomocą specjalnego aparatu tylko głos człowieka siedzącego naprzeciwko niego. Poza tym jednak znosi swój wiek doskonale, dyskutuje z ożywieniem i inteligencją oraz ma pamięć zupełnie świeżą. Opowiadał mi o swoich bliskich stosunkach przed r.1914 z członkami Koła Polskiego w Dumie i Radzie Państwa, o swoim przyjeździe w r.1917 na konferencję międzyaliancką do Paryża i o tym jak w chwili składania kopii listów uwierzytelniających na Quai d'Orsay dowiedział się z ust Barthou o dokonanych w wilię w Petersburgu przewrocie sowieckim. Do r.1924 pozostawał następnie wraz z współpracownikami w Ambasadzie rosyjskiej na rue de Grenelle w charakterze półoficjalnym. Dyplomacja rosyjska dysponowała wtenczas jeszcze dość znacznymi funduszami ulokowanymi za granicą. Na wieść o rewolucji październikowej zjechali się szefowie misji by ustalić wspólny plan działania i zdecydowali zgodnie, że zapasami finansowymi należy administrować ostrożnie, tak aby na pewno wystarczyły aż do załamania się reżymu sowieckiego w Rosji. Wychodząc właśnie z tych założeń rozdysponowano je na 5 lat. Po uznaniu przez gabinet Herriot'a rządu sowieckiego musiał Maklakoff opuścić Ambasadę, po wyczerpaniu resztek pieniędzy przyjął propozycję kierownictwa w utrzymywanym na skromnej stopie biurze opieki nad emigrantami rosyjskimi i w tym charakterze obchodzić będzie w roku bieżącym 35-tą rocznicę swego przybycia do Paryża. Jego towarzysze pracy zbierają się niejednokrotnie by dyskutować o ustroju Rosji po jej wyzwoleniu”.

Tekst o spotkaniu z M. zaadresowany był: „Szanowny i Drogi Panie Ministrze”. Był to jeden z paru tysięcy raportów jakie Kajetan Dzierżykraj Morawski przesłał z Paryża do Londynu między rokiem 1945 a 1967. Mianowany we wrześniu 1943 ambasadorem RP przy Francuskim Komitecie Wyzwolenia Narodowego, późniejszym Tymczasowym Rządzie Republiki Francuskiej rezydującym w Algierze, był tam pierwszym akredytowanym dyplomatą. 14 października 1944 przyjechał do oswobodzonego Paryża rozpoczynając urzędowanie w polskiej ambasadzie. Gdy 4 lipca 1945 Francja cofnęła uznanie rządowi londyńskiemu. Ambasador zachował osobisty status dyplomatyczny. Generał de Gaulle oświadczył, że zawsze jest gotów spotkać trzech Polaków: generała Andersa, Józefa Czapkiego i ambasadora Morawskiego. Ambasador zachował najdalej posuniętą oględność w korzystaniu z tego zaproszenia, jakby rezerwując je na wypadek szczególnych okoliczności, gdy poprzednio był jednym z częściej spotykających generała dyplomatów, co sam de Gaulle przypomina w swoich pamiętnikach. Natomiast za swe właściwe zadanie jako przedstawiciela wolnych Polaków uważał Kajetan Morawski utrzymywanie kontaktu z Quai d'Orsay i innymi centralnymi władzami. Nie ma żadnych śladów by spotykał oficjalnie któregoś z często zmieniających się ministrów spraw zagranicznych. Jego rozmówcami byli jednak urzędnicy wysokiego szczebla. Wyjątkowo przyjazne stosunki łączyły go z Jean Laloy. Urodzony w roku 1912, Laloy zaczął swą karierę w roku 1937 w konsulacie w Tallinie, w roku 1940 pracował w konsulacie w Moskwie. W listopadzie i w grudniu 1944 towarzyszył generałowi de Gaulle w podróży do Moskwy, służąc jako jeden z tłumaczy podczas rozmów ze Stalinem. (Przekład jego relacji z tej podróży był ogłoszony w *Zeszytach Historycznych* nr 65). Od roku 1949 kierował referatem spraw sowieckich, w 1952 objął kierownictwo departamentu, któremu podlegały oprócz Związku Sowieckiego także kraje wschodnioeuropejskie, potem był doradcą min. Edgara Faure, w latach 1955–56 wicedyrektorem gabinetu min. Pinay, dyrektorem spraw europejskich, wicedyrektorem spraw politycznych. Na wszystkich tych stanowiskach utrzymywał kontakty z Kajetanem Morawskim. Wkrótce po śmierci Stalina został wysłany na dwa tygodnie do Moskwy by zebrać tam możliwie ściśle informacje. Po powrocie podzielił się swymi uwagami z ambasadorem Morawskim, który zanotował je w raporcie z 8 czerwca 1953. Kopie raportów były przesyłane równocześnie

do Józefa Potockiego, nadal uznawanego posła RP w Madrycie, Kazimierza Papée, ambasadora przy Stolicy Apostolskiej i Józefa Lipskiego w Waszyngtonie. Kopie z Madrytu, Watykanu i Waszyngtonu przychodziły też do Paryża. Warte przypomnienia wydają się opinie zachodnich kancelarii z początku marca 1953.

„W Watykanie zdają sobie dobrze sprawę, że ze śmiercią Stalina znika przeciwnik o znamionach genialnego męża stanu. Przyznawszy to, rozmówcy w Sekretariacie Stanu wykazują jednak skłonność do ocen raczej pesymistycznych... Stalin miał za sobą ogromny kapitał doświadczenia, sukcesu, sławy. To wszystko stwarzało pewną niechęć do ryzyka i nowych awantur, pewien kompleks konserwatywny. Stalinowskie 'jeszcze nie' wobec szans i możliwości wielkiego konfliktu ze światem zachodnim dawało w obecnych warunkach zawieszenie broni przedłużające się od lat... okres tarć czy walk w łonie partii — o ile nastąpi — minie i przyniesie komuś zwycięstwo. Komu? Może to być człowiek, lub grupa ludzi o dużych ambicjach, młodszych wiekiem i doświadczeniem i skłonnych do podjęcia ryzyka, którego stary Stalin nie chciał już brać na siebie”. Kazimierz Papée, 5 marca.

Józef Potocki zanotował 9 marca pogląd madryckich sfer urzędowych: „Nie ukrywamy naszej obawy i zarazem naszego przekonania, że zręczność manewru Stalina może być zastąpiona mniej przemyślaną czelnością”. Także w Paryżu przyjęto, zdaniem Kajetana Morawskiego: „wiadomość na ogół z zaniepokojeniem, wyczuwają słusznie, że sprawowanie rządów przez starego i chorego dyktatora było pewną gwarancją pokoju, dając jednak równocześnie wyraz mylnemu przeświadczeniu, że tenże dyktator był osobiście czynnikiem umiarkowania w stosunkach międzynarodowych”. Dodawał jeszcze Kajetan Morawski, iż wspomniany już Ambasador Maklakoff twierdzi, że na dłuższą metę nie uda się centralnym władzom sowieckim, pozbawionym autorytetu Stalina, opanować odśrodkowych dążeń narodów sowieckich. „Mimo całej niechęci a nawet nienawiści do Sowietów, wygłasza Maklakoff swoje tezy jakby z zabarwieniem żalu i obawy iż rozpaść się może jedność imperium rosyjskiego”.

Jednak rozmowy na Quai d'Orsay dotyczyły nie tylko ogólnej wymiany poglądów oraz przekazywania szczegółowych informacji o Polsce, choć w pewnym okresie to właśnie francuskie ministerstwo przez swą ambasadę w Warszawie dysponowało większą może niż emigracja wiedzą o naszym

kraju. Raport z 25 września 1951 dotyczy dwu nauczycielek francuskich, które całe życie spędziły w Polsce i jeszcze dwa miesiące wcześniej uczyły języka francuskiego. Opuściły Polskę z chwilą, gdy zażądano od nich kategorycznie poddania się obowiązującemu wszystkim nauczycieli egzaminowi z leninizmu-marksizmu. Do raportu został załączony spis 48 pytań: Czy świat i prawa nim rządzące są poznawalne? Jakie są prawa dialektyki? Co to jest towar i co to jest jego wartość? Co to jest imperializm i kiedy on powstaje? Jak w walce z odchyleniami prawicowo-nacjonalistycznymi i socjal-demokratyzmem ugruntowały się podstawy marksistowsko-leninowskiej ideologii PZPR?

Raport z 2 marca 1951 opatrzonej klauzulą: tajne, skierowany jest do generała Andersa i stanowi relację z rozmowy z dyrektorem wydziału Europy Wschodniej p. Laporte. Zdaniem francuskiego rozmówcy:

„Sprawa tworzenia na Zachodzie formacji wojskowych śródkowo i wschodnioeuropejskich zaczyna być rozpatrywana w USA. Francja, która posiada specjalne zainteresowania w tej części starego kontynentu, która udzieliła azylu wielkiej liczbie, pochodzących stamtąd uchodźców, która zna lepiej ich psychologię i która już w czasie dwóch ostatnich wojen światowych współdziałała przy tworzeniu wojsk polskich i czeskosłowackich na obczyźnie, nie powinna zająć w tej sprawie stanowiska biernego... Pierwsza trudność, jaka nasunie się przy formowaniu wzmiankowanych wyżej oddziałów, to fakty uznawania przez Francję jak i inne państwa zachodnie, istniejących obecnie satelickich rządów. Akcja przygotowawcza musi być prowadzona zatem z najdalej idącą dyskrecją i ograniczyć się w pierwszym okresie do tajnych opracowań sztabowych”.

Już 13 lutego 1951 ambasador Morawski z zaniepokojeniem zawiadamiał Londyn, że:

„Wiceprzewodniczący niemieckiej partii socjalistycznej, Carlo Schmidt powtarzał w ostatnich dniach Józefowi Czapskiemu rozmowę, jaką miał z gen. Eisenhowerem w czasie pobytu tego ostatniego w Bonn. Rozmowę tę dotyczącą opozycji socjalistów niemieckich przeciw dobrojeniu, a trwającą około dwóch godzin, zakończył E. następującym charakterystycznym zwrotem: 'Cokolwiek by pan mówił i jakiegokolwiek będą nasze projekta organizacyjne, pewne jest że w razie ataku sowieckiego bić się będą naprawdę w Europie tylko trzy grupy: Niemcy, Anglicy, o ile zostaną zagrożeni na własnym terytorium i polskie podziemie'.

Stwierdzenie, w pewnej mierze pochlebne dla Polski —

pisał Kajetan Morawski — wydaje mi się być tym niebezpieczniejszym symptomem nastawień amerykańskich, że wiąże je z luźnymi uwagami jakie wobec mjr. Czarneckiego (był przedstawicielem gen. Andersa w Paryżu) zrobili ostatnio sztabowcy francuscy, angielscy i amerykańscy”.

Morawski oceniał pomysły Laporte'a z ogromną rezerwą:

Niebezpieczeństwem bardziej bezpośrednim i większym jeszcze od prób tworzenia wojska z obywateli naszych bez dostatecznej *contrepartie* dla nas, wydają mi się zakusy zmierzające do dysponowania naszym materiałem ludzkim bez naszej współdecyzji”.

Sprawy wojskowe wracały w ciągu paru lat. W marcu 1953 wicedyrektor do spraw Europy Wschodniej p. Villelume (raport z 26. III) zapytał ambasadora:

„czy Generał Anders widział się w ostatnim okresie z Marszałkiem Juin. Była to oczywiście sugestia, bo o spotkaniu takim byłby był natychmiast przez sztab poinformowany. Odrzekłem więc, iż zapatrywania Gen. Andersa są Marszałkowi Juin dobrze znane. Nie słyszałem natomiast o zetknięciu się ich w ciągu ostatnich miesięcy. Zaczynam poza tym mieć wątpliwości czy byłoby ono w dzisiejszych warunkach celowe. Marszałek Juin jest przewidzianym dowódcą armii europejskiej, która według kanclerza Adenauera ma być jak najpełniej ujednolicona z wykluczeniem wszelkich narodowych oznak i sztandarów. Siła atrakcyjna takiej armii dla narodów zza żelaznej kurtyny byłaby minimalna, a propaganda komunistyczna przedstawiać ją będzie mogła jako rozszerzoną armię niemiecką, przeznaczoną do podbojów na wschodzie.

Villelume przyznał iż trudno byłoby Juin'owi gwarantować nam to, z czego jego własne francuskie oddziały miałyby zrezygnować”.

Wkrótce po tej rozmowie generałowie Anders i Kopański pojawili się w Paryżu odbywając spotkania w sztabie generalnym. 19 maja 1953 ambasador odwiedził dyrektora generalnego spraw politycznych MSZ p. de la Tournelle, by poinformować go o stanowczych warunkach strony polskiej.

„Wojska te aby spełnić swój cel, posiadać muszą charakter i pełne prawa wojsk narodowych pod własnymi sztandarami i własnym dowództwem... Polacy na emigracji dysponują wystarczającymi kadrami oficerskimi i podoficerskimi oraz wystarczającą ilością żołnierza by utworzyć parę Wielkich Jednostek o realnej wartości bojowej. Uzbrojenia i zaopatrzenia materiałowego oddziałów zza żelaznej kurtyny podjąć się mogą oczywiście

cie tylko Stany Zjednoczone. Francji przypadłoby przewidzenie w planie mobilizacyjnym organizacji na jej terytorium przynajmniej jednej polskiej dywizji, uzgodnienie z władzami wojskowymi amerykańskimi i polskimi sposobu przygotowania i przechowania sprzętu dla tej dywizji oraz umożliwienia już teraz oficerom polskim tak z Francji jak z Wielkiej Brytanii odbywania ćwiczeń w ramach armii francuskiej”.

Ambasador prosił, by rozmowy fachowe prowadzone między sztabem francuskim a polskim nie spotykały się ze sprzeciwem instancji politycznych i aby Quai d'Orsay powiadomiło Sztab Główny w sposób jaki uzna za stosowny, że uważa doprowadzenie ich do pomyślnego rezultatu za pożądane. „P. de la T. zawsze bardzo ostrożny, ograniczył się do zapewnienia mnie, że o poprzednich rozmowach był informowany i do dania mi do zrozumienia, że nie odnosi się do nich negatywnie”.

To, że sprawy potoczyły się całkiem inaczej, nie umniejsza znaczenia tych rozmów. Ostatecznie większość czołgów, samolotów bojowych i łodzi podwodnych zbudowano w świecie w przewidywaniu lub dla zapobieżenia odmiennego przebiegu wydarzeń. Odeszła też już na emerytury generacja oficerów, którzy przeszli całe swe życie w armiach jedynie na wszelki wypadek.

Skoro istniał cień możliwości tworzenia polskich oddziałów, ambasador zajął się tym. Nieporównanie jednak więcej uwagi i wieloletnich zabiegów wiązał ze sprawą nienaruszalności zachodniej granicy Polski. Domagając się oczywiście od Francuzów przypominania o prawach narodu polskiego do pełnej suwerenności właściwie uważał jednak za swoje ważniejsze i nawet możliwe do wykonania zadanie skłonienie ich by najbardziej formalnie uznali ostateczny charakter tej granicy.

„Stawiając żądanie granicy na Odrze i Nysie nie możemy tracić z oczu, że żądamy linii tej jako granicy polsko niemieckiej wewnątrz Europy, nie zaś broń Boże jako granicy między blokiem wschodnim a blokiem zachodnim. Żądanie nasze ma więc charakter odmienny od żądań, które są lub mogłyby być wysuwane przez Moskwę i reżym warszawski”.

Nieustannie przypominał francuskim rozmówcom, że w ich własnym i całego Zachodu interesie leży wytrącanie Moskwy z roli jedyne go gwaranta polskiej granicy zachodniej. Gdy odpowiadano mu, że granica ta *de facto* jest uznawana natomiast brak dobrej okazji do powzięcia kroków formal-

nych, proponował uczynienie czegoś, co stanowiłoby wyraźny sygnał: ponownego otworzenia konsulatu w Szczecinie (zamkniętego za Bieruta) lub stworzenia Instytutu Francuskiego we Wrocławiu. Wtedy okazywało się, że tu akurat istnieją nie dające się usunąć przeszkody ze strony Warszawy, która zgodziłaby się na Instytut jedynie za cenę oddania jej, nie należącej zresztą do Francji, Biblioteki Polskiej na wyspie św. Ludwika. Ambasador warszawski przy pomocy adwokata francuskiej partii komunistycznej doprowadził nawet do opieczętowania przez komornika gmachu Biblioteki. Doprowadziło to nie tylko do wielomiesięcznej przerwy w jej działalności. Koszta wygranej w końcu przewlekłego procesu bardzo obciążyły działalność tej instytucji. Niestrudzony obrońca Biblioteki, przeciwnik systemu, uważnie obserwował Kajetan Morawski także wszystkie posunięcia drugiej strony, w których mógł się dopatrzeć choć cienia działań dla dobra kraju. 30 stycznia 1967 komentował paryską wizytę ministra Rapackiego:

„Po precedensach stworzonych przez mrukliwego Mołotowa i prostackiego Chruszczowa każdy polityk czy dyplomata z za żelaznej kurtyny, który zachowuje się mniej więcej kulturalnie i władza obcymi językami, korzysta w opinii Zachodu z taryfy ulgowej. Rapacki wychowany w środowisku intelektualnym i wykształcony częściowo na uniwersytetach zagranicznych takich ulg nawet nie potrzebował... w końcowej konferencji prasowej, a więc już po bytności u de Gaulle'a, wyrażał się Rapacki o NRF i jej nowym rządzie ostrożniej niż zwykła to czynić prasa warszawska... Przypuszczam, że ten właśnie punkt był głównym przedmiotem rozmowy u generała. Francja obawiała się koncepcji nie tylko oparcia polityki niemieckiej o Waszyngton, lecz szukania w dalszej kolejności porozumienia z Moskwą. Nawrót Kiesingera i Brandta do projektów europejskich Adenauera powitała z radością. Ale realizacja tych projektów wydaje się grozić Polsce we własnym jej rejonie izolacją czy nawet osaczeniem i wypycha ją coraz bardziej w ramiona Rosji. Więc Francja w interesie własnym ale raz więcej zgodnym z naszym interesem narodowym musi prowadzić trudną grę: skłaniać Niemcy w zamian za obietnice zjednoczenia do stopniowej rezygnacji z chyba już tylko w celu przetargu wysuwanych, a w istocie swej nierealnych rewindykacji terytorialnych wobec Polski, a równocześnie przekonywać tę samą Polskę, że zaangażowanie się Niemiec w Europę jest wbrew pozorom dla niej mniej groźne niż ewentualna ich próba dogadania się bezpośrednio z Moskwą. I obie strony namawiać do zarzucenia wzajemnych napaści prasowych oraz do szukania jakiegoś tymczasowego *modus vivendi*.

Mam pewne nawet nie dane ale poszlaki, że Rapacki ten skomplikowany problem zrozumiał. Wedle moich informatorów z kraju istnieje jednak mało szans, aby zdołał choć trochę nagiąć linię Gomułki”.

W październiku 66 Dział Spraw Zagranicznych Egzekutywy Zjednoczenia Narodowego w Londynie przesłał ambasadorowi opracowanie dotyczące uregulowania Wisły, które miało być wręczone w Departamencie Stanu i w Foreign Office a także w Brukselskiej Komisji Wspólnego Rynku. „Tekst jest w języku angielskim, ale może mógłby być w tej formie przedstawiony na Quai d'Orsay”. I został doręczony. Nie od razu, lecz we francuskim przekładzie dokonany przez K.D.M. Władze emigracyjne wspierały idee pomocy gospodarczej dla Polski, bez warunków politycznych lecz przy zapewnieniu jakichś gwarancji rozsądnego jej spożytkowania¹. Kajetan Morawski był w pierwszym powojennym okresie zdecydowanym zwolennikiem utrzymania ciągłości państwowej na obczyźnie². Powoływał się na przykłady de Gaulle'a i Benesza, którzy napotykali na trudności, bo takiej ciągłości byli pozbawieni. Miał jednak doskonałe wyczucie tego co jest treścią a co formą. Instrukcji londyńskich, gdy dotyczyły pustych gestów, po prostu nie wykonywał, pisał wtedy natomiast ściśle osobiste listy, w których odradzał brnięcie w głupstwa. Czując się zobowiązany do zapewnienia opieki obywatelom polskim nie uznającym władz warszaw-

1. Już w roku 1954 wobec zainteresowania, jakie wywołał opracowany przez komitet pod przewodnictwem amb. Raczyńskiego memoriał o wymianie handlowej postanowiono opracować analogiczne memoriały z innych dziedzin. W ramach Komisji Środkowo- i Wschodnio-Europejskiej pod przewodnictwem belgijskiego senatora Etienne de La Vallee Poussin powołano komitet dla spraw wymiany kulturalnej, którym kierował Kajetan Morawski. W papierach zachowały się dwie strony napisanych po francusku uwag Czesława Miłosza na temat możliwości oddziaływania Zachodu. W punkcie 3-cim Miłosz pisał: „Malarstwo na wschodzie charakteryzuje się utratą radości, koloru, formy. Przygotowując wystawę sztuki zachodniej warto o tym pamiętać. To nie oznacza, że należy wybierać dzieła malarzy abstrakcyjnych. Najlepszym wyjściem będzie pokazanie, że malarz zachodni może uprawiać malarstwo tematyczne nie popadając w nudę, nieuniknioną w wypadku podporządkowania się wymogom ortodoksji. Wybierając na przykład morze, pracę rybaków francuskich jako temat, może pokazać cuda. Nasuwa się kwestia czy istnieje prawdziwe zainteresowanie dla takiej akcji w kołach rządowych krajów zachodnich”.

2. *Kultura*, wybierając od początku inną drogę, wydaje mi się szczególnie dobrze wybranym miejscem dla oddania sprawiedliwości jego działaniom.

skich, zdawał sobie sprawę, że jego działania odnoszą skutek całkiem niezależnie od jego formalnych prerogatyw. Nie bez goryczy zauważał, że jego rozmówcy traktują go z większą szczerością niż to się zdarza w dyplomacji. Ponieważ nie jest już reprezentantem rzeczywistego państwa, lecz kolegą zasługującym na osobiste zaufanie. To zaufanie było posunięte tak daleko, że nie brak w jego papierach fotokopii oficjalnych pism ambasady PRL do instytucji francuskich sporządzanych dla niego przez adresatów, podczas gdy sytuacja odwrotna jest zupełnie nie do pomyślenia. Otrzymywał też tysiące listów, na które odpisywał. Bardzo często listów z najrozmaitszymi prośbami. 12 listopada Witold Małcużyński z Montevideo prosił o pomoc w uzyskaniu wizy francuskiej dla Czesława Straszewicza, „którego Pan Ambasador z pewnością zna, jeśli nie osobiście, to z jego twórczości literackiej”. 24 listopada ambasador wystosował list do władz francuskich oraz drugi, zatytułowany „Szanowny i Drogi Mistrzu”. Po roku 1956, gdy pospolite stały się wizyty z kraju, Francuzi zawiadomili K.D.M., że jego polecenie najzupełniej wystarczy do niezwłocznego wystawienia wizy. Przynajmniej setka korespondentów zwracała się: „Drogi Wuju”. Niektórzy z nich, nie znani mu osobiście, tłumaczyli z jakiego tytułu czują się uprawnieni do użycia tej formy. Teraz, gdy zdarza mi się rozmawiać z synem ambasadora Maciejem, ilekroć jakaś polska osoba bywa wspomniana po raz pierwszy, nauczyłem się we wstępnej fazie wymiany poglądów czynić krótką pauzę, podczas której ze znacznym prawdopodobieństwem mogę usłyszeć: a wie pan, to jest mój krewny.

Wśród papierów dotyczących interwencji w sprawach często dramatycznych, znajduje się też kartka: „Książki dla:

1) Joanna RITT, krytyk teatr. *Trybuny Ludu* — a) Baty et Chavan „Vie de l'art théâtral”; b) Gordon Craig „De l'art du théâtre”; c) Alberg „Esthetique et morale chez Jean Giraudoux”; d) J.L. Barrault „Reflexions sur le théâtre”.

Trudno przesądzić, która z tych książek okazała się najważniejsza, ale p. Ritt, nie najbardziej zresztą ideowo zaangażowana z krytyków teatralnych tego pisma, już do *Trybuny Ludu* nie wróciła. Przełożyła natomiast na francuski powieść Włodzimierza Odojewskiego wydaną najpierw przez Instytut Literacki.

Tworzony na podstawie niezliczonych rozmów z przybyszami z kraju zawarty w raportach obraz Polski widzianej z Paryża wydaje się żywszy, bardziej złożony, dramatyczniejszy ale i mniej jednoznaczny od tego, który był wyrazem moich

osobistych doświadczeń w kraju. Wynika on z połączenia przenikliwości z życzliwym nastawieniem do świata i ludzi a zarazem niezwykle szerokiej perspektywy porównawczej. Gdy w r. 1951 Adenauer przyjeżdża do Paryża, K.D.M. przypomina sobie scenę sprzed 31 lat gdy wychowawca polityczny Adenauera, Konrad Fehrenbach, przybył tam jako pierwszy, po klęsce ówczesnej, szef rządu Rzeszy. Pozwala mu to w dwóch zdaniach opisać dokładnie istotę zaszłych zmian. O życzliwości bez złudzeń może świadczyć charakterystyka Henryka Hollanda.

Był bardziej naukowcem niż publicystą i bardziej utopistą niż politykiem. Odwiedzał mnie w Paryżu dwukrotnie, ostatni raz po kongresie socjologicznym w Stresie. Zawsze przestrzegał mnie, że jest przekonany komunistą i zawsze wygłaszał poglądy, które dowodziły, że jest przede wszystkim demokratą o umysłowości typu zachodniego. W zlikwidowanym tylko na papierze instytucie socjologicznym prof. Chałasińskiego dzielił pracownię z min. Juliuszem Poniatowskim, od którego przywoził mi pozdrowienia. Będąc zdecydowanym przeciwnikiem przymusu policyjnego i totalizmu, łudził się, że Polskę można do komunizmu namówić. Ale jego rzekomy komunizm bliższy był chyba Worcella i ideologów 1848-go roku niż Lenina a zwłaszcza Stalina. W Polsce współczesnej zgadzał się bardziej z Gomułką niż z Bierutem i bardziej z Bieńkowskim niż z Gomułką. Stanowił typ bałamucącego się z komunizmem inteligenta, który jednak nigdy nie zdołał opanować wrodzonego pociągu do liberalnego humanizmu".

Polskie raporty dyplomatyczne z czterech stolic stanowią pasjonującą lekturę. Poseł Józef Potocki w Madrycie korzystając z większych przywilejów, miał tam jednak skromniejsze możliwości oddziaływania na sprawę polską. Okazuje się, że już od połowy lat 50-tych zdawał sobie wyraźnie sprawę z zamierzonej ewolucji kraju w kierunku monarchii konstytucyjnej. Przewidując przemianę, zapowiadał równocześnie, że jest to proces rozłożony na dziesięciolecia. Tak więc propagowany w Warszawie hiszpański model rozwiązywania konfliktu politycznego nie wynika z jednorazowej, arbitralnej decyzji stron, lecz jest rezultatem wieloletnich zabiegów, przede wszystkim wprowadzenia młodziutkiego wówczas Juana Carlosa, syna ówczesnego pretendentą do tronu, we wszelkie sprawy życia społecznego, starannego przygotowania go do roli, jaką miał odegrać. To wszystko rozpoczęło nie w chwili słabości obozu władzy, lecz z uświadamiania sobie interesów kraju.

Lektura raportów jego inteligentnych kolegów, gatunku

mniej znanego i mającego swoją własną poetykę, pozwala w pełni ocenić osobiste cechy charakteru i umysłowości ambasadora. Poniższy raport z pierwszego spotkania z Czesławem Miłoszem, który wybierając emigrację został przez jej większość przyjęty wrogo, jest dobrym przykładem prozy urzędowej Kajetana Morawskiego.

Andrzej DOBOSZ

174, rue de l'Université
Paris 7-e

Paryż dnia 9 lipca 1951 r.
Tajne

Szanowny i Drogi Panie Ministrze,

Na życzenie pp. Kuncewiczów, którzy pragnęli go spotkać, zaprosiłem do siebie w ubiegły piątek Czesława Miłosza. Dało mi to sposobność przeprowadzenia z nim po wyjściu innych obecnych dłuższej i zajmującej rozmowy. Nie chciałbym na podstawie jednego spotkania wydawać oceny ostatecznej; nie mogę jednak ukryć, że ogólne wrażenie moje było, mimo pewnych uprzedzeń, raczej dodatnie.

Uderzyła mnie przede wszystkim w Miłoszu prostota i bezpośredniość wypowiedzi, odbijająca od trochę zawilego i sztucznego stylu w jakim myśl swą formułuje na piśmie. Już to samo budzi zaufanie wzmożone okolicznością, iż bez wahania głosi opinie lub stwierdza fakty, o których musi przypuszczać iż nie będą jego interlokutorowi odpowiadały. Nie pozuje na bohatera narodowego; uważa siebie za pisarza i nawet wielkiego pisarza, bo o tym go — słusznie czy niesłusznie — swoi i niektórzy obcy przekonywali; ale nie obnosi swej wielkości jak płaszcz purpurowego, nie drapuje się w nią, lecz traktuje ją jako zwykłą okoliczność, z którą liczy się bardziej niż ja na przykład w stosunku do niego liczyć się potrafię.

Emigrantem być nie chciał i wcale się z tym nie ukrywa. W Polskiej Republice Ludowej działał mu się materialnie przez cały czas dobrze, moralnie stopniowo coraz gorzej. Gdyby mógł był się spodziewać, że pozwolą mu choćby tylko kontynuować rozpoczęte tłumaczenie Szekspira, i nic więcej, nie byłby kraju opuszczał. Ale pozostać pisarzem i nie być w służbie propagandy *regime* owej stało się niemożliwym. Musiał więc zrezygnować z tego, o co najbardziej dbał, z kontaktu z szeroką publicznością polską.

Kontakt ten chciałby mimo to zachować w tej technicznie ograniczonej mierze, w jakiej to jest przy stałym pobycie za granicą osiągalne. Píše obecnie po francusku i po angielsku, czy-

niać to dla poinformowania opinii zachodniej — i po prostu dla chleba. Największą wagę przywiązuje jednak do tego co pisze po polsku. Artykuły jego zamieszczane w *Kulturze* muszą budzić w kołach emigracji zastrzeżenia, gdyż pisane są bez dostatecznej znajomości jej psychologii i przeznaczone głównie dla społeczeństwa krajowego, do którego *Kultura* mimo wszelkich przeszkód dociera, a które z konieczności posiada nieco odmienne poglądy, urazy, zainteresowania. Ostatnie głosy prasy krajowej dowodzą że pierwszy artykuł jego rozszedł się już wśród jego dawnych przyjaciół w Polsce i wywołał pośród nich pewien wstrząs a co najmniej ferment. Rzeczą pisarza który sam świeżo dopiero stał się uchodźcą nie jest narzucanie poglądów emigracji ale informowanie ją o kraju i zwracanie się do tego kraju w słowach i ujęciu, które tam właśnie znajdują oddźwięk.

Miłosz sądzi, że najczęściej popełnianą na Zachodzie pomyłką jest przypuszczenie iż sowietyzacja kraju przeprowadzana jest stopniowo, podczas gdy w poszczególnych dziedzinach postępuje ona skokami. Nagłe zaostrzenie kursu gospodarczego zaznaczyło się już temu pewien czas; w zakresie nauki, literatury, wychowania przełomowym był rok 1950. W ciągu ostatnich 12 miesięcy przeprowadzono zmiany głębsze niż w całym poprzednim pięcioleciu. To co znajdowało się pod kontrolą aparatu wykonawczego, tj. administracji, poddane zostało kierownictwu partii. Dostosowanie teorii naukowych do zasad marksizmu-leninizmu, wzięcie w rękę wychowania młodzieży, podporządkowanie wszelkiej twórczości celom politycznym stało się do tego stopnia problemem naczelnym, iż np. przeniesienie Putramenta z Ambasady paryskiej na stanowisko sekretarza generalnego związku literatów, oceniane we Francji jako objaw nielaski, rozumiane jest w Warszawie jako wyraźny awans, a Skrzyszewski przesunięty został z Ministerstwa Oświaty na pozornie ważniejsze Sprawy Zagraniczne po prostu dlatego, iż nawet w kołach P.P.R. uważają go za człowieka ograniczonego. We wszystkim co ma związek z kulturą istnieje i rządzi dziś tylko partia i jeszcze raz partia.

Zapytałem w tym miejscu o ważniejsze od form nacisku jego osiągnięcia. Partia z przybudówkami stanowi tylko mały procent społeczeństwa. Żle jest, że może ona większości narodu siłą narzucać swoje koncepcje ale gorzej byłoby jeszcze gdyby pojęcia tej większości uległy choćby częściowemu, choć powolnemu, choć nieświadomemu spaceniu. Biorę jako przykład najbliższą Miłoszowi poezję. W młodym pokoleniu muszą się budzić nowe talenty. W pisanych pod dyktando wierszach starszej generacji od Gałczyńskiego po takiego nawet Broniewskiego wyczuwam nutę przymusu, fałszu, rozdwojenia — czasem cynizmu. U młodych już jej nie znajduję. Czyż nie oznacza to,

że dylemat, o którym pisze Miłosz w *Kulturze*, już dla nich, inaczej wychowanych, w tej formie nie istnieje i że szukając ujścia dla swego talentu wchodzą nieświadomie, samoczynnie w zakreślone im z góry lecz jedynie znane łóżysko? Niebezpieczeństwo prawdziwe dla nas zaczyna się nie tam, gdzie się ludzi kupuje lub siłą nagina, ale tam gdzie ich już ani kupować ani naginać nie potrzeba.

Miłosz wywodom moim nie zaprzeczył. Partia w jego pojęciu to nie suma zapisanych do niej członków. Sama przynależność do P.P.R. u nie stanowi właściwego rozgraniczenia, bo mimo wszystkich czystek znajdują się w nim ludzie w tej samej mierze z przypadku czy z oportunistu co z przekonania. Partia to mózg i wola skoncentrowane w Centralnym Komitecie, dla którego cały aparat rządowy z ministrami włącznie jest niczym innym jak zwykłym narzędziem wykonawczym, to dalej obok przebudowy ustrojowej i gospodarczej przemiany w psychice społeczeństwa osiągnąć w ramach P.P.R. u czy też poza tymi ramami. Tacy ludzie jak Berman, Minc, Putrament, Jędrzychowski zbyt są inteligentni i zbyt wytrawni, by nie wiedzieć że eksperyment swój przeprowadzają we wrogim i duchowo obcym środowisku i by do tego taktyki swej nie dostosowywać. Osiągają więc rezultaty zwłaszcza wśród nie pamiętającej przeszłości i zdanej na ich metody wychowawcze młodzieży. Jednym z takich częściowych osiągnięć jest np. spotykane czasami zdanie: gdyby można tylko Sowietów się pozbyć to ostatecznie system obecny nie byłby najgorszy.

Powszechnie wrogie nastawienie wobec Sowietów jest największą przeszkodą w rozwoju i utrwaleniu się reżymu. Dalszą trudność stanowią dlań starannie maskowane ale niemniej istniejące w jego łonie rozbieżności wewnętrzne. Likwidacja wywodzącego się od Gomułki „odchylenia nacjonalistycznego” jest zaledwie na ukończeniu. Obok niego zarysowują się liczne inne odchylenia. Właśnie u góry, wśród fanatyków i teoretyków nowej wiary, najżywsze są spory o jej prawa, największa skłonność do poddawania w wątpliwość cudzej prawowierności. Na domiar sam ustrój totalitarny władzy sprzyja szczególnie rodzeniu się intryg typu pałacowego. Pełno więc ich w dzisiejszej oficjalnej Warszawie i pełno ich w wyniku zatargów personalnych. Jeżeli wypadkiem dygnitarz reżymowy oddaje usługę zwykłemu obywatelowi to jest to najczęściej usługa wyświadczona na złość drugiemu dygnitarzowi. A gdyby kiedyś zabrakło opiekuńczej i karzącej zarazem ręki Moskwy to obecni władcy pokłóciliby się natychmiast i z rozsądnego od wewnątrz dzisiejszego monolitu partyjnego pozostałby zwał gruzów.

W toku swego opowiadania i niejako na jego marginesie, nakreślił Miłosz, nieraz paru słowami, sylwetki kilku osób, bądź to spełniających ważne funkcje w reżymie, bądź to dawnych współ-

ných znajomych. Putrament wyzyskuje swą niewątpliwą ogładę umysłową i staro-szlachecki styl życia, by stwarzać sobie pozory liberalizmu i nawet dobroćliwości; w gruncie rzeczy jest zawziętym i zaufanym stalinowcem. Na decyzji Winiewicza zaważyły wpływ żony, zasadnicza i nieomal zawodowa antyniemieckość, oraz jakaś poznańska skłonność do niedoceniań imponderabilów. W okresie w którym jeszcze mniej był pilnowany i mniej się bał, nieraz mawiał: „Widzi Pan, ta nasza 'Polska Ludowa' na pewno jest chora, na pewno spaczona, ale przynajmniej żyje, istnieje”. Dziś rozmaitymi stopniowo narzuconymi mu oświadczeniami i pociągnięciami wpędzony już został w ślepy zaułek, z którego nie ma odwrotu. Z literatów Gałczyński doprowadził kuglarstwo intelektualne do stopnia w którym ani inni nie wiedzą ani on sam już nie wie, czy jego wiersze są wyrazem ponurego bałwochwalstwa czy też potężnych kpin z reżymu. Tadeusz Breza, wciąż podejrzewany i atakowany, broni się ironią tak wyczelowaną i tak umiejętną, że jako jeden jedyny z pisarzy nie-marksistowskich odnosi w dyskusjach publicznych przewagi nad kontrolerami z ramienia partii. Specjalną pozycję zajmuje grupa młodych polityków i pisarzy — wielu z nich znam dobrze — którzy nie mogąc lub nie potrafiwszy uchronić się od kompromisu, szukają moralnego alibi w reżymowym katolicyzmie. Analogię ich położenia z hitlerowską kategorią „Żydów pracujących dla Rzeszy” podkreślił Miłosz już w *Kulturze*. Częstszym od nich jest typ człowieka, który bądź to nigdy nie żywił iluzji, bądź je stracił, ale uważa że w chwili zbrojnego konfliktu przede wszystkim ludzie będący w Polsce i o ile możliwe dzierżący choćby cząstkę władzy spełnić będą mogli prawdziwie pożyteczną rolę. Takie właśnie stanowisko zajął w ostatniej szczerzej rozmowie przed wyjazdem Miłosza z Polski nasz były młody kolega ze służby zagranicznej, Jan Meysztowicz. Od tego czasu został już pono aresztowany.

Piszę o spotkaniu z Miłoszem obszernie, gdyż niezależnie od definitywnego sądu o nim, wydaje mi się iż wybierając wolność przywiózł on w swym bagażu o Polsce wiele wiadomości bezpośrednich i subiektywnie szczerych, a jeśli zdeformowanych to zdeformowanych nie inaczej niż światło w krzywym zwierciadle tamtejszej rzeczywistości się załamuje. Słuchając go, tak jak słuchając ostatnio wielu przybyszów z kraju, powtarzam sobie zarazem że choć nie zdają sobie oni z tego sprawy, dopiero ze słów ich najwykleszonych pada na przeraźliwą blahość naszych sporów emigracyjnych cień prawdziwej tragedii narodu.

Proszę Pana Ministra o przyjęcie wyrazów prawdziwego poważania i serdecznego uścisku dłoni.

Kajetan DZIERŻYKRAJ MORAWSKI

Sąsiedzi

Niemcy a Europa

Dopóki istniał Mur Berliński, łatwo było o uproszczenia na temat Niemiec i Niemców. Ludzie zakochani w kulturze niemieckiej i podziwiający demokrację i dobrobyt RFN mogli dawać Niemcy Zachodnie jako przykład „pokojujących i dobrych Niemców”. Zwolennicy poglądu o „niezmiennym charakterze Niemców” powoływali się na NRD, gdzie „uległość wobec panujących”, „karność” i „pruski dryl” stanowiły fundament kolejnego totalitarnego systemu.

Pokusie tych wygodnych schematów ulegali nie tylko Polacy. Stale rosnąca potęga Niemiec wywoływała mieszane uczucia także u Holendrów, Czechów czy Francuzów, pomnych niedawnej przeszłości. „Tak kocham Niemcy, że cieszę się, iż istnieją ich dwa egzemplarze” — wyraził się jeden z czołowych polityków zachodnich na krótko przed zjednoczeniem Niemiec. Podejmowane do końca wysiłki Mitterranda na rzecz stabilizacji i zachowania odrębności państwowej NRD, ukoronowane nawet jego oficjalną wizytą w Berlinie Wschodnim w dniach 20–22 grudnia 1989 roku, wywołały najwyższą irytację w Bonn. O tych faktach nie mówi się już publicznie, ale zostały odnotowane z należytą uwagą i skrupulatnością w niemieckich opracowaniach historycznych. Również błyskawiczna wizyta Mitterranda w Kijowie 6 grudnia 1989 roku, gdzie spotkał się z Gorbaczowem, została zinterpretowana w Niemczech jako „niezwykle wyraźne przypomnienie historycznych przymierzy rosyjsko-francuskich”.

Polityka Francji, zorientowana głównie na wschodniego sąsiada, a równocześnie partnera i konkurenta, stanowiła egzemplifikację powszechnych obaw co do przyszłego rozwoju zjednoczonych Niemiec. Doktryna Mitterranda od samego początku opierała się na koncepcji politycznego, gos-

podarczego i militarnego związania Niemiec z Francją w celu „ograniczenia ich zbytnej swobody”. Przywodziło to niekiedy na myśl jedną ze scen filmu z Charlie Chaplinem, w którym on jako żołnierz podczas I wojny światowej pojmał kilkudziesięciu jeńców niemieckich. Na pytanie, jak tego sam dokonał, odparł: „Otoczyłem ich”. Tak właśnie oceniała i krytykowała koncepcję Mitterranda była premier Wielkiej Brytanii, Margaret Thatcher, nazywając ją „iluzoryczną”.

Wyrażając obawy przed dominacją gospodarczą i polityczną Republiki Federalnej w Europie, powoływano się w tym okresie na „psychologię Niemców”. Na międzynarodowym forum dyskusyjnym w Hadze w maju 1992 roku Margaret Thatcher ostrzegała np. przed państwem niemieckim, które „mimo demokratycznych podstaw stanowi problem zarówno dla samych Niemców, jak też dla reszty Europy”. W tym kontekście Thatcher zażądała utrzymania wojsk amerykańskich w Europie, które „dotychczas stwarzały równowagę w stosunku do wojsk sowieckich, a teraz mogłyby ją zapewnić wobec wzrostu potęgi Niemiec co doceniają sami Niemcy”. Innymi słowy sugerowała, że niebezpieczeństwo dla Niemców stanowią zwiększające swą potęgę Niemcy, które mogą w jakimś momencie utracić kontrolę nad rozwojem sytuacji. Mówiąc jeszcze wyraźniej, Margaret Thatcher sugerowała, jakoby Niemcy znajdowały się jeszcze ciągle na „zwolnieniu warunkowym”, pod stałą obserwacją byłych „wychowawców”, czyli zachodnich aliantów koalicji antyhitlerowskiej, i że są z tego bardzo zadowoleni.

Jakby w odpowiedzi na jej słowa w styczniu 1993 roku kierownik placówki ambasady amerykańskiej w Berlinie, Douglas H. Jones, stwierdził w wywiadzie dla dziennika *Der Tagesspiegel*, że po wycofaniu oddziałów amerykańskich obecność Ameryki w Berlinie będzie równie mocno zaakcentowana, jak dotychczas. „Po wojnie nie zawsze miano przed oczyma całą złożoność sytuacji niemieckiej. Traktowano Niemców jako przyjaciół, jako sobowtórów Amerykanów, bez uwzględniania ich odrębnej historii. Przez to zaniedbywano niekiedy fakt, że Niemcy mogą mieć swe własne cele, które teraz należy wspólnie przeanalizować”.

Ta wyraźna obawa, czy Niemcy utrzymają dotychczasowy kurs, świadczy o żywotności uprzedzeń w stosunku do Niemiec i Niemców.

Wydany w chwili pisania niniejszego artykułu 12-y numer tygodnika *Der Spiegel* jasno potwierdza istnienie w Europie i na świecie przedstawionych powyżej znaków zapyta-

nia w odniesieniu do Niemiec. Jego autorzy, Werner Dähnhardt i Paul Lersch, stwierdzają przy tym, że „cokolwiek by Niemcy przedsięwzięli lub też czego by zaniechali, wzbudza albo niepokój, albo oczekiwania”, jak np. w kwestii uczestnictwa wojskowego w Jugosławii czy w Kuwejcie. Cytowany przez nich były doradca Helmuta Kohla, historyk Michael Stürmer, stawia problem „Niemcy i Europa” na poziomie następującej alternatywy: „Pytanie: ‘czy więcej Europy czy więcej Niemiec’ oznacza: ‘związanie lub przywództwo Niemiec’”. Natomiast w odniesieniu do obaw przed rozszerzeniem się wpływów Niemiec na Wschodzie wspomniani autorzy cytują stwierdzenie, „że Niemcy w sposób nieuchronny przenikną gospodarczo Europę Wschodnią i zdobędą zwierzchnictwo na niezmiernych obszarach między Wisłą, Bugiem, Dnieprem i Donem”. Nie mniej jednoznacznie na temat nowej pozycji Niemiec w świecie wyraził się Konrad Seitz, były szef sztabu planowania z gabinetu byłego ministra spraw zagranicznych Genschera, stwierdzając, że „po upadku Związku Sowieckiego Ameryka, Japonia i Niemcy są trzema najważniejszymi krajami na świecie, które wytwarzają ponad 50 % produkcji światowej. Każdy z tych trzech krajów jest potęgą przywódczą w swym regionie”.

Na tle przedstawionych powyżej kwestii nasuwa się pytanie, czyżby w Niemczech ożył nagle duch podbojów, żądy dominacji i zdobycia nowych obszarów? A być może raczej ma tylko profesor socjologii z Frankfurtu, Karl Otto Hondric, który skonstatował żartobliwie, że Niemcy dali się dotychczas zauważyć jedynie jako „zdobywcy rynków i bajecznych plaż”?

Według badań językoznawców niemieckich, najpopularniejszym słowem w Republice Federalnej w roku 1992 było *Politikverdrossenheit*, czyli „zniechęcenie polityką”. Odwracając wynik badań naukowców, można spytać, czy życie większości Niemców było do tego momentu i jest w dalszym ciągu rzeczywiście aż tak bardzo upolitycznione, jak by sugerowała powyższa konkluzja. Ponowne zjednoczenie powinno w miarę dobre kryterium dla odpowiedzi. Otóż to bez wątpienia najwyższej rangi historycznej wydarzenie nie wywołało w Niemczech żadnych szczególnych emocji o podłożu politycznym czy dokładniej mówiąc nacjonalistycznym. Co więcej, wbrew niektórym obawom większość Niemców potraktowała zjednoczenie niezwykle trzeźwo, przede wszystkim jako wielką niewiadomą. Związane z tym faktem publiczne dyskusje dotyczyły głównie spodziewanych kosztów i wy-

rzeczeń. Jak stwierdził historyk Hans-Ulrich Wehler, „górująca nad wszystkim analiza zysków i strat jest dokładnym przeciwieństwem rozpasanego, skrajnego nacjonalizmu”.

Już w pierwszym okresie po zjednoczeniu *Ossis*, czyli byli mieszkańcy Niemiec komunistycznych, skonstatowali z przerażeniem, że zatęchłe, ale ciepłe i przytulne nisze reglamentowanego przez komunistów życia „obywateli państwowych” nie zmieniają się bynajmniej automatycznie w dobrobyt. Ich dotychczasowa bierność przerodziła się w mgnieniu oka w płaczącą skargę na rzekome oszustwo ze strony zarówno kanclerza Kohla, jak też „braci i sióstr” zachodnioniemieckich. Mieszkańcom zachodnich landów zarzucali egoizm i „kasowanie pieniędzy”, jakby ci je co najmniej kradli, a nie ciężko zapracowali na nie przez czterdzieści lat. Natomiast racjonalne i niekiedy wręcz chłodne nastawienie mieszkańców Niemiec Zachodnich do zjednoczenia wynikało głównie z uzasadnionych obaw przed spadkiem stopy życiowej. Powstały w wyniku tego dystans — z jednej strony niepokój o stan posiadania, z drugiej rosnące żądania i oczekiwania — wywołał falę niezadowolenia i wzajemnych oskarżeń w całych Niemczech. W tej sytuacji spoiwem dla obu grup mogła być jakaś ogólnoniemiecka idea narodowa, która skanalizowałaby emocje i znalazła dla nich upust, kierując je na jakiś cel możliwy do przyjęcia przez cały naród. Spojrzenia i oczekiwania zwróciły się po raz kolejny w stronę głównego stratega i autora zjednoczenia, Helmuta Kohla.

Przyzwyczajony do wyrazów podziwu dla swych chłodno wykalkulowanych posunięć i wyczucia możliwości niemieckiej *Realpolitik*, kanclerz Helmut Kohl zasypany został nagle lawiną oskarżeń nie tylko ze strony partii SPD, pozbawionej długofalowej koncepcji politycznej, ale również ze strony dużej części społeczeństwa zachodnio- i wschodnioniemieckiego. Zarzucano mu przede wszystkim, że „nie powiedział otwarcie, jakie będą koszty zjednoczenia” i nie przedstawił zarysowujących się już wówczas problemów jako patriotycznego zadania dla całego narodu. To — twierdzono — zredukowałoby oczekiwania i nastawiło społeczeństwo zachodnioniemieckie na dłuższy czasokres realnego obniżenia stopy życiowej. Osobna krytyka spotkała Kohla ze strony ugrupowań i partii radykalnych za „wyprzedaż interesów niemieckich” na terenach utraconych w wyniku II wojny światowej.

Czyżby Kohlowi rzeczywiście nagle zabrakło poczucia rzeczywistości i koncepcji, jak pokierować jeśli już nie sytuacją, to przynajmniej nastrojami narodu? Wydaje mi się, że nie

i że duża część zarzutów świadczy raczej o tym, że starał się scementować podzielony jeszcze duchowo i ekonomicznie naród bez pobudzania tanich emocji nacjonalistycznych. Co więcej sędzę, że okazał się nie tylko przedstawicielem wzorowej demokracji i pokojowej polityki niemieckiej, lecz wykazał równocześnie większą zdolność oceny aktualnej sytuacji i dalekowzroczność, niż chcieliby jego krytycy. Unikając rozkręcenia nastrojów „wielkoniemieckich” jako taniego środka polityki populistycznej, Kohl uspokoił nie tylko swych zachodnich partnerów i sąsiadów w całej Europie, ale jeszcze raz postawił na „europejskość” społeczeństwa i polityki niemieckiej, nie zaniedbując przy tym dalekosiężnych interesów Niemiec. Prowadząc tego rodzaju *Realpolitik*, zdołał zlikwidować przeszkody międzynarodowe na drodze do zjednoczenia Niemiec i umiejętnie wkomponować Niemcy Wschodnie w struktury polityczne i gospodarcze Europy Zachodniej. Fala krytyki pod adresem Kohla, jakkolwiek nie pozbawiona pewnych racji (jak np. o to, że nie dość naciskał na konieczność cierpliwości i wytrwałości) wydawała się raczej wyrażać ogólne niezadowolenie i niepokój.

W aspekcie międzynarodowym polityka Kohla, będąca częściowo kontynuacją *Realpolitik* rządów socjaldemokratów i liberałów, opiera się od lat na dokładnie wyważonym ograniczaniu wpływów Niemiec na arenie europejskiej i światowej (niekiedy nawet ze szkodą dla konkurencyjności własnej gospodarki) i umiarkowaniu w wyraźnym formułowaniu roli i celów Niemiec jako potęgi gospodarczej i militarnej Europy w najbliższej przyszłości. Niemcy nie chcą drażnić uczulonych pod tym względem partnerów z NATO i EWG. Wystarczy wspomnieć wielokrotne kompromisy ministra rolnictwa Niemiec na korzyść rolnictwa francuskiego, więcej niż ugodową postawę Niemiec w kwestii miejsca produkcji i montażu prestiżowego samolotu pasażerskiego „Airbus” czy też niezwykle ostrożne kroki Niemiec w kierunku zwiększenia ich roli w ONZ.

Jak dotąd najostrzejsza krytyka i sprzeciw w stosunku do takiego samoograniczenia roli Niemiec w sposób paradoksalny wyszły nie ze strony partii prawicowych (z wyjątkiem skrajnie prawicowych), ale ze strony Rudolfa Augsteina, zbliżonego do kół SPD redaktora opiniotwórczego i wpływowego tygodnika *Der Spiegel*. W niezwykle ostrym artykule redakcyjnym z kwietnia br. Augstein wyraził nastroje wszystkich przeciwników zbytniej „europeizacji” ze szkodą dla Niemiec. Jego zdaniem w Europie, w cieniu Ameryki, prowa-

dzona była dotychczas polityka Francji. Nawiązując do ostatniej zmiany na stanowisku premiera Francji, Augstein pisze m.in.: „Również on (Balladur — A.S.) ustawia Francję ponad Europą, w całkowitym przeciwieństwie do retoryki Kohla, który dwa razy się pokłoni widząc sztandar francuski” i dodaje: „Balladur bardzo różni się od swego prezydenta Mitterranda. Obaj są zgodni tylko co do prestiżowej polityki przeciwko Niemcom i niedotrzymywania przyrzeczeń. Albo inaczej: obaj zgodnie z przyrzeczeniem szkodzą gospodarce niemieckiej. (...) Niestety nie mamy w Bonn rządu, który chce reprezentować własne interesy. Slogan 'Europa' wystarczy”.

Wrażliwość rządu Republiki Federalnej na podejrzenia, że Niemcy chcą dominować, cechuje w dużym stopniu również jego politykę w stosunku do Europy Wschodniej. Równocześnie spośród wszystkich krajów EWG właśnie Niemcy najaktywniej wchodzi na tamtejsze rynki, prowadzą wymianę i szkolenie kadr naukowych i gospodarczych i rozbudowują sieć swych przedstawicielstw. Przy tym, w porównaniu z innymi krajami zachodnimi, istnieje większa różnica między potencjałem gospodarczym Niemiec a potencjałem tych państw, co powoduje o wiele silniejsze obawy przed dominacją niemiecką. Niektórzy dostrzegają w tym również możliwość wejścia Niemiec metodami *Realpolitik* na utracone w wyniku ostatniej wojny tereny. Sprawia to, że niezależnie od argumentów racjonalnych optyka obywateli i przedstawicieli tych państw zależy w bardzo dużym stopniu od ich sposobu definiowania własnych interesów narodowych i od niezaprzeczalnych emocji, związanych z historią Niemiec w XX wieku.

Strach, by nazwać rzecz po imieniu, występuje szczególnie mocno w krajach, które z jednej strony padły ofiarą faszystowskich Niemiec, z drugiej zaś bądź przejęły tereny utracone przez Niemcy, bądź przeprowadziły akcję wysiedlenia ludności niemieckiej z zamieszkiwanych przez nią ziem. Istnieje więc w Polsce i Czechosłowacji, nie ma go natomiast na Węgrzech, w Bułgarii czy w Rumunii. Propagatorom obaw przed gospodarczą dominacją Niemiec nie można odmówić racji wtedy, gdy dostrzegają np. w planowanym przejęciu obowiązujących w EWG norm i praw główne zagrożenie dla „czystości etnicznej” w zakresie praw własności, nie zaś możliwość uzyskania w ten sposób potencjalnych inwestorów. Przyjęcie b. państw komunistycznych w poczet EWG rzeczywiście mogłoby umożliwić np. prywatny zakup ziemi, nieruchomości, fabryk itp. przez obywateli całej

Wspólnoty, tj. również Niemiec. Stąd też należy przypuszczać, że kontrowersje wywołane konfliktem między spodziewanym zyskiem ekonomicznym a obawami przed utratą „etnicznej wyłączności” jeśli idzie o prawo nabywania nieruchomości i fabryk (co w oczach zwolenników pełnej integracji Europy jest przeżytkiem okresu nacjonalizmów europejskich) będą nadal jednym z głównych elementów określających rozwój stosunków między Niemcami a tą częścią Europy.

Podpisana w maju br. umowa między poznańskimi zakładami produkcji pojazdów rolniczych a zakładami Volkswagena o utworzeniu *joint-venture* „Volkswagen-Poznań” stanowi przykład pragmatyzmu gospodarczego — jeden z punktów umowy przewiduje bowiem możliwość przejęcia z czasem ponad 50 % udziałów przez Volkswagena.

Jeśli chodzi o rozbudzenie obaw, główną cezurę między Niemcami a Polską i Niemcami a Czechami stanowiły likwidacja „żelaznej kurtyny” oraz zjednoczenie Niemiec. Przedtem wszelkie plany zamieszkania przez zainteresowanych tym Niemców na odebranych im ziemiach wydawały się mrzonką. Po podpisaniu układu o wzajemnych stosunkach i uznaniu istniejących granic państwo niemieckie jako całość i partie chadeckie z osobna pogodziły się oficjalnie ze *status quo*, natomiast mrzonki zaczynają przeistaczać się w realną możliwość w skali jednostkowej, pomnożonej przez możliwą liczbę roszczeń i działań prywatnych, np. w formie nabycia nieruchomości. Stale podnoszona przez wypędzonych „Niemców Sudeckich” kwestia odszkodowań za utracone majątki znalazła początkowo oddźwięk w zgodzie rządu czeskiego (po ustąpieniu komunistów) na wypłacenie im odszkodowań, ale tylko jeśli zostali wyłączeni po roku 1948, i umożliwienie im powrotu na te ziemie pod warunkiem, że przyjmą obywatelstwo czeskie. W kwietniu br. czeskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych poinformowało, że rozważa się możliwość wypłacenia odszkodowań również Niemcom Sudeckim wywłaszczonym w latach 1945/46, jakkolwiek sprawa ta znajduje się jeszcze w stadium analiz.

Sprawa odebranych Niemcom terenów na Wschodzie, której ostateczne uregulowanie stanowiło jeden z głównych punktów wspomnianych układów bilateralnych, była jak widać stale aktualna. Wynikało to m.in. z faktu, że pogląd, iż są to tereny tylko „czasowo zarządzane” przez Polskę i Czechosłowację, reprezentowały nie tylko związki wypędzonych, ale również politycy niemieccy nawet ze „środka” partii chadeckich. Potwierdza to choćby wywiad z Margaret Thatcher z ro-

ku 1990, na krótko przed podpisaniem układu niemiecko-polskiego, w którym powiedziała: „Słyszałam Helmuta (Kohla — A.S.) jak mówił: 'Nie, niczego nie gwarantuję, nie uznaję terazniejszych granic'. Sama to słyszałam, w Strasburgu po kolacji. Wiedziałam, że pan Genscher był innego zdania”.

Niezależnie od tego, jak gorzko to może brzmieć w uszach Polaków czy Czechów, trzeba stwierdzić gwoili sprawiedliwości, że takie stanowisko przeciwników ostatecznej rezygnacji z zabranych Niemcom ziem wynikało nie z jakiejś genetycznie uwarunkowanej antysłowiańskości — nawet jeśli wystąpienia niektórych działaczy świadczyły czasami o skrzywieniach patologicznych — lecz z poczucia krzywdy, wyrządzonej milionom osób nie zaangażowanych bezpośrednio w zbrodnie reżymu hitlerowskiego. Większość z nich była wprawdzie świadoma bezprawia, krzywd i bestialstwa Niemiec nazistowskich, ale brutalne wypędzenie milionów cywilów z zamieszkałych od stuleci ziem uważali oni za usankcjonowany dyktatem Stalina z Jałty i Poczdamu kolejny akt bezprawia, którego ofiarą padła tym razem duża część ludności niemieckiej. Dopiero układy niemiecko-polski i niemiecko-czeski po zjednoczeniu Niemiec stanowiły oficjalny akt uznania dla powojennego *status quo* przez rząd reprezentujący suwerena, czyli cały naród niemiecki. Niemniej nie można przemilczać faktu, że z utratą ziem wschodnich nadal nie zgadzają się przedstawiciele partii i ugrupowań skrajnie prawicowych, jak też duża część związków wypędzonych.

Aktualny rozwój sytuacji potwierdza istniejącą nadal wrażliwość stosunków polsko-niemieckich. Republika Federalna wydaje np. paszporty niemieckie ludziom powołującym się na swe niemieckie pochodzenie, chociaż mieszkają stale w Polsce i mają obywatelstwo polskie. Z jednej strony można to uznać za późny akt rekompensaty i naprawienia krzywd, jakich pewna część osób zaliczających się do mniejszości niemieckiej doznała ze strony komunistycznych rządów w Polsce choćby w formie ich przymusowej polonizacji. Z drugiej strony dostrzec w tym można ingerencję innego państwa w obowiązujący na terenie danego kraju system prawny w zakresie przepisów o posiadaniu i przyznawaniu obywatelstwa. Osobnym zagadnieniem są nadal niezwykle płynne i nieostre kryteria uznawania pochodzenia niemieckiego, krytykowane w samych Niemczech nawet przez partie prawicowe. Na tle ruchów na rzecz autonomii Śląska sprawa ta nabiera dodatkowego wymiaru.

Można zatem przypuszczać, że również w tym rejonie europejska polityka Niemiec wywoływać będzie nadal szereg znaków zapytania, emocji i niepokojów. Przeciwnicy wchodzenia kapitału niemieckiego na teren Polski będą znajdować w tym dodatkowe potwierdzenie dla swych obaw, zaś zwolennicy przystąpienia do EWG dowód na nieuchronność utraty narodowej wyłączności na obszarze gospodarczym, jak to już od dawna ma miejsce w samych Niemczech, Francji czy innych krajach akceptujących międzynarodową gospodarkę wolnorynkową. W przypadku Polski i Niemiec istotna różnica w stosunku do sytuacji dotychczasowej polegać może na tym, że jeśli do tej pory wszystkie sprawy w stosunkach polsko-niemieckich regulowano wyłącznie na poziomie rządów, to teraz coraz znaczącą rolę odgrywać będą działania na szczeblu prywatno-gospodarczym. Z pewnością nadal zależne od polityki, ale równocześnie w coraz większym stopniu ją dominujące.

Andrzej STACH

Notatki rosyjskie

„Nudzić się u nas nie sposób!”, powiadali kiedyś nie bez dumy ludzie sowieccy, mając na myśli aresztowania, niespodziewane zmiany władzy itp. Mieszkańcy post-komunistycznego królestwa mają nie mniej powodów, by nie skarżyć się na brak zdarzeń i niespodzianek. Dawniej mówiono: „u nas wszystko jest”; dziś — jako dowód triumfalnego pochodu kapitalizmu — „u nas wszystko można kupić”. Na początku czerwca telewizja francuska pokazała, że rzeczywiście kupić można dużo. Jakiś reżyser nabył np. moskiewskie rudery. Scenariusz oparł na powieści Eugena Sue i amerykańskiej serii telewizyjnej o wyczynach „nieprzekupnych” Elliota Nessa w Chicago lat dwudziestych. Poszło to jako film dokumentalny: *specnaz* łapie szantażystów, handlarze narkotyków sprzedają towar, po ekranie paradygują gołe prostytutki, bandyci urządzą orgię w saunie itp. Nie wiem, ile Francuzi za to zapłacili, ale wynik był śmieszny.

W pełnym rozrywce życiu Rosji (pomijam byle republiki sowieckie) pojawił się nowy element. Mianowicie spektaklem stała się polityka. Jak wszędzie. Tyle że w Moskwie jest to

spektakl zabawniejszy niż gdzie indziej. Przewodniczącego Rady Najwyższej wyganiają z sali, z tejże sali wynoszą na rękach opozycjonistę. Zabawna jest w tym jednak tylko forma. Treść jest bardzo poważna. W sali, w której toczyły się te boje, obradowała zwołana przez prezydenta Rosji Rada Konstytucyjna.

Po zwycięstwie w referendum Borys Jelcyń zrobił następny krok. 5-go czerwca zebrało się na Kremlu ponad 700 osób, w tym 90% zaproszonych. Zgromadzenie to ma rozpatrzyć projekt nowej konstytucji, ogłoszony 30 kwietnia. Prezydent zaprosił do oceny projektu deputowanych, przedstawicieli rozmaitych zawodów, miast, rejonów, autonomicznych republik itd. Przypuszczano, że dyskusja w sekcjach potrwa około tygodnia, a potem przez trzy dni przygotuje się ostateczny tekst i przekaże prezydentowi. 16 czerwca prace miały być skończone.

Pozostawały rzecz jasna kwestie nierozstrzygnięte. Na przykład, co zrobić z przedyskutowanym, opracowanym, gotowym tekstem. Zgodnie z obecnym prawem zmienić konstytucję lub uchwalić nową może tylko zjazd deputowanych ludowych. A zjazd ma własny projekt. Prezydent proponuje, aby Rosja stała się republiką prezydencką. Zjazd chciałby republiki parlamentarnej. Cóż więc począć, jeśli zjazd nie uchwali projektu prezydenta? Różne osobistości proponują, jak obejść obecną konstytucję, czyli prawo. Można — mówią — zorganizować jeszcze jedno referendum, można zwołać Konstytuante. Można — mówią optymiści — znaleźć kompromis między oboma projektami. Można niejedno, ale w dniu, w którym Rada Konstytucyjna zaczęła obrady, nikt nie wiedział, co będzie dalej. Na początek trzeba rozpatrzyć projekt. Przemówienie Borysa Jelcyna nie pozostawiało wątpliwości: przede wszystkim trzeba zlikwidować władzę sowietów. „Sowiety i demokracja nie idą w parze”.

W dniu, w którym piszę te słowa, widać wyraźnie, że prace Rady Konstytucyjnej się przeciągną. Nic w tym strasznego: konstytucja to sprawa poważna, można poczekać kilka dni, nawet kilka tygodni. O tym, jak ważne jest rozwiązanie problemów politycznych, mówił w Paryżu na początku czerwca Grigorij Jawlenski, jeden z plejady młodych sowieckich ekonomistów, którzy bywali na amerykańskich uniwersytetach i proponują reformy ekonomiczne, przy pomocy których Rosja ma wejść na drogę kapitalizmu. Jawlenski był nawet, za Gorbaczowa, przez krótki czas wicepremierem i jednym z autorów programu „500 dni”, ale podał się do dymisji, kiedy Gorbaczow odrzucił ten program. Dziś jest m.in. doradcą ekonomicznym burmistrza Niżnego Nowgorodu, gdzie wypróbowuje skuteczność swoich metod. Do Paryża przyjechał na promocję zbioru artykułów wydanych pod tytułem „Propozycje dla Rosji i Współ-

noty Niezależnych Państw”. Autorami propozycji są: jeden z największych prawników rosyjskich Siergiej Aleksiejew, były burmistrz Moskwy, a obecnie wielki działacz polityczny Gawriił Popow, burmistrz Petersburga Anatolij Sobczak, były członek Biura Politycznego i były bliski współpracownik Gorbaczowa Aleksander Jakowlew i Grigorij Jawlenski. Książkę wydał Borys Wukobar, według notki biograficznej „ekonomista i przemysłowiec, prezes Funduszu na rzecz pokoju i sterowania kryzysami”. Nazwa Funduszu wydaje mi się szczególnie wymowna: nic to jak umiejętnie sterować kryzysami. Ale rzecz nie w nazwie. Zawsze miałem wrażenie, że głównym kryterium talentu ekonomisty jest umiejętność zarabiania pieniędzy. Dlatego też odnosiłem się podejrzliwie do Marksa: co z ciebie za ekonomista, jeśliś całe życie żył jak żebrak. Borys Wukobar to co innego: człek majątny, zapewne więc świetny ekonomista.

O zbiorze propozycji zamilczę. Przypomina nieco „książkę życzeń i zażeń”, która kiedyś obowiązkowo leżała w każdym sowieckim sklepie. Skarg zawsze było pełno, zaś życzenia tak oczywiste, że nie sposób było je spełnić. Podobnie i główna myśl sześciu rosyjskich speców sprowadza się do tego, że lepiej chleptać mleko niż wodę. Pozostaje tylko znaleźć dojną krowę.

Książkę prezentował dziennikarzom Grigorij Jawlenski. Jego przemówienie wydało mi się ciekawsze od artykułu w książce. Jawlenski jest przeciwnikiem polityki rządu Jelcyna i samego Jelcyna również (na pytanie dziennikarza, czy nie zamierza sam kandydować na stanowisko prezydenta, młody ekonomista odparł: zamierzam!).

Warto zwrócić uwagę na kilka elementów opisu sytuacji w Rosji. Przede wszystkim — o dniu dzisiejszym. Zdaniem Jawlenskiego kryzys ekonomiczny pogłębia się. Inflacja wynosi dziś 17%, produkcja spada o 10-12%. Niektórzy ekonomiści dostrzegają pewną poprawę w porównaniu z początkiem roku, Jawlenski uważa, że poprawa jest pozorna, że w połowie lata nastąpi kolejne pogorszenie, które wyrazi się zaognieniem sytuacji politycznej. Powody kryzysu? Nie wdrożono programu 500 dni, nie przeprowadzono prywatyzacji, demonopolizacji i reformy rolnej.

Ciekawe jest to, co Grigorij Jawlenski mówił o zachodniej pomocy dla Rosji. Jest jasne — ale bardzo nieliczni ekonomiści o tym mówią — że zachodnia pomoc jest źle wykorzystywana, bo kto właściwie ma nią dysponować (brak struktury politycznej) więc przeznaczana jest wyłącznie na zamrożenie sytuacji. Po co wprowadzać reformy, skoro można łątać dziury zachodnimi kredytami. W Moskwie można dziś mówić o dwóch formach zachodniej pomocy: jedna to pomoc dla Republiki Wermarskiej (kredyty, redukcja płatności) druga — plan Marshalla.

Jawlenskij jest za planem Marshalla, tymczasem — jego zdaniem — Zachód uchyla się na razie od takiej prawdziwej pomocy, bo nie wie, jak to zrobić.

W przeciwieństwie do większości ekonomistów Jawlenskij przyznaje, że „najważniejszym zadaniem” jest polityka, rozwiązanie problemów politycznych, a przede wszystkim uchwalenie nowej konstytucji.

Z jego punktu widzenia głównym zadaniem konstytucji jest uregulowanie ustroju narodowo-państwowego Rosji. Innymi słowy, ustalenie, jakie prawa przysługiwać będą poszczególnym składnikom federacji — rejonom, autonomicznym republikom, obwodom. Jawlenskij ma własny pogląd na strukturę przyszłej Rosji, wprowadzając dwa pojęcia: decentralizacji i dezintegracji. „Myślę — oświadczają — że Ruś nie ma w zasadzie innej perspektywy, jak szeroka decentralizacja, zarówno władzy ekonomicznej jak władzy politycznej”. Decentralizacja odbywa się według planu i w kierunkach, które mają zwiększyć wydajność i sprawność systemu ekonomicznego i politycznego; dezintegracja natomiast, to chaotyczne rozdawanie praw, stworzenie warunków, w których każdy będzie mógł wyrwać dla siebie tyle, ile zechce.

Zdaniem Jawlenskiego projekt konstytucji Jelcyna prowadzi do dezintegracji.

Wasilij Sielunin, popularny dziennikarz ekonomiczny, także uważa, że uregulowanie kwestii politycznych jest warunkiem rozwiązania kryzysu. Jego zdaniem głównym problemem nowej konstytucji jest rozdział władzy. Trzeba ostatecznie rozstrzygnąć, kto rządzi Rosją. Sielunin jest zwolennikiem projektu prezydenckiego, ale znajduje w nim usterki, które krytykuje (*Ruszkaja mysl*, 21-27.5.93).

Za ważny brak uważa fakt, że konstytucja skrojona jest na miarę Jelcyna. A jeśli nagle — czysta hipoteza — prezydentem okaże się Żyrynowski? Jest to aluzja do nadmiernych uprawnień prezydenta, jakie przewiduje projekt. Sielunin uważa, że projekt skrzyżował dwa typy władzy prezydenckiej, amerykański i francuski. Prezydent wybiera rząd — jak w Ameryce — ale nie stoi na jego czele, prezydent może też — jak we Francji — rozwiązać parlament (prezydent Stanów Zjednoczonych nie może rozwiązać Kongresu). Sielunin przypomina stary dowcip: krzyżując jeża z wężem, Związek Radziecki wyprodukował drut kolczasty.

Dopóki demokraci rozmaitych odcieni zasiadali na Kremlu (mam na myśli pierwszy dzień obrad Rady Konstytucyjnej), wokół pomnika Dzierżyńskiego (tzn. wokół postumentu, bo Żelaznego Feliksa obalono w porywie entuzjazmu po upadku puczu w sierpniu 1991) zebrało się — jak szczerze obliczają — 15 tysięcy wrogów demokracji, sierot po Stalinie i Dzierżyńskim.

Mówcy obiecywali, że jeśli tylko zdobędą władzę, bezlitośnie rozprawią się z wrogami.

Około pół roku temu Siergiej Grigoriantz zaproponował, żeby zbadać działania KGB. Szybko stworzono komitet organizacyjny. Kiedy zaproponowano mi, abym do niego wszedł, odmówiłem, bo dowiedziałem się, że badać mamy nie tylko wczorajszą działalność organów, czemu należałoby przyklasnąć, ale również dzisiejszą. I to byłoby doskonałe, gdyby do badań nie wciągnięto czynnych dzisiejszych KGB-istów. Poza tym do komitetu organizacyjnego powołano wielu porządných ludzi, odbyła się pierwsza konferencja pt. „KGB wczoraj, dziś i jutro”, a w maju — druga konferencja. Na drugiej debatowano m.in. o projekcie ustawy o lustracji. Uchwalił go w grudniu 1992 roku zjazd ruchu pod nazwą „Demokratyczna Rosja”. Projekt ustawy jest zdumiewająco łagodny. O żadnych rozprawach sądowych nie ma nawet mowy. Proponuje się, aby niektóre odpowiedzialne funkcje w strukturach władzy wykonawczej i szkolnictwo średnie i wyższe były zamknięte dla sekretarzy rejonowych i obwodowych KC, dla funkcjonariuszy KC i komitetów republikańskich oraz dla etatowych pracowników KGB i agentów, którzy rzeczywiście donosili w ostatnich dziesięciu latach.

Ustawie sprzeciwili się ludzie tak czy inaczej związani z „organami”, pewna część ludzi, którzy uważają ich dalsze istnienie za konieczne, ale także liczni znani demokraci, którzy często odsiedzieli niemało lat. Demokraci apelują o powszechne wybaczenie. Na konferencji ktoś z ministerstwa bezpieczeństwa na propozycję, aby dobrowolnie otworzyli sejfy byłego KGB, odpowiedział: „Proponujecie, abyśmy do końca rozbili nasze ministerstwo?”

Nazwa konferencji brzmi niestety proroczco: KGB wczoraj, dziś i jutro. KGB na wieki? Jak but na twarzy Smitha w „Roku 1984”? Jest to może obawa zbyt pesymistyczna. Ale w obecnym post-komunistycznym chaosie są podstawy do obaw, że wahadło uderzy w przeciwnym kierunku. Z Azerbejdżanu dochodzą dziwne wieści. Wymęczeni bezsensowną wojną z Armenią Azerbejdżanie znaleźli zbawcę w byłym sekretarzu KGB, potem pierwszym sekretarzu KC Azerbejdżanu, a potem członku KC KPZS, Gajdarze Alijewie. Pisałem o nim w 1976 r. z okazji książki Ilji Ziemcowa „Partia czy mafia? Rozkradzioną republiką”. Ilja Ziemcow, mieszkawiec Baku, a następnie Izraela, znał dobrze republikę (z zawodu jest socjologiem), znał też Alijewą, dla którego przez jakiś czas pracował. Książka dotyczy działalności Alijewa jako ojca (chrzestnego) Azerbejdżanu. Kiedy zaczęła się *pieriestrojka* i świat zachwiał się w posadach, Alijew wyjechał do Baku, ale tam zastał Front Narodowy — wtedy dokonał genialnego posunięcia politycznego. Wyjechał do auto-

nomicznej republiki Nachiczewanu, maleńkiej enklawy Azerbejdżanu w Armenii, zamieszkałej przez 300 tysięcy ludzi. Od Azerbejdżanu oddzielił go szmat ormiańskiej ziemi. Gajdar Alijew pozwolił wybrać się na prezydenta Niezawisłej Republiki Nachiczewanu i spokojnie czekał. Dziś wzywają go do Baku. Według ostatnich wiadomości odrzucił propozycję, aby zostać premierem i czeka na dalsze oferty. Na razie prokomunistyczna wojskowa grupa zajęła drugie co do wielkości miasto w Azerbejdżanie — Gandzę. Tam stacjonował największy garnizon rosyjski. Rosjanie w puczu pozornie nie brali udziału, zostawili tylko do dyspozycji rebeliantów broń — samoloty, czołgi, artylerię — i kilku ekspertów.

Komuniści cieszą się w Rosji — trudno ich zresztą dziś odróżnić od skrajnych nacjonalistów i monarchistów — stałym, ale dość skromnym audytorium. Można jednak sądzić, że będzie ono rosło. Historia nie zna praw, ale zna analogie. Dzikie kapitalizm wywoła gwałtowną reakcję ludzi wyrzuconych za burtę. Spóźnione pojawienie się kapitalizmu w Rosji i jego gwałtowny rozwój — często dziki — były jednym z powodów rewolucji rosyjskich w XX wieku. Dzisiejszy rosyjski kapitalizm jest — o ile to możliwe — jeszcze dzikszy niż kapitalizm XIX-wieczny.

Korespondent *Washington Post* opowiada o nowej modzie moskiewskiej. Nazywa się nowym słowem: *cottage*. Zaczęło się masowe budowanie *cottage'y*. W amerykańskim stylu: trzypiętrowe wille, 4-5 sypialni, 250-400 metrów kwadratowych powierzchni. Z całym kapitalistycznym przepychem, w tym — z basenem. Cena takiego domku waha się od 150 do 300 tysięcy dolarów. W zasadzie — dlaczego nie? Tylko że *cottage* stają we wioskach obok chałup bez kanalizacji, bez elektryczności. W kraju, w którym kwalifikowany robotnik zarabia 30 dolarów miesięcznie. Najważniejsze jest to, że ludzie, którzy budują sobie *cottage* zarabiają na handlu, a nie na produkcji towarów. Nowe pieniądze, podobnie jak *cottage*, stoją na kłamstwie i korupcji.

To chwiejny grunt. Wydaje się jednak, że pod koniec naszego wieku grunt chwieje się wszędzie. Szef francuskiego kontrwywiadu Claude Silberzahn, człowiek Mitterranda, odchodząc ze stanowiska opowiedział, jak widzi świat. Jest to pogląd ciekawy, bo kierownicy tajnych służb dysponują tyloma informacjami, że wydaje się, iż widzą jasno. Claude Silberzahn powiedział na pożegnanie kolegom (*Le Monde* z 9.6.93) że wybuch nacjonalizmu i rasizmu prowadzi dziś do rozpadu państw i do wojen; zwrócił uwagę na niesłychaną pogoń za pieniędzmi we wszystkich postaciach; na to, że „produkcja i obrót mafijnymi pieniędzmi mogą tłumaczyć, dlaczego nie funkcjonują ustroje państwowe w Azji, Afryce i Europie, nie tylko wschodniej”.

Nową epokę nazwał „cywilizacją chaosu”.

Nie mam danych, by wypowiadać się o innych częściach świata. Rosja jest dziś rzeczywiście „cywilizacją chaosu”. Przypominają mi się słowa Anatola Toynbee o Smucie — państwie moskiewskim pod koniec XVI i na początku XVII wieku. Państwo rozpadło się, niewiarygodni carowie (w tym syn Zygmunta III Władysław) zmieniali się jak w kalejdoskopie na moskiewskim tronie. Angielski historyk uważa Smutę za interludium między pierwszą i drugą fazą rosyjskiego państwa uniwersalnego.

W 1613 r. Rosja wybrała na tron pierwszego Romanowa. W 1648 Bogdan Chmielnicki oddał prawobrzeżną Ukrainę pod berło rosyjskiego cara. Zaczął się zmierzch Polski i wzrost imperium rosyjskiego. Z chaosu zaczął się wyłaniać nowy ład.

Ale to wszystko przeszłość. Nawet ona jest sporna i ledwie widoczna we mgle. Przyszłości zaś — nie widać wcale.

13.6.1993

Adam KRUCZEK

Kartka ze skażonej strefy

WIELKIE WĘGRY

11 maja br. Węgry podpisały z Ukrainą układ zasadniczy, podobny do tego, jaki my mamy tylko z Niemcami. Kontrowersje wywołał głównie punkt o nienaruszalności wzajemnych granic „po wsze czasy”. Choć w parlamencie huczało, że oddaje się, tym razem dobrowolnie, połączyć ziemi, zamieszkałą również przez Węgrów, tj. część Rusi Zakarpackiej, choć huczał Istvan Csurka, popularny pisarz, ale nie najmądrzejszy polityk — układ gładko przeszedł.

Fakt ten przeczy opinii o skrajnym nacjonalizmie Węgrów, jaką przybysz słyszy na wstępie, choćby od przebywających tu Polaków. Nasz nacjonalizm w porównaniu z węgierskim to podobno „małe piwo”. Bo choć i my, wraz z Czechem, Rusem, Enerdowcem i Węgrem, należymy do strefy skażonej bakcylem *homo sovieticus*, to znaczy zatrważająco sprawnie marnujemy zachodnią pomoc, krzyczymy o wyprzedaży kraju obcym i lubimy dawać posłuch demagogom z ustami pełnymi narodo-

wych sloganów, to jednak wszystko pestka wobec mniej wrzaskliwej, ale bardziej ponurej i konsekwentnej ksenofobii Węgrów. Węgrzy — brzmi wywód — są wsobni i społecznie hermetyczni w sposób szczególny: to zawistnicy z kompleksem krzywdy. Mając, na przykład, język niepodobny „do żadnego ludzkiego”, niechętnie uczą się innych; praktycznie nie uznają Rumunii i Słowacji, a na drogowskazach do Bratysławy piszą po swojemu „Pozsony” czyli Pożoń.

A jednak, myślę, jeżeli istnieje jakieś usprawiedliwienie dla nacjonalizmu, to mają do niego prawo właśnie Węgrzy.

Węgry najbardziej straciły na obu wojnach światowych. Przecież Cesarstwo Austriackie Węgrami stało. A co się im ostało?! Wiadomo, Budapeszt z okolicą, głowa bez kadłuba. Odpadł na rzecz Rumunii Siedmiogród i właściwie we wszystkich ościennych krajach ogromne kawały ziemi, zwarcie zamieszkałe przez Madziarów. Diaspora węgierska jest liczniejsza od ludności żyjącej we własnym państwie. Fakt ten nie może przejść bez rezonansu w psychologii narodowej.

Węgrzy mają prawo do frustracji i są sfrustrowani. Bo choć pięknie mieszkają na wzgórzach Budy i Obudy, choć wysmakowanie jedzą i piją, choć klimat wymarzony, choć nie ma rozbojów na drogach i nie trzeba kurczowo trzymać torebki jak u nas, a za to jest doskonała komunikacja, obecne w powszechnym użyciu słowa „przepraszam”, „dziękuję” i brzmiące swojsko „serwus”, to jednak, mimo tych zalet, Węgrów — od pierwszego wejrzenia — cechuje delikatny, ale wyczuwalny „smutek żywota”. Wrażenie potwierdzają statystyki: najwyższy wskaźnik samobójstw i najwyższy niż demograficzny.

Czy więc jest tak, że oto te nasze „bratanki” giną nam na oczach bezszelestnie? Na to by wyglądało.

Chociaż, chociaż, gdy się zastanowić — czy już samo podpisanie układu z Ukrainą, bolesne nie tylko dla skrajnych nacjonalistów, ale dla każdego Węgry, nie świadczy — poprzez zgodę na stratę w imię większego dobra — o twórczym myśleniu o przyszłości? A jeżeli jeszcze przy okazji Węgrzy umieją się pośmiać z siebie...?

We wrzawie wokół układu wpadł mi w rękę felieton w piśmie *Nepszabadsag* pióra Tibora Selmeni pt. „Układ zasadniczy numer dwa”. Felieton na wstępie zaznacza, że należy wypowiedzieć zawartą umowę z Ukraińcami i zastąpić ją nową. W tym celu obecne rządy Węgier i Ukrainy mają ustąpić.

A oto w skrócie założenie przyszłego państwa i stosunków międzynarodowych:

„Forma państwa: królestwo.

Oficjalna nazwa: Wielkie Węgry.

Stolice: Pest-Buda, Kolozsvár (Cluj — przyp. E.B.), Pozsony.

W sprawie granic zostanie przeprowadzony plebiscyt. Granica węgiersko-ukraińska będzie od tej chwili — niezależnie od przebiegu plebiscytu — przebiegała wzdłuż Kazachstanu.

Już teraz I. Csurka napisał «Cichy Don».

Ważniejsi wojewodowie: Meciar w Trencsinie, Karadzics w Bośni, Funar w Havasalfold (Para Romanescea — przyp. E.B.), Krawczuk w Halczu.

Józsefowi Antallowi (obecny premier, który podpisał układ z Ukrainą — przyp. E.B.) nadaje się obywatelstwo ukraińskie zamiast węgierskiego.

Ukraina uznaje prawo Korony Węgierskiej do Soczi, ponieważ można udowodnić, iż przez dziesiątki lat odpoczywały tam węgierskie delegacje oficjalne.

Ukraińcy oddadzą Węgom broń atomową, co roku będą zdawać egzamin z węgierskości i przyjmą forint jako środek płatniczy.

Gyulę Horna (minister spraw zagranicznych, który otworzył granicę węgierską Niemcom z NRD — przyp. E.B.) zamknie się w jednej celi z Honeckerem.

Wynik ostatniego meczu piłkarskiego między drużynami Węgier (przegrała sromotnie — przyp. E.B.) i Rosji ma być co najmniej zmieniony na remis...”

Czy ludzie, którzy tak piszą, mogą zginąć? Bo czy umiejętność śmiechu na własny temat nie jest oznaką żywotności? A ten rzekomo wybujały nacjonalizm Węgrów, większy od naszego? Podczas gdy oni żartują, nasi politycy kroczą na czele pochodów pod hasłem „Polska dla Polaków”. Nie mówię o szubienicach i wrzaskach pod Belwederem czy URM-em, bo grupy skinów czy „rozszardzonych bab” obojga płci znajdują się w każdym społeczeństwie. Mówię o stwierdzeniach padających z trybuny sejmowej, takich np., które nazywają ideę euroregionów — prawdziwą szkołę otwarcia dla wszystkich — kupieniem polskimi granicami, i koniec. Nie dochodzi do tych naszych reprezentantów żaden argument, choćby ten, że nieczystości płynące rzekami czy dymiące z kominów nie znają granic... Jeżeli Węgrzy są zawistnicy, to my pozostaliśmy warchołami. Taka jest prawda.

Rozmyślam nad tym, chodząc ulicami Budy wśród śpiewu słowików i odurzającego zapachu róż, które wcześniej buchnęły tej wiosny. Nie omija mnie również myśl, co to się u nas rozpęta, gdy nadejdzie czas naszego układu z Ukrainą. Strach myśleć?

Tak idąc, natykam się na willę ambasady japońskiej. Nie mogłaby być nawet stróżówką przy naszej rezydencji! Ale to już materiał na odrębną historię.

Budapeszt, maj 1993

Ewa BERBERYUSZ

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 474 — ZYGMUNT HERTZ

LISTY DO CZESŁAWA MIŁOSZA 1952-1979

WYBÓR I OPRACOWANIE RENATA GORCZYŃSKA

Indeks nazwisk

Z listu Czesława Miłosza: ...Wiesz co byłoby najśmieszniejsze? — gdybym przeszedł do historii literatury jako adresat najwspanialszego epistologa Zygmunta Hertza...

Z listu Marii Danilewicz Zielińskiej: ...Jest to Literatura z dużej litery, przy tym wiarygodne calendarium i to nie tylko Zygmunta Hertza, ale i wspomnianych przez niego osób. „LISTY” mają wagę dokumentu i przypuszczam, że we wszystkich późniejszych opracowaniach historii Instytutu Literackiego i Kultury będą eksploatowane przez tysiące (nie przesadzam) młodych adeptów polonistyki i historii czasopiśmiennictwa...

Str. 520

Cena F. 160,00

Kronika kulturalna

Poляcy, polonica i japońscy polonofile w Sapporo

Kiedy otrzymałem wiadomość, że spośród licznej, bo liczącej ponad siedemdziesiąt osób grupy kandydatów zakwalifikowany zostałem na stanowisko profesora do prowadzenia badań naukowych (tzw. *Visiting Research Professor*) przy Ośrodku Badań Slawistycznych na Uniwersytecie Hokkaido w Sapporo — wiadomość tę przyjąłem z radością, ale i pewnymi obawami, wynikającymi głównie z niezajomości Japonii. O kraju tzw. wschodzącego słońca słyszy się i czyta sporo zarówno pozytywnych jak i negatywnych informacji, ale wydaje mi się, że pochodzą one przeważnie z drugiej ręki, tzn. od amatorów, przygodnych podróżników lub dziennikarzy, którzy nawet interesując się tym krajem nie znają ani jego języka, ani kultury. Stąd pewna tendencja do tworzenia stereotypów. Ze względu na drożyznę i odległość Japonia nie jest łatwo dostępnym celem turystycznym, a to oczywiście nie sprzyja zweryfikowaniu rozpowszechnianych o niej wiadomości. W moim przypadku dochodziła do tego niezajomość japońskiego świata naukowego, w którym miałem spędzić cały rok akademicki 1991/1992. Przyszna, że do Tokio leciałem nie tylko „z duszą na ramieniu”, ale i z poczukiem wyprawy na inną planetę.

Pierwsze zetknięcie się z miastem i nowym otoczeniem stało się przyjemną niespodzianką. Umieszczono mnie w Sapporo Guest House, komfortowej willi przeznaczonej przede wszystkim dla gości zagranicznych, położonej wśród zieleni, na wzgórzu z pięknym widokiem na miasto i przyległym ogrodem japońskim starannie wypielegnowanym, z wyłożonymi białym kamieniem ścieżkami, z kryształowo czystym strumykiem, małą fontanną i bujną przepyszną roślinnością. Jak się później przekonałem, Japończycy lubią zaimponować czy nawet zaszokować

cudzoziemców właśnie przepychem, bogactwem, wygodą. Mają zresztą po temu odpowiednie środki. Po kilku dniach przeniesiono mnie do mieszkania uniwersyteckiego, też bardzo wygodnego i urządzonego na wzór europejski. I wreszcie oficjalna wizyta w Ośrodku. Pierwsze spotkanie z japońskimi kolegami rozwiało moje wątpliwości i obawy. Spotkałem zespół życzliwych i pomocnych, bardzo kompetentnych w swojej dziedzinie ludzi. Szczególnie serdeczną i troskliwą opieką otoczył mnie mój „gospodarz”, prof. Tetsuo Mochizuki, specjalista od literatury rosyjskiej. Podobnie jak na uniwersytetach północnoamerykańskich, w Ośrodku Badań Sławistycznych dominuje specjalizacja rosyjska, ale są i badacze zajmujący się innymi krajami słowiańskimi lub Europy Środkowej (np. dr Osamu Jeda bada stosunki gospodarcze na Węgrzech). Profesor Takayuki Ito interesuje się sprawami polskimi, jest autorem książki poświęconej najnowszej historii Polski, włada biegle językiem polskim i utrzymuje kontakty z polskimi historykami. Wszyscy pracownicy naukowci mają dobrze opanowany język angielski i większość publikacji Ośrodka ukazuje się w języku angielskim. Wspominam o tym nie bez powodu: odwiedzający Japonię muszą być przygotowani na przykrą niespodziankę — poza środowiskami uniwersyteckimi znajomość języków obcych w Japonii jest zadziwiająco słaba.

Początki Ośrodka Badań Sławistycznych sięgają połowy lat pięćdziesiątych. W 1955 r. powstał tzw. Instytut Sławistyczny, który w 1978 r. przekształcono w Ośrodek (czy Centrum) Badań Sławistycznych (*Slavic Research Center*); w tym samym roku zainicjowano program umożliwiający zapraszanie profesorów z innych krajów na dziesięciomiesięczny pobyt w Ośrodku w celu prowadzenia badań nad jakimś dowolnie wybranym (i zaproponowanym przez kandydata) projektem naukowym. Jak dotychczas z dobrodziejstw tego programu skorzystało trzech profesorów z Polski: Andrzej Garlicki (historia), Janusz Beksiak (ekonomia) i Jerzy Tomaszewski (nauki polityczne). Dużo to czy mało? Jeśli się zważy, że nikt jak dotychczas nie został przyjęty z byłej Czechosłowacji, to liczbę tę należy uznać za duży sukces. Także z byłego Związku Sowieckiego nie przyjęto wielu więcej badaczy niż z Polski. Niektórzy dostali się do Ośrodka już po wyemigracji na stałe do Stanów Zjednoczonych. Przygniatająca liczba profesorów wybranych z zagranicy do odbycia stażu naukowego w Ośrodku Badań Sławistycznych pochodzi właśnie z tego kraju. Fakt, że polscy naukowcy, a także specjaliści w zakresie spraw polskich (warto przypomnieć, że Norman Davies, autor słynnego już dzisiaj dzieła *Boże igrzysko*, był gościem Ośrodka w roku akademickim 1982-83) znaleźli uznanie w oczach swych japońskich kolegów i zostali zaproszeni do Sapporo, zawdzięczać chyba należy w dużej mierze profesorowi Takayuki Ito.

Wkrótce po przyjeździe do Sapporo zaproszony zostałem na zebranie Towarzystwa Hokkaido-Polska (Hokkaido-Polando Bunka Kjekai), którego głównym celem jest krzewienie wiedzy o Polsce poprzez upowszechnianie jej kultury oraz popieranie wszechstronnych kontaktów polsko-japońskich. Warto podkreślić, że do stowarzyszenia należy kilka wybitnych osobistości miejscowego świata naukowego i kulturalnego. Prezesem Towarzystwa jest były rektor Uniwersytetu Hokkaido profesor Imamura Narikazu. Towarzystwo ma wiele do zawdzięczenia profesorowi Keizo Haiya, który spędził rok w Warszawie jako lektor języka japońskiego. To on właśnie przyczynił się w dużym stopniu do utworzenia Towarzystwa w 1987 r. i do dziś bierze bardzo czynny udział w pracach jego zarządu. Członkiem Towarzystwa jest również prof. Masahiro Kudo. Podobnie jak prof. K. Haiya, przebywał w Polsce, gdzie wykładał język japoński. Obecnie uczy polskiego w Instytucie Języków i Studiów Kultury przy Uniwersytecie Hokkaido i ma około sześćdziesięciu studentów. Jedną z najbardziej wybitnych osobistości należących do Towarzystwa jest pani profesor Michiko Endo, entuzjastka Chopina i wykładowczyni gry na fortepianie w dwóch wyższych uczelniach, Kjeku Daigaku i Otani Tanki Daigaku. Wrócę jeszcze do niej za chwilę. Towarzystwo Kulturalne Hokkaido-Polska stanowi forum, na którym spotykają się zarówno Japończycy jak i Polacy.

Polonia w Sapporo nie stanowi licznej grupy, ale uczestniczy aktywnie we wszystkich przedsięwzięciach popularyzujących Polskę, jej historię, tradycje obyczajowe i kulturę. Polacy mieszkający w Sapporo na stałe znaleźli się tam przede wszystkim dzięki związkom małżeńskim z Japończykami lub Japonkami. Pani E. Miura, absolwentka Akademii Sztuk Pięknych w Toruniu, mówi biegle po japońsku; przez pewien czas pracowała w miejscowej telewizji i za swój największy sukces uważa wywiad z Lechem Wałęsą, zrobiony dla telewizji japońskiej w czasach, kiedy obecny prezydent RP pozostawał jeszcze w opozycji. W Sapporo mieszka też polski *businessman* p. Piotr Zawodnik, ożeniony z Japonką, próbuje zgłębić labirynty japońskiego interesu. Nie sądzi, aby to było łatwe, ale daje sobie nieźle radę. Do niedawna mieszkał tu też polski chirurg dr Henryk Wilmanowski. Na dłuższych lub krótszych stażach przebywają w Sapporo polscy naukowcy. Dr Romuald Zabielski specjalizuje się w fizjologii zwierząt; Wł. Rudziński pracuje nad doktoratem w zakresie niskich temperatur. Na roczny staż naukowy przyjechał fizyk z Uniwersytetu Śląskiego, dr Andrzej Molak.

Ostoją i duszą działalności polonijnej w Sapporo jest p. Halina Kumakura (z domu Martyna), która przyjechała do Japonii na stałe przed piętnastu laty. Pani Halina studiowała

polonistykę na UMCS w Lublinie i tam poznała swego męża — Itaru Kumakurę, który także był studentem polonistyki. Pan Itaru mówi piękną polszczyzną, w Lublinie przebywał siedem lat i co ciekawsze, obronił tam pracę magisterską pt. „Problem artysty w powieściach St.I. Witkiewicza”. W swej pracy p. Kumakura poruszył m.in. sprawę tytułu znanej Witkiewiczowskiej powieści 622 *upadki Bunga*. Otóż „bungo” po japońsku znaczy „język pisany”, „styl literacki” czy nawet ktoś, kto tym stylem się posługuje, a więc pisarz; „bungaku” — literatura, zaś „bunka” — kultura. Czy Witkacy świadomie nadał swemu bohaterowi imię zapożyczone ze słownictwa japońskiego, nasuwające skojarzenie z pisarstwem i sztuką? Znając jego upodobanie do posługiwania się symboliką imion, dziwologami zapożyczonymi niekiedy z innych języków (np. książę Nevermore), które na tle polszczyzny nabierają często waloru języka porozumiewawczego (tzw. *zaimnyj jazyk* u rosyjskich formalistów), możliwości takiej nie należy wykluczyć. Podaję to jako ciekawostkę, bo nie przypominam sobie, czy sprawa znaczenia wyrazu „bungo” w tytule powieści była kiedykolwiek wyjaśniona przez polskich badaczy Witkiewicza. Anna Micińska, na przykład, w swym obszernym wstępie do PIW-owskiego wydania 622 *upadków Bunga* z 1978 r., pisząc o symbolicznej semantyce imion w tej powieści, pomija milczeniem postać tytułową.

Dzięki pośrednictwu p. Haliny spotkałem Michiko Endo-Sensei (*sensei* — tytuł wyrażający szacunek dla osoby wykładającej). Jak już wspomniałem, p. Endo jest profesorem muzyki na dwóch uczelniach, a jej życiową pasją niezmiennie pozostaje Chopin. W ubiegłym roku upłynęło dwadzieścia lat od chwili, kiedy założyła w Japonii Towarzystwo Chopinowskie, czyli japońską filię International Federation of Chopin Society. Polskę uważa za swoją drugą ojczyznę i jest niestrudzoną popularyzatorką muzyki Chopina. W tym kraju panowała jeszcze do niedawna opinia, że komponowana przez niego muzyka jest dziełem chorego i zniewieściałego mężczyzny, dlatego jest to muzyka wyłącznie dla kobiet, stąd zdecydowana przewaga kobiet na koncertach. Sąd ten powoli ulega zmianie i to w dużej mierze dzięki wysiłkowi p. Endo. Obecnie jej działalność idzie w kierunku tworzenia Kół Miłośników Muzyki Chopina (nie mylić z w/w Towarzystwem Chopina) oraz organizowania lokalnych koncertów chopinowskich, aby umożliwić młodym adeptom tej muzyki doskonalenie umiejętności.

Jej dom jest przysłowiową Mekką dla pianistów z Polski. Zatrzymują się u niej lub też po prostu przychodzą aby poćwiczyć przed koncertem (np. Barbara Hesse-Bukowska, Janusz Olejniczak). w 1986 r. Michiko Endo została odznaczona medalem „Merited for Polish Culture” (Zasłużona dla Kultury Polskiej).

Upowszechnianie kultury polskiej, jak sama twierdzi, jest radością jej życia.

Tę samą miłość i przywiązanie do Polski wpoila swojej córce, Ikuko Endo, która była finalistką VIII konkursu Chopinowskiego w Warszawie, a obecnie zalicza się do czołowych wykonawców muzyki Chopina. Przez cztery lata studiowała u Haliny Czerny-Stefańskiej w Krakowie. Obecnie mieszka na stałe w Tokio i tak jak jej mama poświęca wiele czasu umacnianiu więzów z Polską. Rozmawiając z p. Michiko Endo w pokoju przyjęć widzę na ścianie fotografię jej córki z Arturem Rubinsteinem i dedykacją Mistrza:

To Endo — great pianistic talent with warm wishes for a brilliant career

Artur Rubinstein
Tokyo, July 12, 1966

Pani Michiko Endo ma swoje zmartwienia. Uważa, że następny Konkurs Chopinowski w Warszawie (1995) stoi pod znakiem zapytania. Istnieje ponoć pomysł przeniesienia go do Japonii. Podobno Japończycy wykupili już prawo organizowania Konkursu Czajkowskiego, który dotychczas odbywał się w Moskwie. Dla niej jest nie do pomyślenia, aby coś podobnego stało się z Konkursem Chopinowskim. Pani Endo zdecydowanie sprzeciwia się takim pomysłom, uważa, że nie należy niszczyć tak pięknej tradycji. Chopin należy do Polski. Jednakże z wyraźną obawą mówi o potędze pieniądza. Uważa, że mieszkanie *business'u* w te sprawy jest niezwykle smutne. Owszem, w Japonii są na te cele fundusze, ale niestety nie zawsze pochodzą one z „czystych” źródeł. Nie pytałem o bliższe wyjaśnienia, ale o „nieczystych” pieniądzach w Japonii słyszy się bardzo często.

Pani Halina umożliwiła mi także spotkanie z dwiema entuzjastkami kultury polskiej, pp. Setsuko Iwaki oraz Mariko Hosokawa. Nie zdarzyło mi się w przeszłości spotkać wśród cudzoziemców nikogo kto by z takim entuzjazmem i zafascynowaniem mówił o Polsce jak te dwie panie. Ich wielka przygoda z Polską zaczęła się od znalezienia materiałów dotyczących języka Ajnów, a utrwalonych przez Bronisława Piłsudskiego, który przebywał w Japonii i zapoznał się z życiem tego osobliwego plemienia, pozostawił wśród nich swoich potomków (pisał o tym Stefan Bratkowski w esej „Inna Syberia”, *Tygodnik Powszechny* z dn. 14 lipca 1991 r.). W Japonii pisano o bracie Józefa Piłsudskiego niejednokrotnie, a niedawno ukazał się o nim obszerny artykuł pióra prof. K. Sawady z uniwersytetu Niigata. Otóż na podstawie wspomnianych materiałów pp. S. Iwaki i M. Hosokawa przygotowały o Ajnach sztukę z podkładem muzycznym (tzw. *musical*). Ale ich ciekawość sięgnęła dalej: chciały dowie-

dzieć się, kim był autor materiałów, na podstawie których powstało ich przedstawienie. Skąd pochodził? Tak zrodziło się zainteresowanie Polską i tu zrodziła się ich wielka miłość do Krakowa i jego historii. Różne wątki historyczne — życie królowej Jadwigi, a szczególnie jej poświęcenie dla ojczyzny (dla Japończyków jest to bardzo istotne), Uniwersytet Jagielloński, Kraków i jego hejnał rozlegający się z wieży kościoła Mariackiego spłoty się w jedno przedstawienie muzyczne, tym razem o Polsce. Muzykę skomponowała p. M. Hosokawa, a choreografię — p. S. Iwaki. Po sukcesach odniesionych w Japonii, cały zespół wyjechał na *tournee* do Polski, gdzie prasa bardzo ciepło i pochlebnie pisała o ich działalności. Obie panie nie są zawodowymi artystkami, prowadzą teatrzyk amatorski, w którym uczestniczą głównie dzieci w wieku szkolnym, ale niedawno japońskie Ministerstwo Kultury podjęło decyzję o włączeniu dokonań artystycznych ich zespołu do podręcznika szkolnego jako przykładu ilustrującego wzajemne przenikanie kultur we współczesnym świecie.

Panie S. Iwaki i M. Hosokawa planują dalsze przedstawienia. Niedawno znów odwiedziły Małopolskę, zapoznały się bliżej z Orawą i taki właśnie tytuł ma mieć ich następne przedstawienie, osnute na orawskich motywach ludowych. W tym wypadku szczególnie mocny nacisk ma być położony na zapoznanie widza japońskiego z tradycją polskiej kultury ludowej. Nagrane zostały melodie i teksty ludowe z Orawy, muzyka staropolska; wszystko to ma być wykorzystane. Dzieci japońskie, które mają wziąć udział w przedstawieniu odwiedziły Orawę, gdzie bliżej zapoznały się z orawskim folklorem, szczególnie zaś z opowieścią o legendarnym Janosiku, „co odbierał bogatym i dawał biednym”. Panie chętnie dzielą się swymi doświadczeniami i przeżyciami związanymi z przygotowywaniem nowego utworu. Zastanawiają się, dlaczego im ta muzyka „wpadła do ucha” i same sugerują odpowiedź. Są córkami pastora i już od dzieciństwa słuchały kolęd. Pół żartem, pół serio twierdzą, że kultura Ajnów wydaje im się bardziej odległa niż polska. Gdy chodzi o praktyczną stronę ich przedsięwzięcia, to ze szczególnym uznaniem mówią o profesorze K. Haiya, który umożliwił kontakty, a także o Mikio Kawaguchi, byłym szefie telewizji na wyspie Hokkaido, a obecnie prezydentem Japan's Broadcasting Corporation. Bardzo pomocny w rozwijaniu kontaktów z Polską okazał się p. Tsuneaki Kalamura, były dyrektor wymiany kulturalnej z zagranicą, a obecnie minister kultury. Pani Mariko Hosokawa żartuje, że obu panów spotkał zasłużony awans, bo popierali współpracę z Polską. Obok wymienionych tu entuzjastów kultury polskiej wspomnieć jeszcze trzeba o Kuniko Kato („Lucy”), autorce obszernej książki o twórczości plastycznej Magdaleny Abakanowicz. Jest to monografia nie tylko twórczej ewolucji polskiej

artystki, ale i historia bliskiej przyjaźni zarówno autorki, jak i osoby przez nią przedstawionej.

Na zakończenie jeszcze parę uwag o Ośrodku Badań Slawistycznych. Ośrodek poszczycić się może bogatą biblioteką slawistyczną. Księgozbiór liczy blisko sto tysięcy tomów. Najlepiej zaopatrzona jest specjalizacja rosyjska. Ostatnio robi się jednak wysiłki, aby tę dysproporcję zmniejszyć. Zakupy książek idą w kierunku uzupełnienia luk odnoszących się do dziejów Polski, historii literatury i współczesności. Sprawdziłem kilka niedawnych nabytków i zauważyłem wśród nich sporo „białych kruków”, np. wydanie dzieł Franciszka Karpińskiego z 1862 r., albo Tadeusza Czackiego *Rosprawa o Żydach* — rok wydania: 1807. „Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego Akademii Wileńskiej zwyczajnego drukarza”. Książki te pochodzą z Izraela, przewiezione tam oczywiście przez emigrujących z Polski Żydów, a teraz sprzedawane do bibliotek światowych. *Habent sua fata libelli!*

Mój roczny pobyt w Japonii pozwala na kilka obserwacji natury bardziej ogólnej. Wydaje się, że polska kultura zaskarbiła sobie w Japonii ogromne uznanie, przechodzi tam przez dobrą passę i ma szansę trwałej obecności. Dotyczy to szerokiego wachlarza twórczości literackiej i artystycznej. Od 1990 r. ukazuje się w Tokio obszernego formatu periodyk pt. *Polonica*. Daje on gruntowną informację o życiu kulturalnym Polski. Ukazują się w nim nie tylko obszerne artykuły o polskim filmie, teatrze, wybitnych twórcach, ale i przekłady z polskiej poezji, prozy i dramatu, wywiady z pisarzami i artystami, nekrologi (np. o Tadeuszu Kantorze) — słowem informuje się czytelnika japońskiego na bieżąco o najważniejszych wydarzeniach kulturalnych. Przyjeżdżają polskie zespoły taneczne, orkiestry symfoniczne (np. Wielka Orkiestra Symfoniczna Polskiego Radia pod dyktando A. Wita), polscy malarze i plastycy organizują wystawy. To prawda, czasami nie obywa się bez zgrzytów, ale nie wpływają one na klimat bliskiej współpracy. Przyjechał np. z wystawą do Sapporo p. Stasys Eidrigevicius, niewątpliwie jeden z najwybitniejszych współczesnych malarzy i plastyków polskich. Wystawa jego prac miała trwać przez kilka tygodni, ale po trzech czy czterech dniach została zamknięta. Zatarg z agentem-pośrednikiem. Niestety zdarzają się wypadki, gdy japońscy organizatorzy takich wystaw, wiedząc o ciężkiej sytuacji polskich artystów, dyktują niekorzystne warunki sprzedaży obrazów i organizacyjnej oprawy wystaw, chcą tę sytuację w nieuczciwy sposób wykorzystać. Incydenty tego rodzaju, potępiane zresztą przez samych Japończyków, nie przyćmiewają jednak całości. Osobiście, w ciągu rocznego prawie pobytu w Sapporo, doznałem ze strony moich japońskich gospodarzy wiele dowodów serdeczności właśnie jako Polak, chociaż przyjechałem tam z

Kanady. Miejmy nadzieję, że przychylność Japończyków dla osiągnięć polskiej kultury rozciągnie się na inne sfery stosunków polsko-japońskich, co niewątpliwie przyniosłoby naszemu krajowi ogromne korzyści.

Edward MOŻEJKO

WYSTAWA OBRAZÓW ZOFII DEMBOWSKIEJ ROMER W WARSZAWIE

Dnia 4-go czerwca 1993 roku odbyło się w Warszawie w Muzeum Narodowym w tak zwanej „Królikarni” uroczyste otwarcie wystawy obrazów Zofii Dembowskiej Romer. Wystawa ta, zorganizowana wspólnym wysiłkiem Muzeum i Galerii Ciurlionisa w Kownie i Muzeum Narodowego w Warszawie, skupiała przeszło 120 prac artystki, mało dziś znanej zarówno na Litwie jak i w Polsce.

Otwarcia wystawy dokonali wicedyrektor Muzeum Narodowego Janusz Zagrodzki i wiceminister kultury Michał Jagiełło. Obaj nawiązywali do wpływów kulturalnych między dwoma krajami. Ambasador Republiki Litwy Dainius Junevičius w swym pięknym przemówieniu, wygłoszonym w języku polskim, zaznaczył znamienność zbiegu okoliczności, że tego samego dnia odbywa się w Warszawie otwarcie wystawy wybitnej malarki Polki, która większość swego życia spędziła i tworzyła na Litwie, co otwarcie wystawy w Wilnie prawdopodobnie najbardziej dziś znanego malarza litewskiego Stasysa Eidrigevičiusa mieszkającego w Polsce!

Osvaldas Daugelis, dyrektor Muzeum i Galerii Ciurlionisa w Kownie, podkreślił zasługi rodziny Romerów poprzez Alfreda i Edwarda Romera w rozwoju kulturalnym i malarstwa na Litwie. W swym pięknym, miękkim języku polskim z akcentem kowieńskim, wyjaśnił, że jedną z przyczyn, dlaczego artystka była dotąd tak mało znana na Litwie i nic się o niej nie mówiło, było to, że pod okupacją bolszewicką uważano ją „za dwa razy grzeszną, raz, że była wywiezioną, drugi, że żyła na emigracji”.

Wernisaż zaszczyliło swą obecnością wiele wybitnych osobistości, włącznie z jednym z najbliższych krewnych artystki JE Księdzem Biskupem Bronisławem Dembowskim.

Wystawa, gdzie *gros* prac pochodzi z muzeów litewskich, jak również zbiorów rodzinnych z Kanady, Stanów Zjednoczonych i Belgii, trwać będzie do dnia 8-go sierpnia 1993. Komisarzem wystawy, której należy się pochwała za bardzo dobre rozmieszczenie prac, jest Elżbieta Zawistowska.

Ci, co odeszli

Leopold Łabędź

Rozmowy telefoniczne z Leopoldem Łabędziem rzadko trwały krócej niż godzinę a mogłyby trwać bez końca. Jednego wieczoru, gdy mi słuchawka wypadła ze zdrtwiałej ręki i próbowałam się żegnać, bo może już czas iść spać, zdradził mi, że noc nie jest dla niego czasem snu, że nigdy w nocy nie śpi. Noc jest najlepszą porą, by myśleć, czytać, pisać w idealnej, niczym nie zmaconej ciszy i spokoju, w pełnym poczuciu bezpieczeństwa, wiedząc że nikt nie zadzwoni do drzwi ani że po pewnej godzinie nie odezwie się telefon.

Te sławne, nie kończące się rozmowy były dla niego paузami, rozrywką, chwilą wypoczynku. Intelktualista, wszechstronny erudyta odrywał się od wszystkich mądrości, od najważniejszych swych zainteresowań, by przez godzinę czy więcej, z nie opuszczającym go poczuciem humoru wracać do wspomnień i przetykać je anegdotami, w których błyskawicznie zmieniały się kraje, czasy i ludzie, często dla przeciętnego słuchacza czy czytelnika mityczne postaci, znane mu tylko z bieżącej historii, z głośnych książek, z gazet,

W pięknym wstępie do książki Łabędzia pt. „Bez złudzeń”, będącej wyborem pism z lat 1962-1988*, Zbigniew Brzeziński nazwał tego wybitnego sowietologa, swego przyjaciela, „człowiekiem walki, myślicielem i idealistą”. Wśród znawców w swej dziedzinie Łabędź był wyjątkiem, bo jego empiryczna wiedza pozwalała mu na trzeźwą ocenę sowieckiej rzeczywistości. Nie mając złudzeń, walczył niemal samotnie, uparcie, ze złudzeniami Zachodu, z naiwnymi lub cynicznymi przedstawicielami obowiązującej ugodowej polityki, naginającymi wypadki do swych koniunkturalnych koncepcji lub swej mniej lub więcej szczerej

* Leopold Łabędź, *Bez złudzeń*. Wybór pism 1962-1988. Polonia Book Fund Ltd., Londyn 1989.

wiary. Walkę swą prowadził przede wszystkim w piśmie *Survey*, które razem z przyjacielem założył w Londynie w 1955 r., które redagował i w dużej mierze sam wypełniał; w *Encounter*, piśmie międzynarodowych intelektualistów, które było przez długie lata głosem wolności i sumienia na Zachodzie; w innych pismach a także w wystąpieniach publicznych.

W jednym szeregu z Orwellem, Koestlerem i paru innymi Łabędź miał więcej wrogów niż zwolenników, był czarną owcą wśród zawodowych sowietologów, którzy w podszytym strachem podziwie dla potężnego ZSSR zachwalali system, oglądany przez siebie z innej planety. Łabędź rozprawiał się bezkompromisowo ze wszystkimi, poczynając od najstarszego angielskiego apologety Rosji Sowieckiej E.H. Carra i kończąc na amerykańskim młodszym demagogu politycznym Noamie Chomsky'm.

Specjalne miejsce wśród przeciwników Łabędzia zajmował rodak Izaak Deutscher, głośny w publicystyce angielskiej ideolog komunizmu, trockizmu, mistrz manipulacji dyalektycznej, manewrujący między frakcjami i przeobrażeniami w sowieckiej rzeczywistości, ku zachwytowi *fellow-traveller*'sów.

Oboje z Łabędziem znaleźmy w powojennym Londynie Deutschera i współpracującą z nim polską Passionarię, jego żonę Tamarę, bliskich przyjaciół Słonimskiego. Łabędź miał kilka ostrych starć z Deutscherem, raz omal nie doszło do sprawy sądowej, gdy w 1962 r. zaatakował go w *Survey*.

Leopold Łabędź urodził się w 1920 r. i wychowywał w Warszawie, w dzieciństwie zaczął się uczyć czytać na encyklopedii, ale szybko zniechęcił się do jej skrótowych wiadomości i przerzucił na książki Bertranda Russella (który miał później wielki na niego wpływ) — kupił mu je na jedenaste urodziny ojciec. Mając lat 16 wstąpił na uniwersytet, a potem wyjechał do Paryża, gdzie zaczął studiować medycynę. Wróciwszy do Polski z wybuchem wojny, w pierwszych jej latach pomagał ojcu-lekarzowi, który pracował w sanatorium pod Lwowem, do chwili gdy obaj zostali wywiezieni w głąb Rosji. Rozstawali się i znajdowali z ojcem, w końcu się zgubili, aby cudem odnaleźć się ostatecznie i wstąpić razem do armii Andersa. W Persji tuż po ewakuowaniu z Rosji, dochodziła Leopold leżał wśród innych na podłodze czekając na śmierć, gdy nagle zobaczył nad sobą lekarza w nowym, białym kitlu. Ojciec.

Jednym z późniejszych epizodów, o którym zabawnie opowiedział w rozmowie z Jakubem Karpińskim i Ireną Lasotą, w przytoczonej w książce „Bez złudzeń”, był rekordowo długi, bo 6-tygodniowy pobyt pod Monte Cassino, gdzie znalazł się zanim doszło do bitwy, jako łącznikowy oficer do brytyjskich jednostek.

Potem był koniec wojny, uniwersytet w Bolonii, decyzja przyjazdu do Anglii.

Poznaliśmy się w latach powojennych w Polish University College w Londynie. Łabędź zaczął swe powojenne studia w PUC zanim przeniósł się do London School of Economics. Potem nasze spotkania były rzadkie, ale zawsze serdeczne — na przedstawieniu teatru Hemara czy innej kulturalnej polskiej imprezie, później nastąpiły długie lata przerwy i z powrotem wróciliśmy do nienaruszalnej serdeczności, gdy w 1990 r. Łabędź otrzymał nagrodę *Wiadomości* za swój wybór pism „Bez złudzeń”. Był już wtedy przykuty od inwalidzkiego wózka, bez obu nóg i nasze rozmowy odbywały się głównie przez telefon. Co wcale nie znaczyło, że nie ruszał się z domu. Jeśli trzeba było określić go jedną, najlepiej charakteryzującą go cechą, bez wahania wybrałabym zdumiewającą żywotność. Była to nie tylko energia fizyczna, która pozwalała mu uwijać się na swoim wózku po mieszkaniu zawalonym stosami książek, pism, wycinków, zrećtnie wymijając wszystkie przeszkody; zjawiać się na jakimś spotkaniu na drugim końcu Londynu; lecieć do Stanów Zjednoczonych, a po cudownych zmianach ostatnich lat, które był pewien że przyjdą, ale nie spodziewał się ich za swego życia — wybrać się do Polski.

Łabędź należał do pokolenia, któremu przypadło najtrudniejsze miejsce, na emigracji. Młodzi, którzy mieli po kilka czy kilkanaście lat, gdy wybuchła wojna, znaleźli się między starszym pokoleniem, tradycyjnie wychowanym w Polsce i obciążonym doświadczeniami wojny — a dziećmi, które rodziły się już w nowym kraju. Mieli przed sobą wybór języka i przynależności narodowej i ich kompromisy prowadziły często do nieporozumień ze starszym pokoleniem i do własnego rozgoryczenia z powodu braku pełnej akceptacji przez obce środowisko. Łabędź, nieco od nich starszy, umiał znakomicie pogodzić tę dwoistość: stał się wybitnym angielskim publicystą i znając powiązania problemów sowieckich z polityką międzynarodową i polską racją stanu, głośniejszy niż ktokolwiek inny mówił o tym światu. W ogromnej polskiej społeczności na emigracji w Anglii nie powstało przez dziesiątki lat polskie *lobby*, ten nieoficjalny mechanizm broniący własnych interesów przez wpływowych przedstawicieli pewnej grupy. Przez wiele lat takim nieoficjalnym jednoosobowym *lobby* był dla Polaków Leopold Łabędź.

Stefania KOSSOWSKA

Jacek

*Popiele wiersza piękny i bezradny
przywracaj życie osieroconym czasom*

*Błogosław kroki wchodzących na szczyty
ulecz ranę powietrza za spadającymi*

Jacek Bierezin „Elegia”

Z Jackiem spotkałem się w końcu lat sześćdziesiątych podczas wręczenia nagród laureatom konkursu poetyckiego im. Jana Śpiewaka. Kilka miesięcy później dowiedziałem się, że Jacka aresztowano — był członkiem grupy Ruchu. Po jego zwolnieniu spotykaliśmy się wielokrotnie — wówczas zaczął też uprawiać taternictwo; kiedyś, wcześniej, był bokserem. Lubił żywioł życia i lubił poezję. I w życiu, i w poezji lubił ryzyko. Szamotał się z nieukończonymi studiami, w końcu zrezygnował z prób przebicia barier administracyjnych i po prostu ubeckich utrudnień.

Mimo wszystko zdołał oficjalnie zadebiutować — tom nazywał się „Lekcja liryki” i ukazał się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego. Został życzliwie przyjęty przez krytykę, lecz Jacek doskonale zdawał sobie sprawę z jego słabości — już wtedy pisał wiersze zupełnie inne, dojrzalsze, choć przecież niepozbowione prowokacyjnej tonacji. Już wtedy rozpadła się też poetycka grupa „Centrum”, do której należał z paroma łódzkimi kolegami, zaś Jacek coraz bardziej zbliżał się do tych poetów, których zalicza się do formacji Nowej Fali. Był im bliski przede wszystkim w swym programie moralnego i politycznego protestu, poetycko raczej chadzał własnymi drogami i ciągle poszukiwał, ciągle nie był siebie pewien.

W 1974 roku, jako jeden z nielicznych w tym „przedopozycyjnym” okresie, zdecydował się wydać tom w Instytucie Literackim. Zbiorek zatytułowany „Wam” — niejednorodny, ale z pewnością poświadczający rzeczywisty talent — został znów, podobnie jak debiut, życzliwie przyjęty. Zarazem skończyło się dla autora życie w świecie literatury oficjalnej. Objął go zakaz publikacji.

Nie tylko to. Byłem w tym okresie przewodniczącym Koła Młodych warszawskiego Oddziału ZLP — tu schronili się przed szykanami nasi łódzcy koledzy, Bierezin i Sułkowski. Zostałem wezwany na rozmowę do samego wydziału kultury KC, gdzie próbowano mnie namówić do wyrzucenia łodzian z Koła. Jacka naprawdę nie lubili. I mieli za co.

Wkrótce potem zaczęło się zorganizowane życie opozycyjne. Jacek od początku stał się aktywnym i pomysłowym współpracownikiem KOR-u. Wraz z Sułkowskim, Walendowskim i Filipczakiem utworzył redakcję „nieregularnego kwartalnika” literackiego *Puls*. Po pewnym czasie stało się oczywiste, że to on właśnie jest tego pisma najżywszym duchem — nie tylko pisał, lecz przede wszystkim to on właśnie załatwiał sprawy organizacyjne, kontakty z powielarnią, kolportaż. Był to też chyba jedyny czas, w którym potrafił sobie narzucić dyscyplinę i systematyczność pracy: co kwartał, ku zdumieniu wszystkich, którzy go znali, pisał swój stały felieton, w którym z równą zjadliwością i poczuciem humoru tępił „głupstwo rządowe i głupstwo antyrządowe”.

A przecież był jednocześnie — o czym chyba warto pamiętać — jedną z barwniejszych postaci opozycyjnych salonów, świetnym gawędziarzem, chłopcem recytującym z pamięci wiersze rosyjskich poetów, „duszą towarzystwa”. Chłopięcość Jacka urzękała i denerwowała zarazem. Żył jak umiał, by powtórzyć słowa piosenki lubianego przezeń Okudźawy, ale któż z nas bez grzechu... Żył szybko, trochę po wariacku, ale żył aktywnie i nie żył tylko dla siebie. Jego bezpośredniość potrafiła zabołec, nie znaczy to jednak, że chciał kogoś skrzywdzić. Była w nim ta ładna naiwność nakazująca „mówić od serca”. Gdy miał dość życia towarzyskiego, uciekał w skałki, w góry.

Został redaktorem naczelnym *Pulsu*. Internownany, szarpał się w klatce może bardziej niż inni — potrzebował przestrzeni, ruchu. Dowodziłem mu do „internatu” to, czego rzeczywistość tam potrzebowała: zieleninę, wódkę i bibułę. Wyjechał szybko, zwolniony, by towarzyszyć Ance Kowalskiej, która wyjechała na leczenie do Francji. I nagle złapał oddech — nigdy dotąd nie wyjeżdżał, nie znał świata. Jego nowe wiersze zaroily się od egzotycznych nazw miejscowości i kwiatów. Pochłaniał przestrzeń. I było tak, jak napisał w swym ostatnim felietonie dla *Kultury*: „Jeśli chodzi o mnie, to ponad asfalty wielkich miast zdecydowanie wolę pustynię, ocean, góry, w których spędziłem na pewno większą część życia niż przy biurku”.

Leszek SZARUGA

Jacek Bierezin zginął w wypadku samochodowym 26 maja 1993 r. w Paryżu koło Pont de l'Alma.

Myśląc o Andrzeju Kuśniewicz

Już się nie napijemy! Czyniliśmy to rokrocznie w okresie Bożonarodzeniowym w domu ZAIKS-u w Konstancinie, gdzie ustawiczny niż atmosferyczny prowokował do wychylenia kieliszka, w melancholii jesienno-zimowego pejzażu.

Widzę jego kruchą postać, jak rankiem, przed wszystkimi, plucha czy zawierucha, biegnie truchcikiem po gazety do kiosku. Czytał je od deski do deski, a wieczorem namiętnie oglądał telewizję. Pisał wyłącznie letnią porą w okolicach Nicei, dokąd od lat wyjeżdżał w czerwcu.

Już tam nie pojedzie. Chowamy go w majowe południe na Wojskowych Powązkach. Jest jeden z przezroczystych dni wiosny; nadchodząca burza intensyfikuje kolory i głosy ptaków... Nie jest przypadkiem, że nad otwartą mogiłą, prócz kolegów Polaków, przemawiają ambasador Węgier i tłumaczka Kuśniewicza na serbsko-chorwacki, która mówi, że przyjeżdża prosto z wojny...

Był „stamtąd”, z Cesarstwa Austro-Węgierskiego: czuł te strony, jak chyba nikt już z żyjących. Słyszę jego rzeczowy opis Franza Josepha. Podszadzano go, chłopaczka, w tłumie, żeby go zobaczył: cesarz siedział w bryczce, w tyrolskim stroju, zapamiętał jego gołe kolana...

Większość gawędziarzy, wbrew obiegu opinii, potrafi być zmorą towarzystwa. Kuśniewicz był mistrzem gatunku. Operując detalem i skrótem, nadawał swoim opowieściom dramatyczne napięcie. Chciałoby się powiedzieć, że nie było w tym nic z literatury, sam konkret, na który słuchający „patrzył” jak na realistyczny obraz.

Umarł z marszu na kolejny zawał; nawiedzały go od kilkunastu lat tak regularnie, żeśmy niemal przywykli do faktu, że Andrzej po prostu miewa zawały, jakby chodziło o katar.

Serce zniszczył jeszcze w Mauthausen. Leczył się aspiryną, której był wierny do końca: pastylka rano i wieczór.

Literaturę traktował jako środek zarabiania na życie, z temperamentu i upodobań był dyplomatą. Pasjonowała go i gdyby nie wojna, a raczej, to, co po niej — po pióro by nigdy nie sięgnął, mówił. Poczytywano mu te stwierdzenia za kokieteryę, ale ja mu wierzę. Nie było w nim nic z literackich zadęć, z tak charakterystycznej dla naszych elit powojennych środowiskowej klanowości. Indywidualista w każdym calu, ceniący u

ludzi przede wszystkim inteligencję. Nie obraziłby się na mnie gdybym mu powiedziała, że mogą go słuchać, nie muszą czytać.

Na początek kariery dyplomatycznej trafił świetnie; do Užhorodu, na wschodnim krańcu Czechosłowacji, na styku granic i gier politycznych Czech, Polski, Węgier i Rumunii. Z perspektywy tej małej placówki widać było kłębowisko konfliktów narodowościowych jak na dłoni. Doskonała szkoła dyplomacji, a praca trochę wywiadowcza: „myśmy pilnie obserwowali ruchy naszych Ukraińców, którzy się tu chronili pod skrzydło Benesza...”

Raporty praktykanta Kuśniewicza spodobały się do tego stopnia w MSZ-ecie, że ówczesny kierownik Departamentu Wschodniego, Tadeusz Kobyliński, skierował go, bynajmniej jeszcze nie na etat, ale na intensywny kurs, po którym obowiązywał egzamin; spora liczba uczestników odpadała.

Kolejną placówką była Tuluza: „nudnawo, ale szła wojna, inaczej prosiłbym o przeniesienie...” Zmobilizowany przez Sikorskiego, był łącznikiem między jego siedzibą a francuskim MSZ. Za mało znaczył jako sanacyjny urzędnik, żeby zaznać sam szyskan, z zażenowaniem jednak patrzył na całkowite „poddanie” Sikorskiego Francuzom.

Po zajęciu Francji — praca w wywiadzie gaullistowskim FFI. Czysta robota szpiegowska. Mówi mi o zwerbowanych prostytutkach z Bordeaux, które wychwytywały wiadomości od swoich klientów, marynarzy z tankujących nieopodal „ubotów”. Po wpadce przestąpiła go Abwehra. Pamięta piękne bankierskie pożydowskie mieszkanie na Avenue Foch; uprzedzając grzeczny śledczy — „pan z dobrej rodziny, to niech pan sobie poczyta, co bolszewicy zrobili z waszymi oficerami” — podsunął mu niemieckie pismo *Signal*. W ten sposób dowiedział się o Katyniu.

Na mocy umowy Abetza z Lavalem wyrok śmierci zamieniono mu na bezterminowy obóz koncentracyjny z literkami RU — *Rückkehr unerwünscht* — powrót niewskazany. Jednak przeżył.

Po wojnie pozostaje w służbie dyplomatycznej „państwa ludowego”. Motywacja? „Byłem przekonany, że sytuacja została zamurowana na dobre sto lat jak po Kongresie Wiedeńskim, że Polskę rozdysponowali...” Małoż z nas tak myślało? A osąd wyboru nie do nas należy.

Gdy wkrótce zrobiło się na placówce niemożliwie, szanse pozostania we Francji stworzył Kuśniewiczowi kolega z FFI, zajmujący wysokie stanowisko. Poza tym, mając dziadka Franca, hrabiego d'Abancourt de Frangueville, mógł mieć papiery francuskie od razu.

Nie zgodził się. Wezwany, pojechał do Warszawy, choć orientował się, czym to pachnie. Uważał za brak elegancji, żeby nie użyć słowa „honor”, najpierw branie pieniędzy od komunistów, a potem brykniecie. Przed konsekwencjami, które w Warszawie rysowały się zdecydowanie niewesoło, uratował go, zupełnie niespodzianie, dawniejszy sekretarz ambasady z Paryża, a potem fisza przy Bierucie, Rogulski, Żyd z Pińska. Dlaczego? Chyba zadziałała wspólna sympatia do Apollinaire'a. Zaprosił go do siebie na kawę, w drugim pokoju zadzwonił telefon, wrócił po chwili zadowolony: „No, załatwione, nic wam nie zrobią...”

Miał pięćdziesiąt lat; zaczął pisać powieści z zamierzchłych epok.

O tym wszystkim opowiada mi przy koniaku w Konstancinie, gdy niżowa aura szczególnie daje się we znaki. Jest tam zwyczaj, że goście zapraszają się „po pokojach” na aperitif przed kolacją. Niech zdradzę naszą konspirację: gdy inni chleptali brandy, my z Andrzejem i jego żoną, Anią, też smakoszką przednich alkoholi, nalewaliśmy sobie po kryjomu Courvoisiera.

Z myślą o kolejnej zimowej okazji zakupiłam butelkę tego trunku w kwietniu na pokładzie samolotu Air France. Już się nie napijemy!

Zachowuję jednak flaszkę. Mówimy sobie z Anią, że przy najbliższym spotkaniu postawimy na stole trzecią szklankę. Dla niego. Choć ten ograny literacki chwyt jest zupełnie nie w Kuśniewiczowskim stylu, ufam, że nam przebaczy dla jakości konketu, który cenił tak wysoko.

Warszawa, maj 1993 r.

Ewa BERBERYUSZ

Polnische Buchhandlung
KSIĘGARNIA POLSKA
 Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria
 Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja Volkstheater
 Tel. i fax: (1) 52 63 114
 Konta pocztowe
 Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556
 Książki w języku polskim, polonica w językach obcych.
 Bezpłatne katalogi na żądanie

Książki

O czym pisze Jerzy Pilch?*

Zacznę od pytania natury czysto formalnej. Czym jest tekst, który wypełnia 152 strony tej książki? Jakiego typu jest to wypowiedź? Czy jest to wypowiedź mówiona — bardziej lub mniej wystylizowany monolog? Czy jest to wypowiedź na piśmie — opowiadanie w literackiej konwencji? Czy narrator tego tekstu, Gustaw, opowiada o sobie, o swoim życiu i różnych perypetiach w trybie swobodnej, niezobowiązującej gawędy, czy w formie sztucznej, wystylizowanej opowieści? A poza tym — czy może przede wszystkim — co go skłania do tego? W jakim celu to robi?

Na pytania te, niby proste, wcale nie jest łatwo odpowiedzieć. Zarówno sytuacja narracyjna, jak i status tekstu nie są tu wyraźnie określone, jak to bywa nieraz w prozie pisanej w pierwszej osobie liczby pojedynczej. Weźmy pierwszy z brzegu przykład: *Trans-Atlantyk* Gombrowicza. Oto już w pierwszych słowach tekstu powiedziane jest, w jakim celu ktoś zaczyna opowiadać i w jakim trybie to czyni:

„Odczuwam potrzebę przekazania Rodzinie, krewnym i przyjaciółom moim tego oto zaczątku przygód moich, już dziesięcioletnich, w argentyńskiej stolicy”.

Przykładów takich można by podać dziesiątki. W przypadku książki Jerzego Pilcha nie jest powiedziane wprost, po co, jak i do kogo mówi ten, który mówi. Uważam jednak, że daje się to w pewien sposób wydedukować.

Weźmy na chwilę w nawias kwestię motywu mówienia, jakim kieruje się narrator, i stylu, w jakim to robi, i skierujmy uwagę na samą opowiadaną historię — wypreparowaną

* Tekst wygłoszony podczas promocji książki Jerzego Pilcha *Spis cudzołóżnic — proza podróżna* (Puls 1993) 15 maja 1993 w Krakowie.

niejako z tych wszystkich skomplikowanych uwikłań. Uprzymiarniamy sobie, o czym właściwie się tu opowiada, a jeszcze ściślej, jakie wypadki tworzą oś fabularną — choćby miało się później okazać, iż bynajmniej nie one są ważne dla całości. Otóż osnowa historii jest następująca:

W połowie lat osiemdziesiątych, w ramach tzw. wymiany kulturalno-naukowej, przybywa do Krakowa pewien szwedzki humanista. Zarówno cel, jak i program jego wizyty pozostają niedopowiedziane. Nic jednak nie wskazuje na to, by przyjechał on do Polski na wykłady, studia czy badania. Niedwuznacznie natomiast zasugerowany jest sens tego przyjazdu z perspektywy strony podejmującej gościa, czyli pracowników naukowych Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego. Sprowadza się on do tego, iż w zamian za ten pobyt — wiele wskazuje, iż wcale nie upragniony przez gościa, raczej wręcz wymuszony na nim — że w zamian za pobyt ten jeden z pracowników Instytutu, konkretnie: docent o wdzięcznie brzmiącym nazwisku Czatyrdah, uda się z rewizytą do Szwecji, zapewne na uniwersytet w Uppsali. Ten spłot zależności i wynikająca stąd sytuacja pociąga za sobą następujące konsekwencje:

Dyrektor Instytutu, profesor Nikodem, będąc prawdopodobnie motorem całego przedsięwzięcia, a następnie zatwierdzając kandydaturę docenta Czatyrdaha na wyjazd do Szwecji, a nawet, kto wie, może ją wręcz wysuwając (wolno przypuszczać, iż czyni to wszystko głównie, o ile nie wyłącznie po to, by promowanego podwładnego mocniej od siebie uzależnić i w przyszłości owocniej wykorzystywać) staje w obliczu palącej a delikatnej kwestii organizacyjnej: co mianowicie zrobić ze szwedzkim gościem w Krakowie, jak wypełnić mu czas i — kto miałby się tym zająć, bo przecież nie on, naturalnie. Dotychczas, przez lata, zajmował się tym właśnie docent Czatyrdah, obecnie jednak, desygnowany na wyjazd, poniekąd siedząc już na walizkach, nie może spełnić tego zadania. I profesor Nikodem zwraca się z tą sprawą do zatrudnionego w Instytucie (dodajmy: na bliżej nieokreślonym stanowisku) magistra Gustawa — głównego bohatera i narratora całej opowieści.

Tytułem dygresji zwróćmy uwagę, iż spłot antecedencji, który doprowadza do wypadków stanowiących zasadniczą oś akcji — poczynając od obudzenia Gustawa dzwonkiem telefonu i przekazania mu wiadomej nowiny przez profesora Nikodema — jest czymś analogicznym, czym dla niektórych bohaterów romantycznych, jak na przykład Kordiana lub Fausta, było tak zwane przygotowanie albo prolog w niebie. Dla Gustawa boskimi siłami decydującymi o jego losach

ponad jego głową są prawa i osoby rządzące w Instytucie. Niebem, Olimpem jest Uniwersytet włączony w krwiobieg podpisanej przez państwo umowy o kulturalno-naukowej wymianie międzynarodowej.

Co dzieje się „na ziemi”, czyli poczynając od chwili, gdy Gustaw podejmuje się powierzonego zadania? Bieg wypadków jest następujący:

Bohater zachodzi po szwedzkiego gościa do hotelu Cracovia i udaje się z nim na wielogodzinną włóczęgę po mieście. Nie oprowadza go jednak, tak jak zostało to zaplanowane z profesorem Nikodemem, po tradycyjnie zwiedzanych zabytkach Krakowa, lecz głównie po miejscach upamiętnionych przez co drastyczniejsze represje dokonane przez komunistyczną służbę bezpieczeństwa na przedstawicielach antykomunistycznej opozycji, oraz po mniej głośnych lub zgoła niczym nie wsławionych uliczkach i przybytkach, takich jak punkt skupu opakowań szklanych albo bar „Vis à vis”, które z różnych powodów bliskie są jednak jego pamięci i sercu. W pewnym momencie wędrówki bohater prowadzi gościa do mieszkania swojej dawnej i dawno nie widzianej znajomej, która podejmuje przybyłych kolacją, ubarwiając ją opowieścią o groteskowym zdarzeniu w Muzeum Lenina, stojącym naprzeciw jej okien. Wreszcie zmęczeni alkoholem wędrownicy lądują w jakimś nocnym lokalu, gdzie niezamożny bohater dalej poi swego nieszczęsnego podopiecznego albańskim koniakiem i — poniekąd na siłę, a w każdym razie bez najmniejszej zachęty ze strony cudzoziemskiego gościa — usiłuje zapewnić mu towarzystwo kobiet wydzwanając bezskutecznie z telefonicznego automatu do różnych bardziej lub mniej znajomych niewiast. Reszta czasu upływa na ostatecznym pogrążeniu się w alkoholowym odmęcie, czemu towarzyszą coraz to wymyślniejsze monologi Gustawa, mające — przynajmniej w jego założeniu — bawić szwedzkiego humanistę, a jednocześnie służyć mu za naukę. Gdy zaś ten w końcu, śmiertelnie znużony, daje za wygraną, osuwając się na blat stolika i zasypiając ciężkim pijackim snem, niepokonany Gustaw znajduje jeszcze na krótko słuchacza w obserwowanej od dłuższego czasu kelnerce Iwonie Goździk, po czym opuszcza lokal i — poprzez nocny Kraków — dociera na pobliskie wzgórze, skąd — niczym z lotu ptaka — przygląda się uśpionemu miastu.

Tak przedstawia się osnowa akcji. Zwróćmy teraz uwagę na co najmniej dwie okoliczności. Po pierwsze na to, iż o tym pierwszoplanowym ciągu wydarzeń mowa jest nie więcej

niż w dwunastu rozdziałach spośród dwudziestu pięciu, z jakich składa się całość, czyli w niespełna połowie tekstu; w dodatku w wielu z nich temat ten bywa zaledwie muśnięty, zasygnalizowany otwierającą lub zamykającą klamrą. Po drugie zaś zwróćmy uwagę, iż kolejność, w jakiej następują po sobie te rozdziały, w najmniejszym stopniu nie pokrywa się z chronologią wydarzeń. Rozdział pierwszy, na przykład, zatytułowany „Pierwsze takty songu sutenera” odnosi się — pod względem chronologii zdarzeń — do końcowej fazy akcji, gdy bohaterowie siedzą już w nocnym lokalu. Z kolei zaś wypadki inicjujące akcję — poranny telefon profesora Nikodema — opisane są częściowo w rozdziale czwartym („Teorie porannych zapaści”), a częściowo — dopiero w siedemnastym („Zmierzch Zachodu”).

Powstają więc kolejne pytania: Czego dotyczą rozdziały pozostałe — w przytłaczającej liczbie trzynastu? Jak się ma ich zawartość do głównego nurtu wydarzeń? I jaka zasada rządzi ich następstwem?

Na pierwsze z pytań odpowiedź jest w miarę prosta. W rozdziałach nie dotyczących bezpośrednio akcji Gustaw opowiada o sobie, o różnych swoich przeżyciach, doświadczeniach i myślach. Rozdziały te to jakby rozbudowane dygresje, wpłatane między ogniwa zasadniczego wątku. Natomiast, jak się one mają do pierwszoplanowej historii i co decyduje o ich kolejności — ba, z tym już niejaki problem.

Na trop jego rozwiązania — jak zresztą wszelkich innych kwestii, jakie niesie ta wielopiętrowa proza — prowadzi możliwie najpełniejsza charakterystyka głównego bohatera i rekonstrukcja jego biografii, dokonane na podstawie analizy jego wyznań, wspomnień, marzeń i stylu mówienia. Przystąpmy tedy do tego fundamentalnego zadania — sportretujmy Gustawa. Opiszmy jego życie, jego osobowość, charakter.

Wypełniony przez niego kwestionariusz personalny brzmiałby zapewne tak: urodzony — w pierwszej połowie lat 50-tych; zamieszkały — w Krakowie; pochodzenie społeczne — inteligencja pracująca; wyznanie — ewangelicko-augsburskie; stan — żonaty; wykształcenie — wyższe; zawód wykonywany — pracownik naukowy Uniwersytetu Jagiellońskiego, zatrudniony w Instytucie Filologii Polskiej na bliżej nieokreślonym stanowisku.

Co się jednak kryje za tą oficjalną maską? Niełatwo będzie dobrać słowa, aby to opisać.

W pewnej warstwie — kto wie, może najgłębszej, najbardziej elementarnej — jest on człowiekiem przeciętnym.

Przeciętnym w tym sensie, że pozbawionym zdolności, które pozwoliłyby mu robić rozmaite kariery — naukowe, artystyczne, finansowe, społeczne czy choćby towarzyskie. Inaczej mówiąc, jest on skazany na pewną szarość i nijakość, na ubóstwo — duchowe i materialne, na mizериę, marginesowość, podrzędność. Co więcej wychowany w duchu religii protestanckiej, ma szczególnie wyostrożoną świadomość nieodwracalności swojego losu. Nauka o predestynacji nie pozostawia mu żadnych złudzeń. Urodził się na małą miarę i taki już będzie po wieczność. Nic mu nie pomoże, ani praca, ani przypadek: nie zazna łaski, nie znajdzie się nigdy wśród możliwych i jasnieoświeconych tego świata. Jego świat będzie przyziemny i niski, sprawy — pokątne i małe, pełne upokorzenia i wstydu. Dręczyć go będzie popęd płciowy — nie dana mu będzie miłość. Dręczyć go będzie żądza użycia — nie dana mu będzie radość używania. Dręczyć go będzie ambicja — nie dane mu będzie jej zaspokojenie.

Życie z taką świadomością jest rodzajem piekła. I jeśli z jakichkolwiek powodów nie kończy się z nim, ono samo uruchamia rozmaite mechanizmy obronne, polegające na swoistym otorbianiu bólowego miejsca. Zanim jednak spróbuję uchwycić ich istotę, przyjrzyjmy się jeszcze naprzód, jak wygląda żywot tak a nie inaczej ukształtowanego Gustawa, wrzuconego w świat w takim akurat miejscu i czasie jak Polska drugiej połowy XX wieku.

Oto jego „sielskie, anielskie” dzieciństwo:

Zawstydzające opowieści podwórkowe rówieśników o współzyciu własnych rodziców w poniżających jednopokojowych kłitkach socjalistycznego budownictwa. Dziwaczne ćwiczenia „pływania na sucho” — (gdzieżby tam jaki basen lub choćby jezioro lub rzeka!) — wykonywane z tragikomicznym namaszczeniem wraz z ojcem w przyciemnionym pokoju — praktyki, które sniły się później przez całe życie. Idiotyzm i koszmar szkoły, z nieustannymi prymitywnymi odwołaniami — zarówno w zabawie jak i na zajęciach — do wojny z Niemcami; obsesyjne przyrównywanie wszystkiego przez nauczyciela do rzeczywistości obozu koncentracyjnego. Obłędne pytanie „Ileś zabił Niemców?”, zadawane ojcu i dorosłym niczym test sprawdzający. Upokarzające konflikty w domu na tle wyznaniowym: odejście brata z narzeczoną wyznania rzymskokatolickiego traktowane jako nikczemny upadek. Wiecznie zepsuta spluczka w ubikacji.

A oto jego „górna” młodość:

Afekt do studentki zootechniki w zakładzie doświadczal-

nym w Kołudzie Wielkiej w groteskowych okolicznościach zbierania przez nią materiału do pracy magisterskiej na temat płciowych zachowań gęsi. Nudne, stereotypowe małżeństwo. Banalna, żałosna reakcja na domniemanego rywala (podrapanie mu twarzy paznokciami). Upokarzająca — z powodu braku pieniędzy — podróż na Zachód. Serie nędznych, z reguły niespełnionych miłości, kosztujących wszelako mnóstwo zabiegów, starań i czasu.

No i wreszcie jego „wiek męski, wiek klęski”.

Nieokreślona, lecz z pewnością nie efektowna kariera akademicka, pełna natomiast uniżoności i służalczości wobec przełożonych. Pogłębiająca się skłonność do kieliszka. Marne przygody erotyczne, pełne przeszkód i absurdałnych powikłań. Przyjmowanie w zawołany sposób różnych form jałmużny od goszczonych cudzoziemców. Cyniczne kupczenie martyrologią narodową. Stoczenie się do poziomu trawionego alkoholowym głodem kłoszarda, zbierającego puste butelki w celu otrzymania talonu na dodatkową flaszkę wódki.

Nie sposób zaprzeczyć, iż jest to żywot marny, zdegradowany. Pozbawiony światła, nadziei i piękna. Kojarzy się on z różnymi słynnymi literackimi żywotami „z podziemia” — z bohaterami Gogola, Gonczarowa, Dostojewskiego; z postaciami Hamsuna, Celine’a, Sartre’a i Geneta.

Bohater Jerzego Pilcha próbuje wszelako przezwyciężyć swoje przekleństwo losu. W jaki sposób to czyni? Przy pomocy jakich narzędzi i środków?

Zbawienie, choć zarazem zatrute, jak się za chwilę okaże, remedium na koszmar podrzędnej, spaczony egzystencji, znajduje on w literaturze — we wszelkich jej aspektach i wymiarach. Jego pierwszym odkryciem jest to, że rzeczy tego świata, choćby najprostsze czy najprzysiemniejsze, nazywane w literaturze, są jakby czymś innym, jakby szlachetniejszym. I że tym co je uszlachetnia, jest język. Kolejnym — już nie tyle odkryciem, co stwierdzeniem faktu — jest to, że literatura jako dziedzina sztuki daje dostęp do wyższego, uprzywilejowanego świata, choćby się nawet było najgorszym degeneratem czy wykołajeńcem. Pisarze, słynni pisarze, cieszą się estymą, stają się legendami, przechodzą do historii — choćby ich życie było pasmem nieszczęść i upadków. A więc literatura zbawia. Zbawia doraźnie przez zaczarowywanie słowami rzeczywistości i zbawia na dalszą metę, dając szansę wstąpienia do Panteonu, fundując ziemską wieczność.

Wszystko to zgadza się pod jednym warunkiem: że ten, kto szuka wyjścia przez literaturę zna — mówiąc słowami

Zbigniewa Herberta — „sekret zaklinania słów”, zna sekret „formy odpornej na działanie czasu, bez czego nie ma frazy godnej pamiętania, mowa jest jak piasek”. Czy Gustaw jest człowiekiem, który zna ów sekret? Czy jest on tym wyklętym, który ocala słowem?

Tu się zaczyna problem. Gustaw jest dzieckiem XX wieku. Wychowanym w dodatku w kraju upośledzonym — w socjalistycznej Polsce. A czym jest wiek XX? A zwłaszcza PRL? Wiek XX wśród rozlicznych katastrof i plag, jakie przyniósł, przyniósł również i taką, którą można by nazwać totalną pauperyzacją w sztuce. Barbarzyńcy wtargnęli również do ogrodu. Totalnie pojmowany postulat równości i równouprawnienia objął i tę dziedzinę, która z natury rzeczy jest elitarna i arystokratyczna. — Dlaczego artystą ma być tylko geniusz? — zaczęło padać buńczuczne pytanie. — Dlaczego splendory mają służyć wyłącznie na wybrańców bogów? To niesprawiedliwe. Ba, to nikczemne, haniebne! Poetą może być każdy. Każdy jest potencjalnym artystą. Wyższość — to schyłek i rozkład. Niższość to siła, do której należy przyszość. Wszystko, co gorsze, co niedojrzałe, co młode, jest dialektycznie zwycięskie! Wyklęty, powstań, grafomanie!

Tego rodzaju idee — cała rzeczywistość społeczna, która się z nich zrodziła — stały się przedmiotem rozbudowanej nauki, a dalej chlebem powszednim każdego studenta wydziałów humanistycznych. Ucząc tych wszystkich nowinek — filozoficznych, psychologicznych, literackich — ucząc ich jako pewnego kanonu wiedzy, jako czegoś już usankcjonowanego — uczono mimowolnie życia ułatwionego. Zamiast podciągać wzwyż, co było założeniem (rzecz jasna, utopijnym), obniżano poprzeczkę, anulowano kryteria, pozwalano na wszystko. Artystą może być każdy. „Wszystko jest poezją”. Nie ma tematów lepszych i gorszych, ważnych i nieważnych, wszystko się liczy tak samo. Nie ma takiej nędzy duchowej, której nie dałoby się przezwyciężyć i przekuć na wartość. Obalono wszelkie możliwe tabu, dokonano na wielką skalę fetyszyzacji kultury, w sumie doprowadzono do wielkiej mistyfikacji, beczelnej uzurpacji, kolosalnego szalbierstwa. I ten to właśnie klucz, czy raczej diabelski wytrych posiadał Gustaw na drodze swej edukacji.

I cóż z tego że jestem zerem?, pomyślał któregoś dnia. Cóż z tego, że moje życie — moje myśli, pragnienia, przygody są marne lub wręcz żałosne? Są takie, jakie są, lecz skoro są, są ważne. I tak jak wszystko inne — godne literatury. A bo to różni luminarze, o których mnie uczono i któ-

rych biografie pilnie studiowałem, nie żyli jak ja, w kloace? Zboczeńcy, erotomani, pijacy, złodzieje, kapusie! Jeśli jest *Pieśń Maldorora*, czemu nie ma być „bezlitosnej pod każdym względem” *Pieśni stręczyciela*? I *Wielkiej Pieśni Fetyszysty*, i *Historii pończochy*, i *Biografii wynalazcy kontrafałdy*? Jeśli jest *Traktat o manekinach*, czemuż ma nie być *Traktatu o ciele i duszy mężczyzny telefonującego do kobiety*? Jeśli jest tyle teorii — teorie Freuda, Einsteina — dlaczego by nie napisać *Teorii zdrady małżeńskiej*, *Teorii siedzenia w wannie*, *Teorii kilku zdań*?

Lecz nawet by pisać brednie, trzeba mieć trochę weny lub woli doprowadzenia rzeczy do końca. Tymczasem Gustaw i tego jest pozbawiony. Miesiącami, całymi latami przygotowuje się do stworzenia coraz to nowych fantasmagorycznych opusów, nabywa w tym celu dziesiątki nowych zeszytów z bezdrzewnego papieru — lecz nigdy ale to nigdy nie wychodzi poza pierwszą ich stronę, poza jakieś otwierające zdanie, kilka notatek skreślonych naprędce lub sporządzenie dziesięciu, góra piętnastu fiszek, opłaconych wielogodzinną wizytą w bibliotece naukowej.

Choroba na literaturę, ów złowrogi bakcył, którym dotknięty jest Gustaw, potrafi jednak sobie poradzić nawet i z tym stanem rzeczy, czyli ze stanem ostatecznej i jakby nieodwołalnej już impotencji. — Po co od razu pisać, po co się tak śpieszyć? — odpowiada przewrotny zarazek, dostosowujący się do wszelkich warunków. — Napiszesz kiedyś, później; na razie zaś traktuj wszystko, co się z tobą dzieje i co cię otacza, jakby już było pisane, jakbyś sam był postacią a zarazem jej twórcą.

I Gustaw zaczyna grać. Przed sobą i przed innymi. Lecz przede wszystkim — przed sobą. Stwarza fikcję, której jest jednocześnie źródłem i bohaterem. Gra nieustannie kogoś, kto nieustannie tworzy — jego gesty, słowa i myśli są jak pisane zdania. Każdy dzień jest rozdziałem, opowieścią, nowelą. On sam zaś jako bohater tej permanentnej fikcji jest wciąż dojrzewającym pisarzem, który zostanie, naturalnie, kiedyś odkryty i doceniony. Na razie zaś pokonuje ową usianą cierniami drogę, jaką — przynajmniej w myśl nauk, jakie pobrał na studiach — przejść musi każdy artysta. W tej grze z samym sobą spożytkowuje całą swoją literaturoznawczą wiedzę, znajomość stylów, cytatów, słynnych motywów i legendarnych słów-kluczy. Jednocześnie podporządkowuje jej całe doświadczenie życiowe.

Powiedziano mu, że dzieciństwo jest ważne. Proszę bar-

dzo, mamy dzieciństwo. Postać ojca, owa kluczowa figura w naukowo-literackiej mitologii XX wieku. Proszę bardzo, mamy i ojca. Seks, erotyczna obsesja — jak najbardziej, w każdych ilościach. Zahamowania wynikłe z wychowania religijnego — naturalnie, i to jak jeszcze! — w mrocznym bergmanowskim, protestanckim wydaniu. Nałogi, alkoholizm — bez tego wszak nie ma głębi. Jest — i pijaństwo, i tytoń.

I tak trwa ten kabotyński kontredans, to codzienne „układanie dramatu” z materii codziennego życia w myśl wynaturzonych XX-wiecznych przepisów. Aż wreszcie — jest rezultat! Po iluś latach gra wydaje niespodziewane owoce. Gustaw spisuje wreszcie swe myśli i przygody. Oto one — *Spis cudzołóżnic* — wykwintna „proza podróżna” w dwudziestu pięciu rozdziałach. Przyrządzona jak trzeba, na modłę dwudziestowiecznych wzorów: z poszatkowaną fabułą, z dygresjami, pauzami, z wywróconą do góry nogami chronologią wydarzeń, z dziesiątkami cytatów, odniesień i aluzji literackich. Dziełko wymagające — niczym *Ziemia jałowa* Eliota — przypisów i odsyłaczy; wyjaśniających, na przykład, o kogo chodzi w retorycznym pytaniu padającym na stronie 37: „Czy trzeba być rasowym gdańskim epikiem, by wiedzieć, jak na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych wyglądała butelka oranżady?”, albo czego parafrazą jest zdanie ze strony 49: „Pamiętam upalne sezony, na które wyjeżdżaliśmy z matką nad morze, wydając samotnego ojca na pastwę, rzecz jasna, oszałamiających, skwarnych dni letnich”, albo wreszcie jakiego poetę cytuje narrator na stronie 42 słowami: „Stoi to miasto jak niewidzialna zasłona łzawiącego gazu”. (Gdybym otrzymał zamówienie z Biblioteki Narodowej na opracowanie naukowe prozy Gustawa, zażądałbym słonego honorarium. Przypuszczam bowiem, iż przypisów na każdej stronie byłoby więcej niż tekstu.)

A zatem mamy nareszcie odpowiedź: tekst wypełniający 152 strony książki Jerzego Pilcha jest dziełem literackim magistra Gustawa — jego debiutem, a raczej pierwszą w ogóle napisaną i zakończoną pracą, bo przecież to, że możemy ją czytać, nie oznacza bynajmniej, że ukazała się drukiem. Drukiem ukazała się tylko książka Jerzego Pilcha. To zasadnicza różnica.

Don Kichot nazywał się średniowiecznych romansów rycerskich i potraktowawszy je nazbyt dosłownie, wyruszył w swą słynną wyprawę, aby bić się z wiatrakami. Dziesiątki egzaltowanych młodzieńców naczycawszy się w XIX wieku *Cier-*

pień młodego Wertera, przelewało na papier burze swoich doznań i rozstawało się z życiem. Gustaw, nasz rodzimy i współczesny bohater, naczytawszy się bez umiaru XX-wiecznej literatury i towarzyszących jej nowinek filozoficznych i psychologicznych, naprzód zaczął postępować — myśleć, mówić, zachowywać się — na obraz ich i podobieństwo, a wreszcie na tej podstawie stworzył własne dzieło. Romanse rycerskie były literaturą serio, literaturą „prawdziwą”. Literatura i sztuka XX wieku — ta która stała się klasyką — jest w znacznej mierze parodią. Dzieło magistra Gustawa jest parodią parodii. W dodatku nieświadomą.

Tytuł jednego z ostatnich esejów Gombrowicza brzmiał „Im mądrzej, tym głupiej” i traktowany był przezeń jako rodzaj przestrogi dla kultury i cywilizacji zanadto ufającej rozmaitym scjentyzmem. Szydercza książka Pilcha mogłaby ową sentencję mieć za swoje motto. Zarazem jednak — może nie w zamierzeniu, może nie w pełni świadomie — stanowi ona ironiczne wyzwanie pod adresem mistrza: spójrz, do czego prowadzi ubóstwienie niższości, jak łatwo sprzenie-wierzyć ową dialektykę, jak groźne stają się tego rodzaju idee w niepowołanych rękach.

Posiałeś, Gombrowiczu, niebezpieczne ziarno.

Antoni LIBERA

Else Lasker-Schüler w przekładzie

Nowsza, czyli poromantyczna poezja niemiecka nie jest w Polsce zbyt dobrze znana z przyczyn zarówno językowych jak i politycznych. W okresie międzywojennym tak dużo Polaków znało jeszcze niemiecki, że przekłady wydawały się w pewnym sensie zbędne. Po wojnie kultura niemiecka traktowana była nieufnie przez szeroką publiczność, a instrumentalnie przez władze komunistyczne i efektem tego jest, że do dziś literatura naszych bezpośrednich sąsiadów jest gorzej reprezentowana niż nowsza twórczość Francuzów czy Anglików — szczególnie w dziedzinie poezji. Z uznaniem więc witać należy wszelkie inicjatywy zmierzające do wypełnienia tej luki. Do przedsięwzięć tego rodzaju za-

liczyć można wydany pod koniec ub. roku wybór liryki Else Lasker-Schüler (1869–1945) w przekładzie Eugeniusza Wachowiaka*.

Ta poetka pochodząca z Nadrenii (Wuppertal) związana była aż do roku 1933 z berlińskim środowiskiem ekspresjonistów (Gottfried Benn, Georg Grosz, Franz Marc, Franz Werfel i in.), następnie — z racji żydowskiego pochodzenia — znalazła się na wygnaniu (Szwajcaria i Palestyna). Jej życie osobiste było nieudane i smutne: w pierwszej fazie z powodu nad miarę wybujałego „cygańskiego” *modus vivendi*, w drugiej — z wiadomych względów. Zmarła w biedzie i opuszczeniu w Jerozolimie, gdzie w 1943 ukazał się jej ostatni zbiorek poetycki pt. „Mój błękitny fortepian”. Ów „błękit” — wciąż przewijający się w jej twórczości, wierne echo słynnego obrazu Marca „Błękitny koń” — Jerozolima i wygnanie, wszystko ma wartość wręcz emblematyczną dla jej poezji, w której hebrajska mitologia, post-neoromantyczna wrażliwość i prawdziwe nieszczęście tworzą jakość szczególną i łatwo rozpoznawalną. Dla wielu Else Lasker-Schüler jest największą poetką niemiecką tego stulecia. Aby ująć to w kategoriach polskich, w przybliżeniu oczywiście, należałoby wyobrazić sobie syntezę Leśmiana i późnej liryki Jasnorożewskiej-Pawlikowskiej — a wszystko to w „przestrzeni słownej”, w której częstym gościem był i Rilke.

To ostatnie nazwisko winno być przypomnieniem, jak trudna i niewdzięczna — bo właściwie niewykonalna — jest praca tłumacza utworów poetyckich. W nich bowiem gnostyczny-apokaliptyczny Bóg-Słowo w pełni ukazuje swój zazdrosny charakter: „nie będziesz miał bogów cudzych przede mną”. Nie ma i prawdopodobnie nigdy nie będzie *dobrych* polskich przekładów Rilkego: składnia, możliwości słowotwórcze, asocjacje dźwiękowe i „intertekstualne” w niemieckim i polskim są różne i jedynym praktycznym rozwiązaniem jest chyba metoda Nabokowa (por. jego angielski przekład *Oniegina*): wydanie dwujęzyczne i dosłowny „bryk” z obszernym komentarzem.

Lasker-Schüler jest mniej „lingwistyczna” od autora *Malte*, ale i jej teksty nastroczają trudności, których sumienny i w sumie gładki przekład Wachowiaka nie wszędzie jest w stanie pokonać. Podam jeden przykład. Przejmujący wiersz o „błękitnym fortepianie” — jeden z jej ostatnich utworów — zaczyna się następująco: *Ich habe zu Hause ein blaues Klavier / Und kenne doch keine Note. / Es steht im Dunkel der Kellertür / Seitdem die Welt verrohte*. Wachowiak tłumaczy: „Mam w domu u siebie

* Else Lasker-Schüler, *Poezje/Lyrik* (wydanie dwujęzyczne). Wybór i przekład: Eugeniusz Wachowiak. Wstęp: Stefan H. Kaszyński. Głosy o... Wacław Osajca [i] Sergiusz Sterna-Wachowiak. Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, Poznań 1992, 204 str. ISBN 83-900704-1-3.

fortepian błękitny / A nie znam żadnej nuty. / Fortepian stojący w czeluści piwnicznej / Odkąd świat stał się taki zepsuty". Pomijając już pewną nienaturalność polskiego tekstu (spowodowaną podciągnięciem go pod schemat rytmiczny i rymy oryginału) chcę zwrócić uwagę na ostatnie słowo: *verrohen* jest derywatem przymiotnika *roh* „surowy” (a w przenośni „grubiański, chamski”), choć równocześnie kojarzy się ze słowem *verrotten* „gnić, psuć się”. Oryginał igra tymi dwoma znaczeniami, ale „werbalizuje” tylko pierwsze: poetka stwierdza, iż świat zbrutalniał na jej oczach, ale powstrzymuje się od nazwania tego procesu bardziej pospolitym przymiotnikiem; jej skarga wyrażona jest w formie *understatement*, które w istocie podkreśla jeszcze bardziej jej dystans i krzywdę.

Podobnych rozbieżności pomiędzy oryginałem a tłumaczeniem można by wyliczyć więcej (np. środkowa strofa wiersza „Zbliża się zmierzch” grzeszy wielosłowieciem przekładu); są one głównie wynikiem decyzji tłumacza, by utrzymać w polskiej wersji rym i rytm. Z drugiej jednak strony odnotować też należy sporo szczęśliwych rozwiązań, np. oddanie neologizmu *Gottlingchen* jako „Bożyciátko” w wierszu *Maria z Nazaretu*.

W sumie: omówiony tom jest niezłym wprowadzeniem w tę wagę poznania poezję, zarówno dzięki czytelnemu przekładowi, jak i szkicom informacyjno-analitycznym, jakie mu towarzyszą. Else Lasker-Schüler zaistniała w polskim języku.

M. BRONSKI

Nadesłane nowości wydawnicze

Tajne dokumenty — Państwo-
Kościół 1980-1989. Str. 593 i 5
nlb. (Wyd. Aneks, Londyn, i
Polityka, Warszawa, 1993).
BEREŚ (Stanisław), BRAUN (Ka-
zimierz). Rozdarta kurtyna. Roz-
ważania nie tylko o teatrze.
Str. 247 i 7 nlb. (Wyd. Aneks,
Londyn 1993).
Kryptonim „Ptaszyńska” (Donosy
na Prymasa). Opr. Marian P.
Romaniuk. Str. 202. (Wyd. Puls,
Londyn 1993).

DEFOE (Daniel). Dziennik roku
zarazy. Przeł. J. Dmochowska.
Str. 234. (Wyd. Puls, Londyn
1993).
MICHELET (Jules). Czarownica.
Przeł. M. Kaliska. Str. 288.
(Wyd. Puls, Londyn 1993).
KUKIEL (Marian). Zarys historii
wojskowości w Polsce. Str. 336.
(Wyd. Puls, Londyn 1993).
KAFKA (Franz). Wyrok. Przeł.
J. Kydryński. Str. 176. (Wyd.
Puls, Londyn 1993).

ZORNY (Zygmunt). Bajka o wol-
nym rynku. Str. 72. (Wyd. Wy-
dawnictwo ZO, Warszawa 1992).
WĘGIELEK (Janusz). Pochwała
szpiega. Esej o cynizmie. Str.
156. (Wyd. Wydawnictwo Ma-
zowieckie, Przasnysz 1993).
Świat Vincenza. Studia o życiu i
twórczości Stanisława Vincenza
(1988-1971). Pod redakcją Jana
A. Choroszego i Jacka Kolbu-
szewskiego. Str. 284. (Wyd. Ofi-
cyna Wydawnicza Leopoldinum,
Wrocław 1992).
ODOJEWSKI (Włodzimierz). Jedź-
my, wracajmy... Opowiadania.
Str. 240. (Wyd. Znak, Kraków
1993).
MISIŁO (Eugeniusz). Akcja „Wis-
ła”. Dokumenty. Str. 524. (Wyd.
Archiwum Ukraińskie, Warsza-
wa 1993).
MAKSIMOW (Władimir). Spoj-
rzenie w otchłań. Z rosyjskiego
przeł. Henryka Broniatowska.
Str. 256. (Wyd. Gryf, Warszawa
1993).
SIKORA (Jerzy). Zrywanie deko-
racji. Str. 64. (Wyd. Norberti-
num, Lublin 1993).
Antologia polskiej krytyki literac-
kiej na emigracji 1945-1985.
Wybór, wstęp i biogramy Jacek
Dąbala. Str. 460. (Wyd. RW
KUL, Lublin 1992).
KOSTACKI (Janusz, red.), BRO-
DZKA (Alina, red.). Piśmien-
nictwo — systemy kontroli —
obięgi alternatywne. Tomy I-II,
str. odpowiednio 376 i 424.
(Wyd. BN, Instytut Książki i
Czytelnictwa, Warszawa 1992).
DARSKI (Józef). Historia. Współ-
czesność. Konflikty narodowe.
Str. 134. (Wyd. Instytut Polity-
czny, Warszawa 1993).
NOWAK-PRZYGODZKA (Maria).
Słońce świeci o północy. Str.
120. (Wyd. POMOST, War-
szawa 1993).
BARAŃSKI (Stanisław), FALKOW-

SKI (Józef). Korespondencja obo-
zowa w okresie II wojny świa-
towej. Str. 192. (Wyd. Polski
Związek Filatelistów Okręgu
Warszawskiego, Warszawa 1993).
PIŁSUDSKI (Józef). Testament.
Korespondencja. Wybór i opra-
cowanie Zbigniew Cieślowski.
Str. 16 i 16 nlb. (Wyd. Spół-
dzielnia Księgarsko-Wydawnicza
Promocja, Warszawa 1991).
SZAŁAGAN (Alicja). Polska lite-
ratura i kultura literacka w
latach II wojny światowej. Bib-
liografia przedmiotowa 1945-1985.
Str. 108. (Wyd. „Wiedza o kul-
turze”, Wrocław 1992).
NIR (Roman, ks.). Szkice z dzie-
jów Polonii. Str. 601 i 7 nlb.
(Wyd. Centralne Archiwum Po-
lonii Amerykańskiej w Orchard
Lake, Michigan, USA 1990).
TARNAWSKI (Wit). Uchwycić cel.
Szkice krytyczne. Str. 136. (Wyd.
FIS, Lublin 1993).
HEN (Józef). Nie boję się bezsen-
nych nocy... Z książki drugiej.
Str. 328. (Wyd. BGW, Warszawa
1992).
WIŚNIEWSKI (Wojciech). Pani
na Berżenikach. Rozmowy z He-
leną z Zanów Stankiewiczową.
Str. 256. (Wyd. PFK, Londyn
1991).
SCHAFF (Adam). Pora na spo-
wiedź. Str. 216. (Wyd. BGW,
Warszawa 1993).
MICEWSKI (Andrzej). Katolicy
w potrzasku. Wspomnienia z
peryferii polityki. Str. 184 i fo-
tografie. (Wyd. BGW, Warsza-
wa 1993).
NOSSOL (A., bp). Teologia bliż-
sza życiu. Wpływ teologii na
egzystencję chrześcijańską. Str.
436. Wyd. Editions du Dialo-
gue, Paryż 1993).
GŁOWIŃSKI (Michał). Rytuał i
demagogia. Trzynaście szkiców o
sztuce zdegradowanej. Str. 180.
(Wyd. OPEN, Warszawa 1992).

- KRZYWICKA (Irena). *Wyznania gorszytelki*. Str. 440. (Wyd. Czytelnik, Warszawa 1992).
- TALLAT (Józef). *Rabunek i ratunek Polski*. Str. 96. (Wyd. nakładem Autora, Wrocław 1993).
- SOBOLEWSKA (Anna). *Mistyka dnia powszedniego*. Str. 224. (Wyd. OPEN, Warszawa 1992).
- FLAUBERT (Gustaw). *Słownik komunalów*. Przeł. Jan Gondowicz. Str. 148. (Wyd. Biblioteka, Warszawa-Kraków 1992).
- ZDZIECHOWSKI (Marian). *O okrucieństwie*. Str. 72. (Wyd. Znak, Kraków 1993).
- ZDZIECHOWSKI (Marian). *Wybór pism*. Str. 548. (Wyd. Znak, Kraków 1993).
- MIŁOŚZ (Czesław). *Historia literatury polskiej do roku 1939*. Przeł. Maria Tarnowska. Str. 528. (Wyd. Znak, Kraków 1993).
- RYMKIEWICZ (Jarosław Marek). *Moje dzieło pośmiertne*. Wiersze. Str. 56. (Wyd. Znak, Kraków 1993).
- KUBIAK (Zygmunt). *Przestrzeń dzieł wiecznych. Eseje o tradycji kultury śródziemnomorskiej*. Str. 288. (Wyd. Znak, Kraków 1993).
- HERAKLIT z EFEZU. *Zdania*. Przeł. Adam Czerniawski. Rysunki i grafiki Andrzeja M. Bartczaka. Str. nlb. (Wyd. Biblioteka, miejsce i rok wydania nie podane).
- HERSCH (Jeanne). *L'étonnement philosophique. Une histoire de la philosophie*. Str. 464. (Wyd. Gallimard, Folio Essais, Paryż 1993).
- BART (Andrzej). *Rien ne va plus*. Przeł. z polskiego Elisabeth Destrée-Van Wilder. Str. 370. (Wyd. Noir sur Blanc, Montricher, Szwajcaria 1993).
- WYRWA (Tadeusz). *La République nobilitaire en Pologne au XVIe siècle*. (Nadbitka z *De la Res Publica a los Estados Modernos*, Universtad del Vasco, Bilbao 1992).
- WYRWA (Tadeusz). *Les aspects socio-juridiques de la famille en Pologne aux XVI-XVIII siècles*. (Nadbitka z *Le Droit de la famille en Europe*, Presses Universitaires de Strasbourg, Strasbourg 1992).
- WYRWA (Tadeusz). *Vers la justice populaire, en Pologne, aux temps de la Révolution Française*. (Nadbitka z *Justice Populaire*, ed. Ester Hellemmes, Lille 1992).
- TRZNADEL (Jacek). *La Honte. Les intellectuels polonais face au communisme*. Przeł. Maria Rodowicz-Laurent. Str. 375 i 9 nlb. (Wyd. Editions du Cerf, Paryż 1993, cena F. 300).
- KOWZAN (Tadeusz). *Sémiologie du théâtre*. Str. 203. i 5 nlb. (Wyd. Nathan, Paryż 1992).
- ZUZOWSKI (Robert). *KOR and the Transformation of Political Dissent in Poland: The Significance of the Worker's Defence Committee*. (Nadbitka z *Politikon*, vol. 19, nr 2, czerwiec 1992).
- Harvard Ukrainian Studies*, vol. XVI, nr 1/2, czerwiec 1992. (Wyd. Ukrainian Research Institute, Harvard University, Cambridge MA, USA).
- WOJCIECHOWSKI (Jerzy R.). *A Society in Search of its Future. Poland in 1991. 23rd Annual Mickiewicz Memorial Lecture, Carleton University*. Str. 32. (Wyd. The Adam Mickiewicz Foundation, Toronto).
- Nationalities Papers/Special Issue: The Ex-Soviet Nationalities without Gorbachev*. Edited by Charles F. Furtado and Henry R. Huttenbach. Vol. XX, nr 2, str. 130. (Wyd. Association for the Study of the Nationalities of the USSR and Eastern Europe, Nowy Jork 1992).

Polemiki

Odpowiedź oponentom

Komentuję reakcje według porządku: sprawy merytoryczne (oddziaływanie promieniowania jonizującego, liczba ofiar, późne efekty zdrowotne), a w końcu konsekwencje polityczne. Materiały do dyskusji stanowią listy, które nadeszły do Redakcji *Kultury*, a w Kraju zapytania osobiste co należy sądzić o sprawie, skoro prasowe informacje, które w rocznicę ukazały się, nie zawsze są zgodne z moim artykułem.

W sprawie czasu przebywania cezu w organizmach żywych: stosunkowo krótki, zwłaszcza w porównaniu z okresem półtrwania cezu 137, okres przebywania biologicznego jest stwierdzony ponad wszelką wątpliwość. Cez jest po prostu wydalany z moczem. W ramach niewielkiego średniego stężenia w organizmie istnieje nieznaczna nierównomierność w poszczególnych tkankach. Nieco więcej jest więc, przejściowo, cezu w mięśniach prądkowych i dlatego tam głównie szuka się tego nukleidu w zwierzętach, które żyją w terenie skażonym. Radiobiolodzy stwierdzają, że zanim dojdzie do ogólnego uznania dodatkowych lokalizacji zwiększonego stężenia u człowieka, musi być przeprowadzonych wiele badań, a kilka publikacji nie stanowi jeszcze skarbcza pewników.

Podobnie w świecie roślinnym: pomimo szybkiej wymiany z otoczeniem, dochodzi do czasowo zwiększonego stężenia w niektórych strukturach. Według badań Centralnego Laboratorium Ochrony Radiologicznej w Warszawie, około 10 % cezu 137 wykrywanego w polskich grzybach suszonych, zebranych po roku 1986 pochodzi z okresu przedczarnobylskiego to znaczy z próbnych wybuchów nuklearnych lat sześćdziesiątych. Spowodowane jest to występowaniem w grzybach związków kompleksujących cez chemicznie. Można wiązać cez pewnym pigmentem złożonym z żelaza i grup cyjanowych. O ile wiadomo, technika ta, proponowana do produkcji mięsa o zmniejszonej zawartości

cezu, nie została zastosowana na skalę przemysłową z różnych powodów.

Kluczową nadal sprawą jest ustalenie faktycznej liczby ofiar pożaru czarnobylskiego. Największe zamieszanie wprowadził w bieżącą rocznicę *Time*, twierdząc, że zginęło 8 tysięcy osób. Liczbę tę powtarza przy każdej okazji np. *Życie Warszawy*; ostatnio *à propos* zwykłego wypadku spawacza w nienuklearnej części elektrowni nuklearnej. Gdzież te czasy sumienności *Time'a*, opisane przez Wańkowicza przy okazji pracy jego córki w tej redakcji! Dziś tygodnik ten zachowuje się wraz z instytucjonalnym już *New York Times* (a w Europie jest cytowany przez p. Daszkiewicza *The Guardian*), jak wyrocznia. Zupełnie jak przedwojenna polska prasa „czerwona” (od krwi). Kto jak kto, ale radiobiologowie chcieliby listę tych 8 tysięcy zobaczyć, ponieważ historia napromieniowania i choroby jest bezcennym materiałem dla wykorzystania w celach terapeutycznych, nie mówiąc już o wnioskach poznawczych. Każdy pojedynczy wypadek radiacyjny jest roztrząsany na wszystkie strony właśnie dla dobra człowieka. Na szczęście wypadków takich jest bardzo mało i lista 8 tysięcy dałaby już dobre dane statyczne. Niestety, wszelkie próby uzyskania danych szczegółowych są bezowocne. Przy okazji dowiedzieć się można było, że istniały na Białorusi takie dane na dyskietkach, ale te zostały skradzione (przypomina się powiedzenie, że listy, które nie dotarły, w ogóle nie były wysłane). Przypuszczam, że liczba 8 tysięcy osób zmarłych jest prawdą, tyle że przyczyny mają tylko pośredni związek z promieniowaniem. Mogą to być idące w setki wypadki drogowe podczas chaotycznej ucieczki, samobójstwa z przerażenia czymś nieznanym, ataki serca i inne pośrednie przyczyny, o których pisałem. A może doliczono niezliczone a niepotrzebne aborcje i śmierci kobiet traktowanych taśmowo? Świat radiobiologów nadal czeka na naukowe publikacje.

Równolegle z publikacją w *Kulturze* pojawiły się informacje — rocznicowe, tym razem (*Gazeta Wyborcza*) twierdzące, że Czarnobyl równał się wybuchowi 36 bomb atomowych. Proszę porównać z moim artykułem — nastąpiło prawie dziesięciokrotne obniżenie stopy grozy. Kierunek jest dobry, miejmy nadzieję, że w następną rocznicę porównanie spadnie do zera, jako że awaria czarnobylska nie ma nic wspólnego z wybuchem bomby nuklearnej. A przy okazji zaczynam powątpiewać w myślenie logiczne redaktorów *G.W.* i tych, którzy wymyślili porównania z bombami. Nawet jeżeli przyjmijemy nieudowodnioną liczbę ofiar na 8.000, to wypadnie (8000/36) 222 i kawałek człowieka na jedną bombę klasy Hiroszimy. Panie dziennikarki i panowie dziennikarze, o czym w takim razie mówimy, wspominając ewentualny atomowy holocaust, koniec świata itd.? Przecież

od porządnej serii karabinów maszynowych położonej po tyralierze wroga ginie więcej żołnierzy?! Uważam, że popularyzatorzy wiedzy ścisłej zbyt rzadko udowadniają nonsensy sprowadzaniem twierdzeń *ad absurdum*.

W liście p. Piotra Daszkiewicza uderzyły mnie dziesiątki stwierdzeń i liczb pochodzących z jakichś niewymienionych pismek *Green Peace'u* (prawdopodobnie) i krajowych, jak to się teraz mówi, oszołomów (rzekome szkody na zdrowiu w Polsce z powodu Czarnobyla są całkowicie nieprawdziwe). Korespondent uważa, że niecytowanie takich danych jest cenzurą stosowaną w prasie naukowej. Jest to oskarżenie zbyt poważne, by przy tej okazji nie zostało napiętnowane.

Piśmiennictwo naukowe opiera się na starannym recenzowaniu (*peer review*) nadesłanych manuskryptów. Współczynnik odrzucania nadesłanych prac do dobrych czasopism przekracza 0,5! Więcej niż połowa publikacji zostaje zwrócona autorom. Bez tego wiedza nie szłaby naprzód, tylko grzęzła w zaułkach bez wyjścia. Mimo to zresztą zdarzają się pomyłki, które trzeba później pokornie prostować. Pomyłki w drugą stronę (zaniechanie druku dobrej pracy) zdarzają się rzadziej. Jeżeli system recenzowania nazwie pan Daszkiewicz cenzurą, to Jego sprawa. Działając długie lata jako redaktor działu w czasopiśmie nukleonicznym zdarzało mi się proponować pozycje do odrzucenia i nawet na myśl mi nie przyszło, że działam jak cenzor. Jak każdy redaktor, starałem się być jak najbliżej prawdy. Koledzy z innych nauk nie zdają sobie najwidoczniej sprawy z dążności nauk ścisłych do ustalania prawdy. Bez tego wał się gmachy, o których wspominałem w numerze majowym *Kultury*.

Jeżeli jakiś nieodpowiedzialny redaktor bierze na swoje sumienie każdą bzdurę, którą mu dziennikarz przyniesie, to widocznie nie dba o reputację swojego pisma i w ogóle nie bierze pod uwagę społecznych skutków swojej lekkomyślności. Sądzę, że moje stwierdzenia są jednocześnie głosami do dyskusji o cenzurze, jaka toczy się w Polsce.

Nie mogę powiększyć objętości mojego komentarza, ale wszystkim, którzy się wahają pomiędzy uwierzeniem w pismka o Czarnobylu a twardymi faktami polecam „Special Report” w kwartalniku *21st Century (USA)*: „*Hanford Workers Health and the Decline of Scientific Debate*” (Zdrowie pracowników Hanford [najstarszy obiekt przemysłu nuklearnego w USA] i upadek dyskusji naukowej). Można się dowiedzieć, jak wygląda prawda, a przy okazji o znamienności statystycznej różnych odchyśleń zdrowotnych, które przypisuje się promieniowaniu jonizującemu i skażeniom.

List p. Jerzego Horzelskiego posądza mnie o przynależność

do spisku „nuklearnych potentatów”, którzy rzekomo rządzą światem. To oczywisty nonsens, ale groźne są wnioski z tego wyciągane, że „grupy te zrobią wszystko, by dyskredytować i uniemożliwić akcje ruchów społecznych”. Szanuję wszystkich społeczników, grupy protestujące i pikietujące (byle by nie stosowały terroru). Jednakże właśnie rozwój wydarzeń w ostatnich latach udowadnia, że uczestnicy tych ruchów byli w brutalny sposób manipulowani i padali ofiarą własnej naiwności. Jak pamiętamy, jeszcze niedawno ci rzekomi społecznicy urządzali liczne protesty przeciwko przemysłowi nuklearnemu RFN. Dziś wiadomo, że ruchy „społeczne” były finansowane przez STASI i upadek tej organizacji zakończył „jak ręką odjął” wszystkie protesty, które miały destabilizować RFN, a w podtekście były ukrytym a trochę słusznym kompleksem, że nukleonika zachodniemiecka jest zwyczajnie lepsza od imperialnej. Obecne protesty w Niemczech, jeżeli są, mogą być wyrazem autentycznego głosu społecznego i warto oczywiście obserwować ich argumenty i uświadamiać „protestantom” prawdziwe aspekty nukleoniki.

Przy okazji warto przypomnieć, że w okresie maksymalnego nasilenia akcji przeciw energetyce nuklearnej w Niemczech wszystko kończyło się na Renie i nastroje przechodziły po drugiej stronie wody w wesoły piknik za płotem elektrowni. Wyglądało na to, że Francja była wyłączona przez ZSSR z protestów. Alternatywnym przypuszczeniem byłaby niemożliwość przekupienia Francuzów, by zaczęli protestować. Nie bardzo chce mi się w to wierzyć, bo bezrobotni są zawsze rezerwuarem taniej siły protestującej. A więc dlaczego ZSSR wyłączył Francję? Z powodu dobrej współpracy przemysłów nuklearnych. Rosjanie tanio wzbogacili Francuzom uran i nadal współpracują, jak to okazało się przy okazji awarii w Tomsku „7”. Nic w tym złego i nic tajnego. ZSSR od wielu lat ogłaszało w czasopiśmie specjalistycznych swoje oferty i Francja m.in. z nich skorzystała. W obecnym skomplikowanym technologicznie świecie każdy się w czymś specjalizuje. Jeden robi coś taniej, inny co innego korzystniej i lepiej. Francja na przykład przerabia paliwo dla Japonii itd., itd. Wniosek dla społeczników jest ten, że winni starannie sprawdzać nawet takie szczegóły, kto płaci za autobus, który ma ich dowieźć pod elektrownię.

Walka z energetyką nuklearną ma często przyczyny zupełnie polityczne, całkowicie wyprane z jakichkolwiek argumentów merytorycznych. Z najbliższego otoczenia: straszny ruina austriackiej elektrowni nuklearnej, która w ogóle nie została uruchomiona. Jak było stać Austrię na takie szaleństwo? Z bardzo prostego powodu: tanich importów energetycznych. Jednym z nich jest kupowanie energii elektrycznej z Polski — rozwiązanie dla Austriaków piękne; my wdychamy kwaśne deszcze i degra-

dujemy środowisko Śląska, oni ogrzewają sobie mieszkania czystym prądem! Wracając do oskarżeń p. Horzelskiego. Akcje antynuklearne nie oparte o faktyczne zagrożenia będą prowadziły do takiego podrożenia energii nuklearnych, z powodu podejmowania szeregu kroków niepotrzebnych, że stanie się ona nieopłacalna. Oznaki tego zaczynamy widzieć już w USA. Producenci innych źródeł energii elektrycznej zacierają ręce. Ich się nikt nie czepia. Jeżeli klucz upadnie na odcisk elektryka w elektrowni nuklearnej, to podnosi się hałas na cały stan, a w przemyśle energetycznym nienuklearnym? Warto jako ilustrację przytoczyć dane z Polski. O małych (tzn. jeden zabity) wypadkach w kopalni nie pisze się w ogóle. Statystyki dowodzą, że na każdy milion ton węgla musi zginąć jeden człowiek, a kilku zostać kalekami. A tych ton dobywa się rocznie grubo ponad sto milionów. Co na to społecznicy? Nic. A liczba ofiar nie uwzględnia transportu węgla. W trakcie grzebania Żarnowca nie dopuszczano do głosu rozsądku. Kto tu był w pojęciu p. Horzelskiego agentem zмовy „trustów, towarzystw ubezpieczeniowych, banków o zainwestowanych trylionach dolarów”?

Zbigniew P. ZAGÓRSKI

P.S. Nie ustosunkowuję się do zarzutów wynikających z niedokładnego przeczytania mojego artykułu. Na przykład: nie atakowałem Wolnej Europy za to, co głosiła w okresie komunistycznym, bo spełniała dobrze swoje zadanie. Mam natomiast pretensje do tej rozgłośni za to, co robiła w okresie dobijania Żarnowca. Był to zresztą początek degeneracji, która się pogłębia, podobnie jak to się dzieje z Solidarnością, która już spełniła swoje zadanie i winna oddać swój znaczek.

Z.P. ZAGÓRSKI

Neapol, 15 czerwca 1993 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

Rozpoczynanie w *Kulturze* dyskusji między specjalistami na temat tradycyjnej kultury chińskiej nie wydaje mi się stosowne, na pewno odpowiedniejszym miejscem byłoby czasopismo naukowe. Prof. dr hab. Jerzy Küntler, jest jednak jednym z

najwybitniejszych polskich sinologów i jego polemiczny list opublikowany w 5 numerze *Kultury* dotyczący mego eseju z 1/2 numeru, wymaga z pewnością potraktowania z należytą uwagą.

Prof. Künstler wymienia w nim dobrze znane fakty — prześladowania przez państwo osób i szkół podważających oficjalną ideologię cesarstwa, konflikty etniczne — podważając moją tezę o tolerancyjności kultury chińskiej. Incydentów takich można by wymienić o wiele więcej. Zagadnienie tolerancji w kulturze chińskiej jest z pewnością nader złożone i pełne jego przedstawienie wymagałoby już nawet nie studium, lecz napisania całej książki naukowej. Esej kulturowo-porównawczy rzadzi się oczywiście innymi prawami. Mój esej był reakcją na tekst Antoniego Pospieszalskiego, opublikowany w październikowym numerze *Kultury*, gdzie autor ukazywał tolerancję jako dorobek kultury zachodniej i wywodził jej źródła z Ewangelii. Ja natomiast stwierdziłem, że niewątpliwie w Europie rozwój koncepcji tolerancji był reakcją na szczególne natężenie na naszym kontynencie zjawisk fanatyzmu i chęci ich ograniczenia. Odwoływałem się do cywilizacji Bliskiego Wschodu, Indii i Chin by pokazać, że każda z nich miała w tym aspekcie nieco inną charakterystykę. Chiny zaś były pokazane jako kraj, w którym generalnie rzecz biorąc dominowała tolerancja. Oczywiście teza ta nie neguje wypadków nietolerancji i prześladowań, których skala tam była jednak nieporównywalnie mniejsza niż w Europie, a fakt braku w Chinach wojen religijnych, czy krwawych konfliktów etnicznych, był podnoszony wielokrotnie w literaturze sinologicznej.

Ksenofobia chińska i sinocentryzm są dobrze znane wszystkim badaczom Chin i sam o nich wielokrotnie pisałem, aczkolwiek stwierdzenia prof. Künstlera, że „cudzoziemiec jest zwierzęciem, toteż wojna z obcymi jest z chińskiego punktu widzenia polowaniem”, jest karykaturalnym wręcz przejawem. Ofiary z jeńców wojennych jak zwierząt ofiarnych, przezeń wspomniane, odnoszą się do cywilizacji Shang z II tysiąclecia p.n.e., podczas gdy o narodzie chińskim, a więc i o Chińczykach można mówić dopiero od końca I tysiąclecia p.n.e. Ponadto każda wojna, także toczona między państwami chińskimi, opierała się na zasadach wypracowanych wcześniej dla polowań, zaś wielkie manewry wojskowe były zwykle połączone z polowaniami, jest to zatem inny skomplikowany problem specyficznego rozwoju sztuki wojennej. Do każdego niemal jego stwierdzenia z listu można by napisać obszerną glosę, wykazującą ogromne uproszczenia, gdyby nie brać pod uwagę prostego faktu, że jest to tylko list do redakcji, a nie studium naukowe. Mam nadzieję, że prof. Künstler zda sobie sprawę z zaskakujących uproszczeń w Jego liście, gdy go przeczyta uważnie raz jeszcze. Wizja krwawej

i dzikiej cywilizacji chińskiej jaką przedstawia w tym liście, dość wyraźnie odbiega od jej współczesnych opisów w literaturze światowej.

Włączanie do polemiki naukowej odwołań do osobistej biografii badacza i wypominanie, że byłem członkiem PZPR, uważam po prostu za nie mające związku z meritum sporu. Przykro mi tylko, iż badacz tak znany i szanowany uległ presji polskich „polowań na czarownice”. Dla jego informacji pragnę jednak dodać, że byłem również członkiem pierwszej Solidarności z roku 1980, i miałem pewien wkład w wybory z 1989 r., które położyły kres rządowi PZPR.

Z wyrazami szacunku

dr hab. Krzysztof GAWLIKOWSKI

Monachium, 22.5.1993 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

W liście Niny Karsov z 15.4.1993 (*Kultura* nr 5/113) jest pewna nieścisłość, którą czuję się zobowiązana wyjaśnić, ponieważ późnym latem i jesienią 1984 r. kilkakrotnie byłam u Józefa i Barbary Mackiewiczów, gdy rozważana była sprawa spisania testamentu, a po śmierci obojga (Józef Mackiewicz — 31.1.1985 a Barbara Toporska-Mackiewicz — 20.6.1985) wspólnie z Niną Karsov i Kazimierzem Zamorskim wypełniałam wszystkie zlecenia w tymże testamencie spisane.

Mackiewiczowie zapisali Ninie Karsov wszystkie prawa autorskie z dwóch powodów: a) z wdzięczności za długoletnią przyjaźń, pomoc i troskę, b) ufając, że będzie bronić ich dorobku pisarskiego przed wszelkimi próbami wykorzystania go przez czynniki reżymu komunistycznego. Jak to rozumieli, ujęte jest jasno w Oświadczeniu Barbary Toporskiej-Mackiewicz (*Kultura* nr 3/1985, str. 170-171). W tymże Oświadczeniu wyraźnie zabrania się wszelkich przedruków w wydawnictwach PRL-owskich „zależnych od bieżącej polityki wydawniczej komunistycznych władz”. Jednocześnie zaś w tymże Oświadczeniu jednoznacznie „upoważnia się wszelkie nielegalne wydawnictwa w PRL do przedrukowywania jego [Józefa Mackiewicza] książek, pod zasadniczym warunkiem niedokonywania żadnych skrótów, adiacji, ani też opatrywania ich wstępami, komentarzami itp.” Jasno z tego wynika, że Józef Mackiewicz nie miał żadnych

zastrzeżeń przeciwko udostępnianiu swych dzieł czytelnikom w Polsce, zastrzeżenia miał jedynie co do tego, kto i w jakiej formie ma je udostępniać.

W dzisiejszej całkowicie zmienionej sytuacji politycznej — aczkolwiek jeszcze dalekiej od wymarzonego przez nas ideału — nie ma już powodu, aby książki Józefa Mackiewicza nie miały być ogólnie dostępne w Polsce. Pamiętam, jak bardzo się cieszył z każdego przedruku w drugim obiegu; pamiętam, jaki uszczęśliwiony był nagrodą *Arki*, o której dowiedział się krótko przed śmiercią. Mackiewicz chciał dotrzeć do czytelników nie tylko na emigracji, ale i w Polsce. Jego kateryczny zakaz przedruków w komunistycznych wydawnictwach nie oznacza, by nie godził się na publikacje w wydawnictwach niezależnych i sprzedaż w swoich książkach w wolnej dziś Polsce.

Wydaje mi się dlatego, że Nina Karsov myli się, pisząc, że decydując się na sprzedawanie w Polsce wydanych w londyńskiej Kontrze dzieł Mackiewicza, czyni to „wbrew woli zmarłego Pisarza”.

Łączę jak najlepsze pozdrowienia i wyrazy głębokiego szacunku

Nina KOZŁOWSKA

Londyn 1 czerwca 1993 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Ceniona i lubiana przeze mnie Nina Kozłowska pisze: „Pamiętam, jak bardzo [Józef Mackiewicz] się cieszył z każdego przedruku w drugim obiegu”. Znakomity pisarz Włodzimierz Odojewski w szkicu „Józef Mackiewicz — po latach” (*Arka* nr 42, 1992) wspomina: „Nie sądzę nawet, że były zdolne podnieść go na duchu te pierwsze jaskółki zainteresowania się jego twórczością przez podziemny ruch wydawniczy w kraju. On po prostu nie bardzo to dostrzegał”. Nina Kozłowska: „Pamiętam, jaki uszczęśliwiony był nagrodą *Arki*” — ja zaś wiem, że się o niej nawet nie dowiedział, bo już był w szpitalu po wylewie. Wszystko ludzie życzliwi pamięci Mackiewicza, świadkowie. Gdzie jest prawda? Chyba nie pośrodku.

Włodzimierz Odojewski pisze: „Myślę, że stan wojenny i to wszystko, co ze sobą przyniósł podcięło jego siły; przyjął to

jak najczarniejszą noc okupacji”. Mackiewicz pisał: „Naturalnie nie było żadnego 'najazdu na Czechosłowację' w 1968, ani żadnej tzw. 'doktryny Breżniewa'. Była to rozgrywka nie zewnętrzna, lecz wewnętrzno-komunistyczna, według nie nowej doktryny Breżniewa, lecz starej doktryny Lenina. Także rzecz się miała na Węgrzech, w Polsce Gomułki, w Rumunii. A jeszcze przedtem w Jugosławii. I wreszcie ostatnio w dzisiejszym PRL Jaruzelskiego, z jego 'stanem wojennym’”.

Nigdy bym się nie ośmieliła przewidywać, co Mackiewicz (czy ktokolwiek inny, kto już nie żyje) myślałby lub mówił. Jednakże przywilej zaufania, którym zostałam obdarzona, nakłada na mnie obowiązek podejmowania decyzji. Decydować zaś mogę tylko na podstawie własnej oceny sytuacji, własnego rozumienia *myśli i woli* Mackiewicza, wyrażonych w Jego dziele. Możliwe, oczywiście, że moja ocena sytuacji jest błędna, i że — co ważniejsze — opacznie rozumiem myśl i wolę Mackiewicza, który dziś uwierzyłby, że „wilk przeistoczył się w vegetariarę”. Wobec tego jednak, że mogę postępować tylko zgodnie z własnym przeświadczeniem, do kwietnia tak samo jak w dawnych latach, książki Mackiewicza były w Polsce rozdawane (ktokolwiek chciał je mieć, mógł je bez trudu uzyskać), kategorycznie natomiast odrzucałam wszelkie propozycje sprzedaży.

Decyzję sprzedawania w Polsce publikowanych przez londyńskie wydawnictwo KONTRA książek Józefa Mackiewicza powzięłam zatem, w moim przekonaniu, *wbrew woli* Pisarza. Powzięłam ją zaś dlatego, że nie miałam już innych możliwości chronienia praw autorskich.

Będę tę decyzję, oczywiście, konsekwentnie realizowała: KONTRA przygotowuje nową edycję dzieł zebranych Mackiewicza, której pierwsze tomy ukażą się w lecie.

Proszę przyjąć wyrazy prawdziwego szacunku

Nina KARSOV

Warszawa, 31 maja 1993 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

„Oświadczenie” pani Niny Karsov (*Kultura* nr 5/93 str. 154), przyklejone również do wszystkich sprowadzonych obecnie do kraju książek Wydawnictwa „Kontra” (i zapewne całkowicie

niezrozumiałe dla czytelników w Polsce) — wymaga kilku uzupełnień.

Józef Mackiewicz przekazał prawa autorskie żonie — Barbarze Toporskiej — a nie pani Ninie Karsov, co może wynikać z „oświadczenia”. Zmarł w styczniu 1985 roku, zaś w czerwcu tego samego roku zmarła Barbara Toporska. Jeśli więc pani Karsov twierdzi, że jest spadkobierczynią praw do spuścizny po Józefie Mackiewicz — stwierdza to wyłącznie na podstawie testamentu Barbary Toporskiej. W Warszawie żyje córka Józefa Mackiewicza — Halina Mackiewicz — której ojciec w roku 1982 przekazał prawo do dysponowania swoimi książkami w kraju. O tym, jaki był stosunek Józefa Mackiewicza do córki świadczy fakt, że dwie książki („Bunt rojstów” i „Sprawę pułkownika Miasojedowa”) też córce dedykował. Ponadto polskie prawo spadkowe (właściwe dla sprawy, ponieważ Józef Mackiewicz nigdy nie zrzekł się obywatelstwa polskiego ani nie przyjął obcego obywatelstwa) przewiduje ochronę praw spadkobierców ustawowych — małżonka i dzieci. Można więc stwierdzić, że słowa „jedyna spadkobierczyni” nie odpowiadają rzeczywistej sytuacji prawnej. Halina Mackiewicz zwracała się do pani Karsov listownie zawiadamiając o swoich uprawnieniach. W odpowiedzi otrzymała pismo w języku angielskim od adwokata.

Jeśli jednak — jak uważa pani Nina Karsov — istotnie tylko ona jest spadkobierczynią praw autorskich, uzasadnione będzie pytanie, w jaki sposób dba o interesy zmarłego pisarza, a więc przede wszystkim o powszechny dostęp do jego książek?

Sprawa ta wymaga szerszego wyjaśnienia. Żona pisarza — Barbara Toporska — była autorką „oświadczenia”, które znalazło się na książkach „Kontry” po roku 1985. Miało ono zapobiegać przedrukowi książek Mackiewicza przez oficjalne wydawnictwa w PRL i tym samym wszelkim manipulacjom władz komunistycznych. Do roku 1989 było jasne, że książki Mackiewicza mogą ukazywać się w kraju wyłącznie w oficynach podziemnych. Ale — jak powszechnie wiadomo — komunizm załamał się w krajach Europy Wschodniej w latach 1989-90. Fakt to bezsporny, jakkolwiek ocenialibyśmy sytuację polityczną w dzisiejszej Polsce. W tej nowej sytuacji zastrzeżenia zawarte w „oświadczeniu” Barbary Toporskiej straciły aktualność. Jestem przekonany, że — w interesie czytelników w kraju oraz w interesie pisarza — książki Mackiewicza należało zacząć sprzedawać w Polsce natychmiast, już od roku 1989.

Tymczasem od początku wielkich zmian na Wschodzie pani Karsov nie tylko nie starała się sprzedawać w Polsce książek „Kontry”, nie tylko odmawiała przedruków innym wydawnictwom, ale — jak się zdaje — rozszerzyła powszechny „zakaz” na przekłady w krajach Europy Zachodniej. Dlaczego na przykład

odmówiła Wydawnictwu „Noir sur Blanc” ze Szwajcarii wydania po francusku sześciu książek Mackiewicza? Jak mi wiadomo, udzieliła również odmowy kilku innym wydawnictwom na Zachodzie.

Piszę to wszystko z ogromną przykrością. Wysoko cenilem działalność wydawniczą p. Niny Karsov. Jej zasługi, jako wydawcy Józefa Mackiewicza w latach, kiedy pisarz żył i był atakowany z różnych stron, są bezsporne. Pani Karsov do końca opiekowała się i pomagała Mackiewiczom. Okazała im niezwykle dużo serca i życzliwości. Jednakże jej rola — od roku 1989 — zmieniła się zasadniczo. Nie umiem inaczej nazwać tej roli, jak postawą skoncentrowaną na blokowaniu i utrudnianiu dostępu do książek Mackiewicza.

Spuścizna po Józefie Mackiewicz nie może być prywatną własnością pani Karsov. Stanowi wartość społeczną, narodową — pozostaje częścią literatury polskiej. Choćby dlatego niedopuszczalne jest utrudnianie dostępu do niej. Można by zatem ocenić pozytywnie decyzję o sprzedaży książek „Kontry” w Polsce. Jednakże decyzja ta zbiega się w czasie z podpisaniem przez córkę Józefa Mackiewicza umowy — z wydawnictwem w kraju — na druk jednej z powieści ojca. Trudno mi uwierzyć, że dopiero ten fakt mógł zaważyć na decyzji pani Karsov.

Kazimierz ORŁOŚ

Na tym polemikę w sprawie „Nina Karsov — Józef Mackiewicz” zamykamy. **REDAKCJA.**

DRUKARNIA POLSKA

KONTRAST

Breitensteinstrasse 33 • D-W 8209 Schlossberg-Rosenheim
Telefon 08031 / 7777 • Telefax 49 8031 73113

wykonuje:

książki, broszury, katalogi, prospekty,
ulotki, blankiety, karty świąteczne oraz
wszelkie inne prywatne i komercyjne druki.

Skład elektroniczny we wszystkich
językach europejskich,
głównie w polskim i rosyjskim.

Solidne wykonanie — ceny umiarkowane.

KRAJ — BLOK WSCHODNI

26.5.93

W Lublinie odbyła się sesja poświęcona Józefowi Czapkiemu — „Życie i dzieło”, która została zorganizowana przez Teatr NN (Centrum Kultury w Lublinie), Muzeum Lubelskie „Zamek” oraz Muzeum Archidiecezjalne w Lublinie. Sesja odbyła się pod patronatem Prezydenta Miasta Lublina.

1.6.93

W roku akademickim 1993/94 Wydział Elektroniki Politechniki Warszawskiej uruchamia odpłatne studia w języku angielskim w dziedzinie Electrical and Computer Engineering. Będą to: studia pierwszego stopnia prowadzące do uzyskania dyplomu Bachelor of Science (B.Sc.), studia drugiego stopnia prowadzące do uzyskania dyplomu Master of Science (M.Sc.), studia trzeciego stopnia prowadzące do uzyskania dyplomu Doctor of Philosophy (Ph.D.). Wydział Elektroniki Politechniki Warszawskiej kształci inżynierów, magistrów i doktorów nie tylko w zakresie tradycyjnie rozumianej elektroniki, ale także w dziedzinie informatyki, automatyki, robotyki, telekomunikacji i bioelektroniki oraz komputerowego wspomagania procesów decyzyjnych. ■ W Warszawie mówi się, że prezydent Wałęsa zamierza powołać jeszcze jedną Radę: Radę do spraw Polonii. Podobno kandydatem na przewodniczącego jest Jan Nowak-Jeziorański.

2.6.93

W Radomiu rozpoczął się Międzynarodowy Festiwal Gombrowiczowski, obliczony na pięć dni. Wzięło w nim udział około 200 gości z kraju i z zagranicy. Festiwal został otwarty przez sprawującą nad nim patronat p. Ritę Gombrowicz. ■ Zmarła w Warszawie w wieku 93 lat Irena Zarzycka, pisarka, autorka popularnej w okresie przedwojennym książki „Dzikuska”.

8.6.93

W Bibliotece Narodowej w Warszawie została otwarta wystawa „50 lat Biblioteki Polskiej w Londynie”. Wystawie towarzyszy ekspozycja poświęcona Marii Danilewicz Zielińskiej, wieloletniej pracowniczce Biblioteki Narodowej w okresie międzywojennym i pierwszej kierownicze Biblioteki Polskiej w Londynie. Przy tej okazji prezydent Wałęsa udekorował p. Danilewicz Zielińską Komandorią Orderu *Polonia Restituta*.

22.6.93

Fundacja Pomocy Bibliotekom Polskim rozwija ożywioną działalność. W księgarni Fundacji odbył się wieczór promocyjny książki Włodzimierza Boleckiego „Prawdy niemiłe”. Poprzednio, 14 czerwca, był wieczór promocyjny książki Władimira Nabokova „Patrz na te arlekiны”, 8 czerwca Jan Kott podpisywał swoje książki, a 3 czerwca był wieczór promocyjny Premier Training Company o najnowszych metodach szkoleniowych z dziedziny językowej, zarządzania, marketingu i finansów.

21.5.93

Tygodnik Powszechny ustanowił Medal św. Jerzego, który będzie przyznawany co roku. Kapituła Medalu składa się z Jerzego Turowicza, Tadeusza Żychiewicza, Jana Józefa Szczepańskiego, Ks. Józefa Tischnera i Krzysztofa Kozłowskiego. Pierwszym Kawalerem Medalu został ks. Arkadiusz Nowak, opiekun nosicieli wirusa HIV i szef ośrodka w Piastowie.

ZACHÓD

26.4.93

Zmarł w Durham (USA) w wieku 86 lat Kazimierz Grzybowski, docent Uniwersytetu Lwowskiego przed wojną, kierownik polskiej służby informacyjnej na Bliskim Wschodzie w latach 1942-1945, w latach 1948-1960 był doradcą rządu amerykańskiego do spraw sowieckich, od 1960 r. profesor prawa międzynarodowego w Duke University w Durham.

21.5.93

W Danii bardzo uroczysto obchodzono jubileusz 100-lecia Polonii duńskiej. Obecnie szacuje się ją na 15.000 osób. Jest około 20 organizacji polonijnych liczących ok. 800 członków. W życiu Polonii bierze udział, niestety, tylko 2-3 tysięcy osób.

23.5.93

Zmarł w Randburg (Republika Południowej Afryki) w wieku 69 lat Edward de Virion. Należał do Związku Walki Zbrojnej, brał udział w Powstaniu Warszawskim. Wyzwolony z niewoli niemieckiej przez wojska amerykańskie służył w 2 Korpusie we Włoszech. W 1962 r. wyemigrował do Południowej Afryki. Był długoletnim prezesem Zjednoczenia Polskiego i Stowarzyszenia Kombatantów Polskich w RPA. Jego śmierć jest niepowtarzalną stratą dla społeczności polskiej i interesów Polski w Afryce Południowej. ■ Zmarł w Filadelfii w wieku 100 lat słynny pianista Mieczysław Horszowski. Od 1910 r. mieszkał stale za granicą — w Paryżu, Włoszech i USA. W 1980 r. grał w Polsce. Ostatni jego koncert miał miejsce w Filadelfii w październiku 1991 r.

25.5.93

67-ma rocznica tragicznej śmierci atamana Symona Petlury była obchodzona przez Koło Ukraińskie w Paryżu bardzo uroczysto. Niestety na cmentarzu Montparnasse w Paryżu, w czasie odbywającej się nad Jego grobem uroczystości, nie było przedstawiciela Ambasady R.P. ■ Na posiedzeniu Rady Powierników The Polonia Aid Foundation Trust (PAFT) w Londynie uchwalono następujące dotacje: 3.500 funtów na koszt połączenia bibliotek POSK-u i Instytutu Polskiego im. gen. Sikorskiego; 2.000 funtów otrzymało Towarzystwo Historyczne w W. Brytanii na wydanie kolejnego numeru *Tek Historycznych*; 1.000 funtów Polskie Towarzystwo Naukowe na Obczyźnie na wydanie kolejnego rocznika; 1.000 funtów na wydanie kolejnego numeru *Pamiętnika Lite-*

rackiego; 900 funtów Uniwersytet w Łodzi na wydanie pracy Tadeusza Dubickiego o uchodźstwie polskim w Rumunii w czasie ostatniej wojny; 1.500 funtów Teatr Dziecięcy „Syrena” w Londynie na udział w Międzynarodowym Biennale Teatrów Dziecięcych w Poznaniu.

29.5.93

W Nowym Jorku odbył się 51-szy zjazd Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce. W czasie zjazdu miały miejsce 18 sesji z różnych dziedzin nauki: ekonomia, literatura, sztuka, sprawy międzynarodowe, psychologia, medycyna, ekologia. Prezesem Polskiego Instytutu Naukowego został ponownie wybrany dr Feliks Gross; wiceprezesami Zbigniew Brzeziński i Tadeusz Gromada; członkami zarządu: Stanisław Blejwas, M.B. Biskupski i Alina Szczesiak

31.5.93

Zmarł w Canberze (Australia) w wieku 81 lat Reginald George Arthur de Bray, wybitny sławista, profesor Australijskiego Uniwersytetu Narodowego i współtwórca lektoratu języka polskiego i literatury polskiej na tymże uniwersytecie w latach 1973-80. Lektorat został później przeniesiony do Uniwersytetu Macquarie w Sydney, gdzie w 1983 r. założono Fundację Studiów Polskich, która gromadzi fundusze na zagwarantowanie istnienia studiów polskich w przyszłości.

1.6.93

Dotacje organizacji Eglise en Détresse dla krajów środkowo- i wschodnioeuropejskich udzielone w 1992 r. (W dolarach US): Białoruś — 751.845, Estonia — 64.978, Węgry — 3.793.131, Kazachstan — 357.573, Kirgizja — 3.722, Łotwa — 171.206, Litwa — 612.410, Polska — 8.545.550, Rosja — 2.115.509, Tadżykistan — 6.076, Czechosłowacja — 4.263.406 i Ukraina — 2.600.152.

8.6.93

W Stacji Naukowej PAN w Paryżu odbył się wieczór Ireny Krzywickiej pt. „Wyznania gorszytelki”. Spotkanie prowadził Kazimierz Brandys. Poprzednio miał miejsce wieczór poświęcony tradycjom narodowym współczesnej Rumunii.

9.6.93

W Domu Polskiego Kombatanta w Paryżu, staraniem Stowarzyszenia Polskich Kombatantów, odbył się odczyt Tadeusza Jana Rogowskiego pt. „Życie dużego miasta”. P. Rogowski jest radnym miasta Paryża i zastępcą mera 18-ej dzielnicy.

11.6.93

Zmarł w Toronto patriarcha ukraińskiego Kościoła prawosławnego Mstysław (świeckie nazwisko: Stepan Skrypyk).

Kronika kanadyjska

W niemal wszystkich większych ośrodkach polonijnych istnieją polskie szkoły, założone przez polonijne fundacje Millenium, Adama Mickiewicza i Władysława Reymonta. Najstarsza założona została w 1894 r. w Kitchener, Ontario. Rok temu powstała szkoła muzyczna im. Chopina. Związek Nauczycielstwa Polskiego zrzesza 350 nauczycieli. Istnieje ok. 80 szkół podstawowych i kilkanaście licealnych. Korzysta z nich ogółem ok. 8.000 dzieci. ■ Polski Instytut Naukowy w Kanadzie przygotował program obchodów 50-lecia. Uroczyste zebranie odbędzie się 30 października. Prelekcje wygłoszą honorowi goście pp. Zbigniew Brzeziński i Witold Lutosławski, po czym odbędzie się sesja nt. wkładu Kanadyjczyków polskiego pochodzenia w życie społeczne i kulturalne Kanady. Ukaze się również specjalny numer biuletynu Instytutu, który obok not biograficznych członków zawierać będzie komentarze i wspomnienia. Roczne walne zebranie Instytutu odbyło się 8 maja w biurze radcy handlowego R.P. w Montrealu. Preliminarz budżetowy na rok 1993 przewiduje dochody w wysokości 80.500 dol. i tyleż samo na wydatki. Na dochody składają się: subwencja miasta Montreal — 20.000 dol., subwencja fundacji Millenium — 7.000 dol., Polskiej Fundacji Społeczno-Kulturalnej — 12.000 dol., składki członkowskie — 5.500 dol.; dochód z Biblioteki — 12.000 dol., dary na Bibliotekę — 20.000 dol., zbiórki na odczytach i inne dochody — 1.000 dol. oraz 3.000 dol. procent bankowy. Najwyższą pozycję po stronie wydatków, 58.000 dol., stanowią pensje pracowników i dodatki socjalne. ■ Fundacja im. Maksymiliana Kolbego przy parafii św. Kolbego w Mississauga, rozrastającym się mieście pod Toronto ze znaczną ilością Polaków, przystąpiła do budowy ośrodka kulturalnego im. Jana Pawła II. Ma to być obiekt dostosowany do różnych imprez i rodzajów działalności społecznej. Przewiduje się urządzenie biblioteki, muzeum, wystawy osiągnięć Polonii w Ontario. ■ *Związkowiec* uczcił 60-lecie publikacji bankietem, na którym wygłoszono wiele przemówień poświęconych roli, znaczeniu oraz wpływom pisma wśród Polonii kanadyjskiej. Dzieje pisma przedstawił Jerzy Wróbel, młody historyk, urodzony w Kanadzie, działacz młodzieżowy Związku Polaków w Kanadzie, po czym ambasador R.P. Tadeusz Diem omówił rolę prasy polonijnej w okresie wielkich zmian w Polsce i Europie Środkowej. Podkreślał zasługi pisma i jego dorobek, który stawia go w szeregu najlepszych pism jak *Kultura* paryska.

Rząd prowincji Ontario reprezentowała minister Obywatelstwa Elaine Ziemba, wnuczka imigrantów polskich.

Toronto 25.05.93

B.H.

Kronika australijska i nowozelandzka

W Australii odbyły się wybory do federalnego parlamentu. Wbrew sondażom opinii publicznej i powszechnym oczekiwaniom, wybory zakończyły się niespodziewanym zwycięstwem rządzącej Australijskiej Partii Pracy i dużą porażką opozycji (Partia Liberalna i stronnictwo farmerów — Narodowa Partia). Ostatnie 48 godzin zadecydowało o wygranej partii rządzącej, w wyniku szczególnie intensywnej i agresywnej kampanii wyborczej tej partii. Głównym powodem przegranej opozycji była obawa wyborców przed planowanym przez nią wprowadzeniem nowego 15-procentowego obrotowego podatku detalicznego, co miało ułatwić wyjście Australii z obecnego kryzysu gospodarczego. Podatek ten jest rodzaju VAT (*Value Added Tax*) — to jest od towarów i usług, wprowadzony ostatnio w wielu państwach. Z państw postkomunistycznych pierwsi wprowadzili VAT Węgry, a następnie Czechy i Słowacja, od lipca br. ma być wprowadzony w Polsce. Australijska Partia Pracy w swojej akcji wyborczej koncentrowała się przede wszystkim na przedstawianiu ujemnych skutków dla całego społeczeństwa australijskiego w związku z zamierzonym przez opozycję wprowadzeniem nowego podatku. ■ Ponownie wybrany na federalnego premiera Paul Keating należy do (wzmocnionej obecnie) frakcji prawicowej Australijskiej Partii Pracy. Partia Liberalna (odpowiednik brytyjskiej Partii Konserwatywnej), której obecnym przywódcą jest prof. ekonomii John Hewson, po kolejnych klęskach wyborczych w latach osiemdziesiątych utraciła centrum polityczne na rzecz Australijskiej Partii Pracy. Obie główne australijskie partie polityczne przesunęły swoją działalność polityczną na prawo. Według opinii wieloletniego premiera Australii — z Partii Liberalnej — Malcolma Frasera, Partia Liberalna powinna stać się pragmatycznym centrum politycznym, z programem skierowanym do szerszych warstw społeczeństwa i powinna porzucić

racjonalizm ekonomiczny, dominujący w programie tej partii w późniejszych latach osiemdziesiątych. ■ Obecnie rządząca Australijska Partia Pracy zmierza do przekształcenia Australii w republikę i do zupełnego uniezależnienia się od Wielkiej Brytanii. Aktualnie królowa brytyjska jest także królową Australii, reprezentowaną przez federalnego i stanowych gubernatorów. ■ W Australii istnieje westminsterski system rządów, oparty na brytyjskim modelu z dodatkiem elementu federalnego, wzorowany na Stanach Zjednoczonych, który rozdziela odpowiedzialność między krajowe i stanowe rządy oraz izbę wyższą parlamentu i senatu, także wzorem Stanów Zjednoczonych. W oparciu o system westminsterski premier i ministrowie wybierani są spośród członków parlamentu. W związku z planem stworzenia z Australii republiki wyłania się potrzeba przygotowania nowej konstytucji. ■ Australijski minister spraw zagranicznych, Gareth Evans, w wywiadzie dla prasy tak scharakteryzował obecną sytuację Australii: „Jesteśmy w trakcie odnajdywania naszej tożsamości. Tradycyjnie myśleliśmy o sobie jako o narodzie europejskim, mieszkającym w obcym środowisku... Musimy zastanowić się, kim właściwie jesteśmy. Bo już nie Europejczykami, którzy znaleźli tu schronienie. Jesteśmy państwem w azjatyckim regionie Pacyfiku i to musi określać naszą tożsamość... Zrozumieliśmy, że naszymi głównymi partnerami nie są, jak dotychczas, Wielka Brytania czy USA, lecz państwa naszego regionu... potencjalnie silniejsze stały się tu nie tylko Japonia i Chiny, ale także małe państwa azjatyckie, np. Południowa Korea. Krótko mówiąc cały nasz region stał się bardziej dynamiczny”. ■ W australijskim roku finansowym 1991-1992 Australia zaakceptowała 107 tysięcy emigrantów, włączając uchodźców. Wśród dziesięciu państw, z których najwięcej przybyło do Australii emigrantów, tylko dwa państwa — Wielka Brytania i Nowa Zelandia — są krajami języka angielskiego; większość emigrantów przybyła z azjatyckiego regionu Pacyfiku. ■ Według ekonomicznych ekspertów, Azja będzie miejscem najszybszego rozwoju gospodarczego na naszym globie w ostatniej dekadzie dwudziestego wieku. ■ Na odbytym XXV Zjeździe Delegatów Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii, wybrany został na prezesa znaczną większością głosów ponownie Krzysztof Łańcucki (z Melbourne), na wiceprezesa Wojciech Gorski (z Perth). Wśród listów z życzeniami dla delegatów był również list od prezydenta RP Lecha Wałęsy. W programie działalności Rady Naczelnej umieszczona została m.in. sprawa pomocy Polakom na terenie byłego Związku Sowieckiego. ■ W Adelaide odbyła się premiera filmu polskiego, zrealizowanego przez Zespół Teatralny w Ottoway (Adelaide) według scenariusza i w reżyserii ks. dr. Mariana Szablewskiego, pod tytułem „Od roz-

paczy do nadziei". Tematem filmu jest życie Bogdana Jańskiego, założyciela Zgromadzenia Zmartwychwstańców, na tle wydarzeń w Polsce i na emigracji, po Powstaniu Listopadowym. ■ Ukazała się publikacja prof. Jerzego Zubrzyckiego pt. „National Museum of Australia — Ethnic Heritage” o Narodowym Muzeum Australijskim, powstałym na podstawie uchwały federalnego parlamentu w roku 1980. Zbiory tego muzeum obejmują trzy dziedziny: aborygeni (tubylcy) w Australii, Australia od 1788 roku (tj. od początku białego osadnictwa) oraz ludność Australii — wzajemne oddziaływanie i jej środowiska. Muzeum to ma uwidocznć, że dzisiejsza australijska społeczność składa się z ludzi różnego etnicznego pochodzenia. Niezależnie od australijskich aborygenów, obecna ludność to emigranci i potomkowie emigrantów, przybyłych w okresie ostatnich dwustu lat. Zaraz po drugiej wojnie światowej dziewięćdziesiąt procent ludności Australii, której liczba wówczas przekraczała zaledwie siedem milionów, miało korzenie w Wielkiej Brytanii i było pochodzenia angloceltyckiego. Czterdzieści lat później, według spisu ludności w roku 1986, okazało się, że trochę mniej niż połowa ludności ma czysto angloceltyckie pochodzenie, a 25 % ludności nie ma tego pochodzenia. Pozostałe 25 % stanowi grupę mieszaną angloceltycką i nie angloceltycką. ■ Obecnie ludność Australii (ponad siedemnaście milionów) pochodzi ze stu sześćdziesięciu krajów. Jest to wynik zakrojonej na dużą skalę imigracji, dający światu najlepszy przykład, że dzięki właściwie zaplanowanej i realizowanej polityce wielokulturowości możliwe jest harmonijne współzycie wielonarodowościowego społeczeństwa. ■ W Melbourne, stolicy stanu Wiktoria, odbyło się XXIV Święto Sportowe, będące swego rodzaju olimpiadą australijskiej Polonii. Organizatorem, tak jak w poprzednich latach, była Federacja Polskich Organizacji w Wiktorii. W rozgrywkach sportowych, w siedmiu dyscyplinach, wzięło udział trzydziestu zawodników, przy obecności trzech tysięcy kibiców. ■ Przez dość długi okres czasu Polska nie miała swojego ambasadora w Australii. Urzędował jedynie *chargé d'affaires*. Na wakujące od ponad roku stanowisko przyjechała jako ambasador RP w Australii Agnieszka Morawińska. Z wykształcenia jest historykiem sztuki, była wiceministrem kultury i sztuki w rządzie Krzysztofa Bieleckiego. ■ Towarzystwo Historyczne przy Związku Polaków w Newcastle (w stanie Nowej Południowej Walii), zorganizowało uroczystości w związku z 150-leciem odjazdu Pawła Strzeleckiego (geologa i badacza Australii), po czteroletnim jego pobycie na tym kontynencie. Paweł Strzelecki wsławił się w prowadzeniu badań geologicznych na różnych terenach Australii, odkrył złoto w Nowej Południowej Walii, opracował mapy geologiczne Nowej Południowej Walii i Tasmanii, zdobył — jako

pierwszy — najwyższy szczyt Australii i nazwał go Górą Kościuszki. Wiele polskich nazw geograficznych w Australii związanych jest z osobą Pawła Strzeleckiego. Towarzystwo Historyczne w Newcastle poprzednio urządziło wystawę o Strzeleckim w Miejskiej Bibliotece Publicznej, ufundowało pomnik Strzeleckiego nad brzegiem oceanu oraz uzyskało nową nazwę geograficzną „Strzelecki Lookout”. Wśród istniejących około dwustu polonijnych organizacji w Australii, Towarzystwo Historyczne w Newcastle jest jedyną organizacją, która uczciła w takim zakresie 150-lecie pobytu Pawła Strzeleckiego w Australii. ■ Na zaproszenie Australijskiego Instytutu Spraw Polskich, którego przewodniczącym jest pionier i architekt wielokulturowości w Australii, prof. Jerzy Zubrzycki, oraz Rady Australijskiej Światowej Federacji Polskich Żydów przebywał z trzytygodniową wizytą w Australii prof. Władysław Bartoszewski, historyk, współzałożyciel organizacji „Żegota”, prowadzącej akcję ratowania Żydów w okupowanej przez Niemców Polsce, obecnie ambasador RP w Wiedniu. Zasadniczym celem tej wizyty było kontynuowanie rozpoczętego przez Instytut dialogu polsko-żydowskiego oraz zbliżenia emigracyjnych środowisk polskich i żydowskich. Prof. Bartoszewski odwiedził Melbourne, Canberę, Sydney i Brisbane — przemawiając na tematy polsko-żydowskie w synagogach (Sydney i Brisbane), w Muzeum Holocaustu w Melbourne, w Żydowskim Klubie w Sydney. W stolicy Australii, Canberze, spotkał się na przyjęciu w polskiej ambasadzie z ambasadorem Izraela. Społeczność żydowska w Australii na wszystkich spotkaniach witała prof. Bartoszewskiego bardzo serdecznie. Stosunki polsko-niemieckie zostały omówione przez prof. Bartoszewskiego na Uniwersytecie Monash w Melbourne, w Klubie Polskim w Sydney i w Domu Polskim w Brisbane. ■ Na terenie pierwszej polskiej osady w Australii z lat 1844–1858, Polish Hill River (w stanie Południowej Australii), odbyło się spotkanie członków Komitetu Odbudowy Kościoła-Muzeum, z udziałem przedstawicieli Związku Polaków i Federacji Organizacji Polskich w Południowej Australii. Gośćmi honorowymi spotkania byli: konsul generalny Grzegorz Pińkowski i konsul do spraw polonijnych Piotr Longchamps de Berrier. Zebrani na tym spotkaniu omówili plan urzędzenia wystawy emigracji polskiej XIX i XX wieku w przyległych do kościoła salach dawnej polskiej szkoły oraz sprawę budowy Domu Polskiego Pioniera. ■ Staraniem Australijskiego Instytutu Spraw Polskich przybył do Australii dwutygodniową wizytą prof. Leszek Balcerowicz, główny architekt reformy gospodarczej w Polsce, były wicepremier i minister finansów w rządach Tadeusza Mazowieckiego i Krzysztofa Bieleckiego. Australijska prasa i telewizja wykazały duże zainteresowanie wizytą prof. Balcerowicza. Ukazały się wywiady w szeregu

czołowych pism australijskich i odbyły spotkania w studiach telewizyjnych. Najważniejszymi punktami programu były: wystąpienie w Narodowym Klubie Prasowym w Canberze, seminarium Instytutu Spraw Publicznych w Melbourne oraz konferencja ekonomiczna w Regent Hotel w Sydney. Były również rozmowy z federalnymi ministrami. Konferencja „Szansa Australii w sercu Europy” w Regent Hotel w Sydney, zorganizowana przez Australijski Instytut Spraw Polskich i Australijski Fundusz Solidarności z Polską, przy współpracy z Australijsko-Polską Radą Handlu, zgromadziła 120 przedstawicieli australijskiego biznesu, zrzeszeń przemysłowo-handlowych i naukowców. Konferencji przewodniczył prof. Jerzy Zubrzycki, prezes Australijskiego Instytutu Spraw Polskich. Prof. Balcerowicz przedstawił polską ofertę dla australijskiego biznesu; podkreślił także zasadniczą stabilność polityczną w Polsce (w porównaniu do innych postkomunistycznych państw), brak konfliktów etnicznych oraz że Polska, jako jedyny kraj b. RWPG, osiągnęła realny wzrost dochodu narodowego. Generalny dyrektor Australijskiej Izby Handlu i Przemysłu wyraził opinię, że Polska stała się modelem dla postkomunistycznych krajów. ■ Rada Naczelna Polskich Organizacji w Australii wysłała list do prezydenta Lecha Wałęsy, „...z usilną prośbą o przyspieszenie dochodzeń w sprawach o morderstwa polityczne popełnione w Polsce w okresie sprawowania władzy przez komunistów”. W liście tym Rada Naczelna wypowiada się, że „razi nas Polaków w Australii — nie mniej niż naszych rodaków w Polsce — bezkarność komunistycznych zbrodniarzy, którzy żyją wygodnie na sutych emeryturach, pomimo istnienia bezspornych dowodów ich winy”.

Jerzy GROT-KWAŚNIEWSKI

Kronika szwedzka

Maj był w Sztokholmie niezwykle gorący, takich temperatur nie notowano tu od stulecia. I od dawna nie było w Szwecji takiego nagromadzenia imprez, wiele z nich związanych z Polską. ■ W dniach 10 i 11 maja w Saltsjöbaden pod Sztokholmem spotkali się ministrowie kultury z krajów nadbałtyckich. Polskę reprezentował wiceminister kultury Piotr Łukasiewicz, od niedawna urzędujący minister Góral (ZChN) rozchorował się. Łukasiewicz bardzo dobrze wypadł w swojej roli, mówi płynnie po angielsku

i pierwszego dnia zrecznie prowadził obrady. Po spotkaniu wydano oświadczenie, wymieniając szereg konkretnych inicjatyw i dziedzin, gdzie należy pogłębić współpracę. Dziennikarze krytykowali ogólnikowość wyników spotkania, ale jak się wydaje wszelkie konferencje dotyczące kultury są skazane na pewien stopień ogólności. ■ 14 maja odbył się jubileusz 100-lecia Stowarzyszenia Pisarzy Szwedzkich. Z tej okazji otwarto na Götlandii w Visby „Bałtyckie Centrum dla Pisarzy i Tłumaczy”. Będzie to miejsce pracy i spotkań pisarzy z wielu krajów, a wyspa i miasto są wyjątkowo piękne, tak architektonicznie jak i krajobrazowo. Idea tego centrum jako miejsca integrującego ludzi słowa znad Bałtyku była żywa już od jakiegoś czasu, ale problemy finansowe Szwecji zdawały się ją przekreślać. Okazało się jednak, że Szwecja mimo wielkich problemów ekonomicznych nadal potrafi być szczodra, co jest powojenną tradycją tego kraju, chociaż kiedyś kierunek tej pomocy był szokujący. Kulminacyjnym punktem 100-lecia Stowarzyszenia Pisarzy Szwedzkich był wielki bal w Miejskim Ratuszu. Stoły mieściły setki gości. Była para królewska, delegacje pisarzy ze świata, przybył prezes SPP Andrzej Braun i można było podziwiać całą szwedzką elitę. ■ W tym czasie przebywał też w Sztokholmie Czesław Miłosz, który odbył kilka publicznych spotkań na uniwersytecie, a potem pojechał do Malmö na festiwal poezji. ■ Wiele było też imprez w Instytucie Polskim, m.in. spotkanie z ekonomistą Leszkiem Balcerowiczem oraz z poetką Wisławą Szymborską. Wisława Szymborska miała bardzo udane spotkanie w sali sztokholmskiego Muzeum Muzyki, wiersze recytowała po szwedzku słynna szwedzka aktorka Margaretha Krook. Czytała je też sama poetka, oraz Anders Bodegard, tłumacz polskiej literatury na język szwedzki, którego zasługi dla polskiej kultury rosną z każdym rokiem. Przyjazd Szymborskiej do Szwecji i promocja tam jej poezji jest głównie jego zasługą. Bardzo udane i tłumne było spotkanie z Szymborską w Polskim Instytucie. Ale Leszek Balcerowicz przyciągnął nie mniejszy tłum do Instytutu. Miał też Balcerowicz spotkanie w organizacji ?imbro oraz w Instytucie Ekonomicznym Wschodniej Europy, gdzie występował też Jeffrey Sachs. ■ W dniach 15 i 16 maja z inicjatywy Instytutu Polskiego odbyło się polsko-szwedzkie seminarium historyczne „Czy przeszłość to obcy kraj”. Tematem dyskusji był stosunek do historii w Polsce i w Szwecji. Z polskiej strony wystąpili m.in. Krystyna Kersten, Krystyna Szelałowska, Marcin Król i Marek Zaleski. Ze szwedzkiej strony w dyskusji udział wziął m.in. Peter Englund, słynny autor historycznych bestsellerów, Goran Rosenberg, eseista, dziennikarz i zarazem szef znanego miesięcznika *Moderna Tider*, oraz Maciej Bielawski, wybitny szwedzki eseista polskiego pochodzenia. Bardzo ciekawe

referaty mieli historycy Henryk Berggren i Syerker Sorlin. Podkreślano skrajnie odmienną tradycję i przeszłość obu króów i diametralnie różny stosunek do własnego dziedzictwa. Omawiano wyniki ankiety przeprowadzonej w szwedzkich i polskich szkołach wśród uczniów. Najpopularniejszy sztokholmski dziennik *Dagens Nyheter* bardzo ciepło skomentował to niezwykle udane seminarium, a szwedzki miesięcznik *Moderna Tider* i polska *Res Publika* będą drukować niektóre wystąpienia. ■ Nagrodę muzyczną Polar Music Prize otrzymał w tym roku Witold Lutosławski i Dizzy Gillespie, który niestety nie dożył uroczystości. 18 maja odbył się z wielką pompą koncert, a nagrodę przekazał polskiemu kompozytorowi osobiście król Szwecji. Grał na fortepianie m.in. Peter Jablonsky, młody wybitny pianista polskiego pochodzenia mieszkający w Sztokholmie. Był obecny na uroczystości Andrzej Wajda i jego żona, znany scenograf Krystyna Zachwatowicz. Będą oni jesienią reżyserować w sztokholmskim Teatrze Dramatycznym sztukę Strindberga „Sonata widm”.

T.T.

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Île, 75004 Paris, France.
Métro: Pont Marie. Telefon: 43-26-51-09.

KSIAŻKI POLSKIE □ KSIAŻKI FRANCUSKIE
DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ □
PRZEKŁADY Z JĘZYKA POLSKIEGO NA FRANCUSKI.
KATALOGI BEZPŁATNE WYSYŁAMY NA KAŻDE ŻĄDANIE.
KSIAŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT.
WSPÓŁCZESNE MALARSTWO POLSKIE I OBCE W SĄSIEDNIEJ
GALERIE LAMBERT

Zapraszamy wszystkich przejeżdżających przez Paryż, by odwiedzić
najpiękniejszą polską księgarnię i polską galerię na historycznej
Wyspie Świętego Ludwika.

Listy do Redakcji

Melbourne, 21 maja 1993 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

Przeczytałem w majowej *Kulturze* list Leona Grabowskiego. Dosyć niechętnie wracam do spraw sprzed kilku lat, gdy czas nieuchronnie ucieka i można go użyć na działalność bardziej budującą. Z Grabowskim zgadzam się tylko w jednym punkcie, że dalsza polemika między nami nie ma sensu, gdyż uznaje on tylko własne argumenty. Gdyby ktokolwiek z Czytelników nadal interesował się tą sprawą, to sugeruję ponowne przeczytanie recenzji mojej książki „Poles in Australia and Oceania 1790–1940”, pióra prof. Tadeusza Wyrwy, w *Kulturze* nr 483 i mojej repliki „Polacy w Australii zredukowani”, w nrze 520/521 oraz poprawkę w nrze 522, s. 174. Chyba moja wypowiedź była sformułowana logicznie i poparta dokumentacją. Czytelnicy mają naturalnie swobodny wybór, czy przyjąć to, co pisał Grabowski w nrze 518, czy też Paszkowski w nrze ze stycznia/lutego 1991 roku.

Załączam do wglądu Pana Redaktora kopię listu córki dra Maksymiliana Łukowicza, śp. Stefani Mokwiny (Mokwa). Myślę, że córka dobrze wiedziała jak się pisze prawdziwe nazwisko jej ojca.

Nie przedstawiam się nikomu jako polski patriota. W liście Grabowskiego użyte zostały słowa „megalomania” i „szowinizm”, które od wczesnej młodości budziły we mnie odrazę. Pamiętam sunący Nowym Światem w Warszawie tłum, wznoszący okrzyki „Wodzu, prowadź nas na Kowno!” i przy tej okazji wybijający łaskami szyby w sklepach pod szyldami o żydowskich nazwiskach. Na tle jasnego pasma wspomnień mego życia w rodzinnym mieście, z lat II Rzeczypospolitej, była to ciemna plama, o której trudno zapomnieć. Mój stosunek do polskości budowałem na podłożu lojalnych tradycji rodziny świadomej swego polsko-litewsko-francuskiego pochodzenia i trwania z litewskim uporem przy wartościach polskiej kultury. Ponieważ w prasie emigracyjnej od roku 1949 ogłosiłem około 400 artykułów, wydałem dwie obszerne książki i redagowałem cztery inne, może pamiętający mnie Czytelnicy sami sobie odpowiedzą — czy moja twórczość pisarska zasłużyła nałączenie jej z wyżej wymienionymi epitetami?

Łączę wyrazy uszanowania

Lech PASZKOWSKI

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

Z.W., Polska — Poemat Papier jest czymś w rodzaju Wielkiej Womitacji. Budzi ona w czytelniku uczucia nudy i rosnącego niesmaku.

J.H.D., Polska — Pana lektury są doskonałe, ale ich poetyckie wyniki jeszcze słabe.

S.W., USA — Zdarzają się w Pani wierszach drobne ładne okruchy. Niestety to za mało.

J.K., USA — Postanowiła Pani pisać dziennik czy raczej notatnik. Prysłane próbki są albo banalne, albo sztuczne i niekiedy niezrozumiałe.

M.K., Polska — Ma Pani 17 lat, zaczęła Pani pisać jako 15-letnia dziewczyna. Proszę pamiętać, że pisanie wymaga pracy i wykształcenia, a nie „natchnienia”.

*J.G., Niemcy — Że księdza Sandała, odmierzającego na wadze grzechy uczniów, przeniesiono do innej parafii nie może dziwić. dziwi to, że poprzestano na przeniesieniu do innej parafii, zamiast skierować go na leczenie. Pana opowiadaniu *Odważniki księdza Sandała* brak poczucia humoru.*

*L.R., Australia — Redaktor dziękuje za gratulacje. Wiersze są słabe. Zapewne — choć trudno nam to sprawdzić po tylu latach — przeczytała Pani naszą ocenę eseju o *Stu latach samotności*.*

P.P., Niemcy — Wybraliśmy jeden wiersz, który nas po prostu osobiście wzruszył: o lekturze listów Hertza do Miłosza.

*M.C., Polska — Podoba nam się Pana artykuł *Bez właściwości*. Być może, będzie zagajeniem dyskusji.*

SPROSTOWANIA

Proszę o małe, ale istotne sprostowanie, które zmienia wymowę liczb w moim artykule zamieszczonym w majowej *Kulturze* (nr 5/548). Mianowicie na str. 37: Inflacja w 1989 r. wynosiła 251 % (a nie 25 %); w 1990 r. 586 % (a nie 86 %). W obu przypadkach zagubiła się jedna cyfra.

Stanisław POLACZEK

W *Kulturze* nr 6/549 mylnie podano tytuł książki Alicji Iwańskiej. Podaliśmy „Potyczki i pragnienia”, a powinno być „Potyczki i przymierza”. Książka ukaże się we wrześniu br. w Wydawnictwie Gebethnera w Warszawie. REDAKCJA.

KOMUNIKAT

KOMISJA FUNDACJI STYPENDIALNEJ
IM. STANISŁAWA LAMA

informuje, że termin nadsyłania podań o stypendia na 1994 r. upływa z dniem 15 grudnia 1993 r.

Przypominamy, że zgodnie z założeniami Fundacji, o stypendia ubiegać się mogą osoby specjalizujące się w historii literatury polskiej i w krytyce literackiej. Chodzi o kandydatów, którym dla kontynuowania pracy niezbędny jest krótki pobyt w Paryżu i korzystanie z tutejszych bibliotek i archiwów, a zwłaszcza ze zbiorów Biblioteki Polskiej w Paryżu.

O stypendium im. Stanisława Lama nie mogą ubiegać się mieszkańcy Paryża i regionu paryskiego.

Do umotywowanego podania należy dołączyć życiorys, wykaz publikacji lub opinie osób kompetentnych.

Fundacja nie pokrywa kosztów podróży oraz nie zapewnia mieszkania w Paryżu.

Komisja Fundacji Stypendialnej
im. Stanisława Lama

Tadeusz DOMAŃSKI — Przewodniczący Komisji
Jerzy MOND Irena MOZOLEWSKA

WAWEL

PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA
w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne
oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

POLEMIKI

Zbigniew P. Zagórski:	<i>Odpowiedź oponentom</i>	199
Krzysztof Gawlikowski:	<i>Odpowiedź Jerzemu Künstlerowi</i>	203
Nina Kozłowska, Nina Karsov, Kazimierz Orłoś:	<i>Sprawa Nina Karsov — Józef Mackiewicz</i>	205
—	<i>Wydarzenia miesiąca oraz kroniki: kanadyjska, australijska i nowozelandzka, szwedzka</i>	210
—	<i>Wydarzenia miesiąca oraz kroniki: kanadyjska, australijska i nowozelandzka, szwedzka</i>	210
Lech Paszkowski:	<i>List do Redakcji</i>	221
—	<i>Odpowiedzi Redakcji</i>	222
St. Polaczek, Redakcja:	<i>Sprostowania</i>	222
—	<i>Komunikat Komisji Fundacji Stypendialnej im. Stanisława Lama</i>	223

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 60789.

Dépôt légal: 3^e trimestre 1993.

Photocomposition: AKTIS S.A.R.L.

42, av. de Wagram, 75008 Paris

Imprimé en France.

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte — Telefon: (1) 39-62-19-04

FAX: 33-1-39-62-57-52

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
Ceny na rok 1993			
AFRYKA POŁUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32, York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248	\$ A. 15,00	\$ A. 90,00	\$ A. 160,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
HOLANDIA: Barbara Malak-Minkiewicz, Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	Flh 20,00	Flh 110,00	Flh 210,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., P.O.B. 29443, 61239 Tel-Aviv, tel. i FAX: (3) 5606311	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5, Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Very rev. D.M. Malinowski, 3817 Laurel Dr., Royston, B.C., VOR 2V0. Tel.: (604) 338-80-40; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches, 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 230 82 60, FAX (613) 235 01 63	\$ can. 13,00	\$ can. 75,00	\$ can. 140,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessstrasse 39/41, Postfach 340108, D 8000 München 34. Tel.: (089) 52-20-27; Księgarnia Wawel, Stephanstr. 11, 5000 Köln, I. Tel.: 0221/24-61-60	DM 17,00	DM 100,00	DM 185,00
NORWEGIA: Zb. Tyszkó, Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51-20-55	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 4, Avenue Cardinal Mermilod, 1227 Carouge/GE, tel.: 343 05 84	F.S. 15,00	F.S. 90,00	F.S. 160,00
SZWECJA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury» lub na konto pocztowe jak poniżej	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
U.S.A.: Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski, 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109. Tel.: (216) 351-8219; Halina Kościuch, 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; Jan Wójcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 21, West 38th Street, New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 354-0492	\$ US 11,00	\$ US 60,00	\$ US 116,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: 75-67-241	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 600; półroczna — F. 320.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 W (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 476 — SMECZ

Z UKOSA

Wybór felietonów o Polsce od maja 1990 do sierpnia 1992.

Str. 224

Cena F. 95

TOM 477 — ROMAN ZIMAND (Leopolda)

MATERIAŁ DOWODOWY

Szkice drugie

Pośmiertnie wydany tom esejów znanego pisarza. Zawiera działy:
O NARODACH, PODRÓŻ I O PODRÓŻY, MATERIAŁ DOWODOWY.

Str. 312

Cena F. 120

TOM 480 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT STO TRZECI

zawiera opracowania: Józef Rybicki: *Rocznica powstania w getcie* (przemówienie w dn. 18.IV.1988 r. pod murem żydowskiego cmentarza); Kazimierz Zamorski: *Dezercje Żydów z Armii Polskiej*; Bp Szczepan Wesoły: *Czy duszpasterstwo emigracyjne było zależne od PRL*; Kazimierz Braun: *Apogeum stalinizmu w teatrze 1949-55*; Bernadetta Nitschke: *Wysiedlanie Niemców z Ziemi Lubuskiej w latach 1945-1950*; Tadeusz Wyrwa: *Wychodźstwo polskie we Francji po kapitulacji w 1940 r. a rząd polski w Londynie*; Rimantas Miknys: *Stosunki polsko-litewskie w wizji krajowców*; Anatol Mühlstein: *Sprawozdanie z pobytu na Litwie*; Komitet Obrony Państwa; Grzegorz Mazur: *Operacja „Sejm”*; Piotr Mitzner (opr.): *Dzień jawnych sądów*; Wojciech Wiśniewski: *Rozmowa z Józefem Rybickim*; Marian Marek Drozdowski: *Dramat Stanisława Augusta Poniatowskiego*; Andrzej Chwalba: *Józef Piłsudski a pamiętniki*; Alicja Iwańska: *Na trasach*; Zbigniew Małecki (opr.): *Notatki R.E. Urbańskiego*; Piotr Daszkiewicz (opr. i tłum.): *Jean-Emanuel Gili- bert. Pierwszy Ogród Botaniczny na Litwie oraz bogate działy: POLEMIKI I LISTY DO REDAKCJI.*

Str. 240.

Cena F. 90,00.